

Иовани Н. Каплинскій
Стандарт Тернов.

JAN JAKÓB ROUSSEAU

JULIUSZ LEMAÎTRE

CZŁONEK AKADEMII FRANCUSKIEJ

JAN JAKÓB ROUSSEAU

PRZEKŁADANIA

STANISŁAWA TUROWSKIEGO

ZE WSPÓŁUDZIAŁEM

KAZIMIERZA WOŹNICKIEGO



Handwritten signature or initials, possibly "J.J.R.", written over a diagonal line.

KRAKÓW I WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP.

1910



Zbiory specjalne

JULIUSZ LEMAITRE
JULIUSZ LEMAITRE

JAN JAKOB ROUSSEAU

STANISŁAW TURAWSKI
TŁÓMACZENIA DOKONANO ZA ZEZWOLENIEM AUTORA
I WYDAWCÓW PARYSKICH.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0521572

DRUKARNIA »CZASU« POD ZARZĄDEM A. ŚWIERZYŃSKIEGO.

NAKŁADEM AUTORA.

k-168/76 | 71777

PRZEDMOWA.

Juliusz Lemaitre i jego książka.

Juliusz Lemaitre urodził się w Vennece, w departamencie Loiret, dnia 27 kwietnia 1853 r. Ojciec jego był kierownikiem szkoły ludowej. Od ojca właśnie pierwsze pobierał nauki w Tavers opodal Beaugency. Oddany potem został do seminarium, skąd jednak w czas jakiś odesłano go rodzicom z powodu drobnych wykroczeń i wolnomyslności w stylu Renan'a. Ukończył następnie kollegium Notre-Dame des-Champs. Bakalaureat uzyskał w lipcu 1871 r. W r. 1872 przyjęty do Wyższej Szkoły Normalnej, ukończył ją w trzy lata później jako kandydat wydziału literackiego (agrégé des lettres).

Jako profesor retoryki w liceum w Hawrze zaczął występować na polu krytyki i odrazu zdobył uznanie bardzo dobrem studium o Flaubercie (»Revue politique et littéraire«, październik 1879). W r. 1880 ogłosił tomik poezji p. t. »Médaillons«, niepozbawiony wdzięku i oryginalności. W tymże roku udał się do Algieru na miejsce profesora w wyższej szkole literackiej. Z czasów tego pobytu pochodzi nowy tomik poezji »Petites Orientales« *) (1883),

*) Zbiór poezji p. t. »Poésies« 1896 zawiera: »Médaillons«, »Petites Orientales«, »Une méprise«, »Au jour le jour«.

w którym głównie tęsknocie za ojczystym krajem dawał wyraz. Po dwu latach przeniesiony został na katedrę literatury francuskiej do Besançon. Niedługo tu zabawił. Na podstawie rozprawy o komedii po Moliere (*La comédie après Molière et le théâtre de Dancourt*) uzyskał stopień doktora a w 1884 zamianowano go profesorem literackiego wydziału uniwersytetu w Grenoble.

Ceraż większą sławę krytyka zyskiwał jako współpracownik *»Revue Bleue«*. Jakoż porzucił karierę uniwersytecką, w 1884 r. jeszcze przybył do Paryża i tu, w *»Debatach«*, otrzymał berło teatralnej krytyki, osierocone po śmierci Weissa.

W latach 1885—1899 powstały jego doskonałe, w 10 tomów potem zebrane *»Wrażenia z teatru«* (*Impressions de théâtre*) oraz znakomite, siedm tomów tworzące charakterystyki współczesnych pisarzy (*»Les Contemporains«*). Najznakomitsze z nich są Brunetière'a, Zoli, Huysmans'a a przede wszystkim Renan'a, który ogromny wpływ na Lemaître'a wywarł.

Lemaître mimo wychowania na klasycznych wzorach literatury francuskiej, mimo uniwersyteckiej profesury więcej zapala się do literatury współczesnej, niż do wielkości dawno zmarłych. Pisze: *»Szczerze mówiąc, potrzebuję zawsze wysiłku, aby czytać Bossuet'a. Prawda, kiedy przeczytam z niego stron kilka, czuję, że on mimo wszystkiego jest »bardzo silny«, jak się to dzisiaj mówi, ale nie sprawia mi on prawie wcale przyjemności; gdy zaś otworzę przypadkiem jaką książkę dzisiejszą czy wczorajszej doby (nie mówię jakąkolwiek, ani książkę jakiegoś żaka, czy uczniaka), to bywa, że drzę z radości, że mnie rozkosz do szpiku kości przejmuje, — tak bardzo lubię tę literaturę z drugiej połowy XIX w., tak rozumną, tak niespokojną, tak szaloną, tak tetryczną, tak rozpręgłą, tak subtelną; tak bardzo lubię ją nawet w jej przesadach«*. (Studyum o Brunetière'ze w I tomie *»Contemporains«*). Są jednak we

współczesności autorzy, których nie obdarza względami. Jednych, ponieważ nie byli dość subtelni, niespokojni, rozpręgali, jak Jerzy Ohnet lub Soulayr, sonecista; innych, ponieważ byli takimi zanadto, jak Stefan Mallarmé lub Maeterlinck. Co do ostatniego zresztą zmienił zdanie. We wszystkich zaś sądach nie jest apodyktyczny: zawsze je tysiącem zastrzeżeń i skrupułów łagodzi. Jest to krytyk na wskrós impresjonistyczny, nie pozbawiony sprzeczności, częstych odwołań i ewolucji ostatecznych wniosków.

Lemaître jest także powieściopisarzem i dramaturgiem.

Ogłosił tomik nowel p. t. *»Serenus«* (1886), powieść *»Królowie«*, w której zamierzył przedstawić los królów w społeczeństwach demokratycznych; debiutował na scenie Odeonu sztuką p. t. *»Révoltée«*: krytyka dość chwaliła a sam Sarcey napisał, że dzieło odznacza się *»szczególnym brakiem doświadczenia i rzadką niezręcznością«*, ale też *»rzadkim smakiem prawdziwej obserwacji i szczególnym zmysłem dla współczesnego życia«*. Później formę sobie Lemaître wyrobił bardziej, choć nigdy nie doszedł do niezbędnego posłuszeństwa prawom i konwencyom scenicznym. Wszystkie jednak sztuki zajmują silnie żywym realizmem, mają wdzięk i zdolność wzruszenia. Oto tytuły: *»Le député Leveau«* (1890); *»Mariage blanc«* (1891); *»Flipote«* (1893); *»Les Rois«* (1893); *»L'âge difficile«* (1895); *»Le Pardon«* (1895); *»La bonne Hélène«* (1896); *»L'ainée«* (1898).

Od roku 1894 obejmuje w *»Revue des deux Mondes«* dział krytyki dramatycznej; w 1896 zostaje członkiem akademii francuskiej; zostaje też członkiem legii honorowej.

Tymczasem jednak odbyła się w nim przemiana: dojrzała chęć do polityki czynnej. Ze sceptyka w literaturze wyrasta człowiek przekonany w polityce. Umiera w nim renanista. Działalność polityczną uważa za swój obowiązek. Jakoż w r. 1898 razem z Barrès'em, Brunetière'm, Coppée'm, Cavaignac'em i innymi zakłada *»Patrie française«* i odtąd

staje się apostołem nowego stronnictwa. Jest też współpracownikiem »Echo de Paris« oraz »Annales de la Patrie française«.

Książka niniejsza jest tłumaczeniem wykładów, które miał Lemaître w Société des conférences na początku roku 1907 i które w tymże roku w książce wydał (Paris, Calmann-Lévy). W rok później wygłosił tamże wykłady o Rasyne, w r. 1909 jeden o pani Récamier, w roku obecnym o Fenelonie. Zresztą Lemaître zaniedbuje twórczość swą literacką od dłuższego czasu, poświęcając się całą duszą działalności politycznej w l'Action française.

Książka niniejsza jest drugą w Polsce książką o Rousseau'ie. Pierwsza H. Höffdinga, ukazała się w przekładzie w 1900 roku.)*

A Rousseau należy do postaci największych w literaturze francuskiej; co więcej, niema piśmiennictwa w Europie, w któremby ślady jego wpływu nie były głębokie; co więcej wpływ jego przekroczył szranki słowa, dał się odczuć w politycznych koncepcjach i czynach, w wychowawczych teoriach i praktykach, w etycznych zasadach i w zasadach tych stosowaniu. Iluż ludzi współczesnych i jak wiele wzięło z Rousseau'a! Wzięło zaś najczęściej na pół światła: to też ogromu jego wpływu zmierzyć się nie da.

Prof. Tarnowski tak opowiada w III tomie »Historii literatury« o roku 1766 (a przytaczam ten wywód, ponieważ Lemaître rozebrał tu broszurę w swej książce pominał, jako rzecz drugorzędną): »Z taką naiwną wiarą, z jaką Grecy zapytywali wyroczni, a Rzymianie wysyłali prawodawców do Grecji po prawa, z taką samą biedni Polacy ówczesi, nie wiedząc, gdzie szukać światła, mądrości i rady, udali się po objawienie do mędrców i filozofów francuskich. Wielhorski, kuchmistrz koronny, oponent reformy w 1766,

*) W wydawnictwie »Życiorysy znakomitych ludzi«.

agent konfederacji Barskiej w Paryżu, żądał ratunku dla Polski od Mablego i Rousseau. Wiara w tych mędrców wcale charakterystyczna. Na jego to wezwanie i z materiałów przez niego dostarczonych napisał Rousseau swoje »Considérations sur le Gouvernement de Pologne«; książkę, która zrobiła u nas wrażenie, jak robiło wrażenie wszystko, co pisał Rousseau, jak cała prawie filozoficzna strona pojęć politycznych i społecznych u nas i we Francji, opierała się na jego »Contrat Social«. »Uwagi nad rządem polskim« są po prostu zastosowaniem zasad »Kontraktu« do Polski, do dawnych form polskich. Rzecz naturalna, że utopiiny umysł Rousseau musiał być uderzonym tym duchem idealnej republikańskiej wolności, który tkwił w zasadzie polskich instytucji, nigdy w ich rzeczywistości; rzecz równie naturalna, że taki umysł rady prawdziwej, praktycznej, wynaleźć nie umiał. W całym tem dziełku widoczne jest usiłowanie autora, żeby być jak najpraktyczniejszym, łatwym do zastosowania, żeby stosunki i przyzwyczajenia narodu uwzględniać. Rousseau stara się jak najmniej zmieniać, jak najmniej żądać, poświęca nawet wiele ze swoich zasad i przekonań, na przykład żąda praw obywatelskich dla włościan i mieszczan, ale stopniowo, pomału, w miarę jak będą się oświecać, »affranchir leurs âmes avant d'affranchir leurs corps«. Pisz jak człowiek, który najlepiej chce, który wiele myślał o naturze społeczeństw i z tych refleksji ogólnych dochodzi czasem do prawd głębokich, do istotnych maksym postępowania. Naprzykład »Jeżeli potraficie to zrobić, żeby Polak nie mógł stać się Moskałem, to jest dla was ratunek — zjeść was muszą, starajcie się, żeby was nie strawili«. — Ale poza takimi ogólnymi filozoficznymi maksymami znajdują się rzeczy trafne w krytyce polskich stosunków, niema ich w jego projekcie poprawy, który cały wynikał z oderwanego idealizmu nie umiającego przywiązać się do rzeczywistości faktów i stosunków.

Zapewne ma słuszność Rousseau, kiedy mówi, że zanim Polska zdoła wyrobić sobie to wszystko, co jej jest potrzebnem do obrony, nieprzyjaciele będą mieli sto razy dość czasu, żeby ją rozebrać. Ale ten naiwny Polak, który się do niego udawał po radę, pytał właśnie tylko o to, czy jest jaki sposób obronienia się od rozbioru, i jaki — w tem leżała kwestya. Zamiast tego daje filozof genewski rady, które za Batorego, kiedy Polska miała przed sobą dwieście lat czasu, mogły być doskonałe; ale teraz rzeczy zaszły tak daleko, sprawa była tak nagła, że trzeba było albo żartować z Polski, albo być takim umysłem spekulatywnym i abstrakcyjnym, jak Rousseau, żeby jej doradzać powrót do prostoty obyczajów i dowodzić, że piersi obywateli są najlepszą twierdzą ojczyzny, że powinna dać spokój wojsku, na które nie ma dość środków, — a zaprowadzić milicję! Mówić o milicyach, kiedy z dwóch stron grożą dwie armie regularne, to poezya nie polityka. Lepiej odrazu powiedzieć »dajcie się podzielić«.

Wogóle na dnie tych wszystkich uwag tkwi jakaś poetyczno-filozoficzna teoria, dobra może dla marzycieli, ale nie dla ludzi, którym kraj zabierają. W swojej głębokiej nienawiści do państw uorganizowanych, ich rządów i ich polityki, doszedł Rousseau do przekonania, że tylko małe społeczeństwa mogą być szczęśliwe. Może to i prawda — jednak gdyby ktoś zaproponował Francuzom, żeby się podzielili na tyle republik, ile jest departamentów, zapewne wyrzekliby się tego szczęścia. Każdy naród żąda przede wszystkim zostać sobą i tego nie odda za największe obiecanie korzyści — Rousseau właśnie radzi Polsce, biednej Polsce, myślącej tylko o tem, jak zostać całą, żeby się przemieniła w federację trzydziestu krajów, województw; a jeżeli już nie, to przynajmniej trzech prowincyi. Jak żeby województwo, jak żeby Wielko- lub Małopolska była ojczyzną! jak żeby ktokolwiek w Polsce taki podział przypuszczał! Organicznym błędem Polski jest podług niego jej roz-

ległość, i dlatego rozbiór, zwiężając granice, może stać się szczęściem dla Polski, bo jej ułatwi żywot wolny, spokojny, powrót do cnót i obyczajów pierwotnych! Podług tej doktryny nie byłoby dla Polski chwili szczęśliwszej, jak kiedy zostało z niej Wolne Miasto Kraków z okręgiem: i gdyby się nie wiedziało, że Rousseau był utopistą i marzycielem dobrego serca i dobrej wiary, możnaby doprawdy myśleć, że to ironia. Tymczasem to tylko doktryna, ale doktryna, która Polski uratować nie mogła.

Instytucye Polski, na pozór republikańskie i powzięte z rzymskich, musiały podobać się tej wyobraźni, rozmiłowanej w pierwotnej cnocie i pierwotnych formach społecznego życia. Radzi więc Rousseau Polakom, żeby nigdy w niczem nie stali się podobnymi do innych Europejczyków a do tego potrzeba, żeby zachowali swoje właściwe instytucye. Zaleca więc przede wszystkim zachowanie tronu elekcyjnego. Dlaczego wogóle tron zachowuje? może dlatego, żeby jak najmniej zmieniać. Dość, że zostaje król, ale król bez żadnych już praw, król opisany tak, jak go opisywał Górnicki (»Droga do Wolności«), po części Karwicki i Leszczyński, zredukowany do znaczenia Doży weneckiego, i wybieralny, ale wybieralny losem! Dla uniknienia wstrząśnięć, nieodłącznych od bezkrólewia, doradza postanowić, że królem może być tylko Polak i to tylko jeden z senatorów — trzy imiona wyciąga się losem, z tych jednego wybiera sejm. Ale że wszyscy senatorowie przechodzą przez wielorakie wybory, bo ich urząd jest najwyższym stopniem wybieralnej hierarchii, której żadnego stopnia nikt opuścić nie może i która jest ciągłym awansem, więc stąd rękojmia, że król taki, choć losem wybrany, będzie godzien zaufania i t. d. Hierarchia ta jest: »Spes Patriae«, młodzież aplikująca się w urzędach, biurach, tylko z tych mogą być posłowie i deputaci do trybunału. Po trzech nienagannych sejmach awansuje »Spes Patriae« na »Civis Electus« — ci są kandyda-

tami do senatu, dozorcami wychowania; a z tych dopiero wybiera się senatorów.

»Veto« zostaje, ale ma się stosować tylko do praw kardynalnych; konfederacye także.

Ta hierarchia, te blachy z napisami, te wszystkie wymysły, która autor brał w dobrej wierze za podobne do instytucji republik starożytnych, ten sąd pośmiertny na królów na wzór egipski, wszystko to są marzenia abstrakcyjnego umysłu, Polsce tak pomocne jak obcinanie paznokci człowiekowi umierającemu na zepsucie krwi. Rad prawdziwie zdrowych i trafnych jest tam tylko dwie: jedna, żeby Polska trzymała się w przymierzu z Turcją, druga, żeby, jeżeli będzie połknięta, przynajmniej nie dała się strawić.

Nie da się zliczyć rozmaitości sądów, jakie o Rousseau'ie wypowiedziano. Rewolucya składa jego zwłoki w Pantheonie i wotuje dlań pomnik. W wiele lat później to samo bożyszcze rewolucyj socyalista Proudhon traktuje jako głowę ograniczoną; w XIX wieku jedni widzą w nim geniusza, inni szaleńca, jedni podziwiają cudowną harmonię wszystkich dzieł jego, inni gniewają się na zupełny chaos; jedni nazywają go mędrce, inni poprostu głupcem. Namiętność polityczna Francuzów, zaciętrzewienie partyjne, skłonność do wypowiadania sądu bez ogródek, a z drugiej strony dziwna, mozaikowa konstrukcja psychiczna Rousseau'a sprawiły, że w żadnym narodzie, o żadnym człowieku zapewne nie ferowano wyroków tak sprzecznych.

Wśród namiętnych ataków i bezkrytycznych uwielbień, wśród nielicznych bezstronnych sądów, głos Lemaître'a jest arcydziełem analizy psychologicznej i logicznej, której rezultatem sąd, na ogół wzięwszy, dla Rousseau'a bardzo surowy.

Polski czytelnik odczuwa w pierwszej chwili niemiłe wrażenie, gdy widzi, jak tego pra-ojca romantyzmu ocenia się bez litości. Polak kocha swoją poezję romantyczną, bo

stanowi ona najwspanialszy okres naszej literatury. Chętnie zapomina, że »Żona modna« Krasickiego płakała nad losami Heloizy, a natomiast pamięta, że Gustaw z Marylą wzruszali się niemi także. Dla wielu Polaków klasycyzm jest niemal równoznaczny z nudą, a romantyzm z wielkością poezji i serca. Dla Polaka romantyzm jest nie tylko poezją, ale także jakby narodowym sztandarem. Romantyzm polski jest nie tylko poezją indywidualizmu, ale także poezją na wskroś narodową, wkońcu mesyanistyczną. Tej wielkości i tego znaczenia dla narodowego życia nie ma romantyzm żadnego innego kraju.

I o tem należy pamiętać, czytając niniejszą książkę. Jest ona wyrazem tej antyromantycznej reakcji we Francji, której wyrazem najwszechstronniejszym jest książka Piotra Lasserre o »Romantyzmie francuskim«.

Bądź co bądź Rousseau był człowiekiem niezwyklej miary i ta książka o nim jest niepospolitej wartości. Zanim jeszcze ukazała się w druku, z powodu rozgłosu, jaki wykład Lemaître'a wywołał, w prasie paryskiej posypały się artykuły za Rousseau'em i przeciw niemu. Zestawiano Rousseau'a z Napoleonem i Voltaire'm i obukrotnie stwierdzano większą doniosłość jego pośmiertnego działania. Mówiono, że Napoleon niewątpliwie jak huragan przesunął się nad Francją i Europą, pozostawił, jak huragan, ślady ogromne; ale że w kuźni pracy ludów pod młotem czasu ślady już prawie zatarto. Mówiono, że Voltaire, duch przeczenia, oczyszczał jedynie pole z przesądów i starych wier pod nowy zasiew genewskiego reformatora. Z drugiej strony przypominano zdarzenie znamienne dla umysłów wierzących w tajny związek i symbolikę faktów, których zdrowym rozumem — jak się zdaje — wytłómaczyć nie można. Pisano mniej więcej w te słowa: ironia natury chciała widocznie zaznaczyć różnicę, jaka jest między tymi dwoma ludźmi oraz ich losem, ukazując w pośmiertnej wizji śmier-

telne obu szczątki; kiedy niedawno otwarto ich groby, w trumnie Voltaire'a był tylko suchy szkielet, ciało zaś Rousseau'a leżało nienaruszone, jakby gotowe ożyć dla słowa i czynu; ale pierwszy promień światła rozsypał w proch zwłoki genialnego sofisty.

Takim promieniem światła względem dzieł Rousseau'a ma być książka Lemaître'a.

Stanisław Turowski.

DO CZYTELNIKA.

1. Mogłem się omylić co do kilku szczegółów; nie jest to wcale »biografia krytyczna« Rousseau'a: celem moim głównym było przedstawienie historii jego uczuć.

2. Są to tylko »Pogadanki«. Starałem się w nich przede wszystkim o prostotę i jasność. A ich ton jest najczęściej tonem nieco staranniejszej gawędy.

Juliusz Lemaître.

PIERWSZA POGADANKA.

SZEŚĆ PIERWSZYCH KSIĄG „WYZNAŃ”.

Narazając się znowu na oskarżenie o krytykę impresjonistyczną, osobistą i podmiotową, winienem wam wyznanie. Kiedy obrałem za przedmiot niniejszych wykładów Jana Jakóba, nie było to w pierwszym rzędzie zgoła w myśli nadzwyczajnej życzliwości dla obywatela Genewy.

A jednak lubiłem go bardzo niegdyś, kiedy miałem więcej złudzeń, niż ich mam dzisiaj. Ale poczyniłem doświadczenia, ujrzałem z bliska rzeczywistość, którą dawniej widziałem tylko z daleka. Dotknąłem palcem konsekwencji pewnych myśli Rousseau'a. I dlatego, kiedy przyrzekłem mówić o Janie Jakóbie, miałem zamiar badać go nadewszystko jako ojca niektórych najsilniejszych błędów XVIII i XIX wieku.

Trzeba go było jednak przedewszystkiem znowu przeczytać, raczej — bądźmy szczerzy — przeczytać go poważnie i w całości. Owóż zdarzyła mi się rzecz, której nie przewidziałem. Kiedym szukał w tem długiem czytaniu racji, aby go potępić, o! wtedy znalazłem je w obfitości, ponieważ istnieją; jednocześnie czułem jednak zbyt dobrze, jak mu te myśli przyszły, przez jaką fatalność temperamentu lub okoliczności, wskutek jakich wspomnień, jakich zawodów, jakich żalów, nawet jakich zgryzot sumienia. Następnie to, co w nim było prawości i pobożności prawdziwej, wzruszyło

mnie mimo woli. I na nowo przekonałem się, że ten człowiek, z którego — jak sądzić można — wypłynęło tyle publicznych nieszczęść (co prawda bez jego wiedzy i głównie po jego śmierci), był niewątpliwie grzesznikiem i w końcu szaleńcem, ale zupełnie nie był złym człowiekiem, a przede wszystkim był nieszczęśliwy.

A potem sprawa z nim jest tak szczególna! Jest ona nawet jedyna we francuskim piśmiennictwie, a sądzę, że i w piśmiennictwie całego świata. Ten włóczęga, ten próżniak, ten samouk, który po trzydziestu latach, spędzonych wśród marzeń, wpada do najbłyskotliwszego Paryża XVIII stulecia, i który w nim robi wrażenie Hurona, ale Hurona prawdziwego i bardziej brzemiennego w konsekwencje, niż Huron*) Voltaire'a; który zaczyna publikować swe dzieła pod czterdziestkę; który pisze w ciągu dziesięciu lat z trudem i wśród cierpień fizycznych prawie nieprzerwanych — trzy czy cztery książki o myślach zresztą ani silnych, ani rzadkich, ale o nowym sposobie czucia i jakby o wibracji dotąd nieznanej; który się potem zanurza w powolne szaleństwo, — i który przez te trzy czy cztery książki przekształca po swej śmierci jedną z literatur i jedną z historii i powoduje zboczenie całego życia jednego z ludów, do jakiego nie należał: cóż to za nadzwyczajne zjawisko!

Przecież postanowiłem zbliżyć się do dzieł Jana Jakóba bezstronnie, w obawie, aby się napróżno nie gniewać na dziwną zagadkę.

Z kolei musiałem poznać ostatnie studia, ogłoszone o Rousseau'ie. Zaczem zrodziło się we mnie przypuszczenie, że nowe studium byłoby może zbyt czułe. Ale przy takim zapatrywaniu nigdyby się nic nie zrobiło.

*) Huron, bohater powieści Voltaire'a p. t. *«Ingénu»* (1767). Jest to historia młodego dzikusa, pochodzenia europejskiego, który przybywszy do Francji dziwi się wszystkiemu i wszystko sądzi i robi inaczej niż inni, za co srogo pokutuje. Jego jednak poglądy są słuszne a czyny szlachetne. Jest to zatem zrezygnowana satyra.

Poczem szukałem planu. Wiedziałem już dobrze, jakie główne myśli należy rozwinąć. Mogłem wykazać na swój sposób czy to jedność, czy to brak jedności w działalności Rousseau'a; — wytłumaczyć, jak Lanson, że cały Rousseau a nawet *«Umowa społeczna»* sprowadza się do jednego pierwiastka; albo, jak Faguet, że wszystko w nim sprowadza się rzeczywiście, prócz *«Umowy społecznej»*; — śledzić, w stosunku do każdej z jego książek, pośmiertne owocowanie błędów w nich złożonych; — albo też dowieść, że Jan Jakób, jakiby był zresztą, jest w gruncie przede wszystkim i nade wszystko protestantem, w którym protestantyzm wydał przedwcześnie swe krańcowe konsekwencje; — albo też znowu badać w jego życiu i w jego książkach historię duszy, biednej duszy, i bardzo powolną ale bardzo istotną przemianę moralną.... I mogłem grupować około tych różnych punktów wszystko, co mi podsuwało wrażenie czytanie Rousseau'a. Najprostszą rzeczą było zresztą, na pierwszy rzut oka, przedstawić z początku jego życie, potem jego dzieła.

Ale szybko poczułem, że ta zwykła metoda, która da się zastosować prawie do wszystkich pisarzy, nie da się może zastosować do Rousseau'a, ile że Rousseau nie jest takim pisarzem, jak inni.

Wielcy klasycy są dla nas całkowicie w swych dziełach. Ponieważ wszystkie ich dzieła są przedmiotowe, zatem skorośmy określili same dzieła, powiedzieliśmy o nich wszystko; a znajomość choćby burzliwego życia autorów, nie dorzuciłaby nam nic istotnego do poznania ich dzieł. Mówię to samo o pisarzach XVIII wieku i nawet o encyklopedystach. Życie Diderot'ów, d'Alembertów, Duclosów, jest życiem właściwym ludziom pióra tego czasu. Życie Voltaire'a jest zajmujące; ale chociażbyśmy go nie znali, nie byłoby trudniej ani zrozumieć ani osądzić dzieł jego. Co się tyczy Monteskiusza i Buffona, ich biografia wiąże się z ich książkami — że tak powiem — tylko przez swobodę i pogodę, które zapewniał ich myśli fakt, że byli z bogatej szlachty....

Ale Rousseau jest najbardziej »podmiotowym« ze wszystkich pisarzy. To człowiek, który zawsze mówił tylko o sobie, człowiek, który przepędził życie, aby »wytłómaczyć swój charakter«. Wszystkie jego dzieła były już rodzajem spowiedzi. Lecz prócz tego postarał się sam napisać »Wyznania« osobno, i co za wyznania! Czy najbardziej szczere, nie wiem, ale na pewno najbardziej szczegółowe, najbardziej względne dla autora, najbardziej bezwstydne niewątpliwie, ale także pozornie najbardziej czyste i być może najbardziej śmiałe, a w każdym razie najbardziej wyjątkowe i najbardziej porywające, jakie kiedykolwiek napisano.

Wydaje mi się zatem, że studium o Janie Jakóbie mogłoby być ciągłą biografią moralną, w której historia jego książek mieszałaby się spoście z analizą jego »Wyznań«. I to właśnie spróbuję uczynić.

* * *

Chciałbym dzisiaj śledzić »Wyznania« Jana Jakóba aż do jego ostatecznego wyjazdu z Charmettes. Miał wtedy lat 29. Są to więc właśnie jego »lata nauki«. Że najpiękniejszą książką Rousseau'a była jego spowiedź, to jest opowieść jego życia najbardziej osobistego i opisanie najbardziej tajnego »ja«, to już rzecz bardzo ciekawa. Jeżeli romantyzm, jak twierdzą, jest wysunięciem na pierwszy plan w literaturze indywidualności, to »Wyznania« Jana Jakóba zakładały od razu podwaliny romantyzmu i dawały jego przykład, który nie mógł być prześcignięty. Prócz tego, ile że Jan Jakób miał myśl napisania tej książki i że ją napisał tak, jak to zrobił, i że uważał siebie za istotę ciekawą pod tym względem, to samo rzuca wiele światła na jego charakter, ponieważ jest to najsilniejszym świadectwem dumy chorobliwej i szalonej, która stanowi w nich prawie cały podkład. »Wyznania« są w swej istocie książką bezwstydu: ta książka jest więc naprawdę matką połowy literatury ostatniego wieku.

Zaczyna on tak: »Przedsiębiorę rzecz, która nie miała dotąd przykładu i której wykonanie nie będzie miało nigdy naśladowców«. I proszę zauważyć, że ma rację. Nic podobnego ani przed nim ani po nim. Nie będę wam przypominał charakteru religijnego a nawet teologicznego skromnych wyznań św. Augustyna. Montaigne w swoich »Essais«, Retz w swoich »Pamiętnikach« spowiadają się jedynie z pewnego rodzaju słabostek i błędów, które nie zniesławiają wcale. Ale Rousseau spowiada się bez złagodzeń z rzeczy haniebnych, z grzechów, z grzechów śmiertelnych. I tak, jak zapowiadał, jego przedsięwzięcie nie miało naśladowców. Gdyż bez wątpienia droga po nim jest otwarta dla tego rodzaju bezwstydnich »wyznań«: ani Chateaubriand jednak w swych »Pamiętnikach z poza grobu«, ani Lamartine w swoich »Zwierzeniach«, ani George Sand w »Historii mojego życia«, ani Renan w swoich »Wspomnieniach z dzieciństwa i z wieku młodzieńczego« nie będą mieli odwagi wypowiadać się nam z tajemnic haniebnych albo poprostu śmiesznych, (a jeżeli wnioskuje z tego, że brakowało im materiału, to widać macie bardzo dobre serca).

I dlatego rozumiem egzaltację tej pierwszej stronicy i tę inwokację do Boga, która się kończy tak:

»Istota wieczna, zgromadź około mnie tłum niezliczonych moich bliźnich; niechaj słuchają mych wyznań, niechaj jęczą nad moimi niegodziwościami, niechaj czerwienią się z powodu moich podłości. Niechaj każdy z nich kolejno odkrywa swoje serce u stóp Twego tronu z równą szczerością: a potem niechaj choć jeden powie, jeżeli śmie: byłem lepszy od tego człowieka«.

Co to ma znaczyć? Ten okrzyk może nas zadziwić i czuć w nim szarlatana. Ale proszę pomyśleć, skąd przybywał Rousseau, gdzie żył, do kogo się przyrównywał: a wtedy zobaczycie, że to, co tam wyraża, jest, naogół biorąc, myślą Józefa de Maistre, wypowiedzianą w inny sposób: »Nie wiem, czym jest serce łotra; wiem, czym jest serce człowieka uczciwego: to rzecz ohydna«.

A zresztą, mówię, bo to prawda, Jan Jakób, kiedy począł pisać »Wyznania« w Motiers w roku 1762, stał się bardzo uczciwym człowiekiem. Choroby, prześladowania rozwinęły jego uczucia religijne. Był już w tem prawie mistycznym usposobieniu duszy, które będzie tak widoczne w jego »Dyalogach«. Wydaje mi się, że »Wyznania«, dzieło pysznego pokutnika, który się przeciwstawia wszystkim innym ludziom i odwołuje się do wieków przyszłych, mają wszelako na wielu stronach także coś ze spowiedzi religijnej.

Samo to pozwala mi dostatecznie wierzyć w ich prawdziwość, której zresztą mało zaprzeczano, z wyjątkiem szczegółów chronologicznych, i która była potwierdzana prawie za każdym razem, kiedy można było skontrolować opowieść Jana Jakóba jego listami i listami do niego pisanymi oraz listami jego współczesnych.

Jest rzeczą jednak pewną, że »Wyznania«, które są przede wszystkim psychologiczne, są przecież, więcej niż na jednym miejscu i siłą rzeczy, apologetyczne (przede wszystkim w drugiej redakcyi). Przytem Rousseau pisze swoje wyznania z pamięci; pisze on pierwsze księgi w 40-ci, 30-ci i 20 lat po wypadkach. A wiemy, jak rzeczą jest trudną przypominać coś sobie i do jakiego stopnia pamięć przekształca fakty.

Ale przede wszystkim, kiedy nam opowiada czyny poniżające, nie wydaje się, że je zmyśla (chyba, że pewne wyznania przykre znajdują się tutaj, aby wzbudzić wiarę w prawdziwość reszty); lecz wydaje się przeciwnie, że sobie je wyraźnie przypominał właśnie z powodu ich upokarzającego charakteru. (Eh! czyż każdy z nas, albo prawie każdy w swej przeszłości nie ma rzeczy, o których się mówi, »że się ich nie zapomina«, tych wspomnień ogromnie niemiłych, które się nam przypominają prawie codziennie, kiedy jesteśmy sami nieco dłużej, albo które przypominamy sobie właśnie, aby się wywieść z omamień?...) Na ogół biorąc, sądzę, że jeżeli prawdziwość Jana Jakóba może

mieć braki, to jednak należy wierzyć przynajmniej w jego szczerłość.

Dodajcie, że posiada on w najwyższym stopniu pamięć miejsc, która mu pomaga do pamiętania faktów, czy uczuć. Oto przykład (gdzie też znajdziemy w wizyi i w tonie coś, czego nie umiem nazwać, czego prawie nie znano przed Janem Jakóbem i co będzie, jeżeli chcecie, początkiem impresjonizmu):

Najdrobniejsze fakty z tego czasu podobają mi się przez to tylko, że są z tego czasu. Przypominam sobie wszystkie szczegóły, odnoszące się do miejsca. Widzę, jak jaskółka wlatuje przez okno, jak mucha siada na mej ręce, kiedy przepowiadam lekcye; widzę całe urządzenie pokoju, w którym byliśmy; gabinet pana Lambercier po prawej ręce, sztych przedstawiający wszystkich papieży, barometr, wielki kalendarz, krzaki malinowe, które, z wyniosłego ogrodu, w jaki dom tyłami się zagłębiały, zacięniały okno i czasami wchodziły przez nie aż do środka. Wiem dobrze, że czytelnik nie bardzo potrzebuje wiedzieć to wszystko, ale ja mam potrzebę to mu powiedzieć.... (Księga I).

»Ja mam potrzebę to mu powiedzieć«. O indywidualizmie! O romantyzmie!

I jeszcze wspomnienie szkoły kościelnej w Annecy z poczciwym panem Metrem (p. Nikołoz):

...Nietylko przypominam sobie czas, miejsce, osoby, lecz także wszystkie przedmioty otaczające, temperaturę powietrza, jego zapach, jego barwę, pewne wrażenia lokalne, które można odczuć tylko tam i których żywe wspomnienie przenosi mnie tam na nowo. Naprzykład wszystko, co powtarzano w szkole kościelnej, wszystko co śpiewano na chórze, wszystko co tam robiono, piękny i szlachetny ubiór kanoników, ornaty księży, czapki kantorów, twarze śpiewaków, stary, kulawy cieśla, który grał na kontrabasie, jasnowłosa księżyna, który grał na skrzypcach, strzępy sutanny, którą odłożywszy na bok szpadę, pan Metr wdziewał na ubranie cywilne, i ładną cienką komeżkę, którą pokrywał gałgany, aby iść na chór; duma, z jaką siedłem, trzymając mały prosty flet, aby zająć miejsce na trybunie dla odegrania kawałka, który pan Metr ułożył specjalnie dla mnie; dobry obiad, który nas potem czekał, dobry apetyt, który przy nim okazywano; ten zbiór przedmiotów, żywo odtwarzający się, sto razy mnie zachwycał we wspomnie-



niach tyle i jeszcze bardziej, niż w rzeczywistości. Zachowałem na zawsze czułe przywiązanie do pewnej ary: »Conditor alme siderum«, napisanej w jambach, ponieważ pewnej niedzieli adwentu usłyszałem z mego łóżka, jak śpiewano ten hymn przededniem na ganku katedry według zwyczaju tego kościoła.... etc. (Księga III).

Alé nie mogę tak przeczytać całych »Wyznań« i za-
tuję tego. Mogę je tylko analizować; i wiele szczegółów
miłych, dziwnych, wzruszających lub irytujących pozostawię
na boku! — Dla większej jasności i dla ożywienia waszych
własnych wspomnień, wydaje mi się rzeczą konieczną po-
dać krótkie streszczenie głównych faktów z sześciu pierw-
szych ksiąg, któremi się zajmiemy dzisiaj.

KSIEGA I. Jan Jakób rodzi się w Genewie 28 czerwca
1712 roku jako syn zegarmistrza. Jego matka umiera, wy-
dając go na świat. Ojciec daje mu w siódmym roku życia
powieści do czytania. Opuszcza go w ósmym roku życia,
ponieważ sprawa honorowa zmusza go do porzucenia ojczyzny.

Umieszcza go na pensji od 8-go do 10-go roku życia
w Bossey, u pastora Lamercier'a, który uczy go religii.
Tu się mieszczą różne anegdoty, mianowicie ta o plagach
wymierzonych mu przez pannę Lamercier.

Odbierają go z Bossey. Pozostaje dwa czy trzy lata
w Genewie u wuja Bernarda. Od czasu do czasu udaje się
do Nyon, gdzie jest jego ojciec; kocha się w pannie Vulson
i swawoli z panną Gothon. Jest potem u pisarza sądowego,
aby się nauczyć tego zawodu. Powoduje, że go odsyłają,
i wstępuje do rytownika, który źle się z nim obchodzi. Je-
dnego wieczoru, po przechadzce wśród pól, zastaje bramę
miasta zamkniętą i opuszcza Genewę nazajutrz, aby szukać
szczęścia po świecie.

KSIEGA II. — Błąka się w okolicach Genewy, pojawia
się u proboszcza w Confignon, który go odsyła do pani de
Warens w Annecy. Ta dama, świeżo nawrócona, posyła go
do Turynu, do przytułku katechumenów. Pozwala się na-
wrócić, szuka środków do życia po Turynie, przepędza kilka

tygodni u pięknej kupcowej pani Bazile, potem jest loka-
jem u hr. Vercellis. Tu ma miejsce historia z wstążką.

KSIEGA III. — Po pięciu czy sześciu tygodniach prze-
pędzonych bez zajęcia, uderzających przez szczególne fan-
tazye zmysłowe, wstępuje na służbę do hr. de Gouvon, za-
wsze jako lokaj, dla którego jednak ma się względy. Kocha
się w pannie de Breil, jednej z córek domu. Syn hrabiego,
ksiądz de Gouvon, zainteresował się nim i uczy go po wło-
sku. Zajęto się jego przyszłością: ale pewnego pięknego dnia
ucieka ze znajomym z ulicy (mając blisko lat 18), opę-
tany na nowo przez potrzebę włóczęgi.

Wraca do Annecy, do pani de Warens; pozwala się
żywić, ale czyta, pracuje. Umieszczają go w seminaryum;
nie zostaje tam. Pobiera lekcye muzyki od nauczyciela dzieci
z chóru katedralnego, pewnego p. Nicoloz, którego nazywa
»panem metrem«. Zawraca sobie głowę szczególnego rodzaju
cyganem - muzykiem, Venture'm. Potem, kiedy pan metr
jest zmuszony opuścić Annecy, Jan Jakób mu towarzyszy
aż do Lyonu, gdzie go opuszcza na rogu jednej z ulic, za-
kłopotany widokiem ataku epilepsji, czy być może »deli-
rium tremens«. (Ten pan metr był pocziwina, ale tęgi pijak).

Poczem Jan Jakób wraca do Annecy i nie znajduje
tam już pani de Warens.

KSIEGA IV. — Czeki nowin od pani de Warens
w Annecy. Tu mieści się epizod z pannami Galley i de
Graffenried. Mając polecenie odwiedzenia do Fryburga Mer-
ceret, pokojówki pani de Warens, przejeżdża przez Ge-
newę, spotyka się ze swym ojcem w Nyon (jak sądzę, po-
raz pierwszy od ośmiu czy dziewięciu lat) i jedzie z Fry-
burga do Lozanny, gdzie pod nazwiskiem de Vaussore pro-
dukuje się jako muzyk, nie mając właściwie o muzyce po-
jęcia, i daje nawet koncert (u p. de Treytorens). Udaje się
do Vevey (ojczyzny p. Warens). Przepędza zimę z 1731 na
1732 w Neuchâtel, gdzie w dalszym ciągu daje lekcye mu-
zyki. (Ostatecznie nauczył się jej, ucząc). Życie ciężkie i smu-

tne. Poznaje archimandrytę, który kwestował na »odnowienie świętego grobu«; udaje się do Fryburga, do Berna, do Solury, gdzie go zatrzymuje p. de Bonac, ambasador francuski. Późem p. de Bonac posyła go do Paryża na nauczyciela. Jan Jakób odbywa drogę pieszo; nie może się porozumieć z ojcem swego ucznia, dowiaduje się, że pani de Warens wróciła do Sabaudyi, opuszcza znowu pieszo Paryż. Po krótkim pobycie w Lyonie przybywa do pani de Warens, która zamieszkała na stałe w Chambéry. Wyszukuje mu ona miejsce w urzędzie skarbowym.

KSIEGA V. — Daje lekcye muzyki młodym pannom. Ażeby go ustrzedz od powabów niektórych jego uczennic pani de Warens sama wtajemnicza go w miłość. Daje się pociągnąć, zgadza się nawet na podział z ogrodnikiem, Klau-dyuszem Anet'em. — Odbywa podróż do Besançon, aby brać lekcye kompozycyi od księdza Blancharda; odwiedza jednego z krewnych w Genewie i ojca w Nyon (druga wizyta); wraca do Chambéry; wielokrotnie podróżuje do Genewy, do Lyonu, do Nyon, już to dla przyjemności, już to w sprawach pani de Warens. Przypadek oślepią go na jakiś czas. Potem zapada w poważną chorobę. Pani de Warens go leczy i oboje jadą do Charmettes, wsi położonej koło Chambéry (koniec lata 1736).

KSIEGA VI. — W Charmettes. Dziwna choroba. Wraca na zimę do Chambéry, potem od wiosny do Charmettes. Czyta wiele i stara się ująć czytanie w metodę. W kwietniu 1738 udaje się do Genewy, aby w końcu podjąć swoją część spadku po matce. Oddaje ją pani de Warens. Choroba jego się zwiększa. Wyobraża sobie, że ma polipa w sercu, i udaje się dla porady lekarskiej do Montpellier. Po drodze historia z panią de Larnage. Pozostaje dwa miesiące w Montpellier, wraca do Pani de Warens i znajduje swoje miejsce zajęte przez fryzjera Wentzenried'a. Nie przyjmuje tego nowego podziału; przepędza rok w Lyonie u pana de Mably, jako nauczyciel jego dwojga dzieci; wraca w 1741 do Charmettes,

znajduje tam tę samą sytuację i panią de Warens oziębłą. Wynajduje nowy sposób pisania nut, sądzi, że zrobił fortunę i rusza w drogę do Paryża. Ma lat 29.

* * *

Ta prosta kanwa faktów, to streszczenie zewnętrznych wypadków życia Rousseau'a aż do 30 roku, już nam przedstawia obraz tułacza, wykolejonego człowieka. Lecz wniknijmy głębiej, i pod wypadkami życia, dzięki w części jego własnym komentarzom, przypatrzmy się człowiekowi samemu w złożoności jego natury.

Rousseau (warto przypomnieć) pochodzi z rodziny francuskiej i paryskiej, która osiadła w Genewie od roku 1529. Jego pradziadek i prapradziadek byli księgarzami: zawód na pół wolny i pokrewny literaturze.

Inna uwaga istotna: Rousseau urodził się protestantem. Ojciec jego matki był pastorem. To protestant czystej wody, czyli konsekwentny w zasadach reformacji, napisze opowiadanie o śmierci Julii, »Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego«, »Listy z Gór«.

Następnie znajdujemy w Janie Jakóbie Genewczyka, bardzo przesiąkniętego obyczajami i duchem swej małej republiki, który przypomni sobie ze wzruszeniem w »Liście do d'Alemberta«, że brał udział jako dziecko w uroczystościach obywatelskich swego miasta. To ten mały Genewczyk napisze »Umowę społeczną«.

Zauważmy w nim jeszcze domieszkę krwi awanturniczej. Jego matka, kobieta piękna, żywa, wykształcona i muzykalna, bardzo otaczana, była niewinnie, jak się zdaje, powodem skandalu w mieście Kalwina. Jego ojciec, zegarmistrz i metr tańca, płochy i romansowy, był czas jakiś (od 1705 do 1711) zegarmistrzem seraju w Konstantynopolu. Jeden z braci Jana Jakóba źle się pokierował i zaginął. Jeden z jego wujów poszedł szukać szczęścia w Persyi.

Następnie w Janie Jakóbie widzimy biedne dziecko, bardzo nierozsądnie wychowane, przepędzające noce na czytaniu romansów z ojcem, karmione d'Urfé'm i La Calprenède'm (z Plutarchem ponadto co prawda), opuszczone przez ojca w ósmym roku życia, dziecko które od 10-go roku nie było już zupełnie wychowywane i stało się, mówi o tem sam kilkakrotnie, ulicznikiem, łotrem i zupełnym nicponiem.

Widzimy w nim także dziecko, potem młodzieńca, potem człowieka o czułości niezwykle i niezwykle wybujałej, o czułości, która go będzie rzucała w objęcia przyjaciół, oblewając ich łzami, i która zwilży od płaczu cały przód jego kamizelki w dniu, kiedy poweźmie pierwszą myśl swej »Rozprawy o naukach i sztukach«. Czułość to ściśle związana z dumą, równie niezwykłą przez świadomość, że posiada tę wrażliwość natury a także wyższość intelektualną. A, jak to zwykle bywa, rany jego czułości rozjątrząją jego dumę, a jego duma powiększa ból ran jego czułości. I to »człowiek czuły« robi z uczucia podstawę moralności i napisze największą część »Nowej Heloizy« i »Emila«.

Właśnie przez tę czułość i tę dumę tłumaczy się najgorszy czyn jego wieku młodzieńczego, »historia wstążki«. Ma to miejsce w Turynie, po śmierci tej pani de Vercellis, której był lokajem - sekretarzem. W zamieszaniu, co następuje po tej śmierci, Jan Jakób kradnie »małą wstążkę, koloru różowego ze srebrnym, już starą«. Znajdują ją i chcą wiedzieć, skąd ją wziął. Badają go wobec zebranej rodziny. Jąka się i mówi, że to młoda kucharka Marion, dała mu tę wstążkę. Konfrontują ich, ona zaprzecza, Jan Jakób upiera się, wydalają ich oboje. »Nie wiem, powiada Rousseau, co stało się z ofiarą mojej kalumnii; ale niema prawdopodobieństwa, żeby potem z łatwością znalazła miejsce.... Kto wie, w jej wieku, dokąd zniechęcenie spotwarzonej niewinności zaprowadzić ją mogło? (I tutaj możemy wyobrazić sobie »na krańkach« »Wyznań«, historię, w której Jan Jakób spotka się później na jakiejś podejrzanej ulicy w Pa-

ryżu z małą Marion, upadłą do rządu dziewczyn publicznych.... Ale byłoby to może przewidywać zbyt wiele i ja tej historyjki nie napiszę).

Pozostaje faktem, że wstrętny czyn Jana Jakóba jest nader charakterystyczny dla samej istoty jego natury, — czułości, wyobraźni, dumy, — i to przez wytłómaczenie, które dołącza i które mi się w całości prawdą wydaje:

»Nigdy nie byłem bardziej daleki od oszczerstwa, jak w tej okrutnej chwili (w chwili kiedy oskarżył fałszywie Marion); i kiedy obwiniłem tę nieszczęśliwą dziewczynę — to dziwne, ale prawdziwe — przyjaźń moja dla niej była tego powodem. Była ona obecna w mojej myśli: tłumaczyłem się pierwszym przedmiotem, jaki mi przyszedł na myśl, oskarżałem ją, że uczyniła, co ja chciałem zrobić, i że dała mi tę wstążkę, którą ja miałem zamiar jej ofiarować.... Kiedy później ujrzałem ją wchodzącą, serce moje zostało rozdarte, ale obecność tylu osób była silniejsza, niż moje wyrzuty sumienia. Nie obawiałem się kary: obawiałem się jedynie wstydu, ale obawiałem się więcej, niż śmierci, więcej, niż zbrodni, więcej, niż wszystkiego, na świecie. Chciałbym się był zapaść pod ziemię: niezwykły wstyd górował nad wszystkim; wstyd jedynie czynił mnie bezwstydnym a czem więcej stawałem się zbrodniarzem, tem bardziej obawa, abym się nim nie stał, czyniła mnie nieustraszoną. Widziałem tylko ohydę, że będę uznany i ogłoszony publicznie, ja, tutaj obecny, złodziejem, kłamcą, oszczercą. Niepokój ogólny odbierał mi wszelkie inne uczucia«.

(Kilka trudności przedstawia ta anegdota. Chodzi o wstążkę »małą« i »starą«, która więc warta była może kilka soldów. Hrabia de la Roque, siostrzeniec pani de Vercellis, tak mało przywiązywał wagi do tej historii, że w kilka tygodni później wyszukał Janowi Jakóbowi doskonałe miejsce... Czyżby Jan Jakób rzecz udramatyzował? To nieznosnej, że co do niego nigdy się nie jest pewnym. Co nie ulega wątpliwości, to że odczuwa żal głęboki... Zapewnia, że chęć ulżenia sobie przez to wyznanie przyczyniła się wielce do powzięcia decyzji napisania wyznań; i w pierwszym rękopisie tych samych »Wyznań« idzie nawet tak daleko, że uważa oszczerstwo Dawida Hume'a, skierowane przeciw so-

bie w 30 lat później, jako karę bezpośrednią za kłamstwo, które popełnił względem Marion).

Obok tej czułości i tej dumy jest u Jana Jakóba głębokie zamiłowanie samotności, leniwego marzycielstwa, niezawisłości, a co za tem idzie życia koczowniczego i krótko mówiąc włóczęgostwa. Włóczęgostwo jest u niego namiętnością. Lubi być zdany na przypadek. Pomocnik pisarza sądowego, rytownik, lokaj, pokojowy, seminarzysta, urzędnik podatkowy, nauczyciel muzyki, powiedzieć można, w przerwach tych rozmaitych zajęć staje się chętnie i o ile może włóczęgą, chodzikiem. To w nim panujące upodobanie. Kiedy ucieka z Genewy w 16 roku życia: »niezależność, którą wydało mi się, że osiągnął — pisze — była jedynem uczuciem, jakie mnie przenikało. Wchodziłem z pogodą w rozległy świat«. W innym miejscu powiada, że w tych samotnych podróżach podoba mu się »widok wsi, swoboda w karczmie, oddalenie od tego wszystkiego, co mu daje odczuwać jego zależność«. Jest to także lenistwo i marzycielstwo. I tak napawa się tem życiem, że mimo, iż może mieć nadzieję otrzymania przy pomocy księdza Gouvona zaszczytnego stanowiska w dyplomatycznej karierze, (a nie ma jeszcze 18 lat), opuszcza wszystko, aby iść za pewnego rodzaju niepokornym genewskim, nazywającym się Bascle, w którym się zakochał i z którym obchodzi kraj, pokazując zabawną maszynę fizykalną.

(Zapiszmy tutaj inną cechę jego charakteru: łatwość porywu. Porywa go Bascle tak samo, jak go porwie Venture, muzykant - cygan, jak go porwie zrazu Diderot, Grimm i tylni. Odczuwa potrzebę kochania i ufności, która jest powodem, że się rzuca w objęcia ludzi; a po tym pierwszym odruchu czułości, pełnej zaufania, pomału następuje czułość nieufna; bo znajduje wkrótce, że każdy z jego ideałów jest gorszy niżeli pojęcie, jakie wyobrażenia o nim utworzyła; albo też duma jego przychodzi wkrótce do obawy, że ideał nie

odpłaci mu się równem przywiązaniem, albo że będzie drwił z niego).

Wróćmy do rzeczy. Temu właśnie życiu koczowniczemu w kraju najpiękniejszym w świecie, temu właśnie życiu marzycielskiemu i burzliwemu, Rousseau zawdzięcza swoje zrozumienie i swoją miłość natury i niemal wynalezienie poezji romantycznej. Jego »Wyznania« są pełne czarownych wspomnień krajobrazów, a poza tem na początku księgi drugiej mówi już tak, jak mówić będzie René: »Byłem zaniepokojony, roztargniony, rozmarzony; płakałem i wdychałem, pożyłem szczęścia, o którym nie miałem pojęcia, którego brak jednak odczuwałem...«

To ten chodzik stworzy krajobrazy i ustępy liryczne »Nowej Heloizy« i »Marzenia samotnika na przechadzkach«.

Co zaś jeszcze zawdzięcza Jan Jakób tym latom cygańskim, to przyjrzenie się z bliska życiu ludzi prostych i biednych, a także (ponieważ dwa razy był lokajem w dużych domach) obserwację i poznanie błyskotliwego życia w warunkach, które w nim nagromadziły gorycz, jaka go kiedyś uczyni wymownym. Na tych cierpieniach wewnętrznych zatrzymuje się krótko, zapewne dlatego, że te wspomnienia są dla niego szczególnie przykre, przykrejsze jeszcze bez wątpienia, niżeli wspomnienia hańbiących go czynów: ale domyślać się można, ile ten chłopiec dumny, obdarzony takim geniuszem, zresztą wolny z pochodzenia, wnuk księgarzy i pastorów, czuć musiał pod liberyą nawet wtedy, kiedy »zwalniano go od noszenia szamerowań i kiedy ta liberya wyglądała prawie na ubranie cywilne«. Ale mimo, że chce o tem zamilczeć, pewne rysy, które mu się wymykają z pod pióra, objawiają jego rankor:

»...Wkońcu — powiada — pani de Vercellis mówiła do mnie tylko w sprawach służby. Sądziła mnie mniej na podstawie tego, czem byłem, niż na podstawie tego, czem mnie zrobiła, a widzenie we mnie tylko lokaja, uniemożliwiło jej widzenie we mnie czegoś innego.... Wydaje mi się, że odczuwałem od tego czasu tę grę zjadliwą intere-

sów ukrytych, która przeszła całe moje życie i która mi dała odrazę naturalną do pozornego porządku, który ją wywołuje».

(A to dlatego, jak mówi później, że »tyle osób nadskakiwało pani de Vercellis blizkiej śmierci, aż trudno było, aby miała czas o nim, o Janie Jakóbie, myśleć«). Ma tedy żal do całego społeczeństwa, że pani de Vercellis nie wyróżniała go bardziej. Tak samo też u Gouvon-Solar'ów, kiedy usługując do stołu, zapytany przez starego hrabiego, tłumaczy dewizę Solar'ów (»dumny, kto nie zabija«) i wywołuje podziw całego towarzystwa: »Ta chwila była krótka ale czarująca pod każdym względem. To była jedna z tych chwil zbyt rzadkich, które stawiają rzeczy w ich porządku naturalnym i mszczą zasługę poniżoną przez obelgę fortuny«. I przypominam także jego okrzyk, kiedy wchodzi do hrabiego de Gouvon: »Jeszcze lokaj!« I wydaje się, że jeżeli to włóczęga napisze wspaniałe »Piąte marzenie«, to wiele z dawnego lokaja napisze »Rozprawę o nierówności« i oprze na równości teorię »Umowy społecznej«.

Ponad tem a raczej pod tem wszystkim tkwi człowiek chory.

Trzeba, bym na to położył nacisk i abym to bliżej wytłumaczył. Patologia Bossueta czy Racine'a małą odgrywa rolę w ich kazaniach czy tragediach: ale patologia Jana Jakóba to prawie cały Jan Jakób. (Jego dzieła pojawiają się w literaturze jako wybuch choroby).

Urodziłem się, mówi Jan Jakób, słaby i chory.... przyszedłem na świat prawie umierający.... Przyniosłem ze sobą zarodek słabości, który lata wzmocniły.

Tą chorobą od urodzenia — to było zatrzymywanie się uryny, na które cierpiał całe życie i które się wzmogło po trzydziestu latach.

Dorzućcie do tego inną słabość, którą nie wiem jak określić, a którą odgadnięcie przez to wyznanie, jakie się odnosi do tego czasu, kiedy Jan Jakób udawał się z Ermitaża do Eaubonne, aby odwiedzić panią d'Houdetot:

Marzyłem idąc o tej, którą miałem zobaczyć, o czułem przyjeździe, jakie mi sprawi, o pocałunku, który mnie czekał za przybyciem... Sam ten pocałunek... nawet przed otrzymaniem, podniecał mi krew w żyłach.... Byłem zmuszony zatrzymać się i usiąść.... W jakikolwiek bym sposób zabrał się do tego, nie sądzę, abym kiedykolwiek mógł przejść sam tę drogę bezkarnie.

Dorzućcie do tego dziwną chorobę, którą nim owładnęła pewnego dnia w Charmettes, a którą tak opisuje:

Pewnego ranka, kiedy nie czułem się gorzej niż zwykle, podnosząc mały stół o jednej nodze, poczułem w całym ciele nagłe wzburzenie. Arterye zaczęły bić tak silnie, że nie tylko czułem ich bicie, ale nawet słyszałem, a przedewszystkiem bicie arteryi, prowadzących krew do mózgu. Wielki szum w uszach z tem się łączył; a szum ten był potrójny lub raczej poczwórny, to znaczy: dzwonienie straszne i głuche, szmer wyraźniejszy niż ciekącej wody, świst bardzo ostry i to bicie, o którym wspominałem.... Ten szum był tak wielki, że odebrał mi czułość słuchu, jaką miałem dawniej, i nie uczynił mnie wprawdzie zupełnie głuchym, ale stępił mi słuch, co mi zostało do tego czasu. (Księga V »Wyznań«).

Powiada, że od 30 roku aż do chwili, w której to pisze, owo bicie arteryi i szum nie opuszczały go ani na minutę. Wraca do tego w księdze VI, gdzie mówi także o »waporach«, o »łzach, które wylewał często bez powodu do płaczu«, o »żywym przestachu, wywoływanym czy przez szmer liścia, czy przez głos ptaka«.

Pomijam inne jego choroby: kolki nerkowe (jak sądził) począwszy od roku 1750, częste nabrzmienie migdałów, rupturę w 45 roku etc. (Nie licząc wypadku w laboratorium, który w Charmettes oślepił go, jak mówi, na sześć tygodni). Słowem, uwzględniając tylko jego choroby stałe: zatrzymanie uryny, (czy to z powodu wady organicznej, czy to przez ataki spazmatyczne), silna neurastenia, zwapnienie tętnic — oto jego los.

Łatwo jest dojrzeć odbicie się jego chorób fizycznych na jego stanie moralnym.

J. J. ROUSSEAU.



Najpierw jego neurastenia dostarcza nam najwzględniejszego wytłumaczenia rozmaitych kradzieży z jego dzieciństwa i młodości, a także niektórych czynów bezwstydných i fanfaronady, jak kiedy w Lozannie układa i daje koncert nie znając się właściwie na muzyce, albo kiedy, podczas podróży do Montpellier, podaje się za Anglika — jakobitę*), nie umiejąc ani słowa po angielsku. Jego neurastenia pozwala zastąpić nazwy niegrzeczne: kłamca i złodziej przez »symulator« i »kleptoman«.

Następnie, możliwe jest to, że pierwsza z jego chorób przyczyniła się do wyrobienia w nim upodobania do samotności, a mianowicie przechadzek jego, przechadzek samotnych, przechadzek po polach i lasach, gdzie się nie jest krępowanym przez nikogo i gdzie się można zatrzymać, kiedy przyjdzie ochota. Powie nam sam, że po sukcesie »Czarodzieja wiejskiego«, ta właśnie słabość, bardziej niż duma niezawisłego człowieka, przeszkodziła mu w staraniach o posłuchanie u króla.

Ale przede wszystkim jego choroby fizyczne głęboko oddziaływały na jego wrażliwość, na jego życie uczuciowe, a wskutek tego na same jego książki.

Życie uczuciowe Jana Jakóba jest bardzo ciekawe i bardzo smutne. Jego zmysłowość budzi się w 10 roku życia pod wpływem plag, które mu wymierza panna Lambercier (dziewczyna 30 letnia). Nie mogę oczywiście wdawać się w szczegóły i w to, co on nazywa »ciemnym i błotnistym labiryntem swoich wyznań«. Trzeba jednak wskazać to, co jest. Jego dzieciństwo i jego młodość są występne: zabawy z panną Gothon, nieznosne nałogi, afiszowanie się w Tury nie w ciemnych alejach i blisko tych studni, gdzie młode dziewczęta przychodzą po wodę. I mimo tego, zepsuty i chorobliwie zdeprawowany, zachowuje aż do 22 roku życia to, co nazwę jego niewinnością. Dlaczego? Przez nieśmiałość,

*) W Anglii — stronnik Stuartów.

która widocznie jest skutkiem jego stanu patologicznego. Oto dlaczego w 22 roku, równocześnie występny i nienaruszony, pada w ramiona pani de Warens, aby w nich poznać miłość wśród warunków, które koniecznie należy zaliczyć do uwłaczających czci. Dlatego też, pomijając panią de Warens i Teresę, Jan Jakób nie miał w swym życiu innej »przygody miłosnej« prócz spotkania z panią de Larnage, do czego ostatnia, co prawda, przyczyniła się wiele, ponieważ sądził z początku, że ona chce z niego zadrwić. (Biedny Jan Jakób opowiada tę jedyną przygodę z dumą i dodaje: »Mogę powiedzieć, że dzięki pani de Larnage, nie umrę nie zaznawszy rozkoszy«). Dlatego jeszcze później skaże się na pożycie z Teresą. Te także rzeczy tłumaczą inne, czy to w »Nowej Heloizie«, czy to nawet w »Emilu«.

(Nie zapominam zresztą, że tej wstydlivosti zawdzięczamy wdzięk jego idylli u pani Basile, małej kupczychy włoskiej).

Wymieniłem kilkakrotnie panią de Warens. Jest ona dość oryginalna na to, aby należało zatrzymać się przy niej. Ale wszakże ją znacie. Nie potrzebuję przypominać jej urodzenia protestanckiego, jej małżeństwa, jej ucieczki z Vevey wskutek nie wiadomo jakiego wypadku domowego, jej zwrócenia się do króla Sardynii, pod którego opieką nawraca się na katolicyzm i który jej daje pensję 2000 franków. Pracowała sama w sprawie nawracania (jak to widać z pierwszego jej spotkania z Janem Jakóbem), chociaż jej katolicyzm był bardzo pobłażliwy. Była ona w swych zajęciach niestała, zajmowała się aptekarstwem i chemią, bezładna, chimeryczna, łatwowierna wobec awanturników i wynalazców i zawsze zaplątana w przedsiębiorstwa. — Co do miłości pewien stary wyga nauczył ją, kiedy była młoda, że akt sam w sobie jest rzeczą obojętną, a ona w to uwierzyła. Oddawała się swoim przyjaciołom, aby im zrobić przyjemność i aby ich do siebie przywiązać, a nie oglądała się przytem na ich stanowisko społeczne. Uważała z tem

wszystkiem, że ma temperament zimny. Słowem była w miłości mężczyzną prawie jak George Sand, ale nie tak przyzwyczajona: bo pani de Warens nie wahała się być względna dla kilku równocześnie.

Rousseau kochał ją głęboko; ale rodzaj tego przywiązania charakteryzuje się dosadnie nazwiskami, jakie sobie wzajemnie dawali: »mamo« i »mały«. Kiedy ją pierwszy raz widzi, ona ma lat 28, a on lat 16. Jest to mały włóczęga, zupełnie opuszczony, bardzo wstydlivy. Ona jest pierwszą kobietą elegancką i piękną a przytem bogatą (w jego oczach), którą spotyka. I odrazu jest dobra dla niego dobrocią prostą i macierzyńską. Wyciąga tego małego nieszczęśliwca z przepaści. Jego pierwsze dla niej uczucie, które będzie trwało długo — to zachwyt.

Należy przeczytać opowieść ich pierwszego spotkania, bo jest ono wyborne:

»Było to przejście z tyłu domu.... Tuż przed wejściem do kościoła, pani de Warens odwraca się na mój głos. Cóż się ze mną działo, kiedy ją ujrzałam! Wyobrażałam sobie starą, kwaśną dewotkę; jejmość do której mnie pan de Pontverre odesłał, nie mogła być niczem innem w mojem mniemaniu. Widzę twarz pełną wdzięku, piękne oczy niebieskie, pełne słodyczy, płeć olśniewającą, rysunek szyi zachwycający, nic nie uszło przed szybkim rzutem oka młodego prozelity; bo stałam się w tej chwili jej zwolennikiem, pewny że religia, głoszona przez takich misjonarzy, nie mogła nie prowadzić do raj. Bierze z uśmiechem list, który jej podaje ręką drżącą, otwiera go, rzuca okiem na list pana de Pontverre, powraca do mojego, który odczytuje w całości i który byłaby odczytała raz jeszcze, gdyby jej lokaj nie zwrócił uwagi, że czas wejść do kościoła. E! moje dziecko — rzekła do mnie tonem, który mnie wprowadził w drżenie, — oto tułasz się po świecie tak młody, naprawdę, to szkoda. Poczem, nie czekając mej odpowiedzi, dodała: idź do mnie i czekaj; powiedz, żeby ci dano śniadanie; po mszy przyjdę z tobą porozmawiać.

A trochę dalej:

Miała tę urodę, która się konserwuje, ile że tkwi więcej w wyrazie twarzy, aniżeli w rysach; to też jej uroda była jeszcze w całym pierwszym rozkwicie. Miała wyraz pieszczotliwy i czuły, spojrzenie

bardzo słodkie, uśmiech anielski, usta na miarę moich (Jan Jakób miał usta małe), włosy płowe rzadkiej piękności, które upinała z pewną niedbałością, co ją czyniło bardzo zajmującą.

I z następujących wierszy dorozumiewamy się, że była kragła. Karty, w których Jan Jakób opowiada nam, że pani de Warens proponuje mu się oddać, aby go uchronić od niebezpieczeństw jego wieku (on miał lat 22, a ona lat 34), i że mu tłumaczy to poważnie i zwolna, i że mu pozostawia ośm dni na odpowiedź, i że on przyjmuje bez wielkiego zadowolenia i przede wszystkim przez wdzięczność, nie przestając nazywać swej kochanki »mamą«, i że odkrywa pewnego dnia w ogrodniku Klaudyuszu Anet'cie współpracownika, i że się na niego zgadza bez oporu, i że pani de Warens błogosławi ich obydwu, i że Jan Jakób zachowuje pełny respekt dla Klaudyusza Anet'a; te karty, na których nie przestaje mówić o cnocie, te karty, które wyglądają na uprzednią a gwałtowną karykaturę historii o wiele przyzwoitszej Sand'a między Musset'em i Pagellą, wydają nam się dziś niezmiernie śmieszne. I bez wątpienia w tem wszystkim Rousseau w połowie jest tylko odpowiedzialny (widzimy często u niego dziwną jakąś bierność) i bez wątpienia opowieść o życiu w Charmettes, gdzie się ukształtował jego umysł, posiada urok nowy i szczery; i wiem o tem dobrze, że Rousseau za kilku nawrotami próbował zarabiać na chleb powszedni, że kiedy dostał mały spadek po ojcu, dzieli się nim ze swą przyjaciółką i że kiedy po swoim trzecim czy czwartym powrocie znajduje swoje miejsce zajęte przez perukarza a pani de Warens proponuje mu szczerze nowe życie we troje (»powiedziała mi, że nic na tem nie stracę«), nie przyjmuje tego podziału; i nie zapominam wreszcie, że w kilka lat później, kiedy ta biedna kobieta upadła najzupełniej, przysyła jej z Paryża nieco pieniędzy: niemniej pozostaje faktem, że ten chłopiec żył blisko 10 lat prawie wyłącznie z pani de Warens, że był jej zbyt wiele dłużny, aby móżdżek jej sobie odmówić, albo co najmniej za-

dać od niej wierności; że więc jego pierwsza miłość nie była ani wolna, ani dumna, ani bezinteresowna, przynajmniej pozornie; — i że to miało na jego pojęcie o miłości wpływ, który zanotujemy w jego dziełach.

Wkońcu, — aby zamknąć litanie wszystkich ludzi, których nosi w sobie, — jeżeli Jan Jakób jest z urodzenia protestantem, nie można zapomnieć, że jest w nim także katolik.

Nawraca się do katolicyzmu, — prawie dzieckiem co prawda, — ażeby usłuchać pięknej damy z Annecy i aby wyjść z biedy. Być może, że przesadza po fakcie (ale tego nie wiem) skrupuły i wahania w chwili, w której opuszcza swą religię ojczystą. Być może też, z powodu historii z wstrętnym Maure'm, pisząc po 35 latach, przesadza on wskutek nawrotu antypapizmu cynizm administratora przytułku katechumenów a przede wszystkim dziwną podłość duchownego, który się tam znajduje. Ale w rezultacie nic nie wiem. Co mnie jednak zadziwia najwięcej, to że po nawróceniu wypychają go za drzwi z 20 frankami w rękę i więcej się nim nie zajmują. Bo jakż interes miało duchowieństwo w nawracaniu, jeżeli nie ten, aby sobie stworzyć ludzi a zatem, aby im pomagać i ich prowadzić? Prawda, że najbardziej pobożne instytucje mogą się stać czysto mechaniczne i zdegenerować się aż do zapomnienia swego celu.

Ale jakkolwiekby się ta rzecz miała, jedno jest pewne: że Jan Jakób był katolikiem przez lat 26 (od 1728—1754) i że żył pierwszych lat 10 w atmosferze czysto katolickiej. Przepędza około dwóch miesięcy w wielkim seminarium w Annecy, aby zostać księdzem. W Annecy, w Chambéry, w Charmettes spełnia obrządku nowej religii. Zna tam księży i duchownych, o których mówi, że byli bardzo dobrzy dla niego. Po wypadku w laboratorium, który o mało nie przyprowadził go o utratę oczu, pisze testament z zachowaniem wszystkich terminów i formuł pobożności katolickiej i czyni małe zapisy zakonnikom, kapucynom i innym mnichom.

Kiedy pani de Warens podejmuje starania celem beatyfikacji dawnego biskupa z Annecy, de Bernex, Jan Jakób zaświadcza na piśmie cud tego dobrego biskupa (chodzi tu o pożar ugaszony modlitwą biskupa i pani de Warens!) — »Wtedy jako szczerzy katolik — mówi Jan Jakób — czyniłem to w dobrej wierze«. Zaczyna w ten sposób opowieść o pewnej przechadzce z »mamą«:

Wyszliliśmy razem sami rano, po mszy, którą odprawił przybyły w tym celu karmelita w kaplicy przyległej do domu.

Pisze w tej samej księdze szóstej:

Ponieważ pisma Port-Royal'u i Oratoryanów czytywałem najczęściej, więc zrobiły ze mnie na pół jansenistę.

Czuł strach przed piekłem:

Ale mój spowiednik, który zarazem był spowiednikiem mamy, przyczynił się do utrzymania mnie w równowadze.

A mówiąc o Ojcu Hémét i o Ojcu Coppier:

Ich odwiedziny sprawiały mi wiele dobrego. Oby Bóg zechciał odpłacić to ich duszom!

Wkońcu zobaczymy, że Jan Jakób według własnego świadectwa nie miał nigdy powodu do skargi na kler katolicki (wyjąwszy list pasterski przeciw »Emilowi«), ale że miał silne powody, aby się skarżyć na ministrów protestanckich.

Wszystko, co chcę tu powiedzieć, to to, że u niego piętno katolicyzmu jest wybite na piętnie protestanckiem; że jego uczuciowość nawet jest raczej katolicka. Wytłómaczymy to na właściwym miejscu: ale dlaczego nie miałbym powiedzieć już teraz, że w jego łatwości do spowiedzi i to do spowiedzi szczególnego rodzaju, i w pewnej przyjemności, jaką w tem znajduje, jest coś przynajmniej z deprawacji czułości katolickiej, — usposobienie nie rzadkie, jak mówią, u niektórych penitentek, którym spowiedź uszna pozwala napawać się ponownie grzechem aż do wstydu wyznania?

* * *

Takim jest człowiek, — och! z pewną czystością serca i z dobrocią i już nawet z chęcią do reformy moralnej, — a także z tem szczególnem łagodzącem zastrzeżeniem, że tylko dzięki jemu samemu znamy jego haniebne postęпки, — ale wkońcu takim jest człowiek, dziecko i młodzieniec występny, włóczęga niepoprawny, — leniwy, słaby i himeryczny, — kłamca i łotrzyk, ostatni raz kradnący wino w 28 roku życia u p. de Mably, — protestant połączony z katolikiem, — renegat, którego można tłumaczyć, ale renegat ojczyzny i religii, — długo kochanek wyrozumiały kobiety wspaniałej i niegodnej szacunku, której jest dłużnikiem, — zresztą ciężko chory, gnębiony newrozą, kandydat na szaleńca, — takim jest człowiek, który w 29 roku życia idzie szukać szczęścia w Paryżu i który, w kilka lat później, przedsięwzięcie reformę społeczeństwa i stanie się nauczycielem cnoty.

DRUGA POGADANKA.

ROUSSEAU W PARYŻU. — TERESA.

Opisałem tego dziwnego chłopca, pełnego cudactw, po-dłość i dumy, który mając 29 lat przybywa do Paryża, aby tam szukać poprostu kariery muzycznej lub literackiej, zanim stanie się ośm lat później reformatorem obyczajów i nauczycielem cnoty. Należy jednak powiedzieć, że podczas tych ośmiu lat nie myśli o tem wcale.

Jakież był ten świat literacki, w którym włóczęga z Genewy, z nad brzegów jeziora Lemańskiego, z Sabaudyi, z Piemontu i z Turynu, marzyciel z Charmettes i kochanek pani de Warens miał wejść?

Pominąwszy pana na Ferney, Monteskiusza i Buffona, szlachty nieco dumnej, która większość czasu pracowała na ustroniu, zamknięta w swych domach, ten świat to było dwudziestu pisarzy, spotykających się w trzech czy czterech kawiarniach, poufałych gości u tuzina co najwyżej czy to dzierżawców jenerałych, czy to wielkich panów i dam, którzy wszyscy szczylicili się wolnomyślnością i którym podobalo się popierać ludzi pióra, ponieważ towarzystwo tych ludzi uważali za rozrywkę, a także dzięki uczuciu dość blizkiemu tego, co nazywamy dziś »snobizmem«. Jest rzeczą pewną, że pisarz tych czasów, jeśli chciał się wybić, był skazany na stosunki z arystokracją.

Przyszły autor »Rozprawy o nierówności« i »Umowy społecznej« nie uniknął tej konieczności a zresztą nie stara

się wcale jej uniknąć. Nikt jednak mniej od niego nie jest stworzony do tego życia salonowego, do konwersacji i przyjemności zarazem wyszukanych i próżnych. — Był on plebejuszem z upodobań i z ducha, prawdziwym przyjacielem prostoty, zresztą człowiekiem w najwyższym stopniu nieśmiałym. Mówi nam o swoim niewłaściwym zachowaniu się na pierwszych wytwornych obiadach, na które był dopuszczony. Powtarza nam do syta w jakichś pięćdziesięciu miejscach »Wyznań« i listów (co dowodzi może, iż w gruncie cierpiał z tego powodu), że jest nieśmiały i niezgrabny, że brak mu tematu do rozmowy i dowcipu w odpowiedziach, i że mówi często głupstwa, aby mimo wszystkiego nie milczeć.

Ale, z drugiej strony, ma wyraz twarzy zajmujący, oczy o nadzwyczajnym błysku; i od czasu do czasu, kiedy rzecz go poruszy, zdarza mu się, że przez kilkanaście minut jest wymowny, wśród wysiłku, który też daje więcej wagi jego słowom. Przyglądają mu się z ciekawością. A on, który to spostrzega, wystawia się na tę ciekawość i odczuwając, że nigdy nie będzie »jak inni«, kozerem oszołomiającym jak Diderot, ani subtelny i zimny, jak Grimm, ani jak Duclos wybornie opryskliwym, postanowi wydawać się coraz bardziej oryginalnym i »na uboczu«, ponieważ to także zapewnia powodzenie. Ale mimo tego, aż do roku 1749, jego ambicje są wyłącznie kompozytorskie i literackie.

»Przyjechałem do Paryża — powiada on — w jesieni 1741 r., mając piętnaście ludwików w gotówce, moją komedję »Narcyz« i mój pomysł muzyczny jako cały majątek«.

Ten »pomysł muzyczny« jest to nowy system pisania nut przy pomocy cyfr. (Ten sam system — jak mi się zdaje — był podjęty i ulepszony przez Galin-Paris-Chevé i polecany wiele razy przez Franciszka Sarcey). Odczytuje swój projekt w Akademii Nauk ścisłych dnia 22 sierpnia 1742 bez powodzenia. Wydaje się, że ten zawód znosi dość męźnie; a ponieważ brak mu trochę energii, dzieli czas swój między czytanie i grę w szachy.

Ale osoby, którym był polecony, a także wizyty, złożone członkom Akademii, zmusiły go do porobienia znajomości. Zresztą powiada sam: »Młody człowiek, który przyjeżdża do Paryża ze znośnym wyrazem twarzy i który okazuje zdolności, zawsze jest pewny dobrego przyjęcia«. (Dzisiaj to się trochę zmieniło). Więc spotyka i odwiedza Fontenelle'a, Mably'ego, Marivaux'a, Bernis'a, księdza de Saint-Pierre'a, Diderot'a i nieco później Grimm'a.

Wkrótce po niepowodzeniu memoriału o muzyce, kiedy czekał spokojnie, aż się jego fundusze wyczerpią, jezuita O. Castel powiedział mu pewnego dnia: »Gniewa mnie to, jak widzę, że pan się tak marnuje, nic nie robiąc. Ponieważ muzycy, ponieważ uczeni nie chcą z panem śpiewać zgodnie, niech pan zmieni strunę i poszuka kobiet. Uda się panu tam może lepiej«. Tak mówił ten jezuita. Jemu to zawdzięcza Jan Jakób znajomość z panią de Beuzenval, z panią Dupin, z panem de Francueil'em, a przez tego z paniami d'Epina y i d'Houdetot.

Jan Jakób słucha z p. de Francueil'em pewnego kursu chemii. Wpada w niebezpieczną chorobę i w ataku febry komponuje pieśni i chóry. Te pomysły powracają mu podczas rekonwalescencji; obmyśla plan i rozpoczyna operę »Zalotne muzy«. Oto dalecy jeszcze jesteśmy od »Rozprawy o nierówności«.

Oczywiście zakochuje się w pani Dupin (pra-babce George Sand), bez żadnego dla niej niebezpieczeństwa. Bo nie może on spotkać wielkiej damy bez zakochania się i bez budowania na tej miłości projektów. Jest w Janie Jakóbie jakby Juliusz Sorel bez woli (co stanowi — prawdę mówiąc — różnicę znaczną). Pisze:

»Pozwoliła mi się odwiedzać. Używałem, nadużywałem tego pozwolenia. Chodziłem do niej prawie codzień, obiadowałem u niej dwa lub trzy razy na tydzień, umierałem z chęci, aby z nią pomówić, ale nie śmiałem nigdy. Wiele przyczyn zwiększało moją wrodzoną nieśmiałość. Wstęp do zamożnego domu była to otwarta

droga do fortuny; nie chciałem ryzykować, aby mi jej nie zamknęto.... Pani Dupin lubiła mieć u siebie wszystkich ludzi głośnych, magnatów, literatów, piękne kobiety. Spotykano u niej tylko książąt, ambasadorów i kawalerów orderu św. Ducha. Księżna de Rohan, hrabina de Forcalquier, pani de Mirepoix, pani de Brignolė, milady Hervey mogły uchodzić za jej przyjaciółki. Pan de Fontenelle, ksiądz de Saint-Pierre, ksiądz Sollier, pan de Fourmont, pan de Bernis, pan de Buffon, pan de Voltaire należeli do jej kółka i jej obiadów....»

Oto więc Rousseau w najwyższym świecie i przyznać trzeba, w najbardziej rozpustnym i najbardziej zepsutym, a czuje się w nim bardzo dobrze. Tak; dalecy jeszcze jesteśmy od Jana Jakóba, obywatela Genewy i filozofa natury.

Tymczasem te panie zajmują się nim, szukają dla niego stanowiska. Koło kwietnia czy maja 1743 udaje się w charakterze sekretarza do p. de Montaigu, francuskiego ambasadora w Wenecyi. Przepędza tam ośmnaście miesięcy. Jan Jakób rozwodzi się z przyjemnością nad tym okresem swego życia.

Co prawda nie mówi ani słowa o piękności Wenecyi, tak sławionej od wieku przez pisarzy i w słowach tak pełnych zachwytu!

Sebastyan Mamerot, ksiądz pochodzący z Soissons, pisał w r. 1454 w książce wydanej w r. 1518: »Passages d'outre mer faits par les Français«:

»Wenecya jest pięknem miastem, wielkości połowy Paryża, siedzi na morzu, otoczona wodą, przepływającą większością ulic miasta; i idą te małe łódki i statki pomiędzy wspomnianymi ulicami; i są tam małe i duże, drewniane i kamienne mosty, w liczbie około dwunastu do piętnastu set. I jest to miasto najgęściej zaludnione, ponieważ nie widać tam ogrodów i placów pustych... I są tam najpiękniejsze sklepy z różnymi towarami, jakie tylko znaleźć można, a najwięcej ludzi zajmuje się wyrobem jedwabiu i aksamitu. I dużo jest ładnych domów, które nazywają się pałacami;... I każdy magnat ma swoją barkę, aby jechać dokąd mu się podoba. I mówią, że więcej jest statków w Wenecyi, niżeli koni i mułów w Paryżu. I w granicach miasta znajduje się około 120 kościołów etc.«

I Sebastyan Mamerot opisuje z kolei sucho i dokładnie mozaikę świętego Marka.

Otóż Jan Jakób, dziadek romantyków, których Chateaubriand był ojcem, nie mówi nam nawet tyle. Właśnie dlatego, iż jest jako autor opisowy prekursorem, zatrzymuje się jeszcze tylko na przedmiotach prostych, jeziorach, lasach, pagórkach i nie ma czasu subtelizować i przesadzać.... Nie należy zresztą zapominać, że Wenecya w połowie XVIII w. była miastem nader ożywionem, że jej pałace były nowe lub odnowione i nie groziły ruiną, i że zatem nie posiadała tego wdzięku agonii i upadku, którym my nauczyliśmy się zachwycać.

Ale przedewszystkiem w chwili, kiedy nam mówi o swym pobycie w Wenecyi, Jan Jakób jest zbyt przejęty wspomnieniem urzędu, jaki tam pełnił, aby się troszczyć o św. Marka, Most Westchnień, kanały i gondole. Widocznie jest dumny, że był sekretarzem ambasady (ponieważ wypełniał obowiązki tego urzędu), że kiedyś zajmował stanowisko zaszczytne, oficjalne, w społeczności zorganizowanej. Posłuchajcie tonu, wyrazu:

»Był czas, abym się stał raz jeden tem, czem niebo, które mnie obdarzyło szczęśliwą naturą, czem wychowanie, które otrzymałem od najlepszej z kobiet (pani de Warens była może w pewnej mierze sekretnym agentem dyplomatycznym króla Sardynii), czem to, które sam sobie dałem, mnie zrobiły; i byłem tem. Zostawiony sam sobie, bez przyjaciół, bez rad, bez doświadczenia, w kraju cudzoziemskim, służąc sprawie obcej, pośród gromady łajdaków, którzy dla własnego interesu i aby uniknąć skandalu dobrego przykładu, kusili mnie, żebym ich naśladował: daleki od tego, służyłem dobrze Francyi, której nic nie byłem dłużny, a lepiej jeszcze ambasadorowi, ile że był sprawiedliwy we wszystkim, co mnie dotyczyło. Bez zarzutu na tem stanowisku, dość na oku będąc, zasłużyłem sobie na szacunek Republiki, wszystkich ambasadorów, z którymi utrzymywaliśmy stosunki listowne, i zdobyłem przywiązanie wszystkich Francuzów, zamieszkających w Wenecyi.

I wylicza te zasługi. Ton, powaga, wyraz głębokiego zadowolenia przypominają Chateaubrianda, opowiadającego

o swej ambasadzie w Londynie. (Ile Chateaubriand, ten syn arystokratyczny Jana Jakóba, podobny jest do niego, uwi docznia się w miarę, jak się coraz więcej jednego i drugiego czyta.

Ale jeżeli wierzyć Janowi Jakóbowi, jego patron, pan de Montaigu, był człowiekiem gburowatym, skąpym, ograniczonym i trochę waryatem.*)

Musiał się z nim rozstać, nie mogąc — jak mówi — kazać sobie zapłacić swojej pensji. Po powrocie do Paryża żąda bezskutecznie sprawiedliwości na swoim ambasadorze. Odmowa, która go spotkała (należy zauważyć, że pełniąc urząd sekretarza ambasady, był tylko sekretarzem ambasadora), pozostawiła w jego duszy — jak powiada — »zaredek oburzenia przeciw naszym głupim instytucjom cywilnym, gdzie prawdziwe dobro publiczne i prawdziwa sprawiedliwość są zawsze poświęcane nie wiem jakiemu pozorowi porządku, który psuje w istocie wszelki porządek i który daje jedynie sankcję publicznego autorytetu opresji słabych i niegodziwości silnych«.

To szkoda. Gdyby się był mógł zgodzić z p. de Montaigu, gdyby Rousseau, zadowolony, że ma stanowisko społeczne, mógł w dalszym ciągu poświęcić się karierze dyplomatycznej (a jest prawdopodobne, że dzięki możliwym przyjaściółkom z Paryża awansowałby szybko), byłby coraz więcej znajdował zamięłowania w swoim zajęciu, posyłałby swemu ministrowi sprawozdania w stylu zachwycającym; poświęcałby się studiom ekonomii politycznej, do której miał skłonność, ale nie byłby spalił mostów; nie byłby napisał

*) Otrzymałem od p. Aug. de Montaigu broszurę zatytułowaną: »Désmêlés du comte de Montaigu, ambassadeur de Venise, avec son secrétaire J. J. Rousseau«. (Plon — Nourrit 1904). P. Aug. de Montaigu wykazuje tam, przez dokumenty z archiwum weneckiego, że Rousseau niesłusznie obwiniał swego ambasadora, że nie był sekretarzem bez zarzutu, że mianowicie zajmował się kontrabandą i że został odprawiony przez hr. de Montaigu.

»Rozprawy o nierówności«, »Emila« ani »Umowy« i straciłbyśmy przez to z punktu widzenia literackiego, ale zyskalibyśmy z kilku innych względów, a on nie ożeniłby się z Teresą Levasseur.

Ale skończmy z wspomnieniami weneckimi Jana Jakóba.

W tem mieście miłości i rozkoszy, w tej Wenecji Casanowy (który jednocześnie z Rousseau'em tam się znajdował), miłość w życiu Jana Jakóba odgrywa bardzo małą rolę. Nieszczęśliwiec sam nam mówi, że nie pozbył się swych haniebnych nałogów. Jego jedyny stosunek prawdziwy w czasie tych ośmnastu miesięcy jest to spotkanie z osobą, którą nazywano Padoaną. Bardziej znane jest spotkanie z Zulieta. Odsyłam was do tekstu opowiadania, ale muszę wam podać przynajmniej początek:

»Wchodziłem do pokoju kurtyzany jak do sanktuarium miłości i piękności... Zaledwie poznałem w pierwszych poufałościach cenę wdzięków i pieszczot, z obawy aby nie stracić owocu przedwcześnie, starałem się pospieszyć z jego zerwaniem. (Odnajdujemy tu znowu newrozę, którą zaznaczyłem w pierwszej pogadance). Nagle zamiast płomieni, które mnie pożerały, czuję mróz śmiertelny, płynący w mych żyłach, i blizki omdlenia siadam i płaczę jak dziecko«.

Zdajmy sobie sprawę, że dobre czy złe, to może pierwszy raz napisano słowa o takim uczuciu, o tym tonie, o tym odcieniu. I jeżeli nie przesadzam, trzeba było, aby dojść do tego tonu (Rousseau mówi o tem w 55 roku) długiego życia bolesnej wstydlivosti w sprawach miłosnych i dzikości i wrażliwości i wyobraźni tem bardziej podnieconej; trzeba było pół wieku choroby i żądź niezaspokojonych i prócz tego — geniuszu.

Rousseau tak dalej rzecz prowadzi:

»Któż mógłby odgadnąć powód mych łez i co mi przechodziło przez głowę w tej chwili? Mówiłem sobie: Ten przedmiot, którym rozporządzam, jest arcydziełem natury i miłości; dusza, ciało, wszystko jest doskonałe; jest ona równie dobra i szlachetna, jak miła i piękna; magnaci, książęta winni być jej niewolnikami; berła powinny być u jej nóg. Tymczasem oto ona jest nędzną ladacnicą, oddaną na użytek publiczny; kapitan statku handlowego rozporządza nią itd. itd.«

Czy czujecie, że to pierwsze doskonałe ujęcie jednego z tematów, którymi żyli romantycy: rozczulanie się, dobrowornie uroczyście i mistyczne, nad kurtyzaną; szacunek dla kobiety upadłej, tem bardziej wzruszającej i poważania godnej, że upadłej; — och, mój Boże, uczucie bardzo dobre, gdyby nie nadużyto jednak nieco tego zastępowania rozumu uczuciem. Temat romantyczny — powiedziałem: i to jest tak prawdziwe i karty Jana Jakóba o Zuliecie były tak nowe i tak wydały się bez sensu, kiedy »Wyznania« stały się znane, że Laharpe widział w nich jedną z najpewniejszych oznak szaleństwa Rousseau'a. Temat romantyczny — spaczony w opowieści Jana Jakóba, ponieważ następnie skłania się przypisać jakiemuś ukrytemu błędowi fizycznemu niską kondycję, do jakiej Zulietta jest zniewolona, — ale temat rdzennie romantyczny w wierszach, które przytoczyłem. Czyż Jan Jakób przy Zuliecie nie jest już Rollą przy łóżku Marion? i czy nie ujmujecie podobieństwa uczucia i tonu między rozmyślaniami jeszcze umiarkowanymi Jana Jakóba a wybuchami litosnymi i nieokiełznanymi Rolli:

Chaosie wieczny! wydać na nierząd dzieciństwo!...
Nędzo! tobie należy miano kurtyzany,
Bo ty popchnęłaś dziecko to w rozpusty łożo,
Które Grecya na ołtarz poniosłaby Diany!

A dalej:

Jakób w bezruchu trwał i spoglądał na Maryę...
Czuł, że drży, dreszczem jakimś wstrząsany nieznanym.
Czyliż ta nierządnica nie była mu siostrą?...

Tak, wydaje mi się, że emfaza, bezrozum i to, co nazwałbym dysproporcją romantyczną między uczuciami a rzeczywistością, jest już w tym epizodzie z Zulietą.

Przechodzimy do Teresy.

Za powrotem do Paryża Jan Jakób, spadłszy z wyżyn swych ambicji, był bardzo smutny i bardzo przygnębiony.

Zamieszkuje znowu w hotelu Saint-Quentin przy ulicy des Cordiers, obok Sorbony. Pensjonarze jadają z gospodynią i z młodą, dwudziestodwu czy trzyletnią bieliźniarką Teresą. Matka, pani Levasseur, miała sklep w Orleanie, gdzie jej mąż był »oficerem mennicy«. Z powodu nieudania się przedsięwzięcia, porzuciła sklep i przyjechała do Paryża z dziećmi i z mężem. (Jan Jakób mówi nam, że miała »dużo dzieci«, ale nie wymienia liczby). A teraz posłuchajmy Jana Jakóba:

»Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę dziewczynę przy stole, uderzyło mnie jej skromne zachowanie się a jeszcze bardziej jej spojrzenie żywe i słodkie, które dla mnie nie miało nic równego. Towarzystwo przy stole było złożone z kilku księży irlandzkich, gaskońskich i innych ludzi podobnego pokroju. Nasza gospodyni sama prowadziła życie nierządne: ja jeden tylko zachowywałem się skromnie i przyzwoicie. Drażniono małą, ja stanąłem w jej obronie. Wkrótce szydercze słówka skierowały się ku mnie. Gdybym był nie miał rzeczywistej żadnej skłonności dla tej biednej dziewczyny, to współczucie, duch przeciwieństwa byłoby mnie nią natchnęły. Lubiłem zawsze szlachetność w obejściu się i w słowach, przedewszystkiem w towarzystwie kobiet. Stałem się jawnie jej obrońcą, widziałem, że jest wrażliwa na moje starania, a jej spojrzenia, ożywione przez wdzięczność, której nie miała odwagi wyrazić słowami, stały się przez to tylko bardziej przenikliwe«.

Krótko mówiąc, zaleca się do niej.... Oświadcza jej z góry, że »nigdy jej nie opuści i że się nigdy z nią nie ożeni«. Ona się waha. Pewnego dnia wreszcie »robi mu, płacząc, wyznanie jedynego błędu życia w chwili, kiedy wychodziła z dzieciństwa, owocu jej nieświadomości i zřęczności uwodziciela«. On wykrzyka radośnie: »Czyż tylko tyle?« Zawijają stosunek. Ale aż do 1749 r. zatrzymuje on swój pokój w hotelu i dni całe spędza u Teresy i jej matki. »Jej mieszkanie stało się mojem prawie«. W 1749 roku dopiero zamieszkuje z nią w małym mieszkaniu w hotelu Languedoc przy ulicy de Grenelle-Saint-Honoré i mieszka tam przez siedm lat, »aż do przeniesienia się do Ermitaża«.

Zatrzymajmy się przy Teresie.

Zdaje mi się, że żaden krytyk czy biograf Rousseau'a nie omieszkiał ubolewać nad spotkaniem z Teresą: »stosunek jego niegodny — mówią — który miał najsmutniejszy wpływ na jego los«. To mi się wydaje przesadą. Rodzina Teresy była powodem wielkich przykrości dla Rousseau'a — bez wątpienia. Z drugiej strony płodność Teresy dała mu sposobność do popełnienia czynu najbardziej potępienia godnego, jakiego się kiedykolwiek dopuścił. Ale Teresa sama, pominawszy jej wady, wydaje mi się dla niego przynajmniej tyle samo słodką, pocieszającą i pożyteczną, ile szkodliwą. Wreszcie, że zawiązał ten stosunek, to tłumaczy się z łatwością; a mógł był wpaść daleko gorzej.

Teresa w młodości musiała być dość przystojną dziewczyną. (Zresztą nie jest brzydka na jedynym portrecie, jaki istnieje i przedstawia ją w 50 roku życia). Mówiąc raz o Diderocie, Jan Jakób wyraża się, powodowany współzawodnictwem, dość zabawnie:

»Miał on Nanette, jak ja miałem Teresę; było to jedno więcej podobieństwo między nami. Ale różnica w tem, że moja Teresa, różnie przystojna jak jego Nanetta, miała usposobienie słodkie i charakter miły,... podczas kiedy tamta była złośnicą, krzykliwą itp.«

Musiała Teresa nie być zbyt niemiłą, ponieważ piękne damy obdarzały ją pieścizotami, ponieważ pani de Boufflers w Montmorency chodziła do niej na podwieczorki i pani marszałkowa de Luxembourg całowała ją często. — Nawet wiele później, kiedy Teresa przeszła już pięćdziesiątkę, młody Marsylijezyk, pan Eymar, przybyły w roku 1774 do Paryża dla odwiedzenia Rousseau'a, powiada nam: »Pani Rousseau daleką była od wstrętnego portretu, który sławny poeta zdjął z niej w swych satyrach (niewątpliwie Voltaire w »Wojnie genewskiej«), nie wydała mi się ani młodą, ani ładną, bynajmniej; ale wydała mi się osobą szanowną, grzeczną, czysto odzianą w swojej prostocie i mającą całe wzięcie się dobrej gospodyni«.

Teresa, mając 23 lat, mogła się podobać. Wydaje mi się to rzeczą stwierdzoną.

Czego szukał Rousseau, kiedy ją spotkał? Pielęgniarki i służącej równie dobrze, jak towarzyszki.

Teresa miała być nieszczęście? Tem lepiej! »Skorom tylko to zrozumiał, — mówi — wydałem okrzyk radości«. Dlaczego? Z pewnością dlatego, że obawiał się innej rzeczy, którą nam wymienia bez ogródek. Ale także dlatego, że mało pewny siebie wskutek swych słabości i newrozy, nie dbał wcale o to, aby być pierwszym w czyjem sercu. I według mnie to właśnie tłumaczy, że zazdrość była w miłości jego życia nieobecna i prawie nieobecna w jego dziełach.

Teresa była bieliźniarką, — gryztką, — ograniczoną i miała umysł bardzo prosty.

»Chciałem — powiada — nasamprzód wykształcić jej umysł; wysiłek mój był próżny... Jej umysł jest taki, jakim go zrobiła natura; kultura i starania nie chwytały się go. Nie wstydę się bynajmniej wyznać, że nigdy nie umiała dobrze czytać, chociaż pisała znośnie.... Nigdy nie mogła wyliczyć kolejno dwunastu miesięcy i nie zna ani jednej cyfry, mimo wszystkich moich starań, aby ją tego wyuczyć. Ani nie umie liczyć pieniędzy, ani nie zna ceny żadnej rzeczy. Słowo, które przychodzi jej na usta, jest często przeciwne temu, które chce powiedzieć. Kiedyś ułożyłem słownik jej powiedzeń, aby zabawić panią de Luxembourg, i te qui pro quo stały się sławne w towarzystwie, w którym żyłem«.

Doskonałe to wszystko! i tego mu właśnie potrzeba było. Miał wtedy 33 lat. Otóż mówi nam, że począwszy od 30 roku jego choroba się wzmaga. Potrzebna mu była pielęgniarka. Potrzebna mu była kobieta, któraby była niższa społecznie i pod każdym względem od niego; dziewczyna z ludu, któraby była biedna i któraby mu była wdzięczna i któraby nie była delikatna i nie ceniła się i wobec której nie wstydziłby się swych braków fizycznych i niedomagań płciowych i któraby się nim opiekowała w rzeczach najbardziej dyskretnych. I oto dlaczego wybiera Teresę.

I wybiera ją także dlatego, że jest ograniczona i »głupia«, jak to sam mówi. Potrzebna mu była towarzysza, któraby nie wymagała nadskakiwań; kobieta także, której prostota umysłu byłaby dlań wypoczynkiem a czasem rozrywką... Zresztą w tym względzie nie jest nadzwyczajnością: często widziano artystów, szukających towarzyski bez kultury i trochę głupiej, aby mieć więcej spokoju...

Rousseau nie żeni się z Teresą. Podaje on w r. 1755 powód (dość nieokreślony) pani de Francueil: »Dlaczegom się nie ożenił? — powie mi pani. Niech pani zapyta waszych praw niesprawiedliwych. Nie było mi dogodnie zawarcie umowy wieczystej i nigdy mi nie dowioda, że obowiązek jakiś do tego mnie zmusza«. — W 1761 podaje inny powód pani de Luxembourg: »Małżeństwo oficjalne byłoby dla nas niemożliwe z powodu różnicy religii«. Ale w 1745 Rousseau był jeszcze katolikiem; ten powód nie więc nie jest wart. Wogółności nie żeni się z Teresą, aby być swobodniejszym, aby ona zawsze była zależna od niego; być może, aby nie potrzebować jej brać ze sobą czasami do domów, które odwiedza.

Nie żeni się z Teresą. Ale z pewnością ją kocha.

Nie miłością. Powiada w IX księdze:

»Co pomyśli czytelnik, skoro mu powiem, że od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem, aż do tego dnia (około 1769), nigdy nie czułem dla niej najmniejszej iskry miłości, że nie pożałowałem jej więcej, niż pani de Warens, i że pożądaniami zmysłowe, które przy niej zaspokoiłem, były dla mnie jedynie potrzebami płciowymi a nie odnosiły się zupełnie do osoby?«

Ale kochał ją — nie można o tem wcale wątpić — wielkiem przywiązaniem. Zanim przypomni pierwsze z nią spotkanie, mówi nam: »Tam oczekiwało na mnie jedyne pocieszenie istotne, którego niebo pozwoliło mi zakosztować w mojej biedzie i które tylko uczyniło mi ją znośną«. Pisze to po 24 latach pożycia. Powiada nieco dalej: »Serce mojej Teresy było sercem anioła«. W jakich dwudziestu ustępach

»Wyznań«, w pięćdziesięciu może ustępach listów (i ze wszystkich epok) mówi o jej dobrych zaletach, o jej cnotach, mianowicie o »dobrem jej sercu, o jej przywiązaniu, o jej bezinteresowności bez przykładu, o jej wierności bez plamy«. — Mówi wprawdzie w notatce po 1768: »Jest ona co prawda więcej ograniczona i łatwiej ją oszukać, niżem to myślał«; dodaje jednak zaraz: »ale co do jej charakteru czystego, doskonałego, bez złośliwości, to jest on godny całego mego szacunku i będzie go miał, póki będę żył«. — Zajmuje się nią wiele. Po swej ucieczce z Montmorency poleca ją czule pani de Luxembourg i pewnej przełożonej klasztoru. Jednym z powodów, dla których obiera jako miejsce pobytu Motiers-Travers, jest, że w okolicach znajduje się kościół katolicki, do którego Teresa będzie mogła chodzić na msze. W Motiers samem, kiedy zdaje mu się, że jest blizki śmierci, zapewnia przyszłość Teresie; poleca ją pewnemu księdzu, który był dla niej dobry w podróży, jaką odbyła, aby w Szwajcaryi połączyć się z Janem Jakóbem... I możnaby przytoczyć dwadzieścia faktów tego rodzaju.

Widział ją z jej stron najlepszych. Mówił to, co mówią zwykle ludzie wyżsi, kiedy żyją z osobą ograniczoną: »Ona jest prosta, ale ona ma wiele zdrowego rozsądku, instynkt bardzo pewny«. Jan Jakób, wielbiciel natury i instynktu, tem bardziej musiał to mówić. — Wspomniawszy o fałszywym łączeniu wyrazów przez Teresę, dodaje:

»Ale ta osoba tak ograniczona i jeśli chcecie, tak głupia, była radą doskonałą w trudnych chwilach... Wśród dam z najwyższych sfer, wśród dostojników i książąt, jej uczucia, jej zdrowy rozsądek, jej odpowiedzi, jej zachowanie się zjednywały jej szacunek powszechny, a na mnie za jej zasługą spływały komplementy, których szczerość odczuwałem«.

Wszakże istnieje ten ustęp w IX księdze:

»Poznają siłę mego przywiązania w przyszłości, gdy odkryję swoje rany, boleści, które mi serce moje rozdarła w najcięższej mojej biedzie, chociaż do chwili, kiedy to piszę, ani jedno słowo skargi nie wymknęło mi się wobec nikogo«.

Ale o tych »ranach«, tych »boleściach« nie nam więcej nie mówi. Co jest pewne, to że zachował aż do śmierci swoje uczucia dla Teresy. — Księżę de Ligne odwiedza go w Paryżu koło 1770 i rozmawia z nim długo. »Jego wstręt na żonę czy służącą — powiada on — (Teresa zbliżała się wtedy do pięćdziesiątki) przerywała nam kilkakrotnie jakieś zakazanymi sprawami o bieliznie lub o zupie: odpowiadał jej ze słodyczą i byłby uszlachetnił kawałek sera, gdyby o nim mówił«. — A Corancez, jeden z założycieli »Journal de Paris«, Corancez, który ożenił się z córką pewnego Genewczyka, przyjaciela Jana Jakóba, Corancez, który znał zażyłe Jana Jakóba w jego ostatnich latach, powiada nam wyraźnie: »Miał zaufanie tylko do niej«.

Z drugiej strony Teresa bez wątpienia wiele razy szkodziła mu mimo woli. Przedewszystkiem miała matkę, która grała rolę damy i która była bardzo drapieżna. Rousseau powiada nam:

»Skoro tylko poczuła się pewniej na nogach, dzięki moim staraniom, sprowadziła całą swoją rodzinę, aby podzielić z nią owoce swego stanowiska. Siostry, synowie, córki, wnuczki, wszystko przybyło, z wyjątkiem najstarszej córki, będącej za dyrektorem karek z Angers. Wszystko, co robiłem dla Teresy, obracała jej matka na korzyść swych wygłodniałych krewnych«.

A dalej:

»Było to szczególne, że córka najmłodsza z dzieci pani Levasseur (Teresa), jedyna, która nie była wcale wyposażona, była jedyną, która żywiła swego ojca, swoją matkę, i biedna dziewczyna, długo bita przez swoich braci, przez swoje siostry, nawet przez swoje siostrzenice, była teraz ograbiana, nie mogąc się bronić od ich kradzieży lepiej, niż od ich razów«.

Trzeba z tego wnioskować, że Teresa była dość dobrem stworzeniem. Tylko, wyuczona przez matkę, przyjmowała, nie mówiąc Janowi Jakóbowi, podarki od jego bogatych przyjaciółek. — Później, w Ermitażu, wydaje się za prawdę, że, zazdrosna o panią d'Houdetot, była niezręczna,

gadatliwa, niedyskretna. — To nie wszystko. Jan Jakób w tem samem miejscu, gdzie chwali zdrowy rozsądek Teresy, mówi nam:

»Często w Szwajcaryi, w Anglii, we Francyi, w chwilach krytycznych, w których się znajdowałem, widywała to, czego ja sam nie widziałem; dawała mi najlepsze rady, jak postąpić; wyciągała mnie z niebezpieczeństw, w które ślepo się rzucałem«.

Aj! To znaczy bez wątpienia, że powiedziała mu, jak przypuszczam, pewnego dnia: »Czyż nie widzisz, że pani d'Épinay traktuje cię jak lokaja?« albo: »Czyż nie widzisz, że ten pan Grimm jest zazdrosny o ciebie?« innego dnia w Motiers: »Czyż nie widzisz, że ten Montmollin porozumiewa się z tymi z Genewy?« innego dnia, nudząc się w Wootton: »Czy myślisz, że ten pan Hume jest tak bardzo tobie przyjacielem?« Wkońcu pielegnowała chętnie jego nieufność, przez głupotę, aby go zachować dla siebie, aby sobie nadać cenę większą, albo ponieważ głowa tego lub owego jej się nie podobała, albo ponieważ ten lub ów traktował ją ze zbyt małemi względami. A ponieważ Jan Jakób potrzebował jej koniecznie, więc jej wierzył.

Tak, wszystko to jest możliwe; ale mimo tego wszystkiego wydaje mi się rzeczą pewną, że Teresa była mu rzeczywiście oddana. I jeśli to było dla niej łatwe w pierwszych latach, kiedy była mu zobowiązana, kiedy widziała, jak stawał się sławnym, kiedy piękne damy bawiły się rozmową z nią, sędzę, że później miała w tem pewną zasługę. Od czasu jego schronienia się do Szwajcaryi, wydaje mi się zaprawdę, że Rousseau z kolei stał się dłużnikiem Teresy. Począwszy od 1755 traktuje ją tylko jako siostrę. Mogła go była opuścić; przyjaciele Rousseau'a nie byliby jej pozwolili umrzeć z głodu a zresztą miała zawód i mogłaby żyć ze swej pracy. Ona pozostaje. Idzie za nim poprzez wszystkie jego wygnania. Łączy się z nim w Szwajcaryi; łączy się z nim w Anglii; łączy się z nim w Trye, w Bourgoin, w Monquin; idzie za nim do Paryża, do Ermenonville; słyszy

jego ostatnie westchnienie. — Jedyna chwila oziębienia na końcu dwudziestoczteroletniego pożycia, w 1769. Ma to miejsce w Monquin. Jan Jakób proponuje jej rozłąkę i obiecuje jej zapewnić środki do utrzymania w podziwieniu godnym liście. Teresa odmawia, Teresa zostaje.

Wogólności żyją w prawie doskonałej zgodzie, w lepszej niż większość małżeństw prawowitych, w ciągu trzydziestu trzech lat. Śmierć sama rozłącza Teresę i Rousseau'a.

To może dlatego, że byli związani zbrodnią, zbrodnią powtórzoną pięć razy, a rzecz taka jest węzłem poważnym.

Rousseau miał z Teresą troje dzieci od 1746 do 1750: miał z niej dwoje innych między 1750 a 1755. Umieszcza je wszystkie pięcioro w domu podrzutków.

Kto nam o tem powiedział? Rousseau sam i jedynie on. Ci, którzy o tem mówili lub pisali w XVIII w., wiedzieli tylko przez Rousseau'a. Żadnego świadectwa, któreby nie było oparte, wprost lub nie wprost, na wyznaniach Jana Jakóba, (żadnego, prócz świadectwa anonimowego w »Dzienniku encyklopedycznym« w 1791. Anonim powiada, że, jako sąsiad Rousseau'a przy ulicy de Grenelle - Saint - Honoré, więc między r. 1749 a 1756, słyszał od swego balwierza, że p. Rousseau odsyłał swoje dzieci do Domu Podrzutków i że to było rzeczą znaną w dzielnicy. To świadectwo anonimowe, w 35 czy 40 lat po wypadkach i w 9 lat po ogłoszeniu »Wyznań« nie wydaje się bardzo poważne).

Dokąd zmierzam? Oto odpowiedź.

W gruncie rzeczy czuje się mimo wszystkiego, że Jan Jakób był raczej lepszy, niż wielu z jego towarzyszy po piórze z tego czasu. Znajdują się w życiu Voltaire'a czyny czarnej złośliwości, wstrętne kłamstwa, podłostki, nawet postęпки nieuczciwe. I wiele jest rzeczy sromotnych w życiu kilku innych... Ale pięcioro dzieci w Domu Podrzutków, to potworne, z jakiegokolwiekby to brać strony; i wydaje się to gorsze — z powodu dokładnego wyobrażenia, jakie się o tem ma — niż opuszczenie dziewczyny uwie-

dzionej i ciężarnej. Krótko mówiąc, wydaje się to zbrodnią na wskrós przeciw naturze, — przeciw tej naturze, której Jan Jakób jest apostołem. I owoż przyjaciele Rousseau'a chcieliby, aby to nie było prawdą.

Ja sam, kiedyś, rozumowałem tak:

— Żadnego innego dowodu prócz wyznań Rousseau'a, wyznań zrobionych bez potrzeby, »aby moi przyjaciele, jak mówi, nie uważali mnie za lepszego, niż byłem«. — »Powiedziałem to wszystkim, których zawiadomiłem o naszym związku, powiedziałem to Diderot'owi, Grimm'owi, powiadomiłem o tem później panią d'Épinay, potem znów panią de Luxembourg bez żadnej potrzeby i mogąc łatwo ukryć to przed wszystkimi«. — To trochę dziwne: bo, jeśli powiedział to »bez potrzeby i mogąc to ukryć«, znaczy, że od 1747 do 1755 żaden z jego przyjaciół, żadna z jego pięknych przyjaciółek, które bawiły się odwiedzaniem Teresy, nie zauważyli żadnego z pięciu okresów brzemienności. Ostatecznie jeżeli się w tem wierzy Rousseau'owi, mówi on to właśnie dlatego, że gdyby tego nie powiedział, niktby o tem nie wątpił.

(Teresa powiedziała to — opowiada on — pani Dupin, i to stanowi trudność: ale można przypuścić, że Teresa postąpiła za jego wskazówką i że skutkiem tego wyznanie Teresy nie jest większym dowodem, niż wyznania Jana Jakóba).

W r. 1761 pani de Luxembourg ma myśl odszukania dzieci Rousseau'a. Pyta go, jakie są daty i znaki rozpoznawcze. On pisze jej w tej sprawie:

»Tych pięcioro dzieci zostało umieszczonych w Domu Podrzutków z tak małą przezornością, aby je rozpoznać kiedyś, że nawet nie zapamiętałem daty ich urodzenia«.

Czy to możliwe? a Teresa czyż zapomniała także? — Przypomina sobie jednak, że pierwsze dziecko urodziło się »w zimie roku 1746 na 1747, albo koło tego«. To właśnie miało znak na pieluchach. (Mówi w »Wyznaniach«, że »ten znak to była cyfra zrobiona podwójnie na dwóch kartach,

z których jedną umieszczono w pieluchach dziecka»). Inne dzieci nie miały żadnych odznak.

Laroche, człowiek zaufania marszałkowej, robił starania w celu odnalezienia najstarszego, tego, które miało znak i które w 1761 r., o ileby żyło, powinny mieć 14 lat. Poszukiwania są bezowocne.

Rousseau pisze tedy do marszałkowej: »Powodzenie nawet poszukiwań pani nie mogłoby mi już dać zadośćuczynienia czystego i bez obaw«. (I to prawda: gdzie, w jakim stanie byłby odnalazł, gdyby odnalazł, tego czternastoletniego chłopca? i jak mógłby być bezwzględnie pewny, że to on właśnie? itd....) — »Zapóźno, dodaje, zapóźno. Niech pani nie będzie niezadowolona ze skutku swych pierwszych starań; ale błagam, niech pani ich więcej nie ponosi«.

Rousseau w części »Wyznań«, napisanej w 1769, wymienia akuszerkę Gouin. Czy ją wskazał w 1761 pani de Luxembourg? Lub czy ta akuszerka umarła? W każdym razie Rousseau wiedział na pewne, że ona nie będzie żyła, kiedy »Wyznania« zostaną opublikowane.

Och! wszystko to nie dowodzi, że pięcioro dzieci jest wymysłem Rousseau'a. Ale wydaje się, że z panią de Luxembourg postępował w ten sposób, jakby to był wymysł.

I w tym względzie możnaby spróbować hipotezy:

— Dla dotkniętego niedomaganiem, które znacie, skutkiem tego nieśmiałości z kobietami, dla ubóstwiającego wszystkie i nie dochodzącego nigdy do ostatecznego celu; dla nie mającego innych stosunków prócz z Teresą; dla wstrzemięźliwego w świecie o obyczajach bardzo rozluźnionych; dla odgadującego, co jego zachowanie się i nawet siedziba jego słabości mogłyby poddać złośliwości ludzkiej, dla czytającego to może w oczach przyjaciół, a przede wszystkim przyjaciółek, — czyż nie było jedną z obaw najgorszych, najbardziej gnębiącą uchodzić za impotensę? — Stąd ta replika, którą możnaby nazwać tryumfalną: bajka o pięciorgu dzieciach, i dlatego, że nie mógł ich pokazać i z drugiej

strony z obawy, ponieważ takie przyznanie się wymagało prawdopodobieństwa, historia o pięciokrotnym uciekaniu się do Domu Podrzutków. Być może Rousseau, fantasta i »symulator«, jakim był, wolał wydać się wstrętnym, niż być podejrzanym o niełaskę natury, która jest najbardziej upokarzającą dla dumy męskiej.

Hipoteza jest krucha, przyznaję to. Jest inna. Według pani Macdonald, Teresa pięć razy po kolei udała przed Rousseau'em, że była brzemienna, że porodziła u pewnej akuszerki i że kazała zanieść dziecko do Domu Podrzutków. Głównym argumentem pani Macdonald jest wyznanie Rousseau'a, iż nie widział żadnego z pięciorga swych dzieci. — Ten podstęp miał być skuteczny w porozumieniu z Grimmem i matką Levasseur. W jakim celu? Aby przeszkodzić Janowi Jakóbowi w porzuceniu Teresy.

Podobna hipoteza cierpi na dziwne trudności, materialne i moralne. Zresztą, jeśli ona unicestwia fakt urodzin i opuszczenia dzieci, nie unicestwia zgody Rousseau'a na opuszczenie tych dzieci, które wydawało mu się, że ma. Zatem ona go nie uniewinnia.

Tu jest miejsce siłą rzeczy na inne wytłómaczenie — pomysłu Wiktora Cherbulieza: — Tak, Teresa miała pięcioro dzieci, które wszystkie umieszczono w Domu Podrzutków. Ale tych Rousseau nie był i nie mógł być bez wątplenia ojcem. I w takich warunkach zachowanie się Rousseau'a jest z pewnością mniej odrażające.

Nie odrzucam bezwzględnie tej hipotezy; ale powoduje ona jeszcze wiele trudności. — Według Tronchin'a Rousseau nie był niezdolny, aby mieć dzieci; potrzebował tylko pewnych warunków, które znajdował przy Teresie. Mógł co najwyżej mieć wątpliwości co do swego ojcostwa. — A z drugiej strony, gdyby był wiedział lub sądził, że Teresa była niewierna, czyżby nam mówił o jej »wierności bez plamy?« Chyba, żeby jeszcze raz przypuścić, iż wolał raczej wyda-

wać się zbrodniarzem, niż uchodzić za impotensa lub być śmiesznym...

Wszystko dobrze zbadawszy, — moja hipoteza (która zresztą nie jest moją wyłącznie) podobała mi się bardziej. Ale byłem w Domu Podrzutków. W facykule z roku 1746 znalazłem papier *) z taką wzmianką: »2795. Marya Franciszka Rousaux (ten ostatni wyraz przekreślony i nad nim »Rousseau«, napisane poprawnie). Chłopiec 19 listopada 1746«. Potem innym pismem i innym atramentem: »Józef Kat^{na} został ochrzczony 20 listopada 1746. Daguerre, ksiądz«. — Ten papier jest przyszpilony do drukowanej deklaracji wpisowej. A w rejestrze, gdzie są wpisane przyjęcia z r. 1746 przeczytałem: »Józef Katarzyna Rousseau, oddany Annie Chevalier, żonie Andrzeja Petitpas, w Guitry (Andelys), 1-szy miesiąc, 6 franków, zapłacono 22 grudnia 46; 21 stycznia 1747, 5 f. 2-gi (miesiąc) aż do 14 stycznia 1747, dnia zgonu, 1 miesiąc 23 dni«.

To ma walor. Znak rozpoznawczy zniknął. Ale data zgadza się ze wskazówką Rousseau'a. »Marya Franciszka«, imiona składającej, są także imionami matki Levasseur. — Z drugiej strony skąd to imię »Józef« i przede wszystkim skąd to imię żeńskie Katarzyny, dane chłopcu? Nie wiem nic zgoła. I należy zauważyć, że nazwisko Rousseau jest i było bardzo pospolite. — To wszystko jedno: data, nazwisko rodzinne, imiona składającej to stanowi szczególny zbieg trzech okoliczności. A jednak, jeśli mąż zaufania pani de Luxembourg widział ten papier i ten rejestr, jakże mógł oświadczyć, że nic zgoła nie znalazł?... Czyż należy widzieć w tem kłamstwo z miłosierdzia pani de Luxembourg, która nie chciała powiedzieć Rousseau'owi, że dziecko umarło?

*) To odkrycie zawdzięcza się pani Macdonald. Nie wiem, jakie stąd wyciągnęła wnioski.

Co się tyczy innych dzieci, może dlatego niema po nich żadnego śladu w rejestrach, że składająca albo administracya dała im, jak się to robi, fałszywe nazwisko. Nie wiem nic, wy nie wiecie nic, my nie wiemy nic.

Owoż widzę, że trzeba przypuścić historię, co do której, co więcej, żaden z największych wielbicieli Rousseau'a w XVIII wieku, wyjąwszy Sebastjana Mercier, nie miał wątpliwości *). Zobaczymy teraz, jak on ją sam opowiada i jakie tłumaczenia i usprawiedliwienia kolejno nam daje w »Wyznaniach«, w swych listach i w swych »Marzeniach«. (Ponieważ wraca do tego bardzo często, i to również może świadczyć o jego ciągłym staraniu się, aby utrzymać kłamstwo, albo o niepokoju duszy, coraz bardziej nawiedzanej przez wyrzuty sumienia).

Pierwszy raz, kiedy mówi o tem w »Wyznaniach«, (trochę więcej niż w dwadzieścia lat po fakcie), czyni to w tonie lekkim i jakby od niechcenia. Usprawiedliwia się wpływem złego towarzystwa, które spotykał przy stole pani La Selle:

Słyszałem tam mnóstwo anegdot bardzo zabawnych i nabierałem także powoli, nie złych obyczajów dzięki niebu, ale zasad, które tam wyrażano. Szlachetne osoby zbeszczeszczone, oszukani mężowie, uwiedzione kobiety, połogi tajemne — były tam najpospolitszym tematem; i ten, kto zaludniał najlepiej Dom Podrzutków, był tam najbardziej oklaskiwany. To mną owładnęło, utworzyłem sobie sposób myślenia o tem, co widziałem, jako rzecz panującą u ludzi bardzo miłych i w gruncie bardzo uczciwych, i powiedziałem sobie: »Skoro to jest zwyczajem kraju, więc gdy się w nim żyje, można go naśladować«. Oto wybieg, którego szukałem. Zdecydowałem się na to wesoło bez najmniejszego skrupułu; a jedyny, jaki musiałem pokonać, był ze strony Teresy, którą z największym na świecie trudem dopiero mogłem skłonić, aby zgodziła się na ten jedyny środek oca-

*) W »Zbiorze arii, romanc i duetów« J. J. Rousseau'a, ogłoszonym w przedpłacie w roku 1871, można czytać tę uwagę po liście przedpłacicieli: »Wydawca uważał sobie za obowiązek delikatności przedstawić tę listę, aby dać poznać wysokość wszystkich wpłat i darów, które przeznaczył na szpital podrzutków«.

lenia jej honoru (!). Jej matka, która ponadto bała się nowego kłopotu z dzieciakiem, przyszła mi w pomoc; pozwoliła się przekonać.

Prowadzą ją do rozsądnej i pewnej akuszerki, Gouin, gdzie odbywa połóg. — »W roku następnym (1748) ta sama niewygodą i ten sam wybieg, wyjąwszy cyfry, które zaniedbano«. (Więc niedbałość jeszcze większa). »Nie było więcej refleksyi z mej strony*), nie było więcej zgody ze strony matki: usłuchała, stękając«.

W r. 1760 trzecie dziecko, trzecie złożenie (bez cyfr, więc bez zamiaru odebrania go za dni lepszych). Tym razem daje jako powód, że powierzając swoje dzieci publicz-nemu wychowaniu, skoro nie mógł wychować ich sam, że przeznaczając je na robotników czy wieśniaków raczej niż na awanturników i na karyerowiczów, sądził, iż spełnia czyn obywatela i ojca i uważał się za członka republiki platońskiej«.

W liście do pani de Francueil, 21 kwietnia 1751, oto jakie daje powody: 1. swą biedę; 2. nie chciał znieślawić

*) Uważcie, w jakiej mierze to może usprawiedliwić Rousseau'a. Pewien »prenumerator »Temps'a« przedstawia mi następujące uwagi: »...Wśród najszlachetniejszych i najbardziej wykształconych ludzi stosunki rodziców i dzieci były bardziej oddalone (w XVIII wieku) niż są za dni naszych; jeżeli uczucia, stwarzające rodzinę, były tak silne i bardziej jeszcze silne niż te, które my odczuwamy, były także bardziej proste, mniej różnolite, i mieszało się do nich więcej szorstkości.... Nie wydaje się, aby opinia oburzała się wówczas na czyny, któreby wzburzyły nasze sumienie. Dowodem na to jest fakt, że człowiek tej wartości, co Rousseau, po swoim przyznaniu się, nie znalazłby dziś znajomego, któryby mu podał rękę.... Otóż wszystkie salony otwierały się dla autora »Czarodzieja« i »Rozpraw«. (Ale tylko kilku z jego przyjaciół znało jego błąd i znało go dzięki niemu). »....Jest niesprawiedliwie i nieludzko sądzić go w imieniu moralności, której nie znał«. (Tedy do czegoż się sprowadza jego rola moralisty? Albo czemu tyle sobie robił wyrzutów sumienia? A »prenumerator »Temps'a« czyż sam nie mówił co dopiero, że »uczucia stwarzające rodzinę miały tyle i więcej siły niż dzisiaj?« Ostatecznie sami osądzcie).

Teresy (co jest dość zabawne); 3. mógłby wyżywić swoje dzieci tylko zostając oszustem; 4. w Domu Podrządków bardzo jest dobrze. Dzieci opuszczają ręce akuszerki tylko po to, aby przejść do rąk mamki. Rousseau wie dobrze, że tych dzieci nie wychowuje się delikatnie: tem lepiej dla nich! Dzięki temu będą bardzo silne. Nie robi się z nich panów, lecz chłopów lub robotników. Będą szczęśliwsze niż ich ojciec.

Tu przewiduje zarzut: »Nie należy mieć dzieci, kiedy nie można ich wyżywić. — Wybacz pani, natura chce, aby się je miało, skoro ziemia wydaje dość żywności dla wszystkich: ale ta klasa bogata, ta wasza klasa kradnie mojej chleb potrzebny dla mych dzieci«. (Pisane to jest po »Rozprawie o naukach i sztukach«).

Wkońcu piąty powód już podany: sądził, że postępuje jak obywatel republiki platońskiej.

(Mógłby dorzucić jeszcze jedno usprawiedliwienie — p. Gustawa Lanson'a — że w swem życiu włóczęgi nauczył się bez skrupułów korzystać z instytucji dobroczynnych).

Pani de Francueil mogła mu była odpowiedzieć, że jego rozumowanie dyabła warte. Bieda? Rousseau w chwili urodzin dwojga pierwszych dzieci zarabiał 900, potem 1000 franków u pani Dupin. Mógłby był zarabiać więcej, gdyby nie był leniwy. Te panie zresztą czyniły podarunki Teresie i byłyby zachwycone, gdyby mogły zająć się dziećmi. Mówi, że one nie byłyby wychowywały ich na porządnym ludzi? Powód jest dość mdły. — Jest sławny w grudniu 1750. Zajmuje, być może przed rokiem 1752, urząd zyskowny kasyera dzierżawcy generalnego Francueil'a. A w 1753 »Czarodziej wiejski« przynosi mu 5—6000 franków. Mógł był więc wychować przynajmniej dwoje swoich ostatnich dzieci. Ale, bez wątplenia, nabrał nałogu. A dalej, nie chciał popełnić niesprawiedliwości względem trojga pierwszych. Czyż nie został w międzyczasie apostołem równości?

Co się tyczy szczęścia, szczęścia, które jest udziałem podrządków... Żart jest zbyt ponury.

W »Dziwiątem marzeniu« (1776, na dwa lata przed śmiercią), inne wytłómaczenie:

Matka byłaby je zepsuła; rodzina zrobiłaby z nich potwory.... Drzę, myśląc o tem; to, co Mahomet zrobił z Seida, byłoby niczem w porównaniu z tem, coby z nich zrobiono w stosunku do mnie.

Wkońcu przypomnijmy ten ustęp IX księgi »Wyznań«:

Nie miałem zupełnie rodziny; Teresa ją miała, a ta rodzina, której charaktery różniły się bardzo od jej charakteru, nie była taką, abym mógł z niej zrobić swoją rodzinę. W tem była pierwsza przyczyna mego nieszczęścia. Czegożbym nie oddał, aby się zrobić dzieckiem jej matki? Czyniłem wszystko, aby to osiągnąć, ale do celu dojść nie mogłem. Mimo, że chciałem bardzo zjednoczyć wszystkie nasze interesy, było to niemożliwe. Ona zawsze miała swoje własne, różne od mego, przeciwne memu, i nawet interesom córki, z którą teraz już się nie rozłączała. Ona i inne jej dzieci i wnuki stały się tyłuż pijawkami, a najmniejszym złem, jakie czyniły Teresie, było, że ją okradły. Biedna dziewczyna przyzwyczajona do ustępstw, nawet wobec swoich siostrzenic, pozwalała się okradać i rządzić, nie mówiąc słowa; i widziałem z boleścią, że wyczerpując moją sakiewkę i moje lekcye, nic nie robiłem dla niej, z czegoby mogła korzystać. Próbowiałem ją oderwać od matki; opierała się temu zawsze. Szanowałem jej opór i szanowałem ją dlatego bardziej; ale jej odmowa wypadła tem nie mniej na moją i jej krzywdę. Wydana na łup swej matki i krewnych, robiła dla nich więcej niż dla mnie, więcej niż dla siebie samej. Ich chciwość była dla niej mniej rujnująca, niż ich rady dla niej zgubne. Wkońcu jeśli, dzięki swej dobrej naturze, nie została zupełnie ujarzmiona, to przynajmniej dosyć, aby powstrzymać w znacznej części skutek dobrych zasad, któremi starałem się ją natchnąć... Przyszły dzieci, to było jeszcze gorzej. Zadrżałem na myśl wydania ich na łup rodziny tak źle wychowanej, aby nie zostały wychowane jeszcze gorzej. Narazić je na wychowanie jako podrzutków było o wiele mniej złe. Ten powód postanowienia, jakie powziąłem, silniejszy, niż te wszystkie, które wymieniłem w liście do pani de Francueil, był jednak jedyny, jakiego nie odważyłem się jej powiedzieć. Wolałem raczej nie być uwolniony od nagany tak ciężkiej a oszczędzić rodzinę osoby, którą kochałem.

Z czego Emil Faguet, który się zajmował tą sprawą w »Journal des Débats« z 18 czerwca 1906, wyciąga następujący wniosek:

»Albo się łudzę, albo też dla tego, kto umie czytać, znaczy to: Bezwzględnie ujarzmiona przez rodzinę bandytów, którą kochała zawsze bardziej niż mnie, Teresa sobie odmawiała i mnie okradała i obdzierała dla nich. Rozumiecie dobrze, że ta rodzina nie chciała, aby Teresa miała dzieci, któreby brały udział w korzyściach i któreby z drugiej strony oderwały może Teresę od jej rodziny przez przywiązanie, jakieby dla nich miała. Rodzina Teresy nie chciała, aby Teresa miała dzieci. Słuchając jej zawsze i obawiając się może, aby rodzina jej nie zgładziła ich, Teresa rozkazała mi, abym je opuścił. Częścią przez miłość dla niej, częścią, aby nie wyznać, że byłem jej posłuszny, jak ona rodzinie była posłuszna, nie chciałem nigdy powiedzieć, że to ona wymogła na mnie ich poświęcenie«.

Wynika, że Rousseau opuścił pięcioro dzieci z obawy przed Teresą i przede wszystkim matką L'asseur, ostatecznie przez słabość, bierność, brak woli. To możliwe.

Zaznał wyrzutów sumienia, przynajmniej od r. 1769. Pisze w Moulton (14 lutego 1769):

»To zaprawdę wbrew jej woli (Teresy), to zaprawdę wbrew naszej woli, ona i ja nie mogliśmy wypełnić wielkich obowiązków: ale ona wypełniła wiele, godnych szacunku«.

I dorzuca zdanie, którego, przyznając się, nie rozumiem:

»Wieleż rzeczy, któreby powinny zostać wiadome, będzie pogrzebanych ze mną! I wieleż zysków wyciągną moi okrutni nieprzyjaciele z niemożności mówienia, w jakiej mnie postavili! (?)«

I w podziwu godnym liście do Teresy, kiedy myśli o rozłące z nią: »Popełniliśmy błędy, które trzeba opłakiwać i odpokutować«. Słowa takie w liście zażyłym wydają mi się lepszym dowodem opuszczenia dzieci, niż opowiadania z »Wyznań«.

A w liście do pani de Chenonceaux (17 stycz. 1770):

Nigdy nie zobaczą mnie fałszującego święte prawa natury i obowiązku, aby zmniejszyć swoje błędy. Wolę je odpokutować, niż usprawiedliwiać.

(Co prawda wraca potem do swych niezręcznych usprawiedliwień).

Wreszcie w liście do pana de Saint-Germain z dnia 26 lutego 1770, będącym rodzajem spowiedzi powszechnej:

»Przykład, konieczność, honor tej, która mi była droga, zmusiły mnie, abym powierzył dzieci swoje zakładowi, istniejącemu w tym celu, i przeszkodziły, abym wypełnił pierwszy, najświętszy z obowiązków natury. Co do tego, daleki od usprawiedliwień, oskarżam siebie... Nie zrobiłem tajemnicy z mego postępowania wobec przyjaciół, nie chcąc uchodzić w ich oczach za lepszego niż byłem. Co stąd barbarzyńcy wysnuli! Z jaką sztuką przedstawili je (moje postępowanie) w najwstrętniejszym świetle.... Jak gdyby grzech nie był rzeczą ludzką i nawet rzeczą człowieka sprawiedliwego! Mój błąd był bez wątpienia ciężki, był nie do przebaczenia, ale był także jedyny i odpokutowałem zań dobrze«.

Nie ma może »skruchy doskonałej«, ale wkońcu jest w tem niepokój i żal — tak jak w czelnej aluzji, którą robi publicznie do opuszczenia swych dzieci w I. księdze »Emila«. — Jeśli historia o pięciorgu dzieciach była »symulacją«, należy przyznać, że Jan Jakób podtrzymywał ją z osłupiającem i cudownem prawdopodobieństwem.

Niestety, widzę, że trzeba temu wierzyć.... I tedy, w jakąby pobłażliwość uzbroić się względem niego, wydaje się mimo wszystkiego oburzającą rzeczą i smutnie komiczną, że to między jednym a drugim oddaleniem nowonarodzonych dzieci, po powrocie z figlarnego zamku Chenonceaux, gdzie napisał małą komedijkę p. t.: »Czasowe zobowiązanie« i wierszyki p. t. »Aleje Sylwii«, aby się przypodobać pięknym damom; że to w swoim pokoju przy ulicy Plâtrière, dyktując swe peryody matce Levasseur, która codziennie rano przychodziła mu napalić; że to w takich warunkach właśnie napisał swoją cnotliwą »Rozprawę« — ach! jak cnotliwą! — o zepsuciu obyczajów przez nauki i sztuki.

TRZECIA POGADANKA.

»ROZPRAWA O NAUKACH I SZTUKACH«. — REFORMA MORALNA ROUSSEAU'A.

Omawiałem, jak mogłem dokładnie, sprawę Teresy i opuszczenia pięciorga dzieci. Przedstawiłem różne tłómaczenia, które daje Rousseau, i te, których nie daje. Ale oto inne, charakteru ogólniejszego, które zdaje sprawę z wielu czynów jego życia.

Mamy długi (o sześciu czy siedmiu stronach) list Joubert'a do Molé'go o Chateaubriand'zie, napisany 21 października 1803 r., a będący cudem analizy, możnaby powiedzieć anatomii psychologicznej.

Czytamy w nim pod koniec:

»Istnieje na dnie tego serca (serca Chateaubriand'a) pewnego rodzaju dobroć i czystość, która nie pozwoli nigdy temu biednemu chłopcu, boję się tego zaprawdę, poznać i potępić głupstw, jakie robi, ponieważ świadomości swego postępowania, która wymagałaby refleksyi, przeciwstawi zawsze mechanicznie poczucie swojej istoty, która jest bardzo dobra«.

Zdaje mi się, że to da się szczególnie zastosować do Rousseau'a. I oto ustęp z »Wyznań«, który jak gdyby umyślnie napisany był przez Rousseau'a, aby ilustrować uwagę Joubert'a o Chateaubriand'zie.

Jest to z czasu podróży, którą Jan Jakób odbył do Genewy w 1754. Spotyka się znowu z panią de Warens, upadłą zupełnie:

»Ach! — pisze, to była właściwa chwila, by się uisćić z długu. Należało wszystko opuścić, aby iść za nią, przywiązać się do niej aż do ostatniej godziny i dzielić z nią los, jakiby nie był. Nic z tego nie zrobiłem. Innem przywiązaniem przejęty, czułem, że się rozluźnia moje przywiązanie dla niej, bo nie miałem nadziei, aby ono mogło być jej użyteczne. Rozpaczalem nad nią, alem za nią nie poszedł. Ze wszystkich wyrzutów sumienia, jakie odczuwałem w swem życiu, oto najżywszy i najstalszy«.

(Tu z pewnością przesadza, bo koniec końców wyrzuty z powodu opuszczenia dzieci były albo powinny były być gorsze; ale on spędza życie na przesadzaniu).

»Zasłużyłem przez to — ciągnie dalej — na kary straszne, które odtąd nie przestały mnie przytłaczać. Oby mogły odkupić moją niewdzięczność! Była ona w mojem postąpieniu; ale zbyt rozdarła ona moje serce, aby to serce mogło być kiedykolwiek sercem niewdzięcznika«.

Inaczej mówiąc: »Mogłem postąpić, jakbym był niewdzięcznikiem; ale nie mogłem być niewdzięcznikiem, ponieważ mam dobre serce«. Albo jeszcze: »Porzuciłem dzieci, ale nie mogłem być złym ojcem, ponieważ jestem człowiekiem pełnym uczuciowości«. Oto psychologia zupełnie operetkowa: bo zauważcie, że to jest całkiem logika Jobelin'a w »Najszczęśliwszym z trzech«: »Oszukaliśmy ciebie, Macjawelu!... Nie mam wyrzutów sumienia, ponieważ żałuję«. Tak samo Jan Jakób, przejęty swą dobrocią wewnętrzną, sądzi się zawsze według uczuć, nie według czynów. To nadzwyczaj wygodnie. To w gruncie jest świeckie zboczenie doktryny o »czystej miłości« Molinos'a i pani Guyon, doktryny, w której czyny są obojętne, byleby kochać Boga. Do tego to stopnia jest prawda, że wszystkie świeckie błędy odpowiadają pewnym formom herezy!

Przypomnimy sobie o tem, kiedy spotkamy w »Emilu« moralność uczucia i apel do sumienia.

Tymczasem wróćmy do Jana Jakóba, gdzieśmy go zostawili. »Połączył się« co dopiero z Teresą. Prowadzi życie proste i całkiem pospolite, które nam opisuje wybornie:

»Gdyby nasze przyjemności dały się opisać, rozśmieszałyby swą prostotą; nasze przechadzki we dwoje po za miasto, gdzie wydawałem wspaniałomyślnie ośm do dziesięciu susów w jakiej restauracyjce; nasze kolacyjki we framudze okna, kiedyśmy siadywali naprzeciw sobie na dwóch krzeselkach, postawionych na kufrze, zajmującym szerokość wgłębienia. W tem położeniu, skoro okno służyło nam za stół, oddychaliśmy świeżem powietrzem, mogliśmy widzieć okolicę, przechodniów i chociaż na czwartem piętrze, zagłębiać się w ulice, nie przerywając jedzenia. Któż opisze, któż odczuje urok tych uczt, składających się za wszystkie dania z ćwiartki prostego chleba, kilku czereśni, kawałeczka sera i ćwierć litra wina, które piliśmy we dwoje. O! przyjaźni, o! zaufanie, o! zażyłości, o! słodyczy duszy, jak wasze przyprawy są wyborne! Czasami zostawaliśmy tam aż do północy, nie myśląc o tem i nie zdając sobie sprawy z godziny, dopóki stara matka nie zwróciła nam na nią uwagi«.

(Ach! pocóż przychodzi ta stara...) Wszystko jedno, ta prostota upodobań, bardzo szczerza u Jana Jakóba, jest jednym z jego wdzięków, którego nie mu nie może odebrać.

Ale poprzez zniechęcenia i próżniactwo, usiłuje on zdobyć sobie imię czy to w muzyce, czy to w literaturze, a szczególnie w teatrze; i o tem właśnie myśli między rokiem 1741 a 1749.

Później będzie powtarzał do syta, że jest wyjątkiem, że nigdy nie myślał o sławie, że wziął pióro do ręki dopiero pod czterdziesty rok życia i na swe nieszczęście. To nieprawda. — Od wczesnych chwil miał namiętność do muzyki i miał jej dar i marzył o tem, aby zostać kompozytorem. Od wczesnych chwil także i mimo studyów bardzo kapryśnych i niezupełnych, skrobał prozą i wierszem i marzył o tem, aby zostać poetą a przedewszystkiem autorem dramatycznym.

Przyjeżdżając do Paryża miał w portfelu nietylko »Narcyza«, małą komedyjkę prozą w guście Marivaux'a, napisaną w 20 roku, lecz także poezye, elegie, wiersze miłosne i tragedję o »Odkryciu nowego świata«. A od 1741 do 1749 pisze wierszowane listy, »Rozprawę o muzyce nowożytnej«, »Projekt nowych znaków dla muzyki«, małą komedyjkę za-

tytułowaną »Więźnie wojenni«, operę »Zalotne muzy«, »Persifleur« pierwszy numer czasopisma, po którym nigdy drugi nie nastąpił, »Aleję Sylwii«, »Czasowe zobowiązanie«, komedję w 3 aktach wierszem; inne pomijam.

W 1745 wchodzi w stosunki z Voltaire'm i wygładza dla niego »Księżnę Nawarry«, która ukazuje się w Wersalu p. t. »Święta Ramiry«. — W 1747 jego ojciec umiera; to mu przynosi trochę pieniędzy, z których część posyła pani de Warens. — Tegoż roku przedkłada napróżno komedję »Narcyza« włoskiemu teatrowi.

Obiady z Teresą, na kuferku, we framudze okna, nie przeszkadzają mu »bywać w świecie«. Został, jak mówiłem, sekretarzem pani Dupin. Francueil wprowadza go do pani d'Épinay. Zaznajamia się z panią d'Houdetot w samą wilię jej ślubu. Jada kolacje u panny Quinault.

I bez wątpienia odwiedza Grimm'a, Diderot'a, Condillac'a, obiaduje z nimi co tydzień pod »Koszem kwiatów« (restauracya w Palais-Royal), zna się z d'Alembert'em i księdzem de Raynal i jest uważany za stronnika »filozofów«; i bez wątpienia Diderot wywiera na niego pewien wpływ; i bez wątpienia religia Jana Jakóba, dotąd na pół protestancka, na pół katolicka, zwraca się ku czystemu deizmowi, — ku deizmowi, naprawdę bardzo szczeremu, bardzo pobożnemu i nawet czułemu; ale koniec końców niema żdźbła ani społecznego buntu, ani nawet paradoksu, w małych wierszykach »Alei Sylwii«, ni w nieco mdłych wierszach »Czasowego zobowiązania«, napisanego pewnej jesieni, którą spędził w bardzo świetnym towarzystwie w zamku Chenonceaux, i granego w 1749 u pani d'Épinay w Chevrete. Przyszły obywatel Genewy grał tam pewną rolę. Przedmiot jest jeszcze w guście Marivaux'a. »Zobowiązanie«, o które chodzi, czyni kochanek, mianowicie, że nie okaże miłości dla kochanki przez ciąg jednego dnia, za co ona go poślubi. A co się tyczy »Alei Sylwii«, jest to prawie z mniejszą giętkością, ton i siła »Chartreuse« Gresset'a.

Słowem, Rousseau jest człowiekiem o wzięciu się dziwnem, co prawda, ale pisze muzyczne rzeczy miłosne i małe komedyjki zalotne, — kompozycje z pewną oryginalnością, komedye jak wszyscy, lub raczej trochę mniej dobrze, — i myśli, jak się zdaje, tylko o operze, o teatrze włoskim i o Komedyi Francuskiej. Tak aż do listopada 1749.

Ale w październiku 1749 — oto co się dzieje.

Kilka miesięcy przedtem Diderot ogłosił »List o ślepych, dla użytku tych, co widzą«. Stało się to z powodu operacyi katarakty dokonanej przez p. de Réaumura na ślepym od urodzenia. Réaumur mimo nalegań nie zaprosił prawie nikogo na posiedzenie, na którym zdjął pierwszy raz bandaż. Stąd na pierwszej stronie »Listu« taki żart Diderot'a: »P. de Réaumur chciał spuścić zasłonę jedynie przed kilku oczyma bez znaczenia«. W tych »oczach bez znaczenia« pani du Pré de Saint-Maur poznała swoje. Pani ta była przyjaciółką Réaumur'a a także hrabiego d'Argenson'a, ministra wojny. Uczuła się dotkniętą.

Należy także powiedzieć, że pewne myśli z »Listu o ślepych« mogły wydawać się zuchwałemi. Słowem zrobiono rewizję u Diderot'a pod pozorem poszukiwania rękopisu opowieści »Ptak niebieski«, która miała zawierać — mówiono — aluzję do pani de Pompadour. W rzeczywistości zrobiono to, aby położyć rękę na materyałach »Encyklopedyi«. Diderot zostaje aresztowany 29 lipca i zaprowadzony do wieży w Vincennes. W miesiąc później dają mu za więzienie zamek i park z pozwoleniem widywania przyjaciół. Pozostał tam do 3 listopada.

A teraz posłuchajmy Rousseau'a, potem Marmontel'a, potem Diderot'a.

I nie skarżcie się, że podaję zbyt wiele cytat: ponieważ to pierwsze dzieło Rousseau'a, ta »Rozprawa o sztukach i naukach«, dała początek jego sławie i określiła kierunek jego innych dzieł; chodzi więc o to, aby wiedzieć, w jaki

sposób i dlaczego ją napisał i jak mało mu zależało na tem, by jej nie pisać lub napisać ją inaczej.

....Co drugi dzień, mimo zajęć bardzo pilnych, chodziłem, już to sam, już to z jego żoną, przepędzić z nim (z Diderotem) popołudnie (w Vincennes).

Tego roku, 1749, lato było bardzo gorące.

(»Mercure« zamieścił pytanie w październiku, a październik to nie lato; ale wszystko jedno. Rousseau pisze to w 20 lat po wypadkach).

Z Paryża do Vincennes są dwie mile. Nie bardzo mogąc płacić doróżki, o 2 popołudniu szedłem pieszo, kiedy byłem sam, a szedłem szybko, aby wcześniej zejść. Drzewa przydrożne, zawsze ostrzyżone zwyczajem miejscowym, nie dawały prawie zupełnie cienia, i często, wycieńczony gorącem i zmęczeniem, rozciągałem się na ziemi, nie mogąc iść dalej. Postanowiłem, aby miarkować kroki, zabierać ze sobą książkę jaką. Jednego dnia wziąłem »Mercure de France«, a idąc i przerzucając go, natrafiłem na to pytanie, zadane przez Akademię w Dijon na konkurs następnego roku: Czy postęp nauk i sztuk przyczynił się do zepsucia czy do poprawy obyczajów*). Od chwili przeczytania tych słów, zobaczyłem inny świat i stałem się innym człowiekiem... Przyszedłszy do Vincennes byłem w podnieceniu zbliżonym do szaleństwa, Diderot to spostrzegł, powiedziałem mu przyczynę i przeczytałem mu prozopopeję Fabrycyusza, napisaną ołówkiem pod dębem. Zachęcił mnie, abym rozwinął swe myśli i stanął do konkursu. Zrobiłem to i od tej chwili byłem zgubiony.

Pisze to w 1769. Opowiedział już tę sprawę w 1762 w »Drugim liście do p. de Malesherbes'a i z większym jeszcze zapałem:

»Jeżeli kiedykolwiek rzecz jaka podobna była do nagłego natchnienia, to ruch, który powstał we mnie pod wpływem tej lektury...« I mówi o biciu serca, o zaćmieniu w oczach, o zawrotach głowy, podobnych do upojenia, i mówi, że upadł pod jedno z drzew alei i że tam spędził pół godziny w takim podnieceniu, iż wstając spostrzegł cały przód kamizelki mokry od łez, chociaż nie czuł, kiedy je wylewał.

*) Prawdziwy tekst brzmi: Czy odnowienie....

To wszystko, aby zakończyć prozopopeję Fabrycyusza!

Takie jest opowiadanie Rousseau'a. Ale jest inne, Marmontel'a, w jego »Pamiętnikach« (Księga VII).

Oto zdarzenie w swej prostocie tak, jak mi je opowiedział Diderot i jak je opowiedziałem Voltaire'owi.

Byłem (to Diderot mówi) więźniem w Vincennes; Rousseau mnie odwiedzał. Zrobił ze mnie swego Arystarcha, jak sam mówił. Pewnego dnia, kiedy przechadzaliśmy się razem, powiedział mi, że Akademia w Dijon przedłożyła zajmujące pytanie i że ma zamiar na nie odpowiedzieć. Pytanie było: Czy odnowienie nauk i sztuk przyczyniło się do poprawy obyczajów? Jak pan odpowie — spytałem go. Odpowiedział mi: twierdząco. — To most dla osłów, powiedziałem mu; wszystkie mierne talenty pójdą tą drogą, a pan znajdzie na niej tylko komunały, podczas kiedy zdanie przeciwne przedstawia dla filozofii i wymowy pole nowe, bogate i żyzne. — Ma pan rację, rzekł mi po chwili namysłu, i pójde za pańską radą. — Tak, od tej chwili, dorzuca Marmontel, jego rola i jego maska były zdecydowane.

I wiem dobrze, że trzeba się mieć na baczności, bo Marmontel dowiedział się o fackie od nieprzyjaciela Jana Jakóba i opowiada go innemu znowu nieprzyjacielowi Jana Jakóba.

Wkońcu w »Szkicu o panowaniu Klaudyusza i Nerona«, (rozd. 67), w ciągu bardzo gwałtownej diatryby przeciw Rousseau'owi, Diderot mówi krótko tak:

»Kiedy pojawił się projekt Akademii w Dijon, przyszedł do mnie po radę, jakie zająć stanowisko. Stanowisko, jakie pan zajmie, powiedziałem mu, to stanowisko, jakiego nikt nie zajmie. — Ma pan słuszność, odrzekł mi«.

Oto te trzy wersje. Wersja Rousseau'a jest przesadzona i bez wątpienia wydarzenie to nabrało dodatków i upiększyło się w jego pamięci. Pragnął, iżby jego pierwsza książka znaczniejsza została poczęta tragicznie i z hałasem. Dwie inne wersje są: jedna wersja człowieka nieżyczliwego (i z drugiej ręki), druga nieprzyjaciela, ale nieprzyjaciela, który, jak sędzę, był szczery. Nie wydaję wcale sądu. Zaznaczam tylko, że wersja Jana Jakóba nie różni się za-

sadniczo od wersji Diderot'a. Jan Jakób mówi sam: »Diderot mnie zachęcał, abym dał wyraz swoim myślom i ubiegał się o nagrodę«. To zdaje się wskazywać, że Rousseau się wahał. Byłoby naprawdę ciekawe, że stanowisko, jakie Rousseau ostatecznie zajął, stanowisko, od którego miała zależeć reszta jego dzieł i życia, — zajął on tylko dzięki przypadkowi i za cudzą radą.

Gdyby był zajął stanowisko przeciwne, gdyby był odpowiedział, że nauki i sztuki wspierają obyczajność, albo gdyby był przyjął tezę pośrednią (i dlaczegoż nie? autor »Narcyza« i »Złotnych muz« wszak nie mógł być zaciętym wrogiem sztuk), byłby dostał nagrodę mimo wszystkiego z powodu doskonałego stylu, ale życie jego poszłoby w innym kierunku...

A gdyby nie był czytał owego fatalnego numeru »Mercure de France«?...

Wiem dobrze, jak te dedukcje z hipotez są kruche. Ale chodzi tu jednocześnie o człowieka genialnego, którego wpływ był cudowny, i o człowieka bardzo małej woli i o człowieka, o którym można powiedzieć, że jego dzieła wyrażają jego życie osobiste i wypadki tego życia i że są prawie wszystkie »dziełami przypadku«. I wielkość skutków sprawia, że staje się rzeczą wstrząsającą widzieć, jak one wpływają z przyczyn tak małych i tak przypadkowych, — i jak wszystko się wiąże i jak wszystko jest fatalne, — albo opatrnościowe.

W każdym razie to pisemko o 50 stronach, którego pierwszy pomysł poruszył autora do tego stopnia, że łzami zmoczył przód swej kamizelki, okazuje się dziś dość małą rzeczą: szkolną deklamacją. Oto analiza.

Dwie części.

Pierwsza część, to serya twierdzeń. »Nasze dusze psuły się w miarę, jak nasze sztuki i nasze nauki doskonaliły się«. To jest dowiedzione przez historię (historię, jak jej uczono

w kolegiach). Patrzcie na Egipt, Grecję, Rzym, cesarstwo Wschodu, nawet Chiny.

A oto odwrotna strona medalu: »Przeciwstawmy tym obrazom obraz obyczajów małej liczby narodów, które, ochronione od tej zarazy próżnych wiadomości, przez swoje cnoty stworzyły szczęście własne i stały się przykładem innym narodom«. Takimi byli pierwsi Persowie, takimi byli pierwsi Rzymianie. I tu ma miejsce prozopopeja:

»O Fabrycyuszu! coby pomyślała twoja wielka dusza«...

»Oto, — zamyka rzecz Rousseau, — jak zbytek, rozwiązłość i niewolnictwo, były zawsze karą za dumne wysiłki, które podejmowaliśmy, aby wyjść ze szczęśliwej nieświadomości, gdzie nas mądrość wieczna umieściła«.

Druga część jest próbą wytłómaczenia tego złego działania nauk i sztuk.

Początki nauk są nieczyste. »Astronomia urodziła się z zabobonu (jak? tego nie mówi); wymowa z ambicji, z zawiści, z pochlebstwa, z kłamstwa; geometrya ze skąpstwa (aluzja do ustępu z »Herodota«); fizyka z próżnej ciekawości; wszystko, nawet etyka, z dumy ludzkiej«. (Tak mówi ten człowiek skromny). Słowem »nauki i sztuki zawdzięczają swoje powstanie naszym wadom«.

— Ale przecież to nie nasze błędy zawdzięczają powstanie naukom i sztukom?

— I owszem; ponieważ z kolei nauki i sztuki mają za skutek: stratę czasu z powodu swej bezużyteczności; zbytku, który wydelikaca. (Ludy bez zbytku były silne: tak Persya za Cyrusa, Scyci, dawny Rzym, Frankowie, Saksoni, Szwajcarzy wobec Karola Śmiałego, Holendrzy wobec Filipa II). Nauki i sztuki mają jeszcze za skutek: zepsucie smaku przez chęć podobania się (tu kilka uwag prawdziwych), zmniejszenie cnót wojskowych, wreszcie płocze i niebezpieczne wychowanie, dawane dzieciom (tu znowu dobre refleksje).

Filozofowie to szarlatani. Wynalazek druku jest rzeczą godną pożałowania.

Kończy przez kontradycję. Bo przesadza mimo wszystkiego znaczenie Bacona, Kartezjusza i Newtona. Rozróżnia fałszywych uczonych czy filozofów od prawdziwych i życzy sobie, aby prawdziwi zarządzili państwami: lecz po czym ich poznać? i kto ich oznaczyć? A zatem nauka czyż jest więc zawsze i koniecznie zgubna?

Ta pierwsza rozprawa jest tedy zaprawdę czystą deklamacją, próbką retoryki, gdzie już wybucha także wielki bezrozum i trochę głupoty. Żadnej dokładności. Rousseau przypuszcza, jak się zdaje, że »odnowienie nauk i sztuk« (przez rozproszenie się szczątków dawnej Grecji po wzięciu Konstantynopola) dokonało się odrazu i w jednej chwili zepsuło obyczaje, i nie pyta nawet, czym były przedtem te »obyczaje«. Nie myśli nawet o rozróżnieniu nauk od sztuk, których psujący wpływ nie wydaje się jednak zupełnie taki sam. Nie zdaje sobie też sprawy, że zepsucie przez nauki i sztuki może być zepsuciem tylko małej liczby, tem bardziej, że przez »zepsucie« wydaje się rozumieć przedewszystkiem konwencje, przesady i kłamstwa światowe, zbytek, zniewieściałość, płochość i sztuczność życia salonowego, słowem wady i wykręty wielkiego świata bardzo ograniczonego, w którym sam żył. Nie zdaje sobie sprawy, że 18 milionów chłopów i rzemieślników Francji uniknęło prawie zupełnie tego zepsucia i że małe mieszczaństwo było niem zarażone tylko w umiarkowanej mierze; że zresztą zło i dobro miesza się w tak zawiły sposób ze sobą w skutkach przypisywanych sztukom i naukom, iż w każdym razie jest niemożliwością rozdzielić je albo wykazać przewagę zła. — Słowem teza Rousseau'a jest tylko nieokreślonym komunalem, bardzo zużytym już w tej epoce i prawie tak zużytym, jak komunalej przeciwnej tezy.

Komunał Rousseau'a (niewinność stanu natury w przeciwstawieniu do wad cywilizacji) był już trochę wszędzie

wyrażany (w »Listach perskich« na przykład, w drugiej części »Historii Troglodytów«, albo u Marivaux'a: »Wyspa niewolników«, »Wyspa rozumu«) i nie pociągał za sobą innych konsekwencji.

(Dziś, kiedy nas jest kilka tysięcy autorów, w czym dwustu do trzystu sławnych, jest rzeczą jasną, że dziełko takie, jak pierwsza »Rozprawa« Jana Jakóba, przeszłoby całkiem niepostrzeżenie. — Kwestya zresztą, którą Jan Jakób tu rozwiązuje tak łatwo, podobna jest do tych kwestyi banalnych, bezpożytecznych i nie do rozwiązania, które »reporters« stawiają pisarzom właśnie dlatego, że nadają się do gadulstwa bez końca).

Ale jeśli komunale był banalny, można go było zailustrować obrazami dokładnymi i dość przekonującymi, bo czas był po temu; i może nie widziano jeszcze wysokiego towarzystwa tak zepsutego, jeśli nie przez »nauki i sztuki«, to przynajmniej przez rafinerję umysłu i przez kulturę zbyt skierowaną ku przyjemnościom wyłączenie.

To, co Rousseau zaniedbuje, robi Duclos właśnie w tej samej epoce, z dużą przenikliwością i pewną siłą w »*Considérations sur les moeurs*« (1751). Przedewszystkiem Duclos rozróżnia Paryż od prowincji i w samym Paryżu rozważa tylko kilka grup. I Duclos ujmuje i określa bardzo dobrze wady i błędy charakterystyczne tego zacieśnionego towarzystwa: nie tyle jeszcze bezład obyczajów (z czego nie sędzę, by się Rousseau miał za wyjątek), ile próżność, płochość, nadużycie sprytu, »persiflaż« (to co nazywa się dziś »braniem na fundusz«), suchość i twardość serca (to co Gresset malował w roku 1745 w »*le Méchant*«), wszystko pomieszane z pretensjami »filozoficznymi«.

Nic lub prawie nic z tego wszystkiego w »Rozprawie« Jana Jakóba, który, co więcej, nie jest zgoła obserwatorem.

Skąd pochodzi więc taki sukces »Rozprawy o naukach i sztukach«, że Garat w »Pamiętniku o panu Suard« mógł napisać:

Właśnie w tej chwili głos jeden, który nie był młody, który jednak zupełnie był nieznany, podniósł się nie z głębi pustyń i lasów, ale z samego łona tych towarzystw, tych akademii i tej filozofii, gdzie tyle światła rodziło i karmiło tyle nadziei.... I w imieniu prawdy wnosi oskarżenie wobec rodu ludzkiego przeciw literaturze, sztukom, naukom i samemu społeczeństwu.... I to nie skandal — jak się mówi — był ogólny, ale zachwyt i rodzaj trwogi był prawie powszechny.

Jak to wytłumaczyć (przypuściwszy, że Garat nie przesadza)?

Co było w tej pierwszej książce Rousseau'a, to ton i styl.

Przemawia tam ton człowieka pióra, któremu się nie powiodło, chorego, któremu jest dobrze tylko w samotności, człowieka nieśmiałego, który często cierpiał w dobru towarzystwie; ton dawnego włóczęgi i wzburzonego plebejusza; słowem ton człowieka, który bierze na seryo komunał przedtem niewinny. — Zresztą można powiedzieć, że prawie cała jego działalność — i przez to właśnie uwiódł głupotę ludzką — jest działalnością człowieka genialnego, który po raz pierwszy dawne żarty czy fantazje wziął na seryo.

Z drugiej strony ustęp dość banalny, gdzie drżał ten ton, miał być czytany, z początku, właśnie przez tę małą mniejszość uprzywilejowanych, co do których teza Roasseau'a była częściowo prawdziwa. I poza tem występował on od razu przeciw kilku najdroższym bożyszczom tej wybranej garstki: »filozofii«, nauce, którą poczynano »ubóstwiać«, i wierze w postęp. Ta powaga i ta gwałtowność kaznodziei musiały razem i poruszyć i uwieść ludzi, którzy nie chodzili zupełnie na kazania... Stąd skandal i rodzaj trwogi, o której mówi Garat. (Takie było do pewnego stopnia powodzenie pierwszych pism ewangelicznych Tołstoja w salonach paryskich).

A powtórę był tam styl. Nie ma on jeszcze wszystkich zalet, które potem będzie posiadał styl Jana Jakóba. Ale piękny jest w napięciu, ma płynność wymowy; tok bardzo rytmiczny. Przeciwwstawiał się jako coś nowego stylowi krótkiemu i cię-

temu, który był wtedy najbardziej w modzie. — Dodam, że są tam już apostrofy, nadużycie pewnych wyrazów, jak »cnota« i »natura«, emfaza i fałszywa szorstkość republikańska, które będą charakteryzowały tak szkodliwie w 40 lat później wymowę Jakobinów i Sankiulotów. To Jan Jakób dostarczył Rewolucji jej słownika.

W jaki sposób w głowie młodego wierszoroba »Czasowego zobowiązania« utworzyła się tajemnie ta proza tak pełna, tak płynna, tak jędrna, tak poważna?

Przejdźmy, jeżeli zechcecie, historię lektury samouka Rousseau'a (mówię tylko o lekturze francuskiej).

W siódmym roku życia czytał z ojcem »Astrée« i powieści de La Calprenède'a. — W ósmym Owidyusza i Fontenelle'a, lecz także Plutarcha, la Bruyère'a, Molière'a i »Rozprawę o historii powszechnej«. — Od dwunastego do szesnastego całą bibliotekę na los szczęścia. — Potem, i głównie w Charmettes, jednocześnie, kiedy się uczy łaciny, czyta Le Sage'a, ks. Prévost'a, »Listy filozoficzne« Voltaire'a, lecz także (z Lockem i Leibnitz'em) dzieła ludzi z Port-Royal'u, Kartezjusza, Malebranche'a, etc.

Wogóle mało książek współczesnych, ale prawie cały wiek XVII pochłonięty w samotności, zdala od Paryża. Właśnie temu to wiekowi Rousseau zawdzięcza swoje ukształcenie literackie. I to właśnie dlatego — i także dlatego, że dar miał, — kiedy się zabiera do pisania prozą, odnajduje okresowość i ton pisarzy XVII wieku. Powiedziałem, że jego styl miał charakter nowości: to dlatego. Sięga dalej niż Marivaux, niż Fontenelle, niż Voltaire, nawet niż La Bruyère. Nawiazuje do tradycji. — I prawdą jest, że coś dorzuca, ponieważ nową duszę wkłada w tradycyjną formę.

Więc, tak, jak jest, »Rozprawa« Rousseau'a, nagrodzona przez Akademię w Dijon 23 sierpnia 1750, uzyskuje od razu powodzenie niesłychane. Ludzie znakomici i znani ogłaszają o niej krytyki: król Stanisław (przy pomocy pewnego Jezuity), profesor Gautier, Bordes, akademik z Lyon,

Lecat, akademik z Rouen, Formey, akademik z Berlina, nie licząc Voltaire'a, d'Alembert'a, Fryderyka II, którzy przy sposobności wypowiadają o niej swój sąd. Rousseau odpowiada kolejno Stanisławowi, Gautier'owi i Bordes'owi. Wszystkie te zbijania i repliki nie dowodzą w gruncie niczego ni z jednej ni z drugiej strony, skoro kwestya była zbyt ogólnie postawiona i zresztą, jak sądzę, była nie do rozwiązania. Ale naturalnie w tej polemice Rousseau paruje lepiej, niż jego ciosy są parowane, ponieważ ma więcej talentu. Nie spostrzega, że tej »literaturze«, której złoczynność chce wykazać, zawdzięcza jednak, że jest zwycięzcą w walce z nią samą.

I owoż stało się, że odpowiedzi Rousseau'a są lepsze i bardziej interesujące niż jego »Rozprawa«. — Z jednej strony zmuszony do głębszego przemyślenia przedmiotu, do jego ścieśnienia, łagodzi z ręcznie i nieznacznie to, co było mimo wszystkiego zbyt ostre w pierwszym ujęciu łatwego paradoksu i przez to jego przyjęcie czyni możliwszem. Tak w odpowiedzi królowi Stanisławowi napisawszy:

Cóż! Czyż trzeba zniszczyć wszystkie rzeczy, których się nadużywa? Tak, bez wątpienia, odpowiem bez wahania, wszystkie te, które są nieużyteczne, wszystkie te, których nadużycie czyni więcej złego, niż używanie dobrego;

dodaje zaraz:

Zatrzymajmy się chwilę na tej ostatniej konsekwencji i strzeżmy się wyciągnąć wniosek, że należałoby dziś spalić wszystkie biblioteki i zniszczyć uniwersytety i akademie. Pogłębilibyśmy tylko Europę w barbarzyństwo a obyczaje niczy na tem nie zyskały.

Oddycha się z ulgą i mówi: »Ach! to dobrze, to dobrze«. Z drugiej strony, kiedy broni idei i stara się, aby ją przyjęto, ta idea przerabia go i sama z siebie wydaje w nim owoc. Przyszła jego »Rozprawa o nierówności« jest już prawie w całości zawarta w odpowiedziach Stanisławowi i Bordes'owi. — Na przykład w odpowiedzi Stanisławowi:

To nie z nauk — mówią mi — to z łona bogactw powstawały po wszystkie czasy szlachectwo i zbytek. Nie powiedziałem bynajmniej, że zbytek powstał z nauk, ale że powstały razem i że jeden nigdy nie istniał bez drugiego. Oto jak ułożyłbym tę genealogię. Pierwszem źródłem złego jest nierówność: z nierówności urodziły się bogactwa... Z bogactw urodziły się: zbytek i próżniactwo. Ze zbytku poszły sztuki, a z próżniactwa nauki.

Inny przykład. Wiara w dobroć natury ludzkiej była objęta, ale nie sformułowana »Rozprawą«. Właśnie w przypisku do »Odpowiedzi Bordes'owi« Rousseau po raz pierwszy powiada: »Sądzę, że człowiek jest z natury dobry«.

Po trzecie, w miarę jak stara się bliżej określić myśl pierwszej »Rozprawy«, uczucia, których ta myśl jest tylko wynikiem i wyrazem, stają się w nim coraz głębsze i coraz gwałtowniejsze. Zajmuje stanowisko zaczepne wszędzie, gdzie po tem znajduje sposobność. Ton jest bardziej przejmujący w »Odpowiedziach« i nadewszystko w »Przypisach«, niż w samej »Rozprawie«. Oto przypisek do »Odpowiedzi Bordes'owi«:

Zbytek żywi stu biednych w naszych miastach a gubi sto tysięcy biednych w naszych wsiach. Pieniądze, krążące wśród rąk bogaczy i rzemieślników, aby zaspokoić ich zbytek, są stracone dla egzystencji rolnika i ten ostatni nie ma ubrania, ponieważ trzeba galonu dla innych. (Co prawda nie tłumaczy, w jaki sposób). Marnowanie środków spożywczych wystarcza, aby wzbudzić w ludzkości wstręt do zbytku... Potrzeba sosów w naszej kuchni, oto dlaczego tylu chorych nie ma bulionu. Potrzeba likierów na nasze stoły, oto dlaczego chłop pije tylko wodę. Potrzeba pudru na nasze peruki, oto dlaczego tylu biednych nie ma chleba.

Och! mój Boże, znajdziecie to u la Bruyère'a i nie będziecie potrzebowali długo tego szukać u Bossuet'a i u Bourdaloue. Ale tu, zdaje mi się, jest duch i ton rewolucyjny, istnieje mimo dbałego stylu to, co nazwę: »uderzeniem w pysk«; jest straszny skrót sofistyczny: »oto dlaczego...« Ten ustęp musiał rozkosznie poruszyć niemało kobiet ze szlachty i również z plutokracji.

Wreszcie pierwsza »Rozprawa« Rousseau'a opanowuje go samego. Przez znany objaw autosugestyi Jan Jakób

urabia się według swej książki. Chce być podobny do pojęcia, jakie o nim daje książka. Chce urzeczywistnić epigraf:

»Barbarus hic ego sum, quia non intelligor illis«.

Przedsięwzięcie swą reformę moralną.

Nie należy zapominać ani jego pochodzenia i dawnego podłoża protestanckiego, ani okresu praktyk katolickich i czasu, kiedy układał modlitwy dla pani de Warens. Sądzę, że nigdy nie przestał zajmować się »życiem moralnym«. Kilkakrotnie miał zachcianki reformy i robił wysiłki i starania w tym względzie.

Na przykład po awanturze z panią de Larnage (jedynej miłej awanturze w swym życiu) obiecał połączyć się z tą damą, u niej, w Saint-Andiol. Kiedy chwila nadeszła, waha się i mówi nam z jakich powodów. Podał się wobec pani de Larnage za Anglika i boi się, aby go nie zdemaskowano. Dalej wie, że pani de Larnage ma piętnastoletnią córkę i boi się z góry, aby się w niej nie zakochać, nie uwieść jej i nie »wprowadzić w dom nieporozumienia, niesławy i piekła«. (Powód zabawny: biedny Jan Jakób nie był w miłości takim lwem). — Wkońcu mówi:

Do tego mieszały się refleksje co do mego położenia, co do moich obowiązków, co do mateczki tak dobrej, tak szlachetnej, która, już obciążona długami, zadłużała się jeszcze z powodu moich szalonych wydatków, która wyczerpywała się dla mnie a którą oszukiwałem tak niegodnie. Ten wyrzut stał się tak silny, że przemógł wreszcie. Zbliżając się do Saint-Esprit, powziąłem postanowienie pominąć stację w miasteczku Saint-Andiol i ruszyć prosto. Wypełniłem to mężnie, westchnawszy kilkakrotnie, przyznając, ale też z tem zadowoleniem wewnętrznym.... że mogę sobie powiedzieć: Zasługuję na własny szacunek, umiem przenieść obowiązek nad przyjemność.

Tak więc mała Larnage wymknęła mu się szczęśliwie! I oto Jan Jakób zabiera się do medytacji, przysięga »kierować odtąd swe postępowanie według praw cnoty... i nie słuchać innej miłości, jak tylko tej, którą wskazują obowiązki«.

W istocie (ponieważ czyny cnotliwe wiążą się tak samo jak inne) kiedy po powrocie do Chambéry znajduje

swoje miejsce zajęte przez perukarza Wintzenried'a i kiedy pani de Warens go zapewnia, że »wszystkie jego prawa pozostają takie same i że dzieląc je z innym nie będzie pozbawiony niczego«, Jan Jakób, który był przyjął ogrodnika, nie przyjmuje fryzjera. Rzuca się do nóg pani de Warens, »obejmuje jej kolana wylewając strumienie łez« i ma do niej tę dziwną przemowę: »Nie, mam, zbyt cię kocham, aby poniżyć; posiadanie ciebie zbyt jest mi drogie, aby je dzielić«. Piękny gest, którego pani de Warens nie darowała mu nigdy.

Och! Jan Jakób miał takich pięknych gestów więcej niż jeden. Ale dotąd miało to następstw mało. Tym razem, po »Rozprawie o naukach i sztukach«, jest to całkiem poważne. Stanowczo chce być innym człowiekiem i na całe życie. Tłómaczy nam to w VIII księdze »Wyznań«, a lepiej jeszcze w »Trzecim marzeniu«, gdzie idealizuje bez wątpienia swą przeszłość i widzi się takim, jakim być chciał. Decyduje się nie tylko dzięki pięknym zdaniom własnej »Rozprawy«, ale też przez swą przeszłość religijną, która mu się w sercu wznawia:

Urodzony w rodzinie, gdzie panowała obyczajność i pobożność, wychowany potem ze słodyczą u pastora pełnego rozumu i religijności, otrzymałem od najwcześniejszej młodości zasady, maksymy, ktośby może powiedział przesady, które mnie nigdy całkiem nie opuściły. Dzieckiem jeszcze będąc i pozostawiony sam sobie.... zmuszony potrzebą przeszedłem na katolicyzm, ale zostałem zawsze chrześcijaninem (epigram podsunęty przez osad protestanckie) i wkrótce, przez przyzwyczajenie, serce moje przywiązało się szczerze do mej nowej religii.... Nauki, przykłady pani de Warens wzmocniły we mnie to przywiązanie. Samotność wiejska, w której spędziłem kwiat młodości, studyowanie dobrych książek.... zrobiły mnie pobożnym prawie na sposób Fenelona.

A dalej, aby zaznaczyć swą reformę, używa wyrażen uroczystych, prawie tylko charakteru religijnego:

Wszystko przyczyniało się, aby oderwać moje przywiązanie do tego świata... Porzuciłem świat i jego wspaniałości.... Wielka rewolucja co dopiero dokonała się we mnie, inny świat moralny odsłaniał

się przed memi oczyma... Właśnie od tej epoki mógłbym datować moje całkowite zrzeczenie się świata...

I wierzy w to, patrząc z oddalenia.

W rzeczywistości ta reforma była z początku przedewszystkiem zewnętrzną. I nigdy nie będzie się wiedziało i nigdy bez wątpienia on sam nie wiedział, do jakiego stopnia mieszała się w to chęć wyróżnienia się, chęć, aby być lepszym od innych.

Trzeba powiedzieć, że to w chwili wyjścia z »ciężkiej choroby« (ale u niego nie trzeba ich już liczyć) postanawia zgodzić życie z zasadami, »nie frasując się bynajmniej o sąd ludzki«, — »zamiar być może największy, mówi, lub bynajmniej najużyteczniejszy dla cnoty, jaki śmiertelnik powziął kiedykolwiek«.

Przedewszystkiem rezygnuje z grzeczności. Ale o tyle jest otwarty, że daje nam następujący powód:

Ponieważ moja głupia i posępna nieśmiałość, której nie mogłem przezwyciężyć, miała za przyczynę obawę uchybienia konwenansom, postanowiłem, aby się ośmielić, rzucić je pod nogi. Stałem się kostyczny i cyniczny przez wstyd; przesadzałem w pogardzie dla grzeczności, której nie umiałem wprowadzać w życie.

To mu się prawie udaje, ale nie całkiem. Pani d'Épinay mówi o nim w swoich »Pamiętnikach*: »Mówi konplimenty, nie będąc grzeczny«. Połączenie dziwne. Przeciwnieństwo byłoby godniejsze mędrca.

Reformuje swoje ubranie:

Porzuciłem, mówi, pozłoty i białe pończochy; włożyłem okragłą perukę; porzuciłem szpadę; sprzedałem zegarek, mówiąc sobie z nieopisaną radością: nie będę więcej potrzebował wiedzieć, która godzina.

Nie pragnie więcej podarunków i staje się bardzo obraźliwy na tym punkcie. Widać, jak się to powtarza pięćdziesiąt razy w jego korespondencji aż do najbardziej chorobliwej drażliwości. Prawda, że Teresa będzie je dalej przyjmowała, ale bez wiedzy Jana Jakóba.

Opuszcza doskonałe miejsce kasyera, które miał u generalnego dzierżawcy Francueil'a, częścią (bo lojalnie podaje oba powody), ponieważ urząd był zbyt poniżający i wzbu-
dzał w nim tylko niesmak, częścią, ponieważ »jego zasady nie mogły się zgodzić z tak im przeciwnym stanowiskiem«.

I, aby zarobić na życie, zostaje kopistą nut (po dzie-
sięć susów stronica, trochę więcej, niż zwykła cena). — Nie poświęcał się temu zawodowi mimochodem, na jeden sezon, aby zadziwić współczesnych. Utrzymywał się czę-
ścią z tego zawodu całymi latami i zdaje się przez resztę życia, wyjąwszy lata spędzone w Szwajcaryi, w Anglii i w Delfinacie. I przyjemność z budzenia podziwu całkiem jest widoczna: ale także naprawdę to zajęcie, które zresztą zupełnie go nie poniżało, zgadza się z jego upodobaniami. Jest leniwcem i kaligrafem.

Zauważcie, że prawie wszyscy poeci mają piękne pi-
smo i to im sprawia przyjemność. Rękopisy Racine'a, Hu-
gona, Leconte de Lisle'a, de Hérédia są godne podziwu. Podobnie rękopisy Rousseau'a. Sam robił dla przyjaciół ka-
ligraficzne kopie swych dzieł. Skopiował dwa razy — dla pani d'Épinay i dla pani de Luxembourg — tysiąc dwieście stron »Nowej Heloizy«; skopiował co najmniej trzy razy pięćset czterdzieści stron swoich »Dyalogów«. Dawny uczeń od rytownika lubił wypisywać piękne litery, przedewszyst-
kiem kiedy te piękne litery stwarzały zdania, których był autorem. Ale można także mieć upodobanie w rysowaniu pięknych nut z pięknymi kluczami, pięknymi klamrami, pię-
knymi haczykami i diezami.... Młody Marsylińczyk Eymar zachwycił się w 1774 r. doskonałością kopii muzycznych Rousseau'a.

Ten rodzaj »nawrócenia się« Jana Jakóba nie miał oczywiście wielkiego podobieństwa z nawróceniem Pascal'a lub Rancé'go. To też nigdy nawrócenie nie miało takiego sukcesu światowego. Rousseau dzikus, Rousseau niegrze-
czny, Rousseau bez szpady i bez zegarka a nadewszystko

Rousseau kopista nut, poruszył cały elegancki Paryż tego czasu. Wszystkie piękne damy chciały mieć nuty skopowane jego ręką. — Gdyby Tołstoj osiadł jako szewc w Paryżu, wszystkie nasze piękne socyalistki chodziłyby do niego zamawiać buciki.

Rousseau cieszy się głęboko z tej ciekawości, obudzonej jego nawróceniem.

Mój pokój, mówi, nie pustoszał od ludzi, którzy pod różnymi pozorami przechodzili zabierać mi czas.... Nie mogłem odmówić całemu światu.... Wkrótce powinno się było pokazywać mnie, jak poliszynela, po tyle a tyle od osoby.

Owoż w tym samym czasie, kiedy zdobył ten sukces cnoty, — jesteśmy zniewoleni uwierzyć (bo te rzeczy dzieją się w 1750 i 1751 roku) — umieścić co dopiero lub miał umieścić wkrótce w Domu Podrzutków swoje trzecie lub czwarte dziecko.

To dlatego, ponieważ jego reforma nie jest zupełnie reformą wewnętrzną lub przynajmniej nie jest nią jeszcze. Wbrew upodobaniu do materyjalnej samotności, zajmuje się tylko wrażeniem, jakie robi na innych. Mówi, że trzęsie jarzmem opinii, że ją wyzywa, ale wyzywać z taką miną, to znaczy zawsze o niej myśleć. Reforma moralna tak mało dyskretna, tak mało cicha, jest naprawdę podejrzana. — W chwili kiedy się stara zstąpić w siebie, trud jest spaczony przez to, że jeśli się bada, to nie aby wypowiadać się jednemu człowiekowi, duchownemu, ale całemu światu, i że mniej łączy, aby zerwać moralny owoc badania siebie, niż aby uchwycić efekt publiczny swej spowiedzi. Z tego powodu, i dlatego, że kiedy jednym okiem patrzy w głąb siebie, drugim zezuje na zewnątrz, można powiedzieć, iż ten samotnik, który tyle o sobie opowiada, nie zna się zbyt dobrze i ma prawie ciągle złudzenia co do samego siebie. Kochać siebie samego nad miarę przeszkadza w poznaniu siebie i na odwrót. Zaledwie postanowił być lepszym, już wierzy, że nim jest.

Wielki wróg nauk i literatury, sztuk i zbytku, więcej niż kiedykolwiek obraca się w świecie zbytku, literatury, nauk i sztuk. Zrzedzi, że to go porywa, ale się porywać pozwala. W dalszym ciągu pisze i komponuje. Wystawia »Narcyza« (bez powodzenia) w Komedyi Francuskiej 1752. Koło tego samego czasu komponuje »Czarodzieja wiejskiego«. I sprzeczność jest tak rażąca między jego zasadami i jego zajęciami, że się sam spostrzega i że, aby się usprawiedliwić, pisze ciekawą przedmowę do »Narcyza«, drukowaną w roku 1753.

Podjmuje w niej przedewszystkiem swą tezę. Stwierdza, że zamięłowanie w literaturze »może się urodzić tylko z dwóch złych źródeł, to znaczy z próżniactwa i z pragnienia, aby się wyróżnić« (pragnienia, z którego on zapewne stanowił wyjątek). Co do nauki, »nie jest ona wogóle stworzona dla człowieka, błądzi on bez ustanku w poszukiwaniu za nią«. Filozofia jest rozkładnikiem obyczajów i zwyczajów... Tu wymyka mu się ta wspaniała obrona tradycji:

Najmniejsza zmiana w obyczajach, gdyby nawet korzystna była pod pewnymi względami, obraca się zawsze na krzywdę obyczajów; bo obyczaje są moralnością ludu; i od chwili kiedy lud przestaje je szanować, ma za kierownika tylko swe namiętności, a za hamulec tylko prawa, które mogą czasem powstrzymać złych, ale nigdy nie mogą ich zrobić dobrymi.

Wkońcu filozofia robi człowieka dumnym i twardym: »...rodzina, ojczyzna stają się dlań wyrazami bez znaczenia: nie jest on ani niczym krewnym, ani obywatelem, ani człowiekiem, on jest filozofem«.

Otóż ze zdrowej części duszy Rousseau'a, ze starego podłoża oddziedziczonego, błyskają czasem piękne światła.

Ale, dorzuca, kiedy naród został do pewnego stopnia zepsuty przez nauki i sztuki, lepiej je przecie zachować. — Bo nauki i sztuki, przyczyniwszy się do zaniepokojenia błędów, są potrzebne, aby nie pozwolić im zamienić się w zbrodnie; one niszczą cnotę, ale pozostawiają z niej cień publiczny, który zawsze jest coś wart; one wprowadzają

na jej miejsce grzeczność i przyzwoitość; i obawę, aby nie okazać się złym, zastępują obawą, aby nie okazać się śmiesznym.

A dalej:

Nie chodzi już o to, aby skłonić ludy do dobrych uczynków, należy jedynie przeszkodzić w czynieniu zła; trzeba je zająć głupstwami, aby je odwrócić od złych postępów.

I wreszcie:

Jest rzeczą zasadniczą posługiwać się dzisiaj naukami i literaturą, jako lekarstwem na zło, które wywołały...

A więc można się porozumieć! I Jan Jakób może z całym spokojem sumienia pisać dalej komedyjki i małe opery.

»Narcyz czyli zakochany w sobie samym« jest wyszukaną komedią bez znaczenia. — »Czarodziej wiejski«, daleko lepszy, nadewszystko przez muzykę, — gdzie widać starego chłopca, który uchodzi za czarodzieja i uczy Kolette, jak odzyskać Kolina przez podniecenie zazdrości — to sztuka ludowa, ubrana we wstążki, do czego bardzo są podobne małe opery komiczne Favart'a. Nie łatwo, co prawda, zrozumieć, w czym to ładne widowisko, równocześnie bardzo sztuczne i dość lubieżne, ze swą muzyką czułą i wiejskimi tańcami teatralnymi, może zaradzić straszemu złu, spowodowanemu przez nauki i sztuki. Ale jest rzeczą pewną, że powodzenie »Czarodzieja« sprawiło wielką radość Rousseau'owi.

»Czarodzieja« grano najpierw w 1752 w Fontaineblau, wobec dworu. Ośm do dziesięciu stron »Wyznań«, gdzie nasz dzikus opowiada nam o tem przedstawieniu, technie z każdego wiersza próżnem upojeniem arcyautora. Zachował ubiór pustelnika, miał długą brodę i okrągłą perukę »dość źle uczesaną« — jak powiada; król, królowa, rodzina królewska, wszyscy najwięksi panowie i największe damy patrzyli na niego jak na ciekawe zwierzę: co za szczęście! »....Oddawałem się w pełni — mówi — przyjemności napawania się sławą... Ci, co widzieli to przedstawienie, mu-

szą zachować je w pamięci, gdyż efekt był jedyny w swym rodzaju«.

A oto odwrotna strona medalu, — niestety, ubolewania godna! — Księżę d'Aumont kazał mu powiedzieć, żeby się znalazł na drugi dzień w zamku i że go przedstawi królowi i że chodzi o pensję i że król chciał ją osobiście zapowiedzieć autorowi. A teraz słuchajcie:

Czy dacie wiarę, że noc, która nastąpiła po tak wspaniałym dniu, była dla mnie nocą udręceń i niepewności! Moja pierwsza myśl po myśli o przedstawieniu odnosiła się do częstej potrzeby wychodzenia na stronę, która mi wiele sprawiała przykrości w wieczór przedstawienia i która mogła mnie dręczyć dnia następnego, kiedybym był w galerii lub w apartamentach królewskich, między tyłu wielkościami, czekając na przyjście jego królewskiej mości. To niedomaganie było głównym powodem, który mnie trzymał zdala od towarzystwa i przeszkadzał mi zamykać się u kobiet. Myśl sama o stanie, w jaki ta potrzeba mogła mnie wprowadzić, była mnie zdolna weń wprowadzić, chyba gdyby nieszczęście się zdarzyło, nad co przeniósłbym śmierć.

Następnie boi się, że się okaże niezręcznym, że mu zabraknie dowcipu, że wymknie mu się jakie głupstwo. »Chciałem, mówi, nie porzucając przyjętego przeze mnie wyglądu i tonu surowego człowieka, okazać się wrażliwym na zaszczyt, który mi robił tak wielki monarcha. Należało zamknąć jakąś wielką i pożyteczną prawdę w pochwałę pięknej i zasłużonej«. I Jan Jakób boi się chybić. — Wreszcie przypomina sobie, w odpowiedniej chwili, swe zasady. Jeśli przyjmie tę pensję, »żegnał prawdę, wolności, odwagę! Jakżeż mieć czoło mówić o niepodległości i bezinteresowności?« Słowem, wymyka się. I nigdy nie będziemy wiedzieli i on sam nigdy zapewne nie wiedział, czy odmówił audyencji i pensji przez dumę republikańską, czy też przez obawę, że będzie musiał wyjść podczas audyencji.

W kilka miesięcy później »Czarodzieja« grają w Paryżu. Rousseau dostał sto ludwików od króla, pięćdziesiąt ludwików od pani de Pompadour, pięćdziesiąt ludwików

z Opery, pięćset franków z księgarni Pissot, i inne jeszcze zyski. — Być może to powodzenie zwróciłoby Jana Jakóba ku teatrowi i muzyce. Byłby może został czemś w rodzaju Grétry'ego lub Gossec'a. Byłby może zrezygnował z poświęcenia całego życia szkodliwości sztuk, pisząc komedye i opery. Wszystko popychało go w tę stronę, jego upodobania i jego interes. Byłby zachował zresztą zyski z oryginalności zewnętrznej: okragła peruka, broda i kaprysy przyczyniłyby się do powodzenia tego grajka na flecie...

Ale Akademia w Dijon czatowała na niego.

Akademia w Dijon znowu go popycha, stawiając tę kwestję w »Merkurze« z listopada 1753 roku: Jakie ma źródło nierówność między ludźmi? I czy jest ona oparta na prawie natury?

Widocznie Akademia w Dijon, dumna ze swego laureata i z rozgłosu, który sprawił, zadawała tę kwestję dla Jana Jakóba. Ponadto pierwiastki jego przewidywanej odpowiedzi już są rozrzucone w jego odpowiedziach Stanisławowi i Bordes'owi. Jan Jakób odpowie. Nie może nie odpowiedzieć. To sprawa skończona, on jest niewolnikiem swej roli.

Akademia w Dijon składała się, wyobrażam sobie, z ludzi bardzo dzielnych i bardzo konserwatywnych, jednak trochę dotkniętych, być może, duchem czasu; z bogatych mieszczuchów, urzędników, dawnych oficerów, enotliwych duchownych.*) I to ci dzielni ludzie, złapawszy Jana Jakóba, zmusili go, że tak powiem, do napisania najbardziej przesadnego i najbardziej rewolucyjnego z jego dzieł i wraz z »Umową społeczną« najbardziej brzemienne w konsekwencje dalekie i szkodliwe!...

Chyba, że w tej niewinnej Akademii z Dijon było kilku ludzi szczególnie przewrotnych, których nie poznamy nigdy.

*) Buffon i Piron byli członkami tej Akademii, ale nigdy prawie nie byli obecni na zebraniach.

CZWARTA POGADANKA.

»ROZPRAWA O NIERÓWNOŚCI«. — ROUSSEAU W ERMITAŻU.

Pytanie Akademii z Dijon było następujące:

Jakie ma źródło nierówność między ludźmi?
I czy prawo natury ją usprawiedliwia?

Odpowiedź Rousseau'a w tem, co się odnosi wprost do pytania Akademii, jest następująca: 1. Źródłem nierówności jest własność, ustanowiona i podtrzymywana przez życie społeczne. — 2. Prawo natury sprzeciwia się nierówności, ponieważ ludzie w stanie natury są równi, odosobnieni i dobrzy: to właśnie społeczność ich zepsuła.

Ale »Rozprawa« Rousseau'a jest poprostu zatytułowana: »Rozprawa o źródle i podstawach nierówności między ludźmi«. — Ten tytuł sam wskazuje, że nie odpowiada metodycznie na dwa zapytania Akademii w Dijon. Nie odpowiada za pomocą definicji i rozumowań, ale przez twierdzenia, opisy i obrazy. Odpowiada, przechodząc na swój sposób historję ludzkości od pierwszych wieków, trochę jak Lukrecyusz w V ks. swego poematu, albo jak Buffon w »Siódmej epoce natury«, ale z większym rozwinięciem i w innym duchu. Jego »Rozprawa« jest ostatecznie poematem; jest to romans o ludzkości niewinnej, potem zdeprawowanej.

Zacznijmy, mówi Rousseau, od wyłączenia wszystkich faktów (jak to przekonywające!), bo wcale nie dotyczą sprawy. Nie należy brać badań, do których dojść można w tym przedmiocie, za

prawdy historyczne (na szczęście), ale tylko za rozumowania hipotetyczne i warunkowe, bardziej zdolne wyświetlić istotę rzeczy, niżli wykazać prawdziwe ich pochodzenie, i podobne do tych, jakie codziennie podejmują nasi fizycy nad formacją świata.

Otośmy uprzedzeni. Opowiada nam to, co przypuszcza, i można śmiało powiedzieć, że snuje marzenia. Mówiłem słusznie: — »Czytajmy jego »Rozprawę« jak powieść». — Ciągnie dalej:

O człowieku! oto twoja historia, taka, jaką sądziłem, że czytam nie w księgach twoich bliźnich, którzy są kłamcami, ale w naturze, która nigdy nie kłamie.

Doskonale; ale co to jest »natura«? — Mogę wam powiedzieć teraz, że nie sędzę, aby Rousseau dał gdziekolwiek definicję dokładną, naukową tego tajemniczego wyrazu, którego używał z takim zapalem.

Ciągnie dalej:

Jest wiek, w którym człowiek, jako jednostka, chciałby się zatrzymać: poszukasz wieku, w którym chciałbyś, żeby twój gatunek był się zatrzymał.

Szukajmy go więc. — Zaczem Rousseau wstępuje w swą »część pierwszą«: historię pierwotnej ludzkości aż do ustanowienia własności.

Rozważając, powiada, człowieka, jakim winien był wyjść z rąk natury..., widzę zwierzę mniej silne, niż jedne, mniej zręczne, niż inne, ale wogóle najkorzystniej ukształtowane ze wszystkich; widzę, jak odpoczywa pod dębem, jak gasi pragnienie w pierwszym lepszym strumieniu, jak znajduje łożo u stóp tego samego drzewa, które mu dostarczyło pożywienia; i oto zaspokojone są jego potrzeby.

Pokazuje go nam następnie:

Naśladującego przemyślność zwierząt... wznoszącego się (ten wyraz tam jest) aż do zwierzęcego instynktu... łączącego w sobie instynkty właściwe każdemu gatunkowi zwierzęcemu... żywiącego się na równi większością rozmaitych pokarmów, które inne zwierzęta między siebie dzielą, i wskutek tego znajdującego środki do utrzymania łatwiej, niż każde inne z nich.

Ci pierwsi ludzie są z konieczności i dziedzicznie silni. Już co do tego punktu mogą się tylko degenerować.

Ponieważ ciało człowieka dzikiego jest jedynym narzędziem, jakie zna, więc używa go do różnych celów, do których z braku ćwiczenia nasze jest niezdolne; i to nasz przemysł odbiera nam siłę i zręczność, które nabyć zmusza potrzeba. Gdyby miał siekiere, czyżby pięścią łamał tak grube gałęzie? Gdyby miał proce, czyżby rzucał kamieniem z takim wyteżeniem? Gdyby miał drabinę, czyżby się wdrapywał na drzewa tak łatwo? Gdyby miał konia, czyżby biegał tak szybko?

Więc (a nie naciagam myśli Rousseau'a i tylko wysnuwam najbliższe konsekwencje) siekiera, proca, drabina, oswojenie konia, oto wynalazki całkowicie godne pożałowania. Człowiek natury nie może zrobić ani kroku naprzód, nie upadając równocześnie.

Podoba się następnie Rousseau'owi twierdzić, że człowiek w stanie natury nie ma, żeby tak powiedzieć, ani chorób, ani słabości i że śmierć przychodzi prawie zawsze z powodu starości. (Lukrecyusz nie jest zupełnie tego zdania. Powiada on, że pierwsi ludzie »nie umierali o wiele liczniej, niż cywilizowani«, »non nimio plus«. Zatem umierali co najmniej tak samo).

Jan Jakób ciągnie dalej:

Większość naszych cierpień jest naszym własnym dziełem i uniknęlibyśmy wszystkich prawie, zachowując sposób życia prosty, jednostajny i samotny, który nam przepisuje natura.

»Samotny«, ponieważ tłumaczy nam gdzieindziej, że człowiek natury nie kłopotuje się o to, aby mieć samice w mieszkaniu, i że, kiedy jego dzieci mogą same znaleźć pożywienie, pozwala im iść własną drogą. — Rousseau podejmuje i podwaja śmiałość tezy:

Jeśli natura przeznaczyła, byśmy byli zdrowi, śmiem prawie zapewnić, że stan refleksji jest stanem przeciw naturze i że człowiek, który medytuje, jest zwierzęciem zepsutem.

Oto zdanie, które musiał pisać z rozkoszą, aby podrażnić filozofów i zadziwić piękne damy. Jest ono zresztą tylko impertynenckie i nie ma wiele sensu, skoro z jednej

strony nie widać, w czym myślenie i to, co z niego wypływa, koniecznie ma przeszkadzać człowiekowi do zdrowia; skoro z drugiej strony człowiek nie może powstrzymać się od myślenia równie, jak od jedzenia i picia, i skoro ćwiczenie umysłu jest widocznie równie dlań naturalne, jak ćwiczenie członków. — Ale Jan Jakób się zapędził: więc idzie i idzie! Zapewnia, że każdy wynalazek jest co najmniej bezużyteczny:

Jasne jest, że pierwszy człowiek, który zrobił sobie ubranie czy mieszkanie, zaopatrzył się przez to w rzeczy potrzebne mało, skoro obchodził się bez nich dotąd, i że nie można zrozumieć, czemu by nie mógł znosić, jako człowiek dojrzały, sposobu życia, który znosił od dzieciństwa.

Więc nieruchomość umysłu byłaby najwyższem dobrem. — Rousseau uznaje, że jedna cecha odróżnia człowieka od zwierzęcia: zdolność doskonalenia się. Ale jeśli ona »odróżnia« człowieka od zwierzęcia, jest tedy »przyrodzona« człowiekowi, jest tedy zgodna z »naturą«, zatem godna poważania. Jan Jakób nie robi sobie tego zarzutu i ciągnie dalej nieustraszenie:

Byłoby smutnem dla nas, gdybyśmy musieli się zgodzić, że ta zdolność wyróżniająca i prawie nieograniczona jest źródłem wszystkich nieszczęść człowieka; że to ona właśnie wyciąga go siłą czasu z tych pierwotnych warunków, w których pędził dni spokojne i niewinne.

(Co on o tem wie?) Ale to nie wszystko i jeszcze nie wyczerpał swego łatwego paradoksu. Zadaje sobie pytanie, jak człowiek mógł zrobić taki postęp. Odpowiada: — Przez mowę. Ale jak człowiek wynalazł mowę? — Nie wiadomo. Prawie jest niemożliwością zdać sobie z tego sprawę. Rousseau pisze tutaj o początku języka kilka stron, które za doskonałe uważam. Ale posłuchajcie konkluzji:

Z tego, że natura podjęła tak mało trudu, aby zbliżyć ludzi z powodu ich wzajemnych potrzeb i aby im ułatwić użytek mowy, widać co najmniej, jak mało przygotowała ich uspołecznienie i jak mało przyczyniła się do ustanowienia związków między nimi.

Inaczej mówiąc: — Człowiek wynajdując mowę, postąpił przeciw życzeniu natury; a dowodem jest, że ten wynalazek spowodował wszystkie jego dyabelskie nieszczęścia. — I tak, wyraziwszy żal w pierwszej »Rozprawie« z powodu wynalazku druku, Rousseau ubolewa tu nad wynalazkiem mowy.

Załatwiwszy ten szczegół, stwierdza na nowo, że ludzie w stanie dzikości byli szczęśliwsi. — Nie mając zresztą wzajemnie moralnych stosunków żadnego rodzaju, ani wspólnych obowiązków, nie mogli być ani dobrzy ani zli i nie mieli ani wad, ani cnót. Doznawali tylko uczucia litości, uczucia naturalnego. (Czyż doznawali go wszyscy? Cóż on o tem może wiedzieć? A jeśli nie doznawali go wszyscy, to znaczy, że byli już dobrzy i zli). Ale oddajmy mu głos:

To właśnie litość w stanie natury zajmuje miejsce praw, obyczajów i cnoty, z tą wyższością, że nikogo nie kusi chęć nieusłuchania jej słodkiego głosu. (Naprawdę?) To ona właśnie odwraca każdego silnego dzikiego od chęci odebrania słabemu dziecku lub bezsilnemu starcowi środków do życia, zdobytych z trudem, jeśli on sam ma nadzieję znaleźć własne środki gdzieindziej. (A jeśli nie ma nadziei?)

A cierpienia, gwałty i nieporządki w miłości? — To bardzo proste: ludzie pierwotni są wolni od nich. To społeczeństwo, cywilizacja i prawa stworzyły te nieporządki... Nie mając pojęcia o pięknie, dziki nie wybiera:

Słucha jedynie temperamentu, który otrzymał od natury a nie smaku, którego nie mógł sobie wyrobić, i każda kobieta jest dobra dla niego.... Każdy czeka spokojnie impulsu natury i oddaje się mu bez wyboru, z większą przyjemnością niż wściekłością i po zaspokojeniu potrzeby wszystkie pożądania gasną.

Rousseau stwierdza dalej, że nierówność jest daleko mniejsza w stanie natury, gdzie ludzie żyją w rozproszeniu i mają tylko »minimum« potrzeb i tak konkluduje pierwszą część:

Wykazawszy, że nierówność zaledwie da się odczuć w stanie natury i że jej wpływ wtedy ogranicza się niemal do zera, pozostaje

mi wykazać jej początek i jej postęp... i rozważyć różne przypadki, które mogły ulepszyć rozum ludzki, psując gatunek, i istotę uczynić złą, uspołeczniając ją.

I dodaje (co nie jest bez wartości), że to są zresztą tylko »koniektury«.

Druga część, to szeroki szkic historii politycznej ludzkości. Zaczyna tym efektownym ustępem:

Pierwszy człowiek, który, ogrodziwszy grunt, powiedział: To moje, i znalazł ludzi dość ślepych, by temu uwierzyli, był prawdziwym założycielem społeczeństwa cywilnego. Ileż zbrodni, wojen, morderstw, ileż nieszczęść i ohydy oszczędziłby rodzajowi ludzkiemu ten, kto, wyrывая słupy czy wyrównując rowy, zawołałby do swoich bliźnich: Strzeżcie się słuchać tego oszusta! itd.

Po tem uderzeniu w tam-tam, cofa się, podejmuje historię ludzkości, gdzie ją porzucił, i dalej ciągnie żałosne wyliczanie wstrętnych postępów ludzkości.

Bo każdy postęp sprowadza nieszczęście:

Ludzie, korzystając ze swobodniejszego czasu, użyli go, aby sobie dostarczyć rozmaitych odmian w wygodach... Ale potem tracąc je byli nieszczęśliwi, nie zaznawszy szczęścia z ich posiadania.

...Ludzie poznają wybór w miłości. Ale zazdrość budzi się z miłością i najsłodsza z namiętności dostaje ofiary z krwi ludzkiej.

...Przyzwyczajają się do zgromadzeń... Każdy zaczyna przyglądać się innym i pragnąć, aby był oglądany, i szacunek publiczny nabiera ceny... Ale później, gdy każdy karze za pogardę, którą mu okazano, czyny zemsty stają się straszne a ludzie gwałtowni i okrutni.

I tak dalej. — (Rousseau ustanawia tu różnicę, do której powracać będzie bardzo często, między egoizmem człowieka dzikiego i samotnego, egoizmem pożytecznym i nieszkodliwym, a miłością własną ludzi żyjących w społeczeństwie, która jest szkodliwa).

Tymczasem Rousseau przychodzi do etapu w rozwoju ludzkim, gdzie chciałby, aby się była ludzkość zatrzymała. Mianowicie po początkach rolnictwa i życia w gminach i przed utworzeniem własności osobistej. Prawdę mówiąc, zgoda nie widać, czemu uważa za najlepszy ten moment

ludzkości, skoro nam przedtem powiedział, że rzekomy postęp, który ją do tego doprowadził, był tyłaz klęsk. Jakolwiekby było, obaczmy jego ideał:

I tak, chociaż ludzie stali się mniej odporni i chociaż litość naturalna uległa już kilku zmianom, ten okres rozwoju ludzkich zdolności, zajmując złoty środek między odrętwieniem pierwotnego stanu a ożywioną czynnością naszej miłości własnej... powinienby być epoką najszczęśliwszą i najtrwalszą. Czem więcej się nad tem myśli, tem bardziej się przychodzi do przekonania, że ten stan był najmniej podległy rewolucjom, najlepszy dla człowieka, i że człowiek z niego wyjść musiał tylko wskutek jakiegoś szkodliwego przypadku... Przykład dzikich, których znajdowano prawie zawsze w tym stanie, zdaje się potwierdzać, że rodzaj ludzki stworzony był na to, by w nim pozostać zawsze, że ten stan jest prawdziwą młodością świata i że wszelki późniejszy postęp stanowi pozornie tyleż drogi ku doskonałości jednostki, ile w istocie ku zgrzybiałości gatunku.

I Rousseau dalej opowiada nam to, co mu się podoba. Z uprawy ziemi wynika koniecznie jej podział i wskutek tego własność. — Z własności rodzi się współzawodnictwo, rywalizacja. Wkrótce są biedni i bogaci. Walka staje się straszna. — Zaczem bogaci i zręczni proponują ustanowić rząd i prawa »w interesie wszystkich«. — Zaczem rodzą się miasta i państwa. — Zaczem wybuchają wojny narodowe. — Zaczem ludy wybierają naczelników, aby bronić swej niepodległości. — Zaczem naczelnik staje się tyranem. — Deklamacje o wolności (której człowiek nie ma prawa nigdy się pozbyć). — Deklamacja przeciw despotyzmowi. — Tymczasem nierówność rośnie i rozmnąza się, a z nią wszystkie występki...

A oto konkluzja i streszczenie książki; konkluzja godna uwagi ze względu na ciężkość i na niejasność w pewnem miejscu:

Wynika z tego założenia, że nierówność, która prawie nie istniała w stanie natury, czerpie siły i wzrasta z rozwoju naszych zdolności i postępu ludzkiego umysłu, i w końcu ustala się i staje prawomocną przez ustanowienie własności i praw. Wynika także, że nierówność moralna, uprawnioną tylko przez prawo pozytywne, za każ-

dym razem sprzeciwia się prawu natury, kiedy nie zgadza się w tej samej mierze z nierównością fizyczną, co ma znaczyć, jak sądzę: za każdym razem, kiedy jednostka silna społecznie jest słaba umysłowo albo cieleśnie; rozróżnienie, które określa dostatecznie, co się powinno myśleć w tym względzie o rodzaju nierówności, panującym wśród ludów cywilizowanych, ponieważ jest widocznie przeciw prawu natury, jakkolwiekby się je określiło, żeby dziecko rządziło starcem, żeby łajdak kierował człowiekiem rozumnym i żeby garść ludzi opływała w nadmiar dóbr, podczas kiedy większości zgłodniałej brak rzeczy koniecznych.

Nad czym możnaby zrobić uwagę: — »Dziedziczenie, którego złą stronę Pan podaje, i nierówność majątku mogą być przeciw sprawiedliwości lub rozumowi, a nie przeciw naturze; już to Pan przeciwstawia naturę rozumowi, już to Pan je utożsamia«. Zatem przestaje się rozumieć.

»Rozprawa o nierówności« ma sto dziesięć stron. Rozebrałem ją wiernie, posługując się, o ile możliwości, własnymi zdaniem Rousseau'a, które obcinałem czasami, ale tylko aby je skrócić, nigdy zaś, aby zmienić ich znaczenie.

I myślę o tem:

— Oto więc jedno z najsławniejszych dzieł XVIII w., dzieło, które ostatecznie ugruntowało sławę Rousseau'a i które w czterdzieści lat potem najbardziej może działało (z »Umową społeczną«) na wrażliwość i wyobraźnię ludzi.

A jednak cóż za ubóstwo pod pozorami zuchwalstwa! Cała teza opiera się na przeciwieństwie natury, która ma być dobra, i społeczeństwa, które ma być złe: autor zaś nawet nie określa słowa »natura«. Ale Bóg wie, czy trzeba ją określić! Dla Buffona natura wydaje się zbiorem sił, z których składa się życie wszechświata. Dla Diderot'a natura to ateizm, to przeciwieństwo instytucji i praw i wkońcu to przyjemność. Dla Rousseau'a wydaje się, że natura to mają być instynkty i uczucia, z jakimi człowiek przychodzi na świat. Owoż chęć istnienia, chęć nieznoszenia cierpień, chęć życia w społeczeństwie, chęć nawet, by rozprze-

strzeć swoją istotę, by posiadać, by się wyróżnić i panować — należą widocznie i należały po wszystkie czasy do instynktów. Ale w oczach Rousseau'a nawet wynalazek siekiery i procy, rolnictwa i żeglugi są tyłaż klęsk; wybór w miłości jest klęską; utworzenie rodziny jest klęską; życie społeczne jest klęską; pojęcie dobra i zła jest klęską. Przyznaje nam, co prawda, że najlepszą chwilą dla ludzkości to był początek życia w gminach i cywilizacji rolniczej i pa-tryarchalnej; ale to, co mówi przedtem, odbiera mu prawo zrobienia tego ustępstwa; i jego ideałem, czy chce czy nie chce (chyba że kłamał przedtem), to ludzkość złożona z dzikich rozproszonych po lasach, bez ubrania, bez broni, ni dobrych ni złych, samotnych, niezmiennych, którzy nie rozmyślają zupełnie. Jak gdyby to było zajmujące i jak gdyby warto było, aby taka ludzkość istniała na świecie! Toż właśnie ta stagnacja w życiu ludzi pół-dzikich, byłaby przeciwna »naturze«!

I dlaczegoż, według niego, wyżej ją cenić? Ponieważ, jak stwierdza, równość jest lepiej zabezpieczona w stanie pierwotnym. Przedewszystkiem, nic on o tem nie wie: ponieważ nierówność siły mięśni w tym samym czasie, kiedy nie może być wynagrodzona przez inteligencję, mogłaby naprawdę być najcięższą ze wszystkich. Jak gdyby zresztą równość — i to równość w nieświadomości i w zbydlęceniu — była koniecznie najwyższem dobrem, dla którego wszystkie inne należy poświęcić! Prawdę mówiąc, ten kult jest bardzo dziwny w książce, która chce odkryć i uczcić intencje »natury«, będącej tak widocznie matką i mistrzynią nierówności na wszystkich stopniach bytu.

Zauważcie, że to zupełnie niemożliwe, aby ta głupia adoracja równości była szczerą u człowieka, który odczuwa swoją wyższość umysłową i który się nią rozkoszuje z przesadną dumą. — Chyba żeby był w usposobieniu ducha tego młodego socjalisty, który na zebraniu politycznem odpowiedział jednemu z moich przyjaciół: »Ależ my nie chcemy,

aby wszyscy byli szczęśliwi, lecz aby wszyscy byli tak nie-
szczęśliwi jak my».

Ale nie, to nie może być to, skoro Rousseau, przeciwnie, interesuje się tylko naszym szczęściem. Poprostu jego rola go trzyma. Oto trzeba, by zadziwiał markizów, dzierżawców jeneralnych i filozofów. Oto trzeba, by przeliczywał »Rozprawę o naukach i sztukach«. Ach! biedny człowiek, jakżeż się o to stara! To nie jest lekki paradoks, tak ceniony za jego czasu. To jest zadanie kłamu rozumowi całkiem surowo, całkiem bez obłonek i bez dowcipu, ponieważ nie ma go Rousseau i ponieważ jest skazany na to, aby zachować powagę w głupstwie. — Ale naprawdę zadziwia podobna niemoc myśli po wielkich dziełach XVII w. i nawet po dziełach Monteskiusza i Buffona. Że ta książka miała taki rozgłos i taki wpływ, oto jeden z najsilniejszych przykładów głupoty ludzkiej.

Ale można także powiedzieć:

— Tak, »Rozprawa o nierówności« byłaby rzeczą dość słabą poza stylem, wyrazem, wewnętrznym ogniem. Zarzuty bez końca, któreby można zrobić, wydają się naiwne i zbyteczne, ponieważ są zbyt łatwe, — tak łatwe, że się człowiek czerwieni, wypowiadając je, jeśli ma umysł trochę subtelny. Należy wziąć książkę inaczej. Należy ją uważać za rodzaj poematu, za wizję »nabi'ego«, proroka zielonego stolika, dobrze ułożoną i napisaną w stylu dydaktycznym i starannym. Nieprzejednanosć, nieustraszonosć, beczelność paradoksu nabiera wkońcu pewnej wielkości. Bóstwa czasu, Nauka, Postęp, Filozofia są tu metodycznie spoliczkowane. Dzieło, oglądane zdaleka, nabiera, jeśli się doda choć dobrą wolę, pozorów opowieści biblijnej, religijnego mytu. Rousseau odsuwa tylko epokę upadku. Stan łaski, to stan natury; grzech pierwotny, to cywilizacja, która rodząc nierówność, zabija braterstwo. Cywilizacja właśnie zerwała, na nasze nieszczęście, owoce z drzewa poznania.

Wierzajcie, że Rousseau znajduje rozrywkę w marzeniu. Ale nadto zobaczcie, że zostaje w duchu czasu, przyjmując pozory, jakoby go maltretował i lekcewał. Być reakcjonistą do tego stopnia, żeby dążyć do ideału zanikłego od pięciu czy sześciu tysięcy lat, to znaczy być rewolucjonistą, ponieważ, aby do niego wrócić, trzeba zniszczyć to, co nas odeń oddaliło. Czy chodzi o to, aby stworzyć wiek złoty, czy aby go odtworzyć, to jest to samo dążenie ku tej samej chimerze. — Dziś jeszcze marzenie rewolucyjne — równość miski przy najmniejszym wysiłku dla każdego, — czyż nie jest jak marzenie Rousseau'a, ideałem wstecznym?

Zresztą (a widzieliśmy to już w stosunku do pierwszej »Rozprawy«) Jan Jakób bardzo się stara — w korespondencji, w »Liście do d'Alembert'a«, nawet w »Umowie społecznej« i później w trzecim »Dyalogu« — złagodzić absurd swego paradoksu. Już w »Rozprawie o nierówności« wbrew wymaganiom logiki, wystrzega się dać nam jako ideał samotne życie człowieka orangutanga: zatrzymuje się na życiu pasterskim, na »złotym wieku« klasycznych poetów. W gruncie jego myśl jest następująca (to Faguet ją reasumuje z największą dla autora względnością): »Przekonanie, że człowiek jest przynajmniej z b y t społeczny, że należałoby przynajmniej ograniczyć istnienie w społeczeństwie do minimum, powrócić jeśli nie do odosobnionej rodziny, to przynajmniej do gminy, do klanu, do małego miasteczka; że w ten sposób zmniejszyłaby się ciężkość pracy, natężenie wysiłku i ogrom nierówności między ludźmi; że w ten sposób zmniejszyłyby się potrzeby sztuczne, sława, zbytek i życie światowe, rozkoszowanie się sztuką, że w ten sposób człowieka sprowadziłoby się do półzwierzęcości inteligentnej jeszcze, ale przede wszystkim zdrowej, spokojnej, wypoczętej, uczuciowej, co jest jego stanem natury, w każdym razie stanem szczęścia«.

A tak, to dobrze. Tak więc gnębi nas, was i mnie, to, co sztuczne w naszych obyczajach, tak więc myślimy, że

obeszlibyśmy się z łatwością bez ostatnich dobrodziejstw stosowanej nauki, ponieważ obchodziliśmy się bez nich przedtem; że ludzkość odwraca się prawdopodobnie tyłem do szczęścia; że cywilizacja przemysłowa jest złem tak jak nadmierne skupienie ludzi, tworzących wielkie miasta i wielkie narody; że byłoby dobrze powrócić do życia naturalnego i wiejskiego itd. Ale to tylko impresye bez konsekwencji, zacierające się szybko. Dodajcie, że nie wiadomo dobrze, gdzie się kończy natura, i że rozwój ludzkości, który nazywamy sztucznym, jest także w swym początku naturalny, tak naturalny, jak pierwotne uczucia, z których ostatecznie wyszedł.

Tylko, gdyby się Rousseau był zadowolił wzywaniem współczesnych do prostoty obyczajów, i gdyby im był polecał życie na wsi lub w miasteczkach, to to nie wydałoby się zbyt oryginalnem i nie narobiłoby wiele hałasu. Myśl jego wydałaby się dość skromna, gdyby jej nie był szalenie przesadził. I dlatego na początku bił w gongę. — Ale to gniewa mimo wszystkiego, że najgorliwsi przyjaciele Rousseau'a są zmuszeni w swych komentarzach rozróżniać między tem, co powiedział (a co jest często niedorzeczne), a tem, co zapewne myślał. Wydaje się, że rozumują tak: »Dowodem, że to co powiedział, nie było tem, co chciał powiedzieć, jest, że to, co powiedział, zbyt łatwo zbić. Umysł, choć trochę subtelny, nie bierze go dosłownie; byłoby to po grubiańsku«. — Niechaj będzie. Jakkolwiek się go weźmie (a później, niestety, ludzie brutalni wezmą go dosłownie i to nie, by go zbijać), ta różnica między myślą a słowem, to szarlatanizm; i prawie jest niemożliwością dać jej inną nazwę. — I w istocie tę właśnie nazwę dawała mu najrozsądniejsza część społeczeństwa ówczesnego, a mianowicie kółko pani du Deffand i Choiseul'ów.

Jest jednak jasną rzeczą, że ten szarlatanizm był jedną z najbardziej decydujących przyczyn powodzenia tej »Rozprawy o nierówności«. — Poza tem ta »Rozprawa«

jest jednym z dzieł Rousseau'a, gdzie najwięcej jest goryczy i żalu i gdzie tętni najsilniej ton rewolucyjny. To jest daleko rzadsze w innych jego książkach. Skąd więc pochodził ten jego ton?

Rousseau stara się w »Wyznaniach« wmówić w nas, trzy- lub czterokrotnie, że to taka lub inna przygoda z jego dzieciństwa czy młodości obudziła w nim na całe życie nienawiść niesprawiedliwości. Ale sędzę, że to są refleksye ex post. Wypadki, jakie podaje: plagi niesłuszne, które mu wymierzył wuj Bernard, historya chłopca, który, nastraszonego przez skarb państwa, chowa swoje dochody, jego nieporozumienie z p. de Montaigne, to może nie wystarcza do zdecydowania rewolucyjnego powołania. Są, co prawda, jego wspomnienia lokajskie, i gorycz, jaką mu sprawiały jego słabości. — Ale wydaje się bardziej prawdziwe, lub tak samo prawdziwe, że tą goryczą natchnął go Diderot, którego to bawiło. Jan Jakób mówi nam to w dwóch notach »Wyznań«:

Nie wiem, w jaki sposób wszystkie rozmowy z Diderot'em nastrojały mnie bardziej satyrycznie i zgryźliwie, niż moja natura.

I jeszcze:

Diderot nadużywał mego zaufania, aby nadać moim pismom ten ton twardy i ten wygląd czarny, których nie miały już od czasu, kiedy przestał mną kierować.

Jakkolwiekby się rzecz miała, to, co najwięcej prawdopodobnie w »Rozprawie o nierówności« poruszało wielki świat i co najwięcej działało w czterdzieści lat później, to prawdopodobnie komunały emfatyczne czy gwałtowne, jak np. (wskazuję tylko początek i jakby pierwsze modulacje):

O wolności:

Jak rumak nieokiełznany najeża grzywę, uderza nogą o ziemię i rzuca się gwałtownie za samem zbliżeniem wędzidła, podczas kiedy koń ujeżdżony znosi cierpliwie różgi i ostrogi: tak człowiek barbarzyński nie poddaje zgoła głowy pod jarzmo, które człowiek cywilizowany

znosi bez szemrania, i przekłada najbardziej burzliwą swobodę nad spokojne niewolnictwo...

O bogatych:

...Dowiodę wkońcu, że jeśli widać garść możnych i bogatych na szczycie wielkości i szczęścia, podczas kiedy tłum pogrążony jest w ciemności i biedzie, to dlatego, ponieważ pierwsi cenią rzeczy, z których korzystają o tyle tylko, o ile inni są ich pozbawieni, i że bez zmiany stanu przestaliby być szczęśliwi, gdyby lud przestał być biedny...

O tyranach:

...Właśnie z łona tego nieporządku i tych rewolucji — despotyzm, wznosząc stopniowo ohydą głowę i pochłaniając wszystko, coby spostrzegł dobrego i zdrowego we wszystkich częściach państwa, doszedłby nareszcie do podeptania praw i ludu, i do ustalenia się na ruinach republiki...

I wkońcu wszędzie jest rozrzucony na tych kartach, gdzie brak »subtelnej umysłu«, ten tępy kult równości, który odnajdziemy w »Umowie społecznej« i który posiada wielką siłę propagandy, bo mniej odpowiada poczuciu sprawiedliwości, niż instynktom zazdrości. — Słowem, widać już w tej drugiej »Rozprawie« (i to lepiej niż w pierwszej), że właśnie Rousseau nada ton rewolucji i że zaopatrzy ludzi z 93 roku wzorami i komunałami, ziarnami nienawiści równie ślepymi, jak te komunały są brutalne i powierzchowne.

Tym razem Akademia w Dijon nie nagrodziła rozprawy Rousseau'a. Nawet tak »oświecona«, jak była, nie takiej spodziewała się rozprawy.

Lata, które następują, należą, jak sądzę, do najmniej nieszczęśliwych w życiu Jana Jakóba. Rozkoszuje on się poczuciem, że jest tak dobry — i ponadto sławny. Przypomina sobie swą małą ojczyznę, Genewę, gdzie zaczęto czuć z jego powodu dumę. Dedykuje »Rozprawę o nierówności« »Republice Genewskiej«. Nie posiadał już wiary katolickiej, jeśli wogóle miał ją kiedy w całości. Sądząc, że człowiek

powinien wierzyć w Boga a zresztą iść za religią swojej ojczyzny, udaje się do Genewy, aby publicznie powrócić do religii protestanckiej i podjąć swój tytuł obywatela; i cieszy się z powrotu jako tryumfator do tego miasta, skąd uciekł, szesnastoletni włóczęga, przed dwudziestu sześciu laty.

Udając się do Genewy, wstąpił do Chambéry i odwiedził panią de Warens:

Zobaczyłem ją znowu. W jakim stanie, mój Boże! Jakie upodlenie! Cóż jej pozostało z dawnej cnoty?... Powtarzałem jej żywo i nadaremnie nalegania, ponawiane wielokrotnie w listach, aby przyjechała żyć spokojnie ze mną, który chciałem poświęcić dni swoje i Teresy, aby jej dni spokojniejszymi uczynić.

Cóż za czarujący obraz! A dalej podaje nam to krótkie opowiadanie, z którego wynika, że Teresa była także »kobietą czułą«:

Podczas mego pobytu w Genewie, pani de Warens pojechała do Chablais i przybyła mnie odwiedzić w Grange-Canal. Brakowało jej pieniędzy na zakończenie podróży; nie miałem przy sobie tyle, ile potrzeba było, i posłałem jej w godzinę później przez Teresę. Biedna mama! Niech mi wolno będzie wspomnieć o jednym rysie jej serca. Jako ostatni klejnot został jej mały pierścionek; zdjęła go z palca, aby włożyć na palec Teresy, która natychmiast włożyła go na nowo na palec tamtej, całując tę szlachetną rękę, którą oblała łzami.

I nie powiem wam, czy to jest wzruszające czy komiczne, bo nie wiem zgoła. Ale odnajdziemy w »Nowej Hełozie« to zboczenie idei moralnej i ten gatunek błogosławionej pewności w dwuznacznych sytuacjach.

W Genewie przyjmują go bardzo dobrze. Czuje się jak wśród swoich. Odnajduje w sobie pierwszy podkład protestancki i republikański. Powraca zadowolony. Właśnie w tej epoce (koło 1755) zaczyna traktować Teresę jak siostrę; bądź (bo co do niego nigdy nie można wiedzieć) ponieważ stan jego zdrowia nie pozwala mu traktować jej inaczej, bądź dla tej innej bardzo szlachetnej przyczyny, którą podaje: »Obawiałem się recydywy (to znaczy nowych dzieci) i nie chcąc ry-

zykować, wołałem skazać się raczej na wstrzemięźliwość. Rozkoszuje się swoim heroizmem, rozkoszuje się swoją oryginalnością, rozkoszuje się pięknoscią swojej maski, której już nie rozróżnia od swej twarzy. Żyje w stanie egzaltacji, moralnego entuzjazmu, który trwał »co najmniej cztery lata«, mówi najpierw, albo »blisko sześć lat«, mówi na stronie następnej.

Posłuchajcie tego wspaniałego ustępu:

Do tego czasu byłem dobry; odtąd stałem się cnotliwy a przy najmniej upojony cnotą....

(Och! jakżeż to nie to samo! i jak upojenie i cnota nie idą w parze! Boileau, ten nawskróś szlachetny człowiek, nazywa się tylko »przyjacielem cnoty«, co już bardzo wiele).

To upojenie miało początek w głowie, ale przeszło do serca. Najszlachetniejsza дума zakiełkowała tam na szczątkach wykorzonej próżności. Nie udawałem niczego, stałem się w istocie takim, jakim się wydawałem, i w ciągu czterech lat co najmniej, kiedy trwało to wrzenie w całej sile, nic z rzeczy pięknych i dobrych nie może wejść w serce ludzkie, do czego bym nie był zdolny w stosunku do nieba i siebie. Oto, skąd zrodziła się nagle moja wymowa, oto skąd w pierwszych mych książkach rozszedł się ten ogień prawdziwie niebiański, który mnie palił...

Zmieniłem się naprawdę; moi przyjaciele, moi znajomi nie poznawali mnie. Nie byłem już tym człowiekiem nieśmiałym, raczej wstydlivym niż skromnym, który nie miał odwagi ani się przedstawić, ani mówić, którego jedno słowo żartobliwe zbijało z tropu, który się czerwienił pod spojrzeniem kobiety. Śmiały, dumny, nieustraszony, niosłem wszędzie pewność siebie tem silniejszą, że była prosta i że bardziej tkwiła w mej duszy, niż w mem zachowaniu się. Wzgarda, jaką głębokie rozmyślenia natchnęły mnie względem obyczajów, sądów i przesądów mego wieku, uczyniła mnie niewrażliwym na żarty tych, którzy je mieli, rozgniatałem ich dowcipne zdania przez moje maksymy, jakbym rozgniatał robaka w palcach. Co za zmiana! Cały Paryż powtarzał gorzkie i zgryźliwe sarkazmy tego samego człowieka, który przed dwoma laty i w dziesięć lat potem nigdy nie umiał znaleźć rzeczy, którą miał powiedzieć, ani słowa, którego miał użyć.

Dalibóg! Co za człowiek! I cóż będzie robił ten straszny autor dwóch »Rozpraw«, gardzący obyczajami, zasadami i przesadami cywilizacji, ten fanatyk cnoty, szczerości i niezależności, i wreszcie ten kochanek samotności i adorator natury? Mógłby żyć w swej małej, odnalezionej, surowej ojczyźnie; mógłby przyjąć miejsce bibliotekarza, które mu ofiarowywali cnotliwi współobywatele. Tam byłby na miejscu. Dawny, zaufany przyjaciel grubej Warens, kochanek Teresy, który zapomniiał o prawdopodobnem pięciokrotnem dzieciobójstwie, nauczałby cały świat moralności, od samych stóp kazalnicy Kalwina. Ale cóż! Byłby zbyt daleko od Paryża i od tego pięknego świata, którym pogardza. »Cały Paryż« nie mógłby już »powtarzać jego gorzkich i zgryźliwych sarkazmów«. — W najgorszym razie, jeśli mu trzeba jednocześnie sąsiedztwa wielkiego miasta i samotności, to przedmieścia Paryża były wtedy czarujące i całkiem jeszcze jak wieś. Mógłby tam wynająć domek z ogródkiem, których najem płaciłby z własnych funduszów, i gdzieby był u siebie i gdzie nikomu nieby nie zawdzięczał. To byłby rozsądek, to byłaby mądrość.

Ale między wielkimi damami, które odwiedza w dalszym ciągu — które jednak praktykują zasady, mają obyczaje i prowadzą życie najbardziej mu wstrętne, — jest jedna, pani de la Live d'Épinay, mała kobietka, czarniawa, rezolutna, silnego umysłu, literatka, zmysłowa, żona jednego z tych jeneralnych dzierżawców, którego sam zawód powinien był wydać się szczególnie haniebny autorowi dwóch »Rozpraw«. Często ją odwiedza w zamku Chevrete, gdzie spotyka najbardziej błyszczące i płochę towarzystwo i gdzie mu się samemu trafiło odegrać jedną z ról w jego komedyi »Czasowe zobowiązanie«. Ta mała, gorąca kobietka ciekawa jest Rousseau'a. Mówi o nim w swych »Pamiętnikach« po pierwszych spotkaniach:

Mówi komplementa nie będąc grzecznym lub przynajmniej nie mając pozoru grzeczności (już przytoczyłem to bystre zdanie). Wydaje

się ignorować zwyczaje światowe; ale łatwo spostrzedz, że ma nie-skończenie wiele sprytu. Cere ma brunatną i oczy pełne ognia ozywają jego fizyonomię. Kiedy mówi i kiedy się nań patrzy, wydaje się przystojny; ale kiedy w pamięci staje, to zawsze brzydki. (Co prawda nienawidziła go w czasie pisania »Pamiętników«). Powiadają o nim, że jest słabego zdrowia i że ma dolegliwości, które starannie ukrywa przez nie wiem jaką próżność; to widocznie daje mu co czas jakiś ponury wygląd.... Opowiadają o nim całą historię również dziwną jak jego osoba, a to wcale nie mało.

A dalej:

Nie wyobrazicie sobie, wiele znalazłam słodczy w rozmowie z nim.

Słowem, pani d'Épinay zależy trochę na Janie Jakóbie. To przede wszystkim, jak się wydaje, ciekawość i próżność. Chce mieć »swego wielkiego człowieka«. Już go nazywa »swoim niedźwiedziem«.

Pewnego dnia, kiedy przechadzali się we dwoje, zapuścili się aż do zbiornika wody w parku, przytykającym do lasu Montmorency, gdzie znajdował się ładny ogród warzywny z małym domkiem, bardzo zniszczonym, który nazywano Ermitażem. »Ach! pani, powiedział Rousseau, co za rozkoszne mieszkanie; oto przytułek, jakby stworzony dla mnie!« Pani d'Épinay niby nie zwróciła uwagi na te słowa. Ale po pewnym czasie Jan Jakób, robiąc z nią ten sam spacer, znajduje na miejscu starej rozwaliny, mały domek prawie całkiem nowy. »Mój niedźwiedziu, oto twój przytułek; to ty go wybrałeś, to przyjaźń ci go ofiarowuje«. — Nie sędzę, opowiada Rousseau, żebym był w mem życiu wzruszony bardziej żywo, bardziej rozkosznie: oblałem łzami dobroczynną rękę mej przyjaciółki.

Pani d'Épinay mówi nam, że tam było pięć pokoi (bardzo porządnie przez nią umeblowanych), kuchnia, piwnica, morg ogrodu warzywnego, studnia i las za park. Jan Jakób nie płacił komornego, płacił pensję ogrodnikowi, ale pieniędzmi, które mu na to dawała pani d'Épinay. Mu-

siał tylko często wyłożyć pieniądze z góry. Wszystko jedno: wielki nieprzyjaciel nierówności społecznych, człowiek, który niby był tak zazdrosny o swą niezależność, pozostawał, nawet finansowo, dłużnikiem żony jeneralnego dzierżawcy i można powiedzieć jej pasożytem.

Z drugiej strony mały świątek, kółko pani d'Épinay przedstawiało, — jakby powiedział Rousseau o każdym innym kółku tego rodzaju, — obraz jak najgorszych obyczajów. Pan d'Épinay, zawsze w stosunkach z jakimiś panienkami z opery, zaraził, jak się zdaje, pewną chorobą swoją żonę, która zaraziła z kolei Francueil'a. Po stosunku z Francueil'em, miała ona nawiązać stosunek z Grimm'em. Jej bratowa, pani d'Houdetot, była kochanką Saint-Lamberta. Jej kuzynka, panna d'Ette była kochanką de Valory'ego itd. itd. Właśnie w zażyłości z tym światem, równie eleganckim i kulturalnym jak zepsutym, miał żyć denuncyator zgubnego wpływu nauk i sztuk, człowiek, który się nazywał »upojonym enotą«; i człowiek wkońcu, który napisał, jak sobie przypominacie: »potrzeba pudru na nasze peruki, oto dla czego tylu biednych nie ma zupełnie chleba«.

Osiedla się w Ermitażu 9 kwietnia 1756 r. z Teresą i matką Levasseur, pozwoliwszy się długo prosić, jak zapewniana. Ale się ostatecznie osiedla.

Dlaczego? Ponieważ, bardzo dumny, jest także próżny; ponieważ jest dziwnie słaby; ponieważ nigdy nie miał woli; ponieważ marzy zamiast żyć; ponieważ co do siebie także ma złudzenia, zamiast się znać, i ponieważ ma dar niewiedzenia rzeczywistości tak, jak ona jest.

Więc osiedla się w Ermitażu. I popełnia wielki błąd. Zaznał tam tysiąca przykrości (wiele z własnej winy) i to tam właśnie zaczęła się w nim rozwijać, w sposób niepokojący, mania prześladowcza.

O pobycie dwudziestomiesięcznym Rousseau'a w Ermitażu, mamy IX księgę »Wyznań«, »Pamiętniki pani d'Épinay« i »Pamiętniki« Marmontel'a *passim*, szczególnie po-

czątek VIII księgi, gdzie Marmontel jest tłumaczem poglądów Diderota.

Po przeczytaniu tego wszystkiego, obraz się trochę gmatwa. Dodam, że pamiętniki pani d'Épinay są »upiększone« i podejrzane, i że Marmontel, kiedy opowiada to, czego nie wie bezpośrednio, wzbudza we mnie wiele nieufności.

Ostatecznie, oto co jest istotne i jak sędzę prawdziwe.

Kiedy Rousseau przyjechał do Paryża i potem po powrocie z Wenecyi, został bardzo dobrze przyjęty przez ludzi pióra. Encyklopedyści widzieli w nim rekruta; potem, wiedząc, że jest chory, wrażliwy i bardzo podejrzliwy, byli dość skłonni, by go oszczędzać. Być może, że między sobą bawili się jego dziwactwami. Ale, jak sędzę, nie wkładali w to zupełnie nieżyczliwości. Oto ustęp z Marmontela, który wydaje mi się, że daje w tym względzie »wiadomość prawdziwą«.

To tam *) poznałem Diderot'a, Helvétiusa, Grimma i Jana Jakóba Rousseau'a, zanim zdziczał. Grimm podejmował nas u siebie obiadem co tydzień, i na tych obiadach kawalerskich panowała szczerza swoboda, ale to było danie, z którego Rousseau tylko bardzo wstrzeżmieńliwie korzystał.... Jeszcze nie nabrał był barwy, jakiej nabrał potem, i nie okazywał ambicyi, aby stworzyć sektę. Albo jego duma jeszcze się nie urodziła, albo też krył się pod formami grzeczności, nieśmiałej czasem nawet uniżonej i blizkiej pokory. Ale w jego bojaźliwym zachowaniu się z rezerwą, widziano nieufność; jego spojrzenie obserwowało pod tem wszystko z podejrzliwą uwagą. Tem nie mniej przyjmowano go przyjaźnie, ponieważ znano jego miłość własną, niespokojną, drażliwą, łatwą do urażenia, pielęgnowano go, oszczędzano z tą samą uwagą i z tą samą delikatnością, jakąby zastosowano w stosunku do ładnej kobiety bardzo kapryśnej i bardzo próżnej, którejby się chciało podobać. Pracował wtedy nad muzyką do »Wiejskiego czarodzieja« i śpiewał nam przy klawikordzie arye, które skomponował. Byliśmy niemi zachwyceni. Jak niemniej śmiałością, ożywieniem i głębockością, z jaką jego pierwsza próba w retoryce była napisana. Nic bardziej szczerzego, powinienem wyznać, jak nasza życzliwość dla jego osoby i nasz szacunek dla jego talentów.

*) U d'Hollacha, około 1750.

(To musi być prawda, bo się tak czuje. Widzieliśmy to. Zdarzyło się nam wszystkim być szczególnie grzecznymi dla towarzysza utalentowanego, którego brudny charakter znamy).

Takie było jeszcze, jak się zdaje, usposobienie jego przyjaciół, kiedy Jan Jakób przybył do Ermitaża.

Rousseau powiada, że zaraz po »Czarodzieju« byli zazdrośni o niego, ponieważ nie umieli, oni, napisać opery komicznej. Mówi także, że mieli do niego żal z powodu jego reformy moralnej i że mu nie mogli przebaczyć jego cnoty. To jest mało wiarygodne. Jego nagła sława mogła ich podrażnić na jakiś czas; ale sędzę, że stali się jego nieprzyjaciółmi dopiero później, kiedy im się uprzykrzył przez swoje niedowierzanie i przez swoje czarne usposobienie a nade wszystko kiedy się oświadczył jasno i uroczysto przeciwko partyi filozofów.

Przedtem mogli go byli drażnić czasem, jak Holbach, który się bawił pobudzając go, aż »wsiadał na wielkiego konia«, bo to tylko w tych chwilach Rousseau był wymowny: ale nie mieli jeszcze zupełnie nieżyczliwych uczuć względem niego. Wyobrażam sobie, że mówili poprostu: — Oto człowiek dziwaczny, ale o ładnym talencie. Jego rozum wkońcu popsuje się zimą w tej samotności. I cóż to dla niego za towarzystwo: Teresa i jej matka! Gdybyż go można oderwać od Teresy, albo przynajmniej sprowadzić z powrotem do Paryża!

Owoż matka Levasseur miała siedmdziesiąt lat i była niedomagająca. Postanowili powiedzieć, że to jest niesumienne zmuszać tę staruszkę do przepędzania zimy w zupełnym odosobnieniu, zdala od wszelkiej pomocy. Myśleli bez wątpienia, że Teresa będzie chciała udać się za matką i że sam Rousseau przybędzie do Paryża, gdzie pobyt byłby lepszy dla jego umysłu i gdzieby miał inne towarzystwo, prócz tych dwóch »gospodyń«.

Ale źle się do tego zabrali. Miewali z temi dwiema kobietami potajemne narady, o których Jan Jakób się dowiedział. Diderot okazał się w postępowaniu z nim niedyskretny i despotyczny, według swego zwyczaju. Jana Jakóba uraziło to żywo. Odtąd wierzy on w spisek swoich przyjaciół (Grimm'a, Diderot'a, d'Holbacha), aby doń wzbudzić odrazę. Później zaliczy świat cały do tego spisku.

Doprawdy zamało rozumiał się na żartach. Raz — zawsze aby go skłonić do powrotu na zimę do Paryża — Diderot mu pisze:

Uczony *) zapewne napisał panu, że na wałach jest ze dwudziestu biednych, którzy umierają z głodu i którzy czekają na grosze, jakie pan im da. To jest próbka naszego szczebiotania.

Żart był przyjacielski i niewinny, ponieważ to była aluzja do zwyczajnej jałmużny Jana Jakóba. Przyjął go w sposób najbardziej pyszny i odpowiedział bardzo niezręcznie:

Jest tu starzec godny szacunku, który spędziwszy życie na pracy i więcej do niej niezdolny, umiera z głodu na stare lata. Moje sumienie jest bardziej zadowolone z tych dwóch susów, jakie mu dają co poniedziałek, niżby było ze stu groszy, którebym rozdał biednym z wałów.... Tu na wsi właśnie można się nauczyć, jak służyć ludzkości; w miastach można się tylko nauczyć, jak nią gardzić.

Podobnie skoro Diderot napisał przypadkiem w swoich »Rozważaniach o synu naturalnym«: »Tylko człowiek zły jest samotny«, Rousseau wziął to do siebie i zakrzyknął jak człowiek mordowany. Ach! to nie był jegomość wygodny.

Inny epizod z jego pobytu w Ermitażu to jego miłości z panną d'Houdetot. Studya nad tym przedmiotem istnieją w obfitości. Ostatnia o tem książka, dokładna i gruntowna, jest pióra p. Eugeniusza Rittera: »J. J. Rousseau i pani d'Houdetot«. Ale oto, jak sądzę, wszystko, co powinniście wiedzieć i co wydaje mi się prawdą.

*) To był przydomek, który dawano synowi pani d'Épinay.

Pod nieobecność swego kochanka Saint-Lambert'a, który jest przy armii, pani d'Houdetot, bratowa pani d'Épinay, trzydziestoletnia brunetka, o obciętych włosach, zezowata i ze znakami ospy, miła z tem wszystkim, swobodna, wesoła, bardzo dobra kobieta, odwiedza Rousseau'a w Ermitażu — (pierwszy raz zabłocona jak pudel). On ją odwiedza w jej zamku Eaubonne. Zapala się, wierzy, że kocha pierwszy raz i że to wielka namiętność. Mówi nam o swem »czułem szaleństwie« i o swych »erotycznych uniesieniach«. Píše do pani d'Houdetot płomienne listy. Ona bawi się jego staraniami, od których bez trudu może się uchronić. Słowem Rousseau rozgrzewa ją dla Saint-Lamberta.

Tymczasem domyślają się czegoś w małym kółku w Chevrette. Przy stole kpią z niego w dwuznacznikach. Pani d'Épinay jest trochę zazdrosna. Zresztą ona nienawidzi pani d'Houdetot. »Plotkuje« z Teresą, którą Jan Jakób traktuje już tylko jako siostrę i która cierpi prawdopodobnie, ona także, z tego powodu. Teresa przejmuje listy pani d'Houdetot i pokazuje je pani d'Épinay.

Później Saint-Lambert zostaje uprzedzony, bądź listem anonimowym Teresy, bądź poprostu (według p. Rittera) dzięki niedyskrecyi Grimm'a. Saint-Lambert to człowiek mądry, który »się nie uraża«. Wie zresztą, że Jan Jakób nie mógł posunąć się bardzo daleko. Nie mniej jest dlań zimny po powrocie i pani d'Houdetot także: na co (szczegół zachwycający) Jan Jakób skarży się samemu Saint-Lambert'owi. Wszystko, co zyskał na tem próżnem podniecaniu się, to, mówi nam, tylko »osłabienie«, które dołączyło się do innych jego chorób.

Tymczasem pani d'Épinay, która miała jechać do Genewy poradzić się Tronchin'a (być może z powodu brzości, niebezpiecznej ze względu na jej chorobę), powiedziała pewnego dnia do Rousseau'a: »Czy nie pojechałbyś ze mną, mój niedźwiedziu?« Rousseau nie ma do tego zupełnie ochoty. Już się był spostrzegł, że sam sobie nałożył

kajdany. Ileż razy wzywano go do Chevette w chwili, gdy miał ochotę pisać, albo marzyć w lesie, albo poprostu zostać u siebie! Diderot, niedyskretny i gwałtowny, jak zawsze, — ten głośny Diderot, którego styl was »tyka« i klepie was po udach, — wzywa go do spłaty długu dobrodzieje towarzystwem w podróży. Grimm, — Niemiec żądny korzyści i skryty kochanek pani d'Épinay, — nalega nań ze swej strony. Rousseau odpowiada mu długim listem tłumaczącym rzecz, niezręcznym i dumnym, z którego wyjmuje ten wyborny ustęp:

....Pani d'Épinay, często samotna na wsi, życzyła sobie, abym jej dotrzymywał towarzystwa. Właśnie dlatego mnie zatrzymywała.... Trzeba być biednym, bez służącego, nienawidzić przymusu i mieć moją duszę, aby wiedzieć, co to jest dla mnie żyć w bliźniego domu. A jednak żyłem dwa lata w jej domu, zamieniony w niewolnika bez odetchnienia wraz z najpiękniejszymi traktatami o wolności, obsługiwany przez dwudziestu służących, a czyszczący codzień rano swoje buty, przeładowany smutnymi niestrawnościami i wzdychający bez przerwy do swojej miski....

Powinien był się spostrzedz wcześniej. Od chwili gdy się spostrzega, powinien był odjechać, bez względu na skutki. Ale pozostaje na prośby pani d'Houdetot, która boi się »historyi«. I czeka, kiedy pod wpływem tego złego psa Grimm'a, pani d'Épinay, która już jest w Genewie, da mu odprawę.

I dnia 15 grudnia 1757 w pełni zimy i poprzez śnieg przeprowadza się — o wiele zapóźno dla swej godności. Dokąd podąży? Do Paryża, gdzie tak dobrze można żyć samemu? Do jakiegoś domku na przedmieściu, którego właściciel byłby nieznanym mieszczuchem i dla którego nie miałby żadnych zobowiązań? Nie, ale do Montlouis, koło Montmorency, do domu, który mu wynajmuje p. Mathas, prokurator skarbowy księcia de Condé, w samym pobliżu zamku marszałka i pani de Luxembourg, których znów,

cokolwiekby zrobił, będzie dłużnikiem i którzy mimo woli wyrządzą mu krzywdę. Ale cóż! możnaby powiedzieć, że ten przyjaciel dzikich i ten człowiek o niezależności tak nieoswojonej nie może się bezwarunkowo obejść bez towarzysztwa i poparcia magnatów.

Oto więc w Montmorency znowu go odnajdziemy, — w Montmorency, gdzie dalej będzie się udoskonalał w miarę, jak będzie bardziej popadał w szaleństwo.

PIĄTA POGADANKA.

»LIST O WIDOWISKACH«. — ROUSSEAU W MONTMORENCY.

Oto więc Rousseau zainstalowany w pełni zimy w domku p. Mathas'a, prokuratora skarbowego księcia de Condé. Sądzę, że, tam przynajmniej, płacił małe komorne.

P. Mathas zaofiarował mi mały dom, który miał w swoim ogrodzie Montlouis w Montmorency. Przyjąłem z gotowością i wdzięcznością. Targ został dobitny.

Zrazu był bardzo chory. Opowiada nam to, jak zawsze, z umyślną dokładnością w szczegółach odrażających. Wkłada w to, sądzę, rodzaj brawury i gorzkiej kokieterii:

Zaledwie zainstalowałem się w nowym mieszkaniu, żywe i częste ataki strangurii skomplikowały się przez nowe niedomagania z powodu ruptury, która mnie męczyła od pewnego czasu, choć sobie z niej sprawy nie zdawałem. Wkrótce znalazłem się wśród najcięższych objawów choroby. Doktor Thierry, dawny mój przyjaciel, odwiedził mnie i objaśnił o moim stanie. Sondy, świece, bandaż, cały aparat niedomagania podeszłego wieku *) zebrany dokoła, srogo dawał mi odczuwać, że nie ma się bezkarnie młodego serca, kiedy ciało młodem być przestało. Piękna pora nie wróciła mi zupełnie sił i cały rok 1758 spędziłem w stanie, który mi kazał wierzyć, że dobiegam kresu życiowej drogi.

A oto list, bardziej jeszcze bolesny, pod adresem nieznanego lekarza (zapewne Thierry'ego) z daty 10 maja 1758,

*) A jednak miał dopiero 46 lat.

(co dowodzi, że Jan Jakób myli się czasem w datach, ponieważ co dopiero umieścił był przesilenie o cztery miesiące wcześniej):

Ponieważ woda wapienna nie mi nie pomogła, porzuciłem ją. Ponieważ mleko odjęło mi całkowicie urynę, musiałem je porzucić także. Od pewnego czasu utworzyło mi się spuchnięcie na dolnej części brzucha, trochę ponad prawą pachwiną. To spuchnięcie jest w linii prostej a w kierunku skośnym. Znika, kiedy się kładę, a pokazuje się w chwili, gdy wstaję. Nie jest to wcale ruptura. *) Sprawia mi tylko ból głuchy i nieznaczny, który od kilku lat nie opuszcza mnie zgoła w tej okolicy. Zresztą uryna zmniejsza się co do ilości z dnia na dzień i wychodzi trudniej, chyba że jest całkiem niewytwarzona i ma kolor czystej wody: wtedy wychodzi z nieco większą obfitością i łatwością. Ale jakkolwiekby było, trzeba zawsze przyciskać dół brzucha, aby spowodować jej wypływ. Mówię panu to w przekonaniu, że nikt nigdy nie doznał mojego cierpienia i że z niego można by wyciągnąć kilka użytecznych obserwacji dla medycyny. Zresztą nie proszę pana bynajmniej o poradę; nie oczekuję i nie chcę żadnego rodzaju ulgi ze strony ludzi, ale tylko ze strony Tego, który umie pocieszać w cierpieniach tego życia przez nadzieję lepszego.

Zadaję sobie trud, aby często notować, przy sposobności, jego choroby i niedomagania, ponieważ nigdy nie należy zapominać, że w istocie był przez całe życie chory i słaby i to w sposób ciężki i upokarzający. To nam doradza pobłażliwość w chwilach, kiedy coś nas pobudza, aby się gniewać na niego. I to dużo rzeczy w nim tłómaczy: jego humory, jego opryskliwość, i jego zamiłowanie samotności, i rozrywki, których szukał w mechanicznych zajęciach kopisty; nawet nadmiar dumy, poczucie genialności, skoro one były dlań wynagrodzeniem za fizyczne niedole; namiętne upodobania pustelnika i abstynenta; i to że schronienia życzy sobie w marzeniach. A także sprawia to, że jego uczucia, religijne są bardziej prawdziwe i bardziej wzruszające i prawie heroiczne, bo, chociaż stronniczy, trwał mimo wszystkiego w optymizmie.

*) W innym miejscu powiada, że to była właśnie ruptura.

Wyszedł z tego przesilenia, jak z tyłu innych. I miał to pocieszenie, że się pozbył matki Levasseur. Zanim opuścił Ermitaż, wysłał ją był do Paryża z trochę pieniędzy i zobowiązał się płacić jej komorne u jej dzieci lub gdzie indziej i nie zostawić jej nigdy bez chleba, o ile go sam mieć będzie. (Trzeba nadmienić, że Grimm i Diderot dawali już małą pensję pani Levasseur, jeśli wierzyć pani d'Épinay).

Wkrótce po przybyciu do Montlouis otrzymał tom »Encyklopedyi«, zawierający artykuł d'Alembert'a o Genewie. W tym artykule, »w porozumieniu z Genewczykami najwyższej położonymi«, do czego Voltaire także przyłożył rękę, d'Alembert radził założenie teatru w Genewie.

Krew uderzyła Rousseau'owi do głowy. Czuł w tem Voltaire'a. Voltaire'a wspaniale rozsiadłego u bram Genewy, który przyciągał do siebie pierwszych obywateli miasta, aby im dawać komedye w swym małym teatrze, i który widocznie przedsięwziął sobie zepsucie miasta Kalwina. Owoż to miasto było także miastem Rousseau'a. Cztery lata temu urządzono mu tam przyjęcie bardzo pochlebne. Postanowił więc bronić skromności Genewy i napisał swój »List do d'Alembert'a«.

Stosunki Rousseau'a z Voltaire'm datowały się od czasu (przypominacie to sobie), kiedy Rousseau przerabiał »Księżnę Nawarry« pod tytułem »Święto Ramiry«. Spotkali się potem w kilku salonach paryskich; i naturalnie nie mogli się »zaczepić«.

Potem w r. 1756 Rousseau otrzymał pewnego dnia od Voltaire'a poemat o »Zniszczeniu Lizbony« (miasto na połę zniszczone w r. 1755 przez trzęsienie ziemi i pożar; trzydzieści tysięcy ludzi zmiażdżonych lub spalonych). Voltaire napisał o tem 250 wierszy eleganckich i płynnych, — zresztą jak przystało alegorycznych, — gdzie wzbraniał się przyznać, że »wszystko było dobrze«, nawet w sensie Leibniza i Pope'go, i kończył wnioskiem, że nie należy mówić: »Wszystko jest dobrze«, ale: »Pewnego dnia wszystko będzie dobrze«.

Ten pesymizm, chociaż umiarkowany, wstrętnym się wydał Rousseau'owi: i wtedy (rzecz prawdziwie godna podziwu) Rousseau biedny, słaby i chory, napisał do autora długi list, który zawiera już wiele z głównych elementów »Wyznania wiary wikarego sabaudzkiego«, — list, gdzie wykazywał, że »ze wszystkich nieszczęść ludzkości niema ani jednego, z któregoby natury nie należało uniewinnić i któreby nie miało źródła bardziej w nadużyciu przez człowieka przyrodzonych władz, niż w naturze samej«. — Utrzymywał nawet wyrażnie, że zniszczenie Lizbony i jej ludności było znowu winą ludzi, ponieważ było winą cywilizacyi. Zwracał uwagę, że to nie natura zebrała w Lizbonie dwadzieścia tysięcy domów o sześciu lub siedmiu piętrach i że, gdyby mieszkańcy byli rozrzućeni bardziej równomiernie i gdyby mieszkali w mniej ciężkich domach, zniszczenie byłoby mniejsze, a możeby go nie było: »Wszyscy uciekliby po pierwszym wstrząśnieniu i widzianoby na drugi dzień mieszkańców o dwadzieścia mil stamtąd, równie wesołych, jakby się nie wydarzyło«.

Voltaire odpowiedział Rousseau'owi krótko, że chorym będąc i sam pielęgnując, odkłada odpowiedź do innego czasu. Tą odpowiedzią miał być wyborny i przewrotny »Candide« (1759).

W ustępach »Wyznań«, gdzie ten wypadek opowiada, mówi nam Rousseau z większym dowcipem, niż go zwykł okazywać:

Uderzony widokiem, jak ten biedny człowiek *), przeciążony, że tak powiem, dobrobytem i sławą, deklamuje za każdym razem gorzko przeciw biedzie tego życia i znajduje zawsze, że wszystko jest złe, — powziąłem nierozsądny zamiar zmusić go, aby wszedł w samego siebie, i dowieść mu, że wszystko jest dobre. Voltaire, udający zawsze, że wierzy w Boga, w rzeczywistości wierzył zawsze tylko w dyabła, ponieważ jego rzekomy Bóg jest istotą sprowadzającą tylko zło i znajdującą przyjemność, według niego, tylko w szkodzeniu. Absurd tej doktryny, który bije w oczy, jest nadewszystko oburzający

*) Voltaire.

u człowieka obdarzonego dobrami wszelkiego rodzaju, starającego się z łona szczęścia odjąć wszelką nadzieję bliżnim przez obraz straszny i okrutny wszystkich nieszczęść, od których sam jest wolny.

Czuć tu silnie przepaść, która dzieli tych dwu ludzi. Czyż nie było między nimi współzawodnictwa literackiego? Voltaire przedstawia właśnie to, czego Rousseau najbardziej nienawidzi: życie społeczne w tem, co jest najbardziej sztuczne i najbardziej rozkładowe, ironię i bezbożność; Voltaire grzeczny i zły, Rousseau niemiły i dobry; Voltaire bogacz i arystokrata, Rousseau biedak i plebejusz; Voltaire sprytny i lekki, Rousseau powolny i nawet uroczysty; Voltaire realista w polityce, Rousseau chimeryczny; Voltaire despotyczny i zadowolający się reformami rozsądnymi, Rousseau republikanin z państwa utopii; Voltaire bezbożny, Rousseau religijny; Voltaire przyjaciel porządku przedewszystkiem, — pragnący jednak — przynajmniej w wysokich sferach — zniszczyć religię podtrzymującą porządek; Rousseau grożący temu porządkowi, ale broniący religijnego uczucia: tak że skoro każdemu z nich powiodło się tylko w negatywnej części dzieła, jeden z nich religii, drugi potrzebnemu porządkowi społecznemu, wymierzy ciosy, których, co do mnie, — żałuję szczerze.

Ale powróćmy do »Listu o widowiskach« czyli »Listu do d'Alembert'a«. Jest to jedno z najbardziej znanych dzieł Rousseau'a. Nie brak go nawet na programach licencjatu i agregacji. Bóg sam zna liczbę rozpraw, które pocziwi młodzi ludzie napisali o paradoksie »Mizantropa«. I dlatego, właśnie ograniczę się prawie tylko do streszczenia »Listu o widowiskach«. A mianowicie:

Sztuka teatralna jest ze wszystkich najbardziej sztuczna, w niej jest najwięcej udawań i fałszu, ponieważ najpierw pisarz dramatyczny ma pretensje, że daje bezpośrednie przedstawienie życia, i ponieważ aktor stwarza w niej postać nie istniejącą w rzeczywistości, i do tej gry nagina

swoje ciało i nawet swego ducha. Słowem kłamstwo w niej jest zupełne. Człowiek w niej oddał się możliwie najbardziej od stanu natury. Teatr jest ostatnim kwiatem cywilizacji. Już z tego samego powodu Rousseau mógłby go potępić, ale podoba mu się przystąpić do szczegółów.

Tragedya jest zła. Widz niepotrzebnie w niej zużywa zapasy łez i litości, a brak mu ich dla cierpień rzeczywistych. Albo też podziwia pięknych zbrodniarzy i przyzwyczajają się do ohydy.

Komedia jest zła. Jej morał nie polega na tem, że nie należy być występny, ale że nie należy być śmiesznym. Konserwuje ona konwencje i przesady światowe. Uczy ona obyczajów świata, które są kłamstwem jedynie; mówi ona tylko o miłości i galanterji; uświęca panowanie kobiet; obniża poziom obyczajów i rozmiękcza serca.

Przeciwstawia się Molière'a. A! dobrze, mówmy o nim! Jego teatr jest szkołą występów. Dobroć i prostotę stale się w nim wydrwiwa. Głupcy są w nim ofiarami ludzi złych. Wyszydza się prawa ojców nad dziećmi, mężów nad żonami, panów nad służbą i t. d.

Spojrzyjcie nawet na »Mizantropa«, jego arcydzieło. — Ta komedia odkrywa nam lepiej, niż jakakolwiek inna, prawdziwy kąt widzenia, z jakiego Molière tworzy swój teatr. Jego staraniem nie jest stworzyć człowieka uczciwego, ale człowieka światowego:

Wskutek tego (pisze Rousseau) nie chciał on zupełnie poprawić występów, ale śmieszności; i znalazł w samym występku środek bardzo dogodny, aby to osiągnąć. I tak, gdy chciał wystawić na publiczne pośmiewisko wszystkie wady przeciwstawione zaletom człowieka grzecznego, człowieka towarzyskiego, skoro już wystawił tyle śmieszności, pozostawało mu wystawić tę śmieszność, której świat przebacza najmniej, — śmieszność cnoty. To właśnie zrobił w »Mizantropie«.

Nie zdołacie zaprzeczyć mi dwóch rzeczy: jednej, że Alceste w tej sztuce jest człowiekiem prawym, szczerym, godnym szacunku, prawdziwie dobrym człowiekiem; drugiej, że autor daje mu rolę śmie-

szą. (Dorozumieście się: »Zatem autor ośmiesza cnotę«). To dosyć, aby Molière'a nie można było usprawiedliwić.

To jest syllogizm. Ale kulejący. Wystarczy powiedzieć (i tysiące kandydatów na licencyat literatury powtarzało to od stu lat), że Alcest jest bez wątpienia cnotliwym człowiekiem i że równocześnie jest postacią czasem śmieszną; ale nie jest śmieszny w tem, w czym jest cnotliwy. Jest śmieszny tylko o tyle, że czasem wpada w nadmierny gniew co do formy i bez proporcji do przyczyny gniewu. Ale to wszystko jedno; bo właśnie Rousseau nie znosi wcale tej myśli, że Alcest mógłby wydać się śmiesznym, nawet kiedy przesadza. Co mówię! on nawet nie uznaje, że Alcest przesadza.

Nie chce, abyśmy sobie pozwalali na uśmiech z Alcesta, szczerze go kochając. Nie chce, nie może dopuścić tego zwrotu i tego stanu umysłu, które sprawiają, że się czasem żartuje z tego, co się poważa, i że mimo wszystko ma się pretensję, że się to poważa. Zna on ten stan umysłu. Jego najlepsi przyjaciele okazywali go względem niego, Jana Jakóba. Kochali go i szanowali, ale bawiąc się nim niepostrzeżenie. I Jan Jakób wyciągnął z tego wniosek, że byli hipokrytami i że go nienawidzili, i że spiskowali przeciw niemu. W gruncie z przyjemnością rozpoznawał się w Alceście. Owoż żeby Alcest był śmieszny i wskutek tego Jan Jakób, tego nie może Jan Jakób dopuścić. Albo, jeśli tak jest, to znaczy, że stulecie jest bardzo niegodziwe.

Zauważmy tutaj dosyć ciekawy przykład różności sądów ludzkich. Rousseau zrobił teatrowi Molière'a prawie ten sam zarzut niemoralności, co za naszych dni Brunetière (a także Faguet i przed nimi Ludwik Veuillot): ale dla przyczyn tak różnych, przynajmniej co do słów!

Molière wydaje się godny potępienia Rousseau'owi, ponieważ ma za ideał w swoim teatrze człowieka towarzyskiego. Ale przeciwnie, Molière niepokoi Brunetière'a, ponieważ był uczniem natury. Tak że nie wie się, czy należy

ganić Molière'a za to, że podziwiał naturę, czy za to, że nią pogardzał. To oczywiście dlatego, że »natura« nie jest zupełnie tem samem dla Jana Jakóba i dla współczesnego nam człowieka. Doskonała dla jednego, nie warta dyabła, albo raczej sama jest dyablem dla drugiego... O naturo, czemu więc jesteś? Bardzo chcielibyśmy to wiedzieć. Ale jeśli jesteś wszystkim, (co prawdopodobne), to i tak nie wiemy więcej. W każdym bądź razie Rousseau, który tyle o tobie mówił, powinien był pewnego dnia pomyśleć nad zdefiniowaniem Ciebie.

Ciągniemy dalej bardzo ogólne streszczenie »Listu o widowiskach«.

»Zatem teatr, który nie może przyczynić się do poprawy obyczajów, może przyczynić się wiele do ich zepsucia«.

Zresztą teatr upadła i psuje komedyantów i komediantki przez sam ich zawód, który jest maskaradą ich rzeczywistej istoty i który zresztą dla kobiet jest prostytutką. — I to wszystko jest czasem prawdą i to wszystko nie jest prawdą zawsze. I Rousseau spotyka się tu z Bossuet'em, jak się spotkał z Pascalem co do skutków dramatycznego przedstawienia: »miłosnych namiętności«.

Jeszcze, ciągnie Rousseau, teatr może być mniejszem złem w strasznym zepsuciu wielkich miast. Ale cóż za opłakana rozrywka dla małych miasteczek!

I przypomina sobie ojczyznę; i wywołuje ze wspomnień życie pasterskie, patryarchalne, sielskie, proste i doskonałe cnotliwych »Górali«, którzy tworzą gminę w okolicach Neuchâtel. Poczem wyklada, w iloraki sposób i z wielu punktów widzenia (moralnego, społecznego, obywatelskiego, ekonomicznego) założenie teatru w Genewie — małym mieście o 20.000 dusz — zaszkodziłoby Genewie. I tu, nie zdaje mi się, aby się bardzo mylił.

Lepsze są jeszcze w Genewie, — ciągnie dalej, te małe »towarzystwa«, czy »koterye« tradycyjne: towarzystwa mężczyzn i towarzystwa kobiet (bo Rousseau uważa za rzecz

dobrą, aby obie płci wogóle żyły oddzielnie). W kółkach kobiecych trochę się obmawia: ale kobiety stanowią do pewnego stopnia przez to straż moralną miasta; w męskich kółkach pije się obficie, ale niewinnie. I tu następuje pochwała wina, która ma wdzięk i coś wzruszającego, bo pochodzi od człowieka, który pił przedewszystkiem wodę i mleko i nigdy nie wypijał więcej nad pół butelki wina.

— Ale cóż! woła Rousseau, czyż wcale nie trzeba przedstawić w Republice? — Przeciwnie, trzeba ich wiele. Genewczycy nie są jeszcze dość cnotliwi, aby im Rousseau mógł zaproponować tańce nagich dziewcząt, jak w Sparcie, i żałuje tego. Lecz mają już rewie, nagrody publiczne, królów kurkowych, strzelania z armat, żeglugi. Trzeba powiększyć ilość świąt tego rodzaju.

Ale nie zastosowujemy tych widowisk wyłączających, które zamykają smutnie małą ilość ludzi w ciemnej jaskini; które trzymają ich trwożnych i nieruchomych w milczeniu i nieczynności; które oczom przedstawiają tylko przepierzenia, kawałki żelaza, żołnierzy, nękające obrazy niewolnictwa i nierówności. (Co tu robi nierówność? Och! jakżeż to już frazes z 93 roku!)

— Nie, ludy szczęśliwe, te uroczystości nie dla was. To na pełnem powietrzu, to pod niebem powinniście się zbierać i poddawać słodkiemu uczuciu waszego szczęścia.... Oby wasze przyjemności nie były zniewieściałe, ani niewolnicze; oby nic z tego, co czuć przymusem i interesem, ich nie zatruwało; oby były wolne i szlachetne, jak wy; oby słońce oświecało wasze niewinne widowiska: wy sami będziecie dostarczali najgodniejszego widowiska, jakie ono oświecićby mogło.

Wszystko to dla pewnego rodzaju świąt jak wiejskie czy strażackie zebrania, — świąt, o których nie mówię bynajmniej nic złego i w których zdarzyło mi się brać udział nie bez przyjemności, ale w których, wiadomo, jak znaczną rolę ostatecznie odgrywa pijatyka.

Na zimę Rousseau wyobraża sobie inne rozrywki. Proponuje mianowicie bale młodzieńców i panien na wydaniu, którym przewodniczyłby urzędnik mianowany przez Radę.

Chciałbym, ażeby zrobiono w sali galerię wygodną i honorową, przeznaczoną dla ludzi starszych jednej i drugiej płci, którzy dawszy

już obywateli ojczyźnie, przypatrywaliby się jeszcze, jak ich małe dzieci do tego się przygotowują.

I na ten temat zapala się w sposób zadziwiający:

Chciałbym, ażeby nikt nie wchodził bez ukłonu w stronę tej galerii i ażeby wszystkie pary młodych ludzi, zanim zaczną taniec, lub gdy go skończą, przychodziły złożyć tam głęboki ukłon, przyzwyczajając się wcześniej do poważania starości. Nie wątpię, że to miłe zebranie dwóch kresów życia ludzkiego da temu zgromadzeniu wygląd rozczulający oko, i że się będzie widziało czasem na galerii łyzy płynące z radości i ze wspomnień, zdolne wywołać z kolei łyzy u czulego widza.... Chciałbym, aby co roku na ostatnim balu młoda dziewczyna, która podczas poprzednich zabaw zachowywała się najgodniej i podobiała się najbardziej wszystkim, zostawała odznaczona koroną z rąk urzędnika i tytułem królowej balu, któryby nosiła rok cały. Chciałbym, aby po zakończeniu tego zebrania odprowadzano ją w orszaku, i t. d.

(Hola! a równość, mój panie, a równość!) O Sparto! o Likurgu! o Plutarchu! O obecności »urzędnika« tam, gdzie on nic nie ma do roboty! O wystawianie na pokaz i reglamentacyo uczuć wewnętrznych i scen rodzinnych!

Jak Rousseau przez swoje dwie pierwsze »Rozprawy« dostarczy słownika rewolucyi, tak przez »List o widowiskach« da rewolucyi wzór jej świąt, — tak też przez »Umowę społeczną« da jej swoje pojęcie państwa.

Co się tyczy samej istoty »Listu o widowiskach«, sądzę, jak Rousseau, że teatr nie może nic, albo może niewiele przyczynić się do poprawy obyczajów, ale czyż może tyle przyczynić się do ich zepsucia? Nie wiem ja i nie wie nikt. Och! wieleż »distinguo« potrzebaby tutaj! Wogóle teatr może mieć powodzenie tylko zastosowując się do moralności zgromadzonej publiki; i zwykle też nic innego on nie robi. Wart jest tylko tyle, ile warta sama publiczność. — Rousseau, który sądzi, że rzeczy stają się złe w miarę, jak się oddalają od stanu natury, uważa teatr za najniebezpieczniejszą rozrywkę, ponieważ jest z nich najbardziej sztuczną; ale ten sąd opiera się tylko na kapitalnej przesłance tego tajemniczego »stanu natury«.

Teatr jest rozrywką, której się zażywa publicznie i wspólnie. Otóż wydaje się naprawdę, że ludzie razem zebrani przyjmują i uznają tylko obyczaje przeciętne i przeciętną moralność. Jest więc rzeczą prawdopodobną, że teatr ani nie psuje obyczajów, ani ich nie poprawia. — Już sto razy to powiedziano i lepiej, niżbym potrafił.

W każdym bądź razie potępienie wydane przez Rousseau'a wydaje się bardzo surowe, jeśli rozważyć teatr jego czasów, teatr z przed roku 1758. Wydawałoby się może mniej nieusprawiedliwione, gdyby rozważyć niektóre sztuki dzisiejsze: i jeszcze nie możnaby powiedzieć, że one deprawują publiczność, ponieważ one się poprostu stosują do jej deprawacyi. — Ale teatr z czasów Rousseau'a? Teatr z przed 1758 roku? — Nie mówię zupełnie o Corneille'u, o Racine'ie, o Molièrze, ani nawet o Regnard'zie. Upodobanie w słuchaniu trzech pierwszych warte jest mimo wszystkiego tyle, ile pijatyka lub swoboda tańców popularnych; a co się tyczy Regnard'a, to tylko Jan Jakób bierze tragicznie niemoralność *Légataire'a*. Ale czyż można powiedzieć, że tragedye *Campistron'a*, *Lagrange-Chancel'a*, *Longepierre'a*, *Lafosse'a*, *Dauchet de Duché'go*, *Lamotte'a*, *Lefranc de Pompidan'a*, *Lanoue'a*, *Marmontel'a*, *Crébillon'a* i samego *Voltaire'a* były tak niebezpieczne do słuchania? A komedye *Lesage'a*, *Legrand'a*, *Dufresny'ego*, *Dancourt'a*, *Destouches'a*, *Marivaux'a*, *Gresset'a*! Nie znajdziecie tam ani jednego spełnionego cudzołóstwa, a kurtyzana jest tam wspomniana tylko przez przyzwoite określenia....

Rzecz godna uwagi: chwila kiedy Jan Jakób miota pioruny przeciwko teatrowi, jest chwilą najsłabszej i najmniej niewinnej komedyi we Francyi. Po *Lesage'u*, *Dancourt'cie* i *Marivaux'ie*, którzy mieli pieprzyk, komedya rozplywa się w mdłych portretach, w mdłych satyrach obyczajowych i w drobnych intrygach miłosnych. Jest ona drobiazgowa i filuterna. Co prawda, mówi wiele o miłości i doradza przynajmniej lekką zmysłowość. Ale nie można zrozumieć,

dłaczego Rousseau przeciw niej się buntuje, i odnajdujemy tu znowu jedną z jego sprzeczności zwyczajnych czy jeden z jego paradoksów.

Pascal i Bossuet i Bourdaloue i wielu innych doktorów chrześcijańskich określiło i zganiło wpływ komedyi, rodzaj zniechęcający i zepsucie. Czynili to w imieniu dogmatu. »Namiętności miłosne« nazywali oni »chucią«. Ale on, Jan Jakób, w imię czego potępiał zbyt słodkie wrażenia, jakie można odebrać w teatrze? W imieniu natury, od której teatr, jak zapewnia, oddala nas? Ależ wydaje się jednak doprawdy, że pożądanie i rozkosz są w »naturze«, skoro właśnie, dla kaznodziej, »zwalczać naturę« to znaczy często »zwalczać pożądanie zmysłów«. O jakież »naturze« mówi nam więc Rousseau? Nigdy, nigdy tego nie będziemy wiedzieli.

(On sam, w istocie, nie w imieniu »natury«, ale przeciwnie, w imieniu starego, odziedziczonych protestantyzmu potępia teatr).

Z tem wszystkim czyta się »List o widowiskach« jeszcze z przyjemnością. Ma on całkowicie charakter genewski i protestancki, ale nadany przez Genewczyka uśmiechającego się niemal; przez protestanta liberalnego. Niema w tem przesady szalonej i ponurej »Rozprawy o nierówności«. Nie wszystko tu jest paradoksem; a same paradoksy zawierają w sobie część słuszności. Zresztą jest to ta z książek Rousseau'a, którą napisał z najmniejszym wysiłkiem (w trzech tygodniach). Rozplywa się w dwudziestu dygresjach; bawi się, o ile może się bawić. Czuć, że to było pisane między dwiema »częściami« »Nowej Heloizy«.

Dzieło miało wiele powodzenia i wywołało odpowiedzi; mianowicie jedną pióra Marmontel'a, a drugą d'Alembert'a.

Odpowiedź Marmontel'a jest repliką rozumną, nieco powierzchowną, artykułem zacnego profesora. Ale odpowiedź d'Alembert'a jest wytworna i przenikliwa i pełna tych złośliwości skrytych, które dzisiaj po francusku nazywają się

»rosseries«. Nie mojem zadaniem zebrać je. Jednak chcę jedną z nich przytoczyć, — okrutną, jeśli to jest, jak sądzę, aluzya do porzucenia dzieci przez Rousseau'a. I to zdaje się tak jest; albowiem kiedy się czyta poprzedzającą stronę, widać, że cios przygotowuje się z daleka, że wcale nie jest konieczny, że jest zamierzony i obmyślony. Mianowicie: D'Alembert co tylko zganił Rousseau'a, że przyjął i bronił w »Liście« przesądu czasu w sprawie wychowania kobiet. I z tego powodu woła:

Filozofowie, to wy powinniście zniszczyć przesąd tak oplakany, to ci z was, którzy doznają słodyczy czy smutku ojcostwa, powinni pierwsi strząsnąć jarzmo barbarzyńskiego zwyczaju, dając swym córkom to samo wychowanie, jakie dają innym dzieciom.... Widziano, jakieście tak często dla powodów bardzo lekkich, przez próżność lub przez humor, rozbijali głową idee waszego wieku: dla jakiegoż większego powodu moglibyście im stawiać czoło, jeśli nie dla szczęścia tego, co dla was jest najdroższe w świecie, jeśli nie, aby uczynić życie mniej gorzkie tym, którzy je od was mają?

(Zauważcie, że d'Alembert musiał wiedzieć o opuszczeniu dzieci, skoro Rousseau opowiadał o niem kilka lat przedtem Grimm'owi, Diderot'owi, pani d'Épinay, pani de Francueil i t. d.)

Pomijam różne skryte aluzye mniej zatrute. Ale d'Alembert nie mógł pominąć przeciwstawienia autora »Czarodzieja« autorowi »Listu o widowiskach«; i robi to w słowach na prawdę dowcipnych:

Większość naszych mówców chrześcijańskich, atakując komedję, potępia to, czego nie zna: pan natomiast przeciwnie, studyował, analizował, tworzył sam, aby lepiej osądzić skutki, niebezpieczną truciznę, od której pan stara się nas uchronić; i osławia pan nasze sztuki teatralne, mając tę wyższość, że nie tylko pan je widział, ale że je pan także pisał.... Och! wiem dobrze, że widowiska, według pana, są potrzebne w tak zepsutem mieście jak to, w którym pan mieszkał długo; i oczywiście dla jego zepsutych mieszkańców, bo z pewnością nie dla pańskiej ojczyzny, układał pan swoje sztuki: to znaczy, mój panie, że pan nas traktował, jak te zwierzęta, wydające ostatnie tchnienie,

które się dożywa w ich chorobach z obawy, aby długo nie widzieć ich cierpień. Innych dosyć bez pana zadałoby sobie ten trud; i czyż pańska delikatność nie będzie miała sobie do wyrzucenia względem nas? Boję się tego tem bardziej, że talent, którego pan złożył dowody w teatrze lirycznym, przez tak szczęśliwe próby jako muzyk i jako poeta, jest co najmniej tyle zdolny, aby pozyskać stronników dla teatru, ile pańska wymowa, aby ich jemu odebrać. Przyjemność czytania pańskich dzieł nie zaszkodzi zupełnie przyjemności słuchania pańskich dzieł; i długo pan będzie cierpiał widząc, jak »Czarodziej wiejski« psuje te wszystkie dobrodziejstwa, jakie pańskie pisma przeciw komedyi mogłyby nam wyświadczyć.

To dowcipne dworowanie sobie musiało wprawić we wściekłość Rousseau'a. I bez wątpienia mógł odpowiedzieć i odpowiedział mniej więcej rzeczywiście w przedmowie do »Narcyza«: »Pisałem sztuki teatralne, ale nie mogły one więcej zaszkodzić istotom tak zepsutym, jak wy; a zresztą nie piszę już więcej. Potem zaś, jeśli sprzeniewierzyłem się swoim zasadom, czyż to ma mi przeszkadzać w ich głoszeniu, skoro je za prawdziwe uważam?« Wszystko jedno; pozostaje faktem, że ten człowiek, który potępia teatr, pisze komedye i właśnie sztuczne i filuterne, co tak silnie gani; pozostaje faktem, że napisał »Czarodzieja«, który przez muzykę, przez tańce i przez wystawę pięknych dziewcząt, powinien był pobudzić zmysłowość i zmiękczyć serca trochę więcej może niż »Mizantrop«; pozostaje faktem, że napisał »Rozprawę« przeciw sztukom w chwili, kiedy pisał dla teatru; »List do d'Alemberta«, jak tylko sztukę dla teatru napisał; »Rozprawę o nierówności« w chwili, kiedy był protegowany przez możnych, — a swój traktat o »Wychowaniu« w kilka lat po pozbyciu się piątego dziecka.... I to wszystko wprawia w kłopot i nie wiem, czy kiedykolwiek życie ludzkie przeszło wśród tylu sprzeczności i niezgodności z sobą samym. I jeżeli Jan Jakób miał tego ledwie ze świadomością, to dlatego pewnie, jak sądzę, ponieważ urodził się z »ćwiekiem w głowie«.

Ale odszukajmy go w małym domku w Montlouis.

Prowadzi tam życie dość spokojne przez pierwsze miesiące. Robi znajomości w sąsiedztwie. Zawija stosunki z Ojcem Berthier'em, oratoryaninem, i przedewszystkiem z Maltorem, proboszczem z Groslay. Jeszcze jeden dobry ksiądz, który jest mu bardzo życzliwy. Zresztą Jan Jakób według własnego wyznania spotykał takich tylko.

Tymczasem pani d'Épinay żałuje, że się z nim obezła tak surowo. Saint-Lambert i pani d'Houdetot nie mają już więcej doń pretensyi. Zapraszają go na obiady do Paryża. Wszystko idzie jak najlepiej. Jan Jakób sam jest zdziwiony, że po takich burzach namiętności to spotkanie zostawia go tak spokojnym. Znajduje Saint-Lambert'a zachwycającym. Widzi już panią d'Houdetot między Saint-Lambert'em i sobą, jak zobaczy później Julię d'Étanges między Wolmarem i Saint-Preux'em.

Zaznajamia się z Malesherbes'em, który mu bardzo ułatwia druk »Nowej Heloizy« (wydanej w 1760 r. u Rey'a w Amsterdamie), i który sam mu wskazuje poprawki potrzebne, aby książka miała wolny obieg we Francyi. — Malesherbes ofiarowuje mu miejsce współpracownika w »Journal des Savants«, Rousseau odmawia. Nie umiałby pisać na dzień oznaczony i na dany przedmiot. »Wyobrażano sobie, powiada, że mogę pisać z zawodu, jak wszyscy inni literaci, podczas kiedy ja umiałem pisać tylko pod wpływem namiętności«.

Zaczyna »Emila« zaraz po »Nowej Heloizie«.

Ludzie przyjeżdżają z Paryża, aby go odwiedzić, ale nie za często: właśnie tyle, aby potem lepiej mógł rozkoszować się samotnością. Tymczasem po raz dwudziesty robi projekty ostatecznego odsunięcia i wyrzeczenia się świata. Zdecydowany jest, powiada, »wyrzec się zupełnie wysokich kół towarzyskich, pisania książek, całego kramu literackiego, i zamknąć się na resztę swoich dni w ciasnej i spokojnej sferze, do jakiej czuł się stworzony...«

Ma przedewszystkiem niesmak do życia z ludźmi światowymi. Przypomina sobie wszystkie przykrości, które mu sprawił pobyt w Chevrette i w Eaubonne i opowiada nam przytem szczegóły z zabawną szczerością:

Żyjąc z ludźmi opływającymi w dostatki a nie prowadząc domu, jak oni, byłem zmuszony naśladować ich w wielu rzeczach; i rozmaite wydatki, które były niczem dla nich, były dla mnie nie mniej rujnujące, jak konieczne... Sam, bez służącego, byłem na łasce służących domu, których względy trzeba było koniecznie kaptować, by nie cierpieć wiele... Damy z Paryża, które mają tyle sprytu, nie mają o tem żadnego pojęcia i, chcąc mnie oszczędzać, rujnowały mnie. Kiedy jałem kolację nieco dalej od swego mieszkania, pani domu zamiast pozwolić, bym posłał po dorożkę, kazała zaprzęgać, aby mnie odwieziono; była bardzo skora, aby mi zaoszczędzić dwadzieścia cztery susów na dorożkę; co do talara, którego dawałem lokajowi lub woźnicy, o tem nie myślała wcale. Kiedy jaka dama pisała do mnie z Paryża do Ermitaża lub Montmorency, to żałując czterech susów porta, któreby jej list mnie kosztował, przysyłała mi go przez jednego ze swych ludzi, który przychodził pieszo całkiem spocony i któremu dawałem obiad i talara, z pewnością zarobionego dobrze. Jeśli mi proponowała przejechać ośm lub dziesięć dni u niej na wsi, mówiła do siebie: to zawsze będzie oszczędność dla tego biednego chłopca i przez ten czas życie go nic nie będzie kosztowało. Nie myślała jednak, że przez ten czas nie pracowałem wcale i że moje gospodarstwo i moje komorne i moja bielizna i moje ubrania zużywały się tem nie mniej; że płaciłem podwójnie gołarza i że kosztował mnie u niej więcej, niżby mnie był kosztował u siebie... Mogę zapewnić, że wydałem lekko dwadzieścia pięć talarów u pani d'Houdetot w Eaubonne, gdzie spałem tylko cztery lub pięć razy, i więcej niż sto pistolów tak w Épinay, jak w Chevrette, podczas pięciu czy sześciu lat, kiedy bywałem tam najczęściej. Te wydatki są nieuniknione dla człowieka z mojem usposobieniem, który nie umie w nic się zaopatrzyć, ani nie umie wysilić na nic umysłu, ani znieść widoku służącego, co zrzędzi i usługuje z niezadowolaniem.

Nie, nie, on nie będzie już odwiedzał ludzi światowych. Nareszcie odzyskał swą wolność i zachowa ją. Jego wieczny zamiar moralnej reformy wydaje się poważny tym razem. Moznaby powiedzieć, że stanie się zdolnym do »życia wewnętrznego«. Księgarz Rey pili go, aby napisał »Pamiętniki swego życia«; żartuje więc sobie z »fałszywej naiwności«

Montaigne'a, który podejmuje trud, aby przypisać sobie miłe wady, »podczas kiedy czułem, powiada, ja, który uważałem się zawsze i uważam jeszcze, zważywszy wszystko, za najlepszego z ludzi, że niema duszy ludzkiej, jakkolwiekby czysta była, któraby nie ukrywała jakiejś ohydnej wady«. I ten koniec zdania zawierałby niejaką znajomość samego siebie i niejaką pokorę, gdyby nie miał tyle dumy, — a może po prostu chęci postawienia na swoim, — na początku. Wszystko jedno; nigdy nie okazał się tak rozumny i tak zdecydowany do życia w swoim kącie.

Ale początkiem lata marszałek i księżna Luxembourg przybywają do swego zamku, znajdującego się w pobliżu domku w Montlouis, i oto projekty jego odsunięcia się od świata upadają. Księżę i księżna robią względem niego pierwsze kroki i on prawie zaraz podejmuje swe łańcuchy. Łańcuchy mniej ciężkie, co prawda, niż w Chevrette, Jan Jakób stawia warunki: będą go przyjmowali tylko bez ceremonii; nie będą go zmuszali do obecności na kolacyach. Wydaje się zresztą, że pan i pani de Luxembourg byli z nim o wiele mniej niedyskretni, niżeli niegdyś pani d'Épinay. Ale mimo wszystko to nie jest już więcej wolność. Nasz fałszywy Huron nie mógł się powstrzymać ani od pożądania jej, ani od tego, aby się jej raz po raz zrzekać w ręce arystokratyczne. I tyle recydyw pozwoliłoby nam sądzić, że w gruncie lubił tę niewolę.

To prawda, że tym razem natrafił na ludzi, którzy nie dawali mu jej zbyt uczuć.

Marszałek de Luxembourg był człowiekiem bardzo dobrym, prostym i serdecznym. Wziął odrazu Jana Jakóba za serce przez swą dobroduszość. Nazywał go swym kochanym przyjacielem. Jan Jakób zaczął się nim zachwycać, ponieważ zawsze na początek posuwał się aż do zachwyty. Ale mimo wszystkiego imponowała mu godność marszałkowska. Zdaje się, że w listach myśli on o tej randze więcej, niż

o niej myślał sam poczciwy marszałek. A jednak Jan Jakób chce zachować się jak człowiek wolny, którego wielkości nie osłepiają zgola. I stąd dużo kłopotów:

Pańska dobroć, pisze do marszałka, wprowadza mnie w kłopot, który powiększa chęć, aby się nie okazać tej dobroci niegodnym. Wiem, jak odrzuca się spojrzeniem zimnem i odpychającym pierwsze kroki ludzi możliwych, których się nie poważa: ale jakżeż, nie zapominając się, mógłbym go użyć względem pana, którego moje serce szanuje, względem Pana, któregobym towarzystwa szukał, gdyby Pan był mi równy? Ponieważ chciałem zawsze żyć tylko ze swymi przyjaciółmi, mam tylko jeden język, język przyjaźni, poufałości. Wiadomo mi, jak od mego stanu do Pańskiego należy modyfikować ten język: wiem, że mój szacunek dla Pańskiej osoby nie zwalnia mnie od szacunku, który jestem winien Pańskiej randze... Zawsze waham się, aby nie uchybić albo Panu, albo sobie, aby nie być poufałym, albo zbyt uniżonym...

I to się ciągnie dalej. Mój Boże, wieleż zachodów! jakież to jest ciężkie! — W innym liście:

Ach! Panie Marszałku, Pan nie ma pojęcia, jak mi jest przyjemnie widzieć, że nierówność nie jest nie do pogodzenia z przyjaźnią, i że można mieć za przyjaciela człowieka wyższego od siebie.

Jeszcze? On trawi czas na przypominaniu dobrodusznemu człowiekowi, że jest marszałkiem i księciem. (Ach! dalecy jesteśmy tutaj od tego miłego, tak swobodnego wzięcia się Voltaire'a z wielkimi panami).

Gdy pewnego dnia Genewczyk Coindet przybył pokazać marszałkowi projekty sztuchów do »Nowej Heloizy«, marszałek zatrzymał go na obiad, a ile że Coindet musiał wrócić wcześniej do Paryża, powiedział do towarzystwa: »Przejdźmy się drogą do Saint-Denis; odprowadzimy pana Coindet'a«. Marszałek nie myślał, że robi coś wzniosłego. Ale Jan Jakób, opowiedziawszy nam ten fakt, dodaje: »Co do mnie, serce miałem tak wzruszone, że nie mogłem wymówić ani słowa. Szedłem z tyłu, płacząc jak dziecko, i umierając z chęci ucałowania śladów tego do-

brego marszałka«. Jest to dowód dobroci serca; ale to za wiele, stanowczo za wiele.

Co do marszałkowej, to ją znacie. Besenval, mówiąc o czasie, kiedy była księżną de Boufflers, maluje nam ją jako potwora rozpusty, pijaństwa i złośliwości. Będziecie mieli o niej zdanie, jakie chcecie. I prawdą jest, że Besenval dodaje: »Znam tylko jedną jej zasługę, to jest sposób, w jaki wychowała księżnę de Lauzun, swoją wnuczkę... Nie można zaprzeczyć, że ona jest arcydziełem wychowania i najdoskonalszą kobietą, jaką kiedykolwiek znano«. (Co do marszałka, Besenval kreśli go nam jako człowieka najzupełniej »ograniczonego«).

Marszałkowa miała 51 lat, kiedy Rousseau wszedł z nią w stosunki quasi-zażyłe. Marszałek był publicznie jej kochankiem, zanim został jej mężem. Była jeszcze ładna, bardzo inteligentna i zgryźliwa, ale ta zgryźliwość zaczynała się osłabiać. Po śmierci marszałka (1764) stała się, jak mówią, całkiem dobra, tą dobrocią nabytą przez długie doświadczenie. Za Ludwika XVI miano ją za wyrocznię dobrego tonu i grzeczności, za tę, która konserwowała prawidłą »doskonale wychowanego towarzystwa«. — »Pani Geoffrin była rodzajem policyi dla dobrego smaku, jak marszałkowa de Luxembourg dla tonu i zwyczajów wielkiego świata«. Tak wyraża się książę de Ligne. Marszałkowa miała rozum umrzeć w 1787 roku.

Jej rola światowa wymagała zdolności szybkiego poznawania ludzi, wielkiego taktu i giętkości. Zupełnie bez trudu podbiła Jana Jakóba i była dla niego o wiele lepsza, niż niespokojna i męcząca pani d'Épinay, zresztą wielka dama drugiego rzędu. Z podejrzliwym Janem Jakóbem marszałkowa była nawskróś prosta, nawskróś szczera, nawskróś pobłażliwa i okazywała podziw, który wydawał się zupełnie mimowolny, i wystrzegała się okazać zbyt wiele dowcipu. — Miły jej portret, jaki nam kreśli, kończy tak: »Zdawało

mi się, że spostrzegłem od pierwszej wizyty, jak mimo mojej niezgrabności i ciężkich fraz, nie byłem jej niemiły«.

Nie był jej niemiły. Miał dla niej swoje dziwactwa, sławę genialnego niedźwiedzia, dziwny talent (a po wszystkie czasy piękne damy lubiły przyjmować wielkich ludzi). Ale po za tem trzeba przypuścić, że jego osoba miała nie tylko pozór wdzięku, ale wdzięk rzeczywisty: ponieważ widzimy, że entuzyści dla jego książek nigdy nie oziębli dla niego, skoro go poznali, — albo że to oziębienie przyszło dopiero z biegiem czasu.

Tak więc raz jeszcze Rousseau jest niewolnikiem i dłużnikiem wielkiego pana i wielkiej damy. Zgadza się na mieszkanie w miutkim zameczku w parku Montmorency podczas naprawy domku w Montlouis. — Codziennie odwiedza marszałka i panią de Luxembourg. Idzie tam rano; je tam obiad; przepędza tam popołudnie, czasem tam je kolację. »Prawie jej nie opuszczałem«, mówi. Czyta codziennie rano marszałkowej, leżącej w łóżku, rękopis »Nowej Heloizy«; i to trwa długo. Sporządza dla niej pięknie kaligrafowaną kopię, »po tyle od strony«. Kiedy czytanie »Nowej Heloizy« się skończyło, zaczyna czytanie »Emila«.

Pani de Luxembourg zawróciła sobie głowę »Julią« i jej autorem; mówiła tylko o mnie, zajmowała się mną tylko, mówiła mi miłe rzeczy cały dzień, ścisłała mnie dziesięć razy na dzień. Chciała, abym miał zawsze miejsce obok niej; a gdy kilku wielkich panów chciało zająć to miejsce, mówiła, że ono należy do mnie i kazała ich umieścić gdzieindziej.

Skoro mały domek w Montlouis naprawiono, wraca doń, ale zachowując możność używania, według życzenia, małego zameczku. — Czy to do tego zameczku, czy to do Montlouis państwo de Luxembourg przyprowadzają mu swych gości. To są zawsze najwięksi panowie, zawsze największe damy. Bo, nie dajmy się zwieść, Rousseau'a bez porównania więcej ci ludzie psuli, niż Voltaire'a. I Teresa

ich częstuje, a wielkie damy całują Teresę, zjadłszy jej truskawki ze śmietaną.

Jan Jakób żyje w zachwycie. Ale chodzi mu o to, abyśmy wiedzieli, że cały ten blask wcale go nie oślepia i że zachowuje on wśród tej całej sławy swą prostotę. (Ta sama nota, cokolwiek niedorzeczna, znajdzie się u Chateaubriand'a).

Wzywam, pisze Jan Jakób trochę uroczyście, wszystkich, którzy mnie w tej epoce widzieli, aby orzekli, czy kiedykolwiek spostrzegli, że ten blask mnie choć na chwilę oślepiał; że dym tego kadzidła zawrócił mi głowę; czy mnie widzieli mniej jednostajnym w mojem wzięciu się, mniej prostym w mych manierach, mniej przystępnym dla ludu, mniej zażyłym dla sąsiadów, itd.

I czuje bardzo wielką przyjemność gdy zje czasem kolację z sąsiadem, murarzem Pilleu, po obiedzie u Luxembourg'ów. Znajduje to zachwycającem i nie może się uspokoić.

Więc nigdy nie był szczęśliwszy. Ale zapłaci za to wkrótce.

I wielcy panowie i damy, którzy mu przyklaskują, którzy go psują i całują, zapłacą także — nieco później.

»Nowa Heloiza«, wydrukowana w Amsterdamie, ukazała się we Francji w początku 1761 roku z sukcesem niesłychanym. »Emil« jest gotów w kilka miesięcy później. Rousseau chciałby, przez ostrożność, kazać go wydrukować i ogłosić, jak »Julie«, tylko za granicą. Ale troszcząc się o jego interesy bardziej, niż on sam, pani de Luxembourg i Malesherbes chcą, aby »Emil« został ogłoszony prawidłowo we Francji równocześnie jak w Holandji. Malesherbes sam proponuje potrzebne poprawki. I kiedy druk się zwleka, Rousseau nie wiedząc, co się dzieje, umiera z niepokoju. Ale co! Malesherbes, dyrektor księgarni, marszałkowa i nawet książę de Conti zajęli się wszystkim, za wszystko mu odpowiadają.

Mimo wszystkiego druk ciągnie się długo! Rousseau wpada na nowo w chorobę. Tym razem przypuszcza, że ma kamień. Marszałek sprowadza mu sławnego brata Côme. Brat Côme (Rousseau, powtarzam, mógł zawsze tylko chwalić księży czy zakonników katolickich) sonduje go i oświadcza, »że nie ma zupełnie kamienia, ale że prostata ma narosty i nadnaturalną wielkość i że Rousseau musi cierpieć wiele, ale żyć będzie długo«.

A druk »Emila« wlecze się ciągle!... Ukazuje on się wreszcie w maju 1762. Krążą jednak niepokojące pogłoski. 8 czerwca, w nocy, w chwili kiedy Rousseau, według zwyczaju, czytał Biblię przed zaśnięciem, dostaje wieść, że wydano rozkaz jego uwięzienia. Trzeba, aby uciekał: on się nie opiera. Czułe pożegnania. Marszałkowa, pani de Bouffleurs, pani de Mirepoix, które się tam znajdują, ściskają go wśród płaczu, a dobry marszałek sam go odprowadza do już przygotowanego dyliżansu.

Dlaczego na Rousseau'a wydano wyrok? Ponieważ parlament przygotowywał wypędzenie Jezuitów i ponieważ chciano dewotom dać małe wynagrodzenie, wymierzając cios w deistycznego filozofa. »Polityka równowagi«.

Nie było jeszcze wtedy wolności prasy. My mamy wolność prasy, ale nie mamy wolności sumienia, ani wolności stowarzyszania się, ani wolności nauczania. Nie można mieć wszystkiego.

Oto więc biedny Rousseau w ucieczce. Ta ucieczka miała go skazać na nowych ośm lat tułaczki, i na stanowcze szaleństwo.

Pani de Luxembourg, książę de Conti, Malesherbes byli odpowiedzialni wobec Rousseau'a za tę bolesną przygodę. Ale musieli być bardzo zakłopotani. Oczywiście nie od nich zależało powstrzymanie dekretu parlamentu. — Przynajmniej, powiecie, powinni go byli przewidzieć. — To i moje zdanie. Ale obecnie, skoro rzecz się dokonała, cóż zrobić mogli? Nic, chyba doradzić Rousseau'owi ucieczkę, dać mu

czas i dostarczyć środków. To właśnie zrobili; i tego też prawdopodobnie pragnął parlament.

Rousseau nie mógł się bronić, nie odkrywając pani de Luxembourg, księcia de Conti, Malesherbes'a. Nie bronił się wcale. Zachował się jak człowiek bardzo szlachetny. W tym wypadku jego moi przyjaciele byli mu naprawdę zobowiązani. Musieli zostać mu wierni i nawet wdzięczni. I byli nimi, tak, — ale nie dosyć może i nie dosyć długo. Ale oddalenie, lata, wzmagające się niedowierzanie Jana Jakóba są dla nich może usprawiedliwieniem.

Co więcej, to jest jego wina!

Słuchajcie tego zdania, które czuć jak było pisane z widoczną przyjemnością:

...Ta terasa służyła mi za salę przyjęć dla pp. de Luxembourg, ks. de Villeroy, ks. de Tingry, markiza d'Armentières, kżny de Montmorency, kżny de Boufflers, hrny de Valentinois, hrny de Boufflers i innych osób tego stopnia (należałoby dorzucić ks. de Conti), które nie gardziły pielgrzymką z zamku do Montlouis, przez stromą drogę bardzo męczącą.

Do dyabła! to jeszcze lepiej, niż w Ermitażu. Ale cóż Jan Jakób robi w tym świecie?

Mają oni obyczaje doskonałe, to prawda, i nikt lepiej, niż oni i one, nie umie ułożyć komplementu. Ale w końcu ci panowie i te damy są uprzywilejowani wśród uprzywilejowanych. Przedstawiają wszystko to, o czym Rousseau w swych pierwszych dziełach mówi, że ma najbardziej obrzydzeniu: kłamstwa i światowe zepsucie i najbardziej bezczelną nierówność. Ten zbytek, to wyrafinowanie, to »życie nie do naśladowania« mogą Janowi Jakóbowi przypominać tylko straszny zbiór niesprawiedliwości i biedy, które mają pod nogami i którymi się żywią. A jednak dałoby się powiedzieć, że on nie może żyć już jak tylko z tymi kosztownymi arystokratami, w tem skandalicznym bogactwie i wśród tej skandalicznej nierówności... Wolno biednemu sceptykowi bywać u całego świata: ale apostołowi!

Jesteśmy słabymi istotami i powinniśmy się starać zrozumieć wszystkie przeciwieństwa. Ale są wśród nich »zbyt rzucające się w oczy« i zbyt bezwstydne, których naprawdę odrobina prawości i dobrego smaku powinna była uniknąć! Nie mogę mieć sympatii dla Rousseau'a u Luxembourg'ów, jak nie lubię milionera socjalisty, szlachcica anarchisty lub księdza, który pozwala sobie na swawolę i emancypację.

Ale oni ze swej strony, ci książęta krwi, ci książęta i księżne, te hrabiny i ci markizowie, — w czasie kiedy te tytuły miały pewne znaczenie, — cóż oni mają do czynienia z Janem Jakóbem? Poproście aby żyć, aby zostać, czym są, potrzebują oni społecznego i politycznego porządku ówczesnego i potrzebują Kościoła. Że się troszczą o dobro publiczne, że politykują z Voltaire'm, z Monteskiuszem, później z Turgot'em, — to dobrze. Ale ten człowiek ekscentryczny, ten człowiek znarowiony grozi im wprost i w tem, co mają najdroższego; zagraża eleganckiemu życiu; zagraża zdala własności samej, całemu istniejącemu porządkowi i Kościołowi i tradycyjnemu i narodowemu wychowaniu. I znajdują, że jest dziwaczny, ale sympatyczny i obsypują go pieścizkami. — Czy to dlatego, że posuwają wspaniałomyślność i abnegację aż do chęci niszczenia siebie samych? Nie; ale nie mając więcej wiary, nie rozumieją tego. To są snoby, jakich się widzi często. Chlubią się wolnością, śmiałością umysłu. Zresztą sądzą, że przyklaskują tylko zabawnym frazesom, które ich przyjemnie łechcą. Nie wiedzą, że w ciągu trzydziestu lat najbardziej grubiańskie z tych zdań, prześląknawszy w mózgi adwokatów, prokuratorów, profesorów, literatów, wstąpią w głowy bardziej ciemne i przemienią się w czyny ślepe.

Bardzo dobry, cnotliwy pan de Malesherbes, który zadał sobie tyle trudu, aby wydrukować »Julie« i »Emila«, zostanie posłany na szafot przez zbrodniarzy upojonych zachwytem dla Jana Jakóba.

W 1760 roku, Amelia de Boufflers, wnuczka marszałkowej, przyszła księżna de Lauzun, miała lat jedenaście. »Miała twarz, słodczy, wstydlivość dziewiczą....« Pewnego dnia Rousseau spotkał ją samą na schodach zameczku.... Nie wiedząc, co powiedzieć, zaproponował jej pocałunek, którego ona, w niewinności serca, nie odmówiła. — W trzydzieści trzy lat potem księżna Lauzun, najczystsza i najłagodniejsza ze znanych kobiet ośmnastego wieku, została skazana na śmierć przez ludzi, którzy byli gorącymi wielbicielami Rousseau'a.

Jeśli się szybko przejdzie myślą tajemny i fatalny związek przyczyn i skutków, czy to będzie deklamacją tylko powiedzieć: — Ten pocałunek, dany małej Amelii de Boufflers przez Jana Jakóba, — który sam też tego nie wiedział, — był już pocałunkiem gilotyny?

SZÓSTA POGADANKA.

»NOWA HELOIZA«.

Ci, którzy chcą bezwarunkowo sprowadzić do jednej i tej samej teorii wszystkie książki Rousseau'a, zapewniają nas, że taki jest sens »Nowej Heloizy«: »Jeżeli nie możemy powrócić do stanu natury, zepsutego przez społeczeństwo, każdy z nas może, nawet przy obecnym stanie cywilizacji, wskrzesić w sobie człowieka natury«. I sądzą oni, że Rousseau musiał koniecznie po »Rozprawie o nierówności« i »Liście o widowiskach« napisać »Nową Heloizę«, jak potem musiał stanowczo napisać »Emila« i »Umwę społeczną«.

Chciałbym, żeby tak było, ale nie jestem pewny, czy tak jest. Zdaje mi się (i dotąd wiedzieliśmy to), że książki Rousseau'a nie wypływają zgoła z jednego systemu, obmyślonego z góry (choć tak twierdzi, po czasie, w swych »Dyalogach«), ale że są wszystkie dziełami okoliczności, rozumem zaś przez to okoliczności życia indywidualnego. Ten sam temperament, ten sam rodzaj wrażliwości i wogóle te same uczucia i te same marzenia, odnajduje się mniej więcej we wszystkich jego dziełach; to było nieuniknione. Jego książki wypływają z tego samego źródła głębokiego i mętnego: ale nie widzę, aby one wyprowadzały się logicznie jedna z drugiej. (Wróć do tego w swych konkluzjach).

Zobaczmy, jak powstała »Julia« czyli »Nowa Heloiza«. Opowiada nam o tem w IX księdze »Wyznań« obficie i trochę zawikłanie.

Było to w czerwcu. Znajdował się w Ermitażu. Robił długie wycieczki do lasu. Marzył. Wydawało mu się, że »los winien mu być coś, czego mu był nie dał«. Cóż takiego? Przyjaźń i miłość, przede wszystkim miłość. »Jak to się stało, że mając zmysły tak zapalne i serce przepełnione miłością, nie gorzałem ani jednego nawet razu ogniem miłości dla jakiegoś określonego przedmiotu?« Robił przegląd wszystkich kobiet, które dostarczyły mu wzruszeń w młodości: »panna Galley, panna de Graffenried, panna de Breil, pani Basile, pani de Larnage, moje piękne uczennice, aż do pikantnej Zulietty«. (Zapomina najzupełniej o pani de Warens).

Niestety! na próżno wywołuje wszystkie wspomnienia miłości. To jest dość mdłe i on zdaje sobie z tego dobrze sprawę. Były to zaledwie zawiązki awanturek. Tylko z łatwo dostępną panią de Larnage, która miała tyle dobrej woli... Ale to było jedynie spotkanie w zajeżdżnym domu. — »Spędziłem życie, mówi w jednym miejscu, na pożądaniu i milczeniu w towarzystwie osób, które kochałem najbardziej«. Ach! zaznać wkońcu pięknej miłości! Ale Jan Jakób ma 45 lat; to za późno; a poza tem nie chciałby sprawić przykrości Teresie.

Więc — powiada — niemożność zdobycia istot realnych, rzuciła mnie w krainę chimery; a nie widząc nic istniejącego, coby było godne moich marzeń, karmiłem je w świecie idealnym, który moja twórcza wyobraźnia zaludniła wkrótce istotami, według życzeń mego serca.... Wyobraziłem sobie dwie przyjaciółki.... Zrobiłem jedną brunetkę, a drugą blondynkę, jedną żywą, a drugą słodką, jedną roztropną, a drugą słabą, ale o słabości tak wzruszającej, że cnota zdawała się na tem zyskiwać. (Do kroćset!) Jednej z nich dałem kochanka, któremu druga była czułą przyjaciółką i nawet czemś więcej... Zakochany w swych dwóch miłych modelach, utożsamiałem się z kochankiem i przyjacielem, jak można było najbardziej; ale zrobiłem go miłym i młodym, dając mu nadto cnoty i błędy, jakie czułem w sobie.

Poczem szuka dla nich miejsca pobytu, myśli o wyspach Boromeusza, a wkońcu umieszcza ich w Vevey, na

brzegu swego ukochanego jeziora. Zabrał się potem, jak powiada, do pisania, na los szczęścia, po to tylko, »aby dać rozmach pragnieniu kochania, którego nie mógł być zaspokoić i które, czuł, że go pożera«. — Zapewnia, że dwie pierwsze części »Julii« zostały napisane w ten sposób, »bez żadnego określonego planu i nawet bez przewidywania, że kiedyś poczuje chęć zrobienia z tego zupełnego dzieła«.

Tak mało uważa zaczęty romans za rozwinięcie lub zastosowanie swej doktryny, że bierze go przeciwnie za rodzaj sprostowania co do swej roli publicznej.

Po surowych zasadach, jakie wygłaszałem był z takim rozgłosem,... po tylu zarzutach gryzących przeciwko zniewieściałym książkom, które tchnęły miłością i gnuśnością, czy można było sobie wyobrazić coś bardziej nieoczekiwanego, coś bardziej uderzającego, jak widok, że się nagle zapisuję w grono autorów tych książek, które tak surowo oceniłem? Czułem tę niekonsekwencyę w całej sile.

To zdaje się dowodzi dostatecznie, że Rousseau zrazu powziął pomysł tylko dwu pierwszych części »Julii« i tylko jako romansu miłosnego, i że tendencye moralizatorskie ogarnęły go dopiero później.

Tymczasem w Chevrette, potem w Ermitażu, widuje się znowu z panią d'Houdetot. Natychmiast jego ideał w nią się wciela. Wyobraża sobie Julię z jej rysami. Cóż za sposobność do wypróbowania siebie w tych uczuciach egzaltowanych, które chce wyrazić w książce! W ich tajemnych spotkaniach, w rozmowach gorących (przynajmniej z jego strony, podczas kiedy pani d'Houdetot bawi się i szuka rozrywki pod nieobecność Saint-Lambert'a) Jan Jakób w rzeczywistości pracuje nad swoim romansem. I to tłumaczy, jak mógł się tak szybko pocieszyć po klęsce wielkiej namiętności. To była tylko literatura.

Tymczasem to, co dotąd napisał z »Julii«, na los szczęścia i bez ciągłości, nie tworzy nawet jednolitej historii. Ale »w miarę, powiada nam, obracania i przewracania ma-

rzeń w głowie, utworzyłem wkońcu rodzaj planu, którego wykonanie jest znane. I wtedy, mówi nam, zamierza sobie w swym romansie dwa cele. Pierwszy: pokazać zepsutemu wiekowi, naginając się do jego poziomu, że można podnieść się na nowo z upadku i że nawet błąd jednej chwili może być źródłem wzniosłych postępów. »Gdyby Julia zawsze była roztropna, mówi nam w »Drugiej przedmowie«, byłaby daleko mniej pouczająca, bo dla kogóż służyłaby za wzór?« — A drugi cel: to zbliżyć wierzących i bezbożnych we wzajemnem poszanowaniu; nauczyć tych, że można wierzyć w Boga, nie będąc hipokrytą, a tamtych, że można być niewierzącym, nie będąc łajdakiem. Pobożna Julia jest nauką dla filozofów, a ateusz Wolmar dla nietolerantów. — Reszta, a mianowicie wezwanie do życia prostego, do życia wiejskiego i rodzinnego i do czystości domowego ogniska, dołączały się zatem dopiero kolejno.

Oto co mówi Rousseau w IX księdze »Wyznań«. To jest pozornie słuszne. Ale myślę, że romans o »Julii« powstał w jego umyśle w sposób jeszcze bardziej prosty.

Wszystko, co zatrzymam z jego opowiadania, to będzie, że powziął myśl napisania »Julii« na wiosnę, wśród kwiatów i drzew, podczas miesięcy marzeń i sentymentalnej egzaltacji, i że przemarzył przedewszystkiem swój własny romans.

W swych spacerach poprzez lasy, przypomina sobie tułaczą młodość, która się przeobraża w jego oczach. Owoż jedno z marzeń, które go najczęściej nawiedzało w tym czasie, — i które zrealizował z panią d'Houdetot o tyle o ile i za późno, w 45 roku życia, — to być kochanym przez piękną arystokratkę. Uciekłszy z Genewy, blądząc po Saubaudyi i Piemontcie, nie mógł prawie spotkać zamku na wsi, nie marząc w ten sposób:

Wchodziłem bezpiecznie w rozległy świat... Zapełnić go miały moje zastugi... Ukazując się, miałem zająć sobą świat cały... Ale nie potrzeba mi było tyle... Do jednego, jedynego zamku ograniczały się

moje ambicje: jako faworyt pana i pani, kochanek panny, przyjaciół ojca i protektor sąsiadów, byłem zadowolony; nie potrzeba mi było nic więcej.

Trochę później w Turynie:

Moja gospodyni powiedziała mi, że znalazła mi miejsce i że pewna dama z towarzystwa chce mnie widzieć. Na te słowa uwierzyłem, że wszedłem w sam środek awantur wielkiego świata, ponieważ zawsze do tego wracałem myślą.

Ale przedewszystkiem przypomina sobie pannę de Breil u Gouvon'ów, gdzie był lokajem:

Panna de Breil była młodą osobką, prawie w moim wieku, pięknie zbudowana, dość wysoka, bardzo blada, o bardzo czarnych włosach, i, chociaż brunetka, miała na twarzy ten rys słodczy błondynek, któremu moje serce nigdy nie mogło się oprzeć. Strój dworski, tak korzystny dla młodych osób, rysował jej piękną figurę, odkrywał piersi i ramiona, i czynił jej płeć jeszcze bardziej olśniewającą z powodu żałoby, jaką wtedy nosiła. Można by powiedzieć, że to nie należy do służącego zważać na te szczegóły (zdanie pełne gorzkości)... Przy stole starałem się znaleźć sposobność, aby zwrócić na siebie uwagę. Jeśli jej lokaj na chwilę odszedł z za jej krzesła, natychmiast widziałem mnie na jego miejscu: po za tem, stałem naprzeciw niej, czytałem w jej oczach, czego zażąda, czyhałem na moment, aby zmniejszyć jej talerz. Czegożbym był nie zrobił, aby raczyła mi rozkazać cośkolwiek, popatrzeć na mnie, powiedzieć jedno jedyne słowo! Ale nic; trapiłem się, że jestem niczem dla niej; nawet nie dostrzegała mojej obecności.

Raz jednak i jeszcze raz drugi zwraca jej uwagę i to w okolicznościach dlań pochlebnych: »Rzuciła na mnie okiem. Jej spojrzenie, krótkie, nie omieszczało mnie wzruszyć«. A drugim razem:

Ten moment był krótki, ale rozkoszny pod każdym względem... W kilka minut później panna de Breil, wzniosłszy znowu oczy na mnie, głosem równie nieśmiałym, jak uprzejmym, poprosiła, abym jej nalał wody. Oczywiście nie dałem jej czekać; ale kiedym się zbliżył, chwyciło mnie takie drżenie, że, zbyt napełniwszy szklanekę, rozlałem trochę wody na talerz i nawet na nią. Jej brat zapytał mnie nierozważnie, czemu trzęsę się tak bardzo. To pytanie nie przyczyniło się, aby mnie uspokoić, a panna de Breil zaczerwieniła się aż po białka oczu.

Ruy Blas.... to naprawdę Ruy Blas, Ruy Blas pod swem prawdziwym nazwiskiem, w swoim pierwszym zawodzie i jeszcze nie przebrany za Don Cezara... Ale bez wątpienia matka coś zauważyła i pomówiła z matką. Jan Jakób napróżno potem opóźniał się w przedpokoju pani de Breil: nie otrzymał więcej ani jednej oznaki uwagi ze strony dziewczyny. Nawet dwa razy pani de Breil spytała go suchym tonem, »czy nic nie ma do roboty«. — »Trzeba było — mówi — zrezygnować z tego kochanego przedpokoju«. I konkluduje: »Tu kończy się romans«.

Owoż wydaje mi się rzeczą jasną, że dwie pierwsze części »Nowej Heloizy« są zakończeniem tego romansu, romansu całej jego młodości i że to nie jest nic innego, i że go układa a nawet pisze z początku dla swej przyjemności, nie troszcząc się o ciąg dalszy.

Trzeba, aby Jana Jakóba kochała ta, którą nazywa w swych »Wyznaniach« »panną z zamku«, i trzeba, aby ją posiadał. Później, zobaczmy. I oto jak się to układa w jego głowie.

Osoby: on, Jan Jakób, pod imieniem Saint-Preux; Julia d'Étanges; baron d'Étanges, jej ojciec, szlachcic pełen przesądów (to rozumie się przez same dane opowieści); baronowa d'Étanges, matka niedbała i bez wpływu (dla ułatwienia i wytłómaczenia niektórych faktów). Wkońcu jako osoby dodatkowe: pikantna Klara, w przeciwstawieniu do czułej Julii; energiczny i zimny lord Edward, w przeciwstawieniu do słabego i gorącego Saint-Preux'a. — Ramy: pejzaż, który Jan Jakób kocha i zna najlepiej: brzegi jeziora Lemańskiego.

Romans będzie się składał z listów dla większej wygody, aby autor mógł się wynurzać do woli i ponieważ forma oratorska czy liryczna (traktat czy wybuchy) jest formą najbardziej naturalną dla niego. Powieść pochodzić będzie trochę od »Clarisse Harlowe« Richardsona i trochę, bardzo mało, od »Marianne« Marivaux'a. Dodajcie, jeśli chcecie,

nieokreślone i dalekie wspomnienia powieści XVII w., które, będąc dzieckiem, czytał z ojcem.

Ale, aby uwiedzenie Julii było bardziej prawdopodobne, autor daje Saint-Preux'owi stanowisko nieco wyższe, niż to, jakie zajmował Jan Jakób w Turynie. Saint-Preux jest młodym mieszczaninem, niepewnego pochodzenia, — wykształcony, inteligentny, zresztą sam na świecie, jak Ruy Blas, Didier i ich bracia romantyczni; plebejusz dość prawdziwy, aby przesady społeczne sprzeciwiły się jego małżeństwu z Julią. — Z drugiej strony Julia była wychowana przez służącą, która była dość cyniczną kumoszką. — Pod nieobecność barona, baronowa d'Étanges, dziwnie nierozsądna, prosiła Saint-Preux'a, aby dawał lekcje Julii. Saint-Preux ma lat 20, Julia 18. Można przewidzieć, co się stanie.

Nie odwieka się to bardzo. Po kilku listach bardzo długich i oporze dość krótkim, Julia, w porozumieniu ze swą pikantną przyjaciółką Klarą, idzie, aby spotkać pewnego wieczora Saint-Preux'a w gaiku, całuje go w usta i ucieka. Późem (i tutaj przepisuję poprostu tytuły kilku rozdziałów) »żąda, aby się jej kochanek oddalił na czas pewien, i dostarcza mu pieniędzy, aby pojechał do swej ojczyzny pilnować swych spraw. — Kochanek jest posłuszny i powodowany dumą odsyła jej pieniądze. — Oburzenie Julii z powodu odmowy kochanka. — Posyła mu podwójną sumę. — Kochanek dostaje tę sumę i wyjeżdża«. A więc, co? Argumenty Julii są bardzo przekonywające, zapewniam was; a przytem czyż Jan Jakób nie był kiedyś, nie kłopotząc się o to zupełnie, dłużnikiem pani de Warens?... I czyż nie dlatego porusza tu tę nieoczekiwaną kwestyę, ponieważ sobie przypomina?

Podczas nieobecności Saint-Preux'a baron d'Étanges powraca do domu. Opowiadają mu o zasługach Saint-Preux'a. Oświadczą z tego powodu, że nie odda nigdy swej córki obieżyswiatowi i że chce ją wydać za mąż za jednego ze

swych przyjaciół ze szlachty. Julia wpada w chorobę, wzywa potajemnie Saint-Preux'a i »traci swą niewinność«.

Naznacza drugie spotkanie swemu kochankowi. Ale odkłada je później i zobowiązuje Saint-Preux'a do oddalenia się na dwa dni dla celu, którego nie potrzebuję wam tu tłumaczyć. Niebo wynagradza ją zresztą za to poświęcenie, ponieważ nieobecność Saint-Preux'a chroni ją od poważnego niebezpieczeństwa.

I Julia z kolei nagradza jego cnotę przez spotkanie nocne i zupełnie poważne. Pomijam kilka epizodów. — Później Julia jest ciężarna, później roni i to wszystko w sekrecie. — Potem, kiedy lord Edward, przyjaciel Saint-Preux'a, radzi ojcu Julii, aby ją wydał za jej nauczyciela, baron robi straszną scenę żonie i córce; i subtelnej Klarze udaje się ułatwić ucieczkę Saint-Preux'owi, który jedzie do Paryża. Julia, przedtem przysięgła mu, że bez wątpienia nie wyjdzie za niego bez zgody ojca, ale że nie będzie nigdy należała do innego bez zgody Saint-Preux'a.

I oto romans — tyle razy odnawiany — nauczyciela i młodej szlachcianki. Zatrzymałem tylko fakty istotne: bo w tej przeobfitej »Julii«, zawierającej tysiąc dwieście stron, zaledwie czterysta odnosi się do samej »historii«; a co dopiero zanalizowałem wam pierwszą część z trzech.

Ta pierwsza część jest stanowczo najnudniejsza (prócz dygresji: podróży Saint-Preux'a do Valais i listów, które przysyła z Paryża). — A jednak prawdopodobnie tę część książki pisał Rousseau z największą gorączką. — Właśnie o pierwszym tomie »Heloizy« pani d'Épinay powiedziała w swych »Pamiętnikach«: »Po obiedzie czytaliśmy zeszyty Rousseau'a. Nie wiem, czy byłam nieusposobiona, ale nie jestem zadowolona. Jest to napisane wspaniale, ale jest to zbyt robione i wydaje mi się nieprawdopodobne i bez ciepła. Osoby nie mówią ani słowa z tego, co by powiedzieć powinny. To zawsze autor mówi«. I pani du Deffand myślała prawie tak samo i pani de Choiseul i nawet Diderot

(jeszcze wtedy przyjaciel Jana Jakóba). Ze wszystkich dzieł Rousseau'a, z tego tomu wraz z pewnymi rozdziałami »Emila« najłatwiej jest żartować. Podniecenie jest tu czysto słowne. Zauważyć tu można trzy rzeczy, które się nie mogą podobać (co najmniej): nadużycie wyrazu cnota i ciągła dwuznaczność tego wyrazu; niedelikatność uczuć; ostateczne rozpanoszenie się opłakanego stylu »ludzi czułych«.

1. Jest rzeczą niesłychaną, aby młodzieniec i dziewczyna, którzy robią to, co robią Saint-Preux i Julia, i którzy myślą tylko o tem, mówili o cnocie w tym względzie. — Mówią gdzieś, że dlatego, iż ulegli upadkowi, nie są przez to mniej cnotliwi co do reszty spraw i nie utracili przez to prawa do kochania cnoty. Oczywiście: ale ich błąd nie jest tylko słabością ciała, wobec czego moglibyśmy być wyrozumiali; powiększa się on przez dość podłe nadużycie zaufania, skoro Saint-Preux był nauczycielem Julii: i tego właśnie oni się widocznie nie domyślają. To sprawia, że ich wieczne inwokacje do cnoty są jeszcze bardziej niegodne, i to daje im wygląd już to hipokryzyi, już to nieświadomości równie pożałowania godnej... Tak, jest to zaiste odrażający sposób pakowania cnoty tam, gdzie ona nie ma nic do roboty. Jest to cechą Rousseau'a i XVIII wieku. Nic podobnego w XVII wieku, ani w starożytności.

Wogóle to zawsze wielki dwuznacznik całego życia Rousseau'a, o którym już wspomniałem. Saint-Preux i Julia uważają się za cnotliwych, ponieważ »podziwiają« cnotę i ponieważ poczuwają się do dobrego serca. Są oni naprawdę podobni do swego ojca: dobre uczucia, piękna wymowa, i brzydkie życie (przynajmniej aż do 40 roku).

2. Powtóre Julii dziwnie brak delikatności moralnej. Przedewszystkiem wydaje się, że ona zbyt dobrze jest powiadomiona o tem, co zamierza zrobić; ona nazywa rzeczy zbyt po imieniu. Ona mówi nieprzyzwoicie: »Moja cnota,... moja niewinność,... moje zbezczeszczenie...« Mówi o swoich »pożądaniach« przewycięzonych, o »rozkoszach występku«.

Mówi do Saint-Preux'a (przed upadkiem): »Staraj się, drogi przyjacielu, poskromić nadmiar próżnych pożądań«. Mówi o swej dziewiczości: »My, młode dziewczęta, od najmłodsze go wieku czujemy się obarczone tak niebezpiecznym depozytem!...« Nie mniej niemiło jest widzieć, jak pisze do swego kochanka, oznaczając mu spotkanie w szalecie: »Och! naturo!... tam jest się tylko pod jej opieką i można słuchać tylko jej praw«. Jeszcze mniej miło jest słyszeć, jak rozprawia z Saint-Preux'em o niektórych wybrykach zmysłów:

Przypominam sobie refleksy, które razem robiliśmy, czytając twego Plutarcha, nad zdeprawowaniami upodobaniami, które obrażają naturę. Ponieważ te smutne przyjemności nie mogą być podzielane, to wystarcza, mówiliśmy, aby je uczynić wstrętnymi i godnymi pogardy... Nieszczęsny! w jakim sposób odczuwasz rozkosz, kiedy jesteś sam! Te rozkosze samotne są rozkoszami bez życia.

To jest naprawdę niezwykle pod piórem młodej dziewczyny ośmnastoletniej. *)

Ale w tem znowu jest ona na wzór i podobieństwo swego ojca. Bezwstydność Julii przypomina nam, że ten, kto to wkłada w jej usta, dopiero po długich brudach doszedł do normalnej miłości i że ją poznał po raz pierwszy w warunkach spokojnie cynicznych i z kobietą, dla której miłość była tylko gestem, jak każdy inny.

3. Wkońcu, w dwóch pierwszych częściach »Julii«, więcej niż gdziekolwiek indziej, strasznie rozwielnia się obrzydliwy styl »ludzi czułych«. Ten styl zawiera w sobie to, że zawsze, wszędzie, w każdej okoliczności, uczucia naturalne, uczucia rodzinne, czułość macierzyńska, ojcowska, synowska, małżeńska, miłość, przyjaźń, litość, humanitarność — mogą być odczute tylko w najwyższym napięciu i wyrażone tylko w stylu najbardziej szlachetnym, najbar-

*) Porównać także list, gdzie Saint-Preux opowiada Julii, jak zaciągnięto go do dziewczyn, i odpowiedź Julii.

dziej uroczystym, najbardziej emfatycznym, przeplatany czasem wykrzyknikami, apostrofami, zawieszeniami, dreszczami, milczeniem... Ten styl, prawdę mówiąc, istniał przed Janem Jakóbem. Był on po trosze w romansach ks. Pré-vost'a, a nadewszystko u Diderot'a. Ale Jan Jakób w pierwszej części »Julii« pozwolił mu tryumfować, nadużywając go szalenie. Oto parę krótkich przykładów tego stylu, wyjętych naprawdę na rzecz przypadku, bo znajduje się on prawie na każdej stronie.

Julia po zobaczeniu się znowu z ojcem (którego nie powinna była kochać inaczej według tego, co wiemy):

O ty, którego najbardziej kocham po twórcach moich dni, pisze do Saint-Preux'a, dlaczegoś twe listy, twoje skargi przybywają zasmucić moją duszę?... Chciałbyś, aby moje serce tobą się zajmowało bez przerwy; ale powiedz mi, czy twoje serce mogłoby kochać dziewczynę zwyrodniałą, której ogień miłości pozwoliłby zapomnieć o prawach krwi i którą skargi kochanka uczyniłyby nieczułą na pieszczoty ojca!

A cóż powiecie o tych majaczeniach Saint-Preux'a:

Jakaż zachwycająca figura!... Na przodzie dwa lekkie kontury... O widoku rozkoszy!... Fiszbin ustąpił pod siłą wrażenia... Przemiłe ślady, niech was ucałują tysiąc razy!... Boże, Boże! co to będzie, kiedy...

I frazes się nie kończy. — Podobnie Saint-Preux:

O! gdybyś ty mogła wkrótce potroić mą istotę!... Gdyby wkrótce zakład ubóstwiany... Nadziejo zbyt wcześniej zawiedziona, czyż znowu mnie nadużyjesz?... O żądze! o obawo! o niepewności!

Julia (obraz rodzinny):

...Udałam, że się poślizgnęłam; aby się zatrzymać, zarzuciłam ramię na szyję mego ojca; pochyliłam twarz ku jego czcigodnej twarzy i w jednej chwili pokryłam ją pocałunkami i zalałam łzami; czułam z łez, które płynęły z jego oczu, że sam także poczuł ulgę w wielkim cierpieniu. Matka podzielała nasze uniesienia. O słodka i spokojna niewinności, ciebie tylko brakło memu sercu, aby ta scena stała się najrozkoszniejszą chwilą mego życia!

I tak dalej, i tak dalej.

Myszę, co do mnie, że ten styl emfaticzny i płacziwy jest szczerzy u Rousseau'a; że ten styl nienaturalny jest naturalny u niego. Dlaczego? Ponieważ był chory, dotknięty silną newrozją; ponieważ posiadał w ścisłym znaczeniu słowa wrażliwość chorobliwą; ponieważ sam także zalewał się formalnie łzami przy najmniejszej sposobności. Ale niestety! naśladowano go i to było straszne.

W czasach Ludwika XVI i więcej jeszcze za rewolucyi prawie cała literatura była zarażona tą czułością w stylu Rousseau'a. Z czułości miała ona tylko nazwę: było to przede wszystkim staranie się o pozory odczuwania aż do przesady wzruszeń altruistycznych, ponieważ uważano tę przesadę za rzecz zaszczytną. Wchodziło więc w to wiele sztuczności i próżności i wskutek tego bardzo mało rzeczywistej dobroci, ponieważ to staranie się zgóry, aby w oczach cudzych i w oczach własnych przybrać pozę przynoszącą zaszczyt, jest przeciwne prawdziwej dobroci, która wymaga właśnie zapomnienia o sobie lub przynajmniej wysiłku w celu zapomnienia o sobie. I dlatego »czułość« zgoła nie przeszkodziła ludziom rewolucyi być bez litości. — Potem, skoro ta czułość była w modzie, a wskutek tego przesadzana przez istoty jak najbardziej przeciętne, więc szybko przywdziała formę głupoty rzucającej się w oczy. — I wkońcu, ile że ta czułość uchodziła za rzecz szlachetną, pociągnęła za sobą »szlachetność stylu« taką, jak ją rozumieli głupcy, to znaczy najbardziej emfaticzną i najbardziej głupią frazeologię, bajdurzenie bez nazwy. Przez to niektórzy pisarze drugiej połowy XVIII wieku bardziej nam się wydają oddaleni od nas, bardziej nam są obcy, bardziej dziwaczni, niż pisarze z czasów »precyozyzmu« i »buffonery« XVII wieku, lub pedanci z XVI. Poczytajcie nieco, aby to zobaczyć, sztuki Sebastjana Mercier'a, albo miłosną korespondencję lub nawet rodzinną z czasów konwencji i pewne powieści zapomniane z czasów terroru. — Rousseau nie tylko zapisał w spadku

Rewolucyi słownik polityczny, charakter uroczystości i pojęcie państwa, ale także przekazał jej styl głupi.

Oto więc skończył się pierwszy okres miłości nauczyciela i młodej szlachcianki. Jest to zimne jak lód, (skoro Jan Jakób pisał to tylko głową i na wzór miłości sztucznej, książkowej i zamierzonej zgóry, jaką powziął do pani d'Houdetot); i to jest często śmieszne, i to jest często nudne. Więc cieszę się, że z tego wyszedłem, bo to, co przyjdzie potem, będzie zrazu bardzo ładne, a potem trochę szalone, ale zajmujące zawsze.

Po rozłączeniu dwojga kochanków jedno z nich jest w Paryżu, drugie w Vevey. Rousseau zapytuje się, co zrobić z Julią. Zauważcie, że właśnie w tej chwili jego sztuczna namiętność dla pani d'Houdetot bardzo się uspokoiła. — Nie sądzę, aby mu bodaj na chwilę przyszła myśl pożenienia po jakichś przygodach Saint-Preux'a i jego uczeniocy: to rozwiązanie byłoby zbyt mdłe. — Nie: ale, dotarwszy do tego punktu, przypomina sobie znowu swoją rolę reformatora obyczajów i nauczyciela cnoty. I dlaczegoż mówimy »swoją rolę«? Nie był on skromny, znał się sam bardzo niedostatecznie, ale wkońcu stał się szczerym w swych zamiarach reformy i wewnętrznego udoskonalenia. Jego własne życie, gdy je ujmemy w całości, wyda nam się ewolucją, wysiłkiem, często pełnym złudzeń, ale ostatecznie wysiłkiem ku cnocie, powolnem wydostawaniem się z pierwotnego błota, wznoszeniem się, które zgoła nie zahamuje jego szaleństwa, rosnącego powoli; przeciwnie.

I wtedy (jestem o tem przekonany) wpada na myśl zbliżenia życia Julii do swojego. Julia jest także istotą nieszczęśliwą i słabą, która źle zaczęła. Więc jej życie, tak samo jak życie Rousseau'a, będzie historią ewolucyi moralnej, »nawrócenia« (to wyraz właściwy). I nawet spostrzeże się (po fakcie, jak sądzę), że z początku zrobił Julię winną tylko po to, aby ją nawrócić.

»Czuję w sobie dwóch ludzi« — mówi św. Paweł w »Liście do Rzymian«. Powiedziałem wam, że było więcej niż dwóch ludzi w Janie Jakóbie. Jest to włóczęga, pełen pożądań, kochanek, który nigdy nie był zaspokojony, dawny lokaj, zadurzony w córce domu; i właśnie ten człowiek napisał dwie pierwsze części »Julii«. Miłośnik natury i prostego życia opisze życie, jakie prowadzono w domu w Clarens. Wreszcie marzyciel dumny i romansowy opowie nam skomplikowane życie Wolmara — Saint-Preux'a — Julii, Klary. — A tymczasem Genewczyk, protestant wzruszony przez przymieszkę katolicyzmu, to człowiek głęboko religijny, »nawraca« Julię d'Étanges.

Nawraca ją, wydając za de Wolmara.

Wypadki są dość zręcznie ułożone, aby uprawdopodobnić to małżeństwo. Pani d'Étanges umiera; umiera z powodu szorstkości męża, ale nadewszystko z powodu błędu córki i z powodu tajemnicy, którą ukrywa a która ją dusi. Julia, zrozpaczona, każe się zwolnić ze słowa Saint-Preux'owi. Po upływie odpowiedniego czasu — i za zgodą nieobecnego Saint-Preux'a, który prawdziwie nie może jej tego odmówić, — godzi się wyjść za Wolmara, tego przyjaciela, o którym mówił jej ojciec. Decyduje ją na małżeństwo to, że ojciec przyrzekł jej rękę Wolmarowi bogatemu, a teraz ten Wolmar jest zrujnowany. — Ale wreszcie idzie do ślubu, jak na ofiarę.

Tu Rousseau ma pomysł godny podziwu. (Jest to może to miejsce w jego dziełach, gdzie wynurza się w sposób najbardziej nieoczekiwany tradycyjna głębia jego duszy, zakrywana najczęściej przez pierwiastek buntu). — Ceremonia małżeństwa wybija na poważnej duszy Julii jakby sakrament, niby niewidzialne piętno czegoś głębokiego, świętego, potrzebnego, zgodnego z przeznaczeniem i interesami ludzkości. Ceremonia małżeństwa pozwala Julii zrozumieć, czym jest małżeństwo.

Nie przewidywała tego wcale:

W tej samej chwili, pisze do Saint-Preux'a, kiedy byłem gotowa przysiąc innemu wierność na wieki, serce moje przysięgało jeszcze panu miłość wieczną i prowadzono mnie jak nieczystą ofiarę, co znieważa ołtarz, na którym ma być zabita.

Ale — cierpiąca, jak jest, i przez cierpienie przygotowana, — odczuwa, wchodząc do kościoła, rodzaj wzruszenia, jakiego nie odczuwała nigdy... Potem, przyćmione światło w kościele, głębokie milczenie świadków, orszak krewnych.... wszystko nadaje temu, co się ma odbyć, wygląd uroczysty, który podnieca jej uwagę i szacunek:

Czystość, godność, świętość małżeństwa, tak żywo przedstawione w słowach Pisma świętego, jego czyste i wzniosłe obowiązki, tak ważne dla szczęścia, dla porządku, dla pokoju i trwałości rodzaju ludzkiego, tak słodkie do wykonania same przez się: to wszystko wywarło na mnie takie wrażenie, że odczuwałam jakby nagłą rewolucję wewnętrzną. Jakaś nieznaną siłą wydawała się poprawiać nagle nieporządek w mych uczuciach i ustanawiać je według prawa obowiązku i natury.

I jeszcze:

Czułam jakby odrodzenie, jakby początek nowego życia.

Potem, po powrocie do domu:

W tej chwili, przejęta żywym uczuciem niebezpieczeństwa, z którego zostałam oswobodzona, oraz stanu godności i bezpieczeństwa, w którym się na nowo poczułam, rzuciłam się na ziemię, podniosłam ku niebu błagające ręce, wezwałam Istotę, która kiedy się jej podoba, podtrzymuje lub niszczy, przez nasze własne siły, wolność, jaką nam daje. Chcę, powiedziałam Jej, dobra, którego Ty pragniesz, i którego Ty jedynie jesteś źródłem. Chcę kochać męża, którego mi dałaś. Chcę być wierną, ponieważ to jest pierwszy obowiązek, który łączy rodzinę i społeczność. Chcę być czysta, ponieważ to jest pierwsza cnota, która karmi wszystkie inne. Chcę tego wszystkiego, co się odnosi do naturalnego porządku, który Ty ustanowiłaś, oraz tego, co się odnosi do zasad rozumu, który mam od ciebie. Oddaję swe serce pod Twoją opiekę i moje pragnienia w Twoje ręce. Spraw, aby wszystkie me uczucia zgodne były z Twoją wolą stałą; i nie pozwól więcej, aby błąd chwili przeważał nad wyborem całego mego życia.

— Ale, powiecie, gdzież teorye Rousseau'a? — Jakie? — Przeciwwstawienie natury i społeczeństwa i że społeczeństwo zepsuło naturę. Małżeństwo jest, sędzę, instytucją społeczną, a tymczasem małżeństwo oczyszcza Julię. Powiada sama, że jakaś siła nieznana ustanowiła jej uczucia »według prawa obowiązku i natury«. »Natura i obowiązek«, który może tu znaczyć tylko obowiązek społeczny: czy Rousseau myśli o tem? Natura i społeczeństwo nie są więc już nieprzyjaciółmi? Instytucja społeczna może więc być dobroczynna? Społeczeństwo nie psuje więc już koniecznie natury? — A więc cóż? Rousseau zadaje sobie kłam, to oczywista. I właśnie dlatego ta trzecia część »Nowej Heloizy« jest tak piękną rzeczą. A zawiera ona jeszcze wiele innych kontradykcyj względem zwykłych teorii Jana Jakóba.

Julia kocha swego męża, ponieważ jest jego żoną i ponieważ chce go kochać. Niby Paulina z »Polyeucte'a«. I w ten sposób Rousseau, na jeden raz, spotyka się z Corneille'm. Miłość Julii dla Wolmara jest może tylko przyjaźnią i tkliwością. Ale wypowiada ona to zdanie pełne wybitnie zdrowego rozsądku: »Miłość nie jest potrzebna, aby stworzyć szczęśliwe małżeństwo« i to inne, jeszcze mądrzejsze, które rujnuje »moralność sentymentu« i które potępia całe życie samego Rousseau'a i trzy czwarte jego pism:

Mimo pewności mego serca, nie chcę być więcej sędzią we własnej sprawie, ani będąc kobietą wydać się na łup tej samej zarozumiałości, która mnie zgubiła, kiedy byłam dziewczyną.

W jakże wspańiały sposób w tej trzeciej części sofizmaty i brudne sentymentalizmy pierwszego tomu, — miłe jednak dla Jana Jakóba, kiedy je pisał, — są wymiecione jakby przez wiatr silny i czysty! Już widać było, jak kiełkuje w pierwszych listach Saint-Preux'a i nawet Julii teoria fatalizmu miłości i prawie wszechwładnego prawa namiętności: »Czyżes nie poszła, mówił Saint-Preux, za najczystsze prawem natury? Jakże chcesz, aby dusza czuła

używała umiarkowanie dóbr nieskończonych?« I jeszcze: »Poznaj to wkońcu, moja Julio; wieczysty wyrok nieba przeznaczył nas jedno drugiemu: to pierwsze prawo, którego trzeba słuchać«. I skoro Julia upadła, on znowu zaczyna mówić o cnocie i ona także. — Ale posłuchajcie Julii za-mężnej:

Zadrżałam, kiedym pomyślała, że mieliśmy odwagę mówić o cnocie. Czy wiesz pan dobrze, co znaczyło dla nas to pojęcie tak godne szacunku i tak profanowane, kiedy byliśmy pogrążeni w stosunku zbrodniczym? Była to ta miłość szalona, która nas rozpałała wzajemnie, która maskowała nasze zapęły tym świętym entuzjazmem, a żeby uczynić ją dla nas jeszcze droższą i nadużywać nas jeszcze dłużej.... Przyszedł czas, aby iluzya ustąpiła.

I Julia mówi jeszcze do Saint-Preux'a:

Gdybym z uczuciami, jakie mam dla pana, i z doświadczeniem, jakie mam teraz, była wolna jeszcze i mogła wybrać męża, to wybrałabym nie pana, ale pana de Wolmara.

I mówi mu nawet ostatecznie: »Gdyby mi niebo zabrało tego męża, mam mocne postanowienie nigdy nie wyjść powtórnie za mąż«.

Jednak (i to spostrzedz łatwo) Julia nie odrazu dochodzi do doskonałej roztropności. Jest dosyć nierozsądna, aby powiedzieć: »Niech pan będzie kochankiem mojej duszy«, słowa dość niebezpieczne, które odbijają się echem w setkach i tysiącach romansów XIX wieku. To nie wszystko. Kiedy pozwoliła się wydać za mąż, mając jeszcze sumienie wahające się i niepewne, przysięgła ojcu nie wyznać nigdy swej przeszłości Wolmarowi. Teraz po rozwadze, po znalezieniu światła, ta tajemnica ciąży jej okrutnie. »Bo, mówi, szczerść bez ogródek jest częścią wierności, którą winnam mężowi«. Uważa za obowiązek poradzić się w tym względzie samego Saint-Preux'a. Kwestya ma bardzo wielkie znaczenie. Jest ona tego samego rodzaju (mimo różnic w szczegółach), co kwestya poruszona w »Panu Alfonsie«, w »Ja-

kóbie« George Sand'a, w »Pani morza« Ibsen'a, nawet w »Księżniczce Clèves«.

Saint-Preux odradza Julii wyznanie z powodów pozornie słusznych. Ona odpowiada, on replikuje. Dyskusja jest bardzo zwięzła i bardzo ładna. Julia, jeszcze niepewna, będzie czekała. Ale ma odwagę dać Saint-Preux'owi odpawę stanowczą: »Czas przyszedł, abym się stała roztropną. Oto ostatni list, który pan odbiera odemnie, błagam, by pan więcej do mnie nie pisał«. Saint-Preux chce się zabić. Nie zabija się, ale wsiada na okręt, na trzy lata.

Julia ma teraz dwadzieścia ośm lat. Oto od sześciu lat jest zamężna. Tajemnica ciąży jej coraz bardziej. Zamyka jej usta obawa sprawienia zbyt wielkiej przykrości mężowi. Ale ma dziecko; to wraca jej odwagę. Wyznaje wszystko Wolmarowi, ale »scena wyznania«, której oczekiwaliśmy, na nieszczęście jest pominięta; i dowiadujemy się o niej tylko przez ten zadziwiający list »pana de Wolmara do kochanka Julii«:

Choć nie znamy się jeszcze, polecono mi do pana napisać. Najrozumniejsza i najukochańsza z kobiet otworzyła swe serce szczęśliwemu mężowi (to znaczy opowiedziała mu, jak myślę, że przyjęła Saint-Preux'a w swym pokoju i swem łóżku dziewiczym, że zaszła przez niego w ciążę i że poroniła). On (szczęśliwy małżonek) sądzi, że pan był godny jej miłości, i ofiaruje panu swój dom. Niewinność i pokój w nim panują; znajdzie pan w nim przyjaźń, gościnność, szacunek, zaufanie. Niech pan poradzi się swego serca, i jeśli tam nie ma nic, coby pana przerażało, niech pan przyjeżdża bez obawy. Nie odjedzie pan stąd, nie zostawiając przyjaciela. — Post scriptum Julii: Przybądź, mój przyjacielu, czekamy z niecierpliwością. Nie sądzę, abym została narażona na przykrość odmowy.

I w ten sposób po 150 stronach pełnych światła prawie czystego, słuszności wzruszającej i w rezultacie prawdy ludzkiej, wracamy w świat chimery i to najprzykrzejszej.

Dlaczego? Bo Rousseau kocha Saint-Preux'a, który jest nim samym, słaby, bierny, płaczliwy, niepewny i namiętny. Cóż zrobi z Saint-Preux'em? Nie może go wysłać

w podróż naokoło świata; nie ma odwagi pozbawić go życia; nie chce go uleczyć z namiętności, która powinna być sama przez się nieuleczalna... Więc? — Gdyby go tak sprowadzić znowu do Clarens, do Julii, do Wolmara? Dlaczegoż nie? Wszyscy byliby zadowoleni. Nie mamy do czynienia ze zwykłymi ludźmi. Jan Jakób przypomina sobie Saint-Lambert'a, nie dającego się niczem zaniepokoić. Czyż Saint-Lambert, po pierwszych dniach, czuł się nieswojo między panią d'Houdetot a nim, Janem Jakóbem? albo pani d'Houdetot między Janem Jakóbem a Saint-Lambertem? albo Jan Jakób między Saint-Lambertem i panią d'Houdetot? I on sam nigdy czyż czuł się nieswojo między panią de Warens i Klaudyuszem Anet'em? albo Klaudyusz Anet między nim i panią de Warens? albo pani de Warens między nim i Klaudyuszem Anet'em? Czyliż nie można się przyzwyczaić do wszystkich sytuacji, kiedy się jest szczerym i cnotliwym? — Zapomniał, że ani on, ani Anet nie byli mężami damy z Charmettes. Zapomniał, dla innego trio, że on, Jan Jakób, nie był i nie mógł być kochankiem pani d'Houdetot, i że Saint-Lambert był o to zupełnie spokojny. Wszystko jedno. Dlaczegoż Wolmar nie mógłby być Saint-Lambert'em doskonalszym, Saint-Lambert'em takim, jakimby ten być mógł?

Rzecz załatwiona. Połączy, aby byli szczęśliwi i aby ich szczęście skropić łzami, wszystkich, których kocha: Julię, jej męża, jej kochanka, — i później Klarę d'Orbe, jej powiernicę i współwinną. I ci wszyscy będą żyli razem bardzo dobrze, bo wszystko jest czyste dla czystych, a pomiędzy obowiązkami cnoty Jan Jakób pomija śmiało: unikanie pokuszeń.

Zaczem to, co przyjdzie, jest naprawdę niesłychane.

Jeśli pan de Wolmar tak mało wzruszył się wyznaniem Julii, to ponieważ wiedział już wszystko, — wszystko, — kiedy się z nią żenił. Jak tylko dowiaduje się od niej samej, że miała kochanka, mówi jej (jak wiecie): »Sprowadźmy

go«. Saint-Preux więc wraca. Zaledwie lekkie zakłopotanie przy pierwszym widzeniu się. Ale wkrótce Julia zaczyna mówić o swej przeszłości z Saint-Preux'em wobec męża. I, — kiedy dawny kochanek zachowuje się z rezerwą: »Niech pan ją pocałuje, mówi Wolmar, niech pan jej mówi po imieniu. Im więcej pan będzie z nią poufały, tem lepsze o panu będę miał wyobrażenie«.

Żyją wszyscy troje w ciągłym rozczeniu, na co przykład (wyjątek z listu Saint-Preux'a do lorda Edwarda). Saint-Preux w ciągu jednej rozmowy mówi ze smutkiem do Julii: »Pani jesteś żoną i matką, to są rozkosze, które pani znać musi«.

W tej chwili — ciągnie dalej — pan de Wolmar, biorąc mnie za rękę i ściskając ją, rzekł: Masz pan przyjaciół; ci przyjaciele mają dzieci; jakżeż uczucie ojcowskie mogłoby być obce dla pana? Spojrzałem na niego; spojrzałem na Julię; obydwójce spojrzeli na siebie i spojrzeli z kolei na mnie tak czule, że, całując jedno po drugim, rzekłem im z rozrzewaniem: »Są mi one tak drogie, jak wam!«

I niedługo potem Wolmar prosi Saint-Preux'a, aby był nauczycielem jego dzieci.

Innym razem, kiedy wspólnie zwiedzają nowy ogród, który Wolmarowie kazali urządzić: »Jeden tylko zarzut mam do zrobienia waszemu Elizeum, rzekł Saint-Preux, patrząc na Julię: że jest ono przyjemnością zbyt czułą. Na cóż nowe miejsca do przechadzki, skoro się ma z drugiej strony domu gaiki tak zachwycające i tak zapuszczone?« (Przypominacie sobie pocałunek niegdyś wymieniony w jednym z tych gajów?) Wtedy pan de Wolmar powiada: »Moja żona nigdy od ślubu nie weszła do tych gajów, o których pan mówi. Znam tego powód, chociaż zawsze go zamilczała. Pan, który go znasz także, niechaj się nauczy szanować miejsca, gdzie pan się znajduje; są one założone rękami cnoty«. — Cóż to za »zdrowie« ten Wolmar!

Wolmar daje tego inne dowody. Pewnego dnia oznajmia im, że wyjeżdża na tydzień i że życzy sobie, aby razem zostali.

Pod jego nieobecność, podczas przechadzki na łądź, oboje kochankowie podlegają dość silnej pokusie, nad którą naturalnie odnoszą tryumf. Poza tem przepędzają czas nad opłakiwaniem niewiary Wolmara, człowieka doskonałego, lecz ateusza. I ta troska wspólna o duszę Wolmara to znowu jeden węzeł więcej pomiędzy Julią i jej dawnym kochankiem, który mógłby stać się niebezpieczny, gdyby w tej chwili mieli oni ciała....

W tem miejscu Rousseau znajduje się po raz czwarty w znacznym kłopotcie. Cóż robi teraz ze swoim trio?... Oto: wzmocni je do quatuor; wytworzy sytuację moralną, jeszcze bardziej skomplikowaną, z której mógłby wyciągnąć jeszcze więcej rozrzućnień i jeszcze więcej dyskursów. »Pikantna« Klara, która wyszła za pana d'Orbe, owdowiała. Wraca do Clarens. Więc najpierw cały dzień wynurzeń i uniesień we czwórce.

Tymczasem — dla rozmaitości — Saint-Preux wyjechał do Rzymu, dokąd go wzywa lord Edward. Wolmar, który widział zrozpaczonego Saint-Preux'a w chwili odjazdu, daje mu między wierszami te delikatne rady: »...Niech pan zrobi siostrę z tej, która była pańską kochanką... Niech pan myśli w dzień o tem, co pan będzie robił w Rzymie: będzie pan myślał mniej w nocy o tem, co się dzieje w Vevey«.

Ale Saint-Preux wkrótce jest z powrotem. Pikantna Klara, wskutek tego, że była powiernicą i współwinną miłostek Julii, zapaliła się przy tych płomieniach. Julia spostrzega, że Klara kocha Saint-Preux'a. Chce ich pożenić, bo czuje sama, że »to nie może tak trwać dłużej«. Najpierw robi propozycję Klarze, która wyszukuje trudności, która »nie chce serca, zużytego przez inną namiętność«. — Potem bada Saint-Preux'a; boi się, mówi, że jeśli nie ożeni się z Klarą, zabierze się do służących. Saint-Preux się wymawia, dodając, że nie jest jeszcze dość siebie pewny: »Rana goi się, ale blizna zostaje«.

Zauważyliście, że w całej drugiej części romansu (600 stron) wszystkie osoby są w fałszywej sytuacji i to dobrowolnie: Julia między swym mężem, swym dawniejszym kochankiem i swoją przyjaciółką, zakochaną w końcu w tym kochanku; Saint-Preux między swoją dawną kochanką, mężem tejże i jej przyjaciółką, która w nim się zakochała; Wolmar między swą żoną, dawnym kochankiem swej żony i dawną współniczką swej żony; Klara w końcu, między swoją przyjaciółką i dawnym kochankiem tej przyjaciółki, w którym się kocha... I żyją wszyscy czworo, bardzo blisko, w największej zażyłości.

Och! wiem dobrze, że wszystko jest możliwe w świecie uczuć i że psychologia nie jest nauką ścisłą. Ale mimo wszystkiego, kiedy się przechadzają, siedzą przy stole, rozmawiają i rozcuchają ciągle, koniecznie te same obrazy dokładne, konkretne, budzą się w ich myśli; każde z nich wie, że te same obrazy budzą się także w umyśle trojga innych. Nie mówię o doskonałym Wolmarze, który odsuwa dalej znane granice filozoficznej ekscentryczności: ale należy się bardzo obawiać, aby Saint-Preux, przyzwany na nowo, nie został najpierw kochankiem Julii, albo aby nie został kochankiem Klary, albo nie zniżył się do służących, jak tego boi się przewidująca Julia, — i być może wszystko po kolei, gdyby ci ludzie należeli do przeciętności. Ale właśnie do niej nie należą zgoła (i Rousseau chciał, ażeby to ich wszystkich było cechą w tym trzecim tomie); właśnie oni się wyróżniają silnie, właśnie w swych własnych cierpieniach rozkoszują się poczuciem wyjątkowości i szalonej romansowości i »starają się bez końca, częścią przez dumę, częścią przez rafinerię wyobraźni, aby nie byli zupełnie jak inni«. (Faguet).

Słowem podobni są do swego ojca, Jana Jakóba. Jan Jakób lubi, jak oni, i dla nich, jak dla siebie, sytuacje dziwne... Najpierw, ponieważ jest przyzwyczajony do nich, bo skoro bywał często zakochany, tolerował kobiety, które mają kochanków; potem, ponieważ widzieliśmy, że zawsze był

dziwnie wyzuty z zazdrości cielesnej, (a starałem się powiedzieć dlaczego); wreszcie ponieważ te sytuacje anormalne i skomplikowane wywołują uczucia rzadkie, które dlatego wydają mu się wzniosłe.

I w ten sposób wprowadził swe osoby w wąwóz... Doszedłszy do tego punktu, nie wie stanowczo, co z nimi zrobić. Czy mają upaść? Ale wtedy na co przydałaby się cała ta wzniosłość, która była przedtem? — Czy mają się zestarzeć, uspokoić, odetchnąć? Fi! — »Sytuacja nie przynosi rozwiązania logicznego« (Faguet).

Więc Julia rzuca się w wodę, aby uratować swego małego synka. Nabawia się choroby, której autor nie określił, a która oczywiście jest zapaleniem płuc. Na łożu choroby rozcuchła się wobec swego męża nad pierwszą swą miłością; wypowiada zgóry rzeczy zasadnicze »Wyznania wiary wikarego sabaudzkiego« i umiera.

Oto w jaki sposób — według mego mniemania — historia ta powstała i rozwinęła się w wyobraźni Jana Jakóba i karmiła się, że tak powiem, samym Janem Jakóbem, niemal z dnia na dzień i bez planu ułożonego zgóry. Nie wiem, czy zdołałem wam to pokazać.

Uwzględniłem wyłącznie akcję powieści — »fabułę«. Byłaby zajmująca bez deklamacji, które wydają się nam dziś bardzo przestarzałe w pierwszym tomie. Akcja jest prosta; sytuacje i zdarzenia są wywołane uczuciami. — Wolmar, wydaje się, nie mógł nigdy istnieć; ale Klara jest dość żywa; Saint-Preux jest jednym z pierwszych typów romantycznych bohaterów, słaby, niespokojny, pełny pożądań i bezsilności; a Julia, prawiąca kazania, ale zachwycająca, daje przykład, dość rzadki w powieściach, osoby, co się rozwija, ponieważ jest młodą, namiętną i nierozumną dziewczyną, która powoli, dzięki swym obowiązkom małżonki i matki, ulega zmianie. To wszystko powiedziano już często. Jesliby »Nowa Heloiza« ściagała się do historii namiętności Julii, Saint-Preux'a, Wolmara i Klary, »Nowa

Heloiza« miałaby tylko czterysta stron i byłaby książką bardziej doskonałą i o wyglądzie bardziej klasycznym kosztem kompozycji nieco zwężłej.

Ale »Nowa Heloiza« ma tysiąc dwieście stron; »Nowa Heloiza« jest ogromną książką wymowną i bezładną, w której autor wylał wszystko, co mu przyszło na myśl. Prócz »fabuły« samej, są tam traktaty, opisy i dygresje wszelkiego rodzaju: podróż Saint-Preux'a w górach Valais; epizod małżeństwa Fanchon'a; dyssertacja o muzyce francuskiej i o muzyce włoskiej; dyskusja o pojedynkach; listy Saint-Preux'a o obyczajach paryskich; dyskusja o samobójstwie; opis życia, jakie prowadzono u Wolmara, który jest prawdziwym traktatem z dziedziny ekonomii domowej (na stu dwudziestu stronach i w dwóch częściach); dyskusja o sztuce ogrodniczej; opis winobrania; uwagi o wychowaniu dzieci, o charakterze Genewczyków, o modlitwie, o wolności; wyznanie wiary spirytualistycznej Julii na łożu śmierci, i t. d. i t. d.... (nadmieniam tylko fakty istotnie nienależące do samej akcji) — i wreszcie opowieść Miłości lorda Edwarda, gdzie dziewczyna lekkich obyczajów odmawia małżeństwa ze swym kochankiem i odkupuje się przez poświęcenie, co znowu jest historią podniesienia się, — i niby pierwszym szkicem wszystkich »dam kameliowych«, które odtąd widziano.

Wszystko to wymowne, harmonijne i wszystko to szczere i prawie niewinne; i w tem wszystkim dużo rzeczy, które zaledwie możemy zauważyć, chyba, że jesteśmy uprzedzeni, ale które były nowe wówczas: powieść nie paryska; miłość, małżeństwo, zdrada małżeńska, traktowane na serio; powieść pełna myśli (wszystkie osoby rezonują) i pełna krajobrazów (osoby żyją wśród najpiękniejszej natury) i pełna liryzmu (osoby i przede wszystkim kochanek, który jest najczęściej bierny, znajdują przyjemność w wylewach na temat nieobecności, pragnienia, żalu, wspomnienia, natury obojętnej lub pocieszającej itd.)

I to dlatego — jakkolwiek miałoby się sympatyę dla »Księżniczki Clèves« lub »Manon Lescault«, — należy powiedzieć, że mimo wszystkiego »Nowa Heloiza« jest innego stopnia i że odnawia powieść, ile że ją podnosi, rozszerza i różniczuje.

Nie możemy dobrze pojąć efektu, jaki wywołała »Julia«. Porównajcie ją tylko do »Zbłądzeń serca i umysłu« albo nawet do »Maryanny«. Piśmiennictwo tego czasu, wyznajmy, było trochę jałowe. Włóczęga, marzyciel, samotnik Rousseau otworzył nowe, szerokie źródła.

Od »Julii« rozpowszechniło się w całym społeczeństwie współczesnem upodobanie w naturze, w życiu wiejskiem (co jest bardzo dobre), kult dla czułości (co nie byłoby złem), ale dla czułości, która się uważała za cnotę (co jest niebezpieczne). Więcej wzruszały, obawiam się tego, sofizmaty pierwszego tomu i paradoksy psychologiczne trzeciego, niż doskonała i tradycyjna moralność, która znajdowała się w środkowym. I stało się wkrótce, że formy powieści, przedtem mające powodzenie, powieść naiwnie romansowa i powieść otwarcie rozwiązła (które przynajmniej łatwo można było rozróżnić), ustąpiły miejsca powieści poważnej i równocześnie kłamliwej. I w ten sposób, z biegiem następnych lat, wszystkie powieści, gdzie stwierdza się fatalność i prawo namiętności, wszystkie powieści mezalianсів społecznych i moralnych, wszystkie te, gdzie miłość tryumfuje często wbrew rozumowi, przesądom i konwenansom klasowym, i te, gdzie występki mówi językiem cnoty, i te, gdzie pełno jest kurtyzan wzruszających, i te, gdzie osoby tworzą sobie moralność specjalną, wyższą od moralności ogólnej, biorą uczucie za sumienie, popełniają czyny wątpliwe, rozprawiając i robiąc piękne gesty, wszystkie te powieści, gdzie panuje to, co nazwałbym »iluzją co do moralności czynów«, »Indiany«, »Lelie«, »Jakoby« i ich niezliczone potomstwo... powiedzieć można, że, pośrednio czy nie, — i może bez

»winy Rousseau'a«, — wypływają z »Nowej Heloizy«, płodnej matki romantycznych sofizmatów i dumnych marzeń.

Ale, aby nie kończyć na tych zbyt smutnych słowach, aby wam dać uczuć po półtora wieku, jaki nowy ton przynosiła »Julia«, odczytam wam jeden z tych ustępów, które nazwałem »lirycznymi«, stronicę, która wydaje się całkiem gotowym tematem na wiersz jakiego poety z 1830 roku, — coby zresztą nie wart był tej prozy. (Jest to z szóstej części list Saint-Preux'a do pani de Wolmar, w chwili, kiedy jest zakochany naraz w Julii i w Klarze):

O kobiety! kobiety! istoty kochane i zgubne, które natura ozdobiła dla naszej męczarni, które karzecie, kiedy się wobec was staje mężnie, które prześladowacie, kiedy się przed wami czuje trwogę, które nienawidzić i kochać równie szkodliwą jest rzeczą, i których ani poszukiwać, ani unikać nie można bezkarnie! Piękności, uroku, powabie, sympaty, istoty czy chimery niepojęta, otchłani boleści i rozkoszy! piękności, straszniejsza dla śmiertelników, niż element, z którego kazano ci się narodzić, nieszczęśliwi, którzy wystawiają się na twój wdziałek zwodniczy! On to powoduje burze, które gnębią ród ludzki. O Julio! o Klaro! jakżeż drogo sprzedajecie mi tę miłość okrutną, którą macie śmiałość chwalić się wobec mnie! Żyłem wśród burz i to wyście je zawsze wywoływały. Lecz jakżeż różne falowania spowodowałyście w moim sercu! Falowania jeziora genewskiego nie są już podobne do fal Wielkiego Oceanu. Jedno ma tylko bałwany żywe i krótkie, których wieczyste ostrze rzuca, porusza, zatapia czasem, nie tworząc nigdy długiego biegu. Ale na morzu, spokojnem pozornie, człowiek czuje się wzniesionym, poniesionym lekko i daleko przez falę wolną i prawie nie dającą się odczuć; wydaje się nie wyruszać z miejsca a przybywa aż na koniec świata.

SIÓDMA POGADANKA.

»EMIL«.

Widzieliśmy, jak prawdopodobnie w 1758 r. Rousseau, skończywszy »Nową Heloizę«, zabrał się do pisania »Emila« czyli »O wychowaniu«.

Możnaby sądzić, że prawie nie mógł napisania go uniknąć.

Zajmowano się coraz bardziej od jakichś sześćdziesięciu lat sprawami wychowania. Aby wymienić tylko główne dzieła napisane w tym przedmiocie, wspomnę: »Éducation des filles« Fénelona; »Telemaka« (1699); »Traité des Études« dobrego Rollin'a; »Pensées sur l'éducation« Locke'go (tłomaczenie francuskie 1728); »Avis d'une mère à son fils« i »Avis d'une mère à sa fille« pani de Lambert (1734). Matki filozofki, jak pani d'Épinay i pani de Chenonceaux, stale zasięgały porady Jana Jakóba w tych kwestiach.

W »Pamiętnikach« pani d'Épinay jest zabawny rozdział, w którym dama ta odwiedza z Duclos'em nauczyciela swego syna, łagodnego i leniwego p. Linant, i widzieć ze słów Duclos'a, że najrozumniejsze »zuchwalstwa« »Emila« były, jak się mówi, »w powietrzu«.

— Panie, mówi Duclos do nauczyciela, mało łaciny, bardzo mało łaciny; nic z greki, przedewszystkiem... W czymże go posunie ta wasza greka?... Nie chodzi o to, aby z niego zrobić Anglika, Rzymianina, Egipcjanina, Greka, Spartanina,... ale człowieka mniej więcej dobrego we wszystkim. — Ależ panie, robi uwagę biedny

Linant, to nie jest pospolite wychowanie... Trzeba poprawić i przestoczyć, że tak powiem, charakter... — Ki dyabeł mówi panu o tem? podejmuje Duclos... Niech się pan tego wystrzega, nie należy chcieć zmieniać charakteru dziecka; pomijając, że się to nigdy nie uda, największy sukces, jaki można sobie z tego obiecywać, jest zrobienie z niego hipokryty... Nie, mój panie, nie; trzeba wyciągnąć możliwe korzyści z charakteru, jaki natura mu dała; oto wszystko, czego się od pana wymaga, itd.

Innym razem, w czasie, kiedy Rousseau mieszka w Ermitażu, pani d'Épinay ma z nim rozmowę, w której widzimy już kielkującą ideę przewodnią »Emila« (»Pamiętniki pani d'Épinay«, tom III, list do Grimm'a).

Dodajcie do tego w »Nowej Heloizie« (część V, list 3) z powodu dzieci Julii ze czterdzieści stron, które są niemal pierwszą wersją pierwszego tomu »Emila«, włożoną w usta państwa Wolmarów, — wersją mniej systematyczną i bardziej prawdziwą. Są tu już w każdym razie aksjomy, jak n. p.:

Wszystkie charaktery są dobre i zdrowe same w sobie, według pana Wolmara. Niema, mówi on, zgola błędów w naturze, wszystkie występki, które przypisuje się naturze, są wynikiem złych form, jakie ona otrzymała. Niema zupełnie zbrodniarza, którego skłonności, lepiej skierowane, nie wydałyby wielkich cnót, itd.

Sam Rousseau był nauczycielem (u p. de Mably'ego w Lyonie, mniej więcej rok). On uczyć lubił. Od czasu, kiedy sława nań przyszła, w oczach wszystkich ludzi rozagitowanych był on publicznym profesorem cnoty, reformatorem społeczeństwa. Owóż społeczeństwo może być zreformowane przedewszystkiem przez wychowanie. Rousseau zatem musiał być napisać swój traktat o wychowaniu; tego uniknąć nie mógł zgola. I musiał koniecznie pojąć wychowanie jako sztukę uszanowania natury u dziecka, pozwolenia, by się rozwijała swobodnie, sztukę zadowalającą się obroną natury przed zgubnym wpływem konwencji socjalnych. Do tego zobowiązany był przez swe pierwsze książki.

A był zobowiązany do tego także przez doświadczenia własne. On sam rozwinął się całkiem sam, niezupełnie co

prawda poza społeczeństwem, ale trochę na kraju a w każdym razie poza rodziną i poza kolegium. Nie pobierał nauk ani od rodziców, ani od nauczycieli, wyjąwszy dwa lata spędzone u pastora Lambercier'a, i to zresztą wśród zabaw i przechadzek daleko więcej niż na lekcjach. Od dziesiątego roku życia czytał tylko to, co mu się podobało. Brał lekcye tylko od rzeczy. Własne głupstwa urobiły go, nauczyły go moralności i życia. I z tego wychowania bez rodziny, bez kolegium, bez nauczyciela, wyszło to cudo rozumu, cnoty, czułości: on, Jan Jakób. Więc to wychowanie właśnie da swemu uczniowi stworzonemu w wyobraźni; ale te lekcye rzeczy, które Rousseau jako dziecko i młodzieniec brał drogą przypadku, zaaplikuje sam metodycznie swemu uczniowi. Zobaczmy, że tak powiem, Jana Jakóba w pięćdziesiątym roku życia nauczycielem Jana Jakóba z dziesiątego, z piętnastego, z dwudziestego roku życia; i to będzie ładne bardzo; i Jan Jakób będzie miał tę bezgraniczną przyjemność, tu znowu, że będzie zawsze na scenie i w każdym wieku życia, i że nigdy nie wyjdzie z samego siebie.

Przejdźmy teraz do analizy »Emila«.

(Nie powinienem pominąć faktu, że koło trzydziestej strony I księgi Jan Jakób ma odwagę zrobić aluzję do swych własnych dzieci).

Ten, mówi on, kto nie może wypełnić obowiązków ojca, nie ma prawa nim zostać. (Inaczej pisał w 1751 w liście do pani de Francueil). Ani ubóstwo, ani zajęcie, ani szacunek ludzki nie zwalniają go od obowiązku, aby swe dzieci żywił i wychował sam. Czytelniku, możesz mi wierzyć. Przepowiadam, że ktokolwiek ma serce i zaniebuje tak święte obowiązki, ten będzie długo wylewał gorzkie łzy nad swym błędem i nigdy nie zazna pocieszenia.

I tu również można powiedzieć, stosownie do tego, czy się jest dlań nieprzyjacielem, czy obojętnym: albo że jest z jego strony wielkim bezwstydem traktat o wychowaniu po porzuceniu pięciorga dzieci, — albo, że go napisał w zamiarze ekspiacji.

Zacznijmy. — Przedmiotem wychowania jest ukształtowanie nie obywatela, nie człowieka tego lub owego zawodu, — ale człowieka. (Nie wiem, czy nie byłoby rzeczą bardziej prostą i bardziej pewną urobić zrazu człowieka pewnego kraju, pewnej religii, pewnego zawodu, i czy »człowiek«, całkiem krótko, nie wyszedłby na dodatek: ale idźmy dalej).

W porządku naturalnym, mówi Rousseau, skoro ludzie wszyscy są równi, ich wspólnym powołaniem jest zawód człowieka; i ktokolwiek jest dość dobrze wychowany, nie może źle wypełniać tych zawodów, które się doń odnoszą... Życie — oto zawód, którego chcę nauczyć mego ucznia. Wychodząc z mych rąk, nie będzie on, przynajmniej, ani urzędnikiem, ani żołnierzem, ani kapłanem; będzie on przede wszystkim człowiekiem: wszystkim, czem człowiek być powinien, on będzie umiał być w potrzebie tak dobrze, jak ktokolwiek inny; i los nadaremnie zmuszać go będzie do zmiany miejsca, on będzie zawsze na swoim... Ten między nami, kto umie najlepiej znosić dobro i zło tego życia, jest, mojem zdaniem, najlepiej wychowany, z czego wynika, że prawdziwe wychowanie polega mniej na przepisach, niż na ćwiczeniach.

Ale jakżeż zrealizować ten przedmiot wychowania?

W artykule: »Ekonomia polityczna«, napisanym dla »Encyklopedyi« (w r. 1745, jak sądzę), Rousseau wyrażał myśl, że przedmiotem wychowania jest wykształcenie obywateli i żądał wychowania wspólnego i wychowania przez państwo. Ale prawdopodobnie się namyślił. W społeczeństwie zepsutem wychowanie publiczne może psuć tylko. Rousseau opisze więc wychowanie jednego jedynego dziecka przez jednego jedynego mistrza. Rzecz dość błaha, z której nie będzie można wyciągnąć wiele konkluzji, — skoro z jednej strony autor wyobraża sobie wypadek wyjątkowy i skoro z drugiej strony wychowanie powinno oczywiście dać się zastosować do zbioru indywidualów licznych, rzeczywiście istniejących i różnych. — Ale znowu przejdźmy nad tem i przypatrzmy się idealnemu wychowaniu według Rousseau'a.

Trzeba najprzód pewnych warunków: 1. dla ucznia; 2. dla mistrza.

Uczeń, którego Rousseau wybrał, Emil, urodził się w klimacie umiarkowanym. Jest silny i zdrowy; bogaty (»ponieważ będziemy pewni przynajmniej, że uczyniliśmy jednego człowieka więcej, podczas kiedy biedny może zawsze stać się człowiekiem sam z siebie«); szlachcic (ponieważ Emil nie będzie miał przesądu urodzenia i ponieważ to będzie w każdym razie »ofiara uratowana od tego przesądu«); sierota (Emil ma jeszcze ojca i matkę; ale jest sierotą w tem znaczeniu, że rodzice składają wszystkie swe prawa w ręce nauczyciela).

Matka powinna go karmić sama. Jeśli jej zdrowie nie pozwala bezwarunkowo, Rousseau daje rady co do wyboru mamki, jej żywienia itd. Nic powijkaków; wiele zimnej wody. Dziecko powinno mieszkać na wsi: »Ludzie nie są stworzeni na to, aby się tłoczyli w mrowiskach, ale by żyli zrzadka rozsiani na ziemi, którą powinni uprawiać... Miasta są otchłanią dla rodzaju ludzkiego«.

»Aby dziecko mogło być dobrze wychowane, powiedział Jan Jakób w tym ustępie »Pamiętników« pani d'Épinay, który wspominałem co dopiero, trzeba by zacząć od przetworzenia społeczeństwa«. Owóż tego zrobić nie można. Więc aby społeczeństwo nie mogło w dziecku natury zepsuć, jest tylko jeden środek: to jest odosobnić je od społeczeństwa, a nawet od rodziców, z konieczności prześlątkłych przesadami społecznymi, — i powierzyć w całości jednemu nauczycielowi, z którym powinno przepędzić swe życie.

To nas prowadzi do warunków, wymaganych dla nauczyciela czyli »guwenera«.

Guwerner! wykrzykuje Rousseau. Och! jakaż wzniosła dusza!... W istocie, aby zrobić człowieka, trzeba samemu być ojcem lub czemś więcej niż człowiekiem.

Guwerner winien być młody, aby stawał się przy sposobności »towarzyszem swego ucznia«. Nie będzie płatny.

Będzie to przyjaciel rodziców, beżenny i niezależny, który z zamiłowania zajmie się wychowaniem dziecka i poświęci tej pracy najlepszy okres swej egzystencji.

Co do mnie, czytałem te rzeczy z pewną dozą niepokoju. Nie można powiedzieć: »Jest to bez wątpienia idealny system wychowania, do którego jednak można zbliżyć w pewnej mierze wychowanie wszystkich dzieci«. Nie można tego powiedzieć, ponieważ ten system wymaga — w istocie swej i na początek — odosobnienia i bogactwa. — Jest to więc czyste marzenie. Ale jakie marzenie? Wychowania bardziej niż arystokratycznego. Takich tu wymaga się warunków, że w całym królestwie francuskim byłoby tylko kilkuset chłopców, którzy mogliby odbierać wychowanie tego rodzaju. Dające się zastosować do tak małej mniejszości, to wychowanie, gdyby się udało, wyda rodzaj »nadmudzi«, — nadmudzi czułych i beksów według koncepcji Rousseau'a, ale wyleczonych ze społecznych kłamstw i wiernych naturze, — których mała grupa, wytwarzająca innych nadmudzi, może zwolna zreformować społeczeństwo same. — Czy taka jest myśl Rousseau'a? Nie wiem. On również. Nawet widać w dalszym ciągu, że te warunki, postawione z taką surowością i uroczystością (odosobnienie zupełne, guwerner wolontaryusz i wieczysty) nie są niezbędne w częściach najrozsądniejszych jego planu. Ale cóż! On snuje marzenia i to go bawi.

Skoro tedy dziecko tak jest odosobnione, chodzi o to, aby pozwolić naturze działać w nim i tylko wspierać jej rozwój przeciw zgubnym wpływom.

Ale cóż to jest natura? — Pytaliśmy Rousseau'a często. Tym razem odpowiada wkońcu; i to jest, jak sędzę, jedyny raz w swych wszystkich dziełach.

Lecz może, mówi sam, to słowo natura ma znaczenie zbyt nieokreślone; trzeba się starać je ustalić... Rodzimy się wrażliwi i od naszych urodzin przedmioty, które nas otaczają, wywołują w nas uczucia w rozmaity sposób. Jak tylko mamy, że tak powiem, świadomość

naszych wrażeń, jesteśmy skłonni szukać albo unikać przedmiotów, które je wywołują, zrazu stosownie do tego, czy one nam są miłe, czy nie, potem stosownie do zgodności lub niezgodności, jaką znajdujemy między sobą a tymi przedmiotami, i wkońcu stosownie do sądu, jaki mamy o idei szczęścia lub doskonałości, którą rozum nam daje. Te skłonności rozszerzają się i wzmacniają w miarę, jak stajemy się bardziej wrażliwi i bardziej oświeceni; ale przyduszone przez nasze przyzwyczajenia, psują się one mniej lub więcej przez nasze sądy. Przedtem zepsuciem są one tem, co nazywam w nas naturą.

Nie podaję wam tego jako cudu jasności i dokładności, ale koniec końców można stąd wyciągnąć, co następuje: »Natura jest to skłonność poszukiwania tego, co jest dla nas przyjemne, tego co z nami się zgadza, i tego, co my uważamy za szczęście lub za doskonałość, a unikanie rzeczy temu wszystkiemu przeciwnych«.

Dlaczegoż jednak, powiedziawszy (w pierwszym wierszu »Emila«): »Wszystko jest dobre, wychodząc z rąk Autora rzeczy«, dorzuca Rousseau: »Wszystko się wyradza w rękach człowieka«, rozumie się: człowieka żyjącego w społeczeństwie? Przecież jest zupełnie jasne, że człowiek jest z natury społeczny; że życie w społeczeństwie tłómaczy się samo (aby podjąć definicyę Jana Jakóba) przez »skłonność szukania szczęścia« i że jest tedy, ono także, naturalne.

To dlatego (mówi Rousseau i ze dwadzieścia razy powraca do tej różnicy), to dlatego, że pragnienie zachowania się i szczęścia, słowem egoizm naturalny w człowieku jest z konieczności nieszkodliwy, kiedy człowiek żyje odosobniony, w stanie dzikim. Ale ten niewinny egoizm staje się szkodliwy, kiedy ludzie żyją razem: bo wtedy egoizm każdego człowieka uderza się o egoizm innych i przekształca się w miłość własną, próżność, dumę, chciwość, nienawiść, zazdrość i t. d. I w ten sposób właśnie naturę psuje społeczeństwo.

— Ale, podejmujemy, nie mniej jest prawdą, że społeczeństwo jest w naturze; że społeczeństwo jest naturą jeszcze. Kiedy teologowie mówią o następstwach pierwotnego

grzechu; kiedy moralisci mówią o instynktach egoistycznych i o zwierzęcości, która jest w nas; i kiedy jedni naturę nazywają złą i kiedy drudzy uważają ją za bardzo mieszaną, to jest rzeczą zupełnie widoczną, że nie mówią o człowieku przedhistorycznym, żyjącym (jeżeli wogóle żył taki kiedykolwiek) w stanie odosobnienia, o którym nie wiemy nic, ale o człowieku żyjącym z sobą podobnymi, bo tylko wtedy możemy obserwować »naturę«. I w tym wypadku nie możemy naprawdę powiedzieć, że natura jest dobra: ale jesteśmy zmuszeni uznać, że jest ona więcej lub mniej dobra lub zła, stosownie do indywiduów, — i że właśnie przedmiotem wychowania jest i było zawsze zwalczanie jej na pewnych punktach, poprawianie jej, oczyszczanie jej.

Ale Rousseau powiedziałby bez wątpienia: To mi obojętne. Nazywam naturalnem to, co jest dobre, to co mi jest podobne. Mówię, że to, co nie jest dobre, nie jest naturalne. Natura jest dobra; społeczeństwo nie jest naturalne, ponieważ nie jest dobre; wychowam Emila według natury. — Na co nic więcej nie można odpowiedzieć, ponieważ to wszystko jest już tylko grą i nadużyciem słów i ponieważ Rousseau nazywa rzeczy, jak mu się podoba.

Podejmijmy historię wychowania Emila; będziemy mieli może kilka niespodzianek.

Ażeby dziecko rozwijało się »według natury«, rzecz całkiem prosta, nie trzeba go niczego uczyć; Rousseau nazywa to »edukacją negatywną«.

Trzeba z jednej strony pozwolić mu na możliwie największą wolność, pozwolić na używanie szczęścia właściwego wiekowi. Ale trzeba też z drugiej strony poddać je wprost nauce rzeczy, tak aby się samo nauczyło, na koszt własny, czego powinno szukać lub unikać. Rzeczy są często wrogie. To doskonale, że na tem cierpi, że się przyzwyczaja — całkiem samo — ograniczać swe życie, odróżniać to, co od niego zależy, i to, co od niego nie zależy, przy-

mować konieczność. Tak to dla dziecka wychowanego według natury pierwszą lekcją niema jest lekcja rezygnacji.

Człowieku, mówi Rousseau, ogranicz swą egzystencję około siebie a nie będziesz nieszczęśliwy. Zostań na miejscu, które ci natura wyznaczyła w łańcuchu istot, nie cię stamtąd nie będzie mogło do wyjścia skłonić; nie bądź krnąbrnym wobec twardego prawa konieczności i nie wyczerpuj, chcąc się im oprzeć, sił, których niebo nie dało ci, abyś rozszerzył lub przedłużył swoje istnienie, ale tylko abyś je zachował tak, jak się jemu podoba, i o tyle, o ile się jemu podoba. Twoja wolność, twoje władanie rozciągają się tylko tak daleko, jak twe siły naturalne a nie poza nie; wszystko zresztą jest tylko niewolą, złudzeniem, mamidłem...

I wykazuje, bardzo wymownie, że ludzie możni i panujący nawet podlegają temu warunkowi, nie domyślając się tego. A na zakończenie:

Jedynie ten wprowadza w życie swą wolę, kto, aby ją wprowadzić, nie potrzebuje na końcu swoich ramion dokładać ramienia bliźniego... Człowiek prawdziwie wolny chce tylko tego, co może... Oto moja zasada podstawowa. Chodzi tylko o to, aby ją stosować od dzieciństwa.

Zatem:

Utrzymujcie dziecko w jedynej zależności od rzeczy... Nie polecajcie mu nigdy niczego... Niech wie tylko, że jest słabe, a że wy jesteście silni... Żadnej lekcyi słownej. Żadnej kary, boby jej nie zrozumiało, nie posiadając jeszcze moralnego zmysłu. »Nie należy nigdy wymierzać dzieciom kary jako kary, ale kara powinna dla nich zawsze wypływać jako naturalny wynik złego ich postępków«.

Nauczyciel powinien występować tylko w dwojaki sposób:

1. Aby bronić dziecko przeciw niemu samemu, gdyby się mogło zranić, zrobić sobie coś złego. Niechże więc metrowie krótko »nie«, bez innych wyjaśnień.

2. Aby zyskać na czasie dla dziecka (które ma całe życie, by się nauczyć samo, co mogłoby być przydługie), nauczyciel powinien zręcznie umieszczać je w takich okolicznościach, aby mus uczył; i może nawet przygotowywać, urządzać odpowiednio okoliczności.

Rousseau daje liczne na to przykłady. Uknuwa w spisku z ogrodnikiem cały dramacik, aby nauczyć Emila, że praca jest podstawą własności. — Emil otrzymuje co czas jakiś bilety z zaproszeniem na podwieczorek, na wycieczkę łódkami itd.... Szuka kogoś, ktoby mu je przeczytał; wszyscy się wymykają; więc dziecko postanawia uczyć się czytać. — Albo też, ponieważ Emil ma kaprys trudzić swego mistrza o każdej godzinie, aby go poprowadził na przechadzkę, pozwala się dziecku pewnego dnia wyjść samemu: ale zaledwie zrobiło parę kroków we wiejskiej uliczce, już słyszy na prawo i lewo niegrzeczne uwagi: »Sąsiedzie, to ten ładny panicz! Gdzież to tak idzie całkiem sam? zabłąka się. — Sąsiedzie, czy nie widzicie, że to ten mały psotnik, którego wygnano z ojcowskiego domu, itp.« To sam guwerner przygotował tę komedię... (O Boże! wiele sztuczności, gdzieby potrzeba klapsa tylko!)

Poza interwencją tego rodzaju, nauczyciel pozwoliłby działać naturze. — Nic języków, nic geografii, nic historii. Nic książek, nic lektury aż do dziesiątego roku życia. Emil nie będzie się uczył niczego na pamięć, ani nawet bajek La Fontaine'a, ponieważ niezdolny jest ich zrozumieć. Ale będzie się kierowało starannie, nigdy nie dając tego po sobie poznać, wychowanie jego zmysłów. Doskonałe strońce w tym przedmiocie. Będzie się go skłaniało (bo nie chodzi o to, aby go zmuszać) do życia wiele na świeżym powietrzu, do licznych ćwiczeń ciała. Jako pożywienie jarzyny, owoce, tryb życia jarski.

Wogóle, nie łudźcie się, to wychowanie, gdzie zostawiono tyle wolności dziecku, jest z rodzaju najprzykrzejszych. Bardzo źle jest dla Emila, że kiedyś istniało miasto - klasztor imieniem Sparta. — Lekcje mądrości, które dają rzeczy, są często brutalne. Emila nie zniewala się do pracy wcale: ale, jeśli umyślnie zbije szybko w swoim pokoju, to się jej nie wstawia; i tem gorzej dla niego, jeśli się nabawi silnego kataru! Czułość wydaje się dziwnie nieobecna w tej

pedagogii. Chciałoby się w niej bodaj resztkę macierzyńskiej słabości. I przychodzi na pamięć, że Rousseau nie znał ani swej matki ani swych dzieci.

Ten człowiek jest pełny niespodzianek! Chociaż nigdzie nie sformułował wyraźnie tego głupstwa: »prawo do szczęścia«, jest jednak rzeczą pewną, że we wszystkich jego książkach jego celem jest szczęście ludzi. Tu jego celem jest szczęście Emila. I oto jak po drodze to szczęście staje się poprostu jak najmniejszym cierpieniem. Sztuką szczęśliwego istnienia jest sztuka znoszenia, ograniczania życia. To cierpliwość, rezygnacja, nawet bierność; rodzaj stoicyzmu lub ściślej fakiryzmu, który Rousseau nosił zawsze w sobie: godna podziwu filozofia chorego człowieka, samotnika, wydobytą z samego siebie; ale w każdym bądź razie filozofia człowieka dojrzałego a bardzo smutna i bardzo rozczerowań pełna dla młodego dziecka.

Rousseau tak prowadzi swego ucznia aż do dwunastego roku życia. Przybywszy tu, rozważa swe dzieło z podziwem. Emil jest zdrow, silny, śmiały, prawy. Posiada rozsądek, godność, wolę. Rousseau widzi go takim, bo tego chce i ponieważ mu się podobało, aby »natura« była u Emila »dobra«. Inaczej ten piękny system wychowania mógłby być dać również dobrze nicponia albo kretyna.

Bo wkońcu to, co się udało tak dobrze względem Emila, udało się bardzo źle względem Wiktora i Wiktorii w »Bouvard i Pécuchet«. A przecież dwoje pocziwców Flaubert'a ma swego Rousseau'a. Nawet robią z niego streszczenia:

Ażeby kara była dobra, trzeba, aby była naturalnym wynikiem błędu. Dziecko zbiło szybko, nie wstawi się jej: niech cierpi z zimna; jeśli, nie czując już głodu, zażąda jakiejś potrawy, pozwólcie mu jej: niestrawność szybko każe mu żałować. Jest leniwe, niech zostaje bez pracy: nuda znów go do niej zaprowadzi.

Ala Wiktor nie cierpi wcale z powodu zimna; jego temperament może znieść wybryki a próżniactwo wspaniale przypada mu do gustu.

J. J. ROUSSEAU.

Więc?....

W trzeciej księdze, od dwunastego do piętnastego roku życia, odbywa się wychowanie inteligencji i refleksji, — zawsze przez rzeczy same, przez doświadczenie wprost, bez książek, — z możliwie jak najmniejszym wysiłkiem dla ucznia.

Uczy się go mianowicie astronomii, geografii, fizyki, chemii; albo raczej urządza się w ten sposób, że okoliczności i potrzeba uczą go ich. Uda się, że się zbłądziło podczas przechadzki, aby się starał zorientować; i tak wślizga mu się ze słodyczą astronomię. — Jest cała historia skomplikowana i naprawdę groteskowa, gdzie guwerner porozumiewa się sekretnie z jednym kuglarzem, aby Emila nauczyć fizyki, poprawiając jego chętność. W ten sposób przez wielki respekt dla natury uczy się go rzeczy bez uczenia go ich, ciągle go ich ucząc za pomocą subtelnych ogródek.

Daje się Emilowi do rąk »Robinsona Crusoe'go« i składa się go do urzeczywistnienia tego romansu, o ile potrafi. Namawia się (to bardzo dobrze), aby się nauczył jakiego rzemiosła, — rzemiosła uczciwego oczywiście, — »nie hafciarza zatem, czy złotnika, czy krawca, czy muzyka, czy komedyanta, czy książkoroba«, — ale stolarza.

Jesteśmy w księdze IV, gdzie Emil odbiera wychowanie swej uczuciowości i gdzie nauczyciel kształci w nim uczucia sympatyczne i socyalne.

Emil w piętnastym roku życia; wiek niebezpieczny. (Rousseau wielki kładzie nacisk na ten drażliwy okres życia Emila. Może przypomina tu sobie własne lata młodości). Emil jest jeszcze nieświadomy. Trzeba tę nieświadomość przedłużać. Ale jeśli to niemożliwe?... Rousseau waha się... Potem poprawia się i bierze na siebie utrzymanie niewinności Emila aż do dwudziestego roku życia.

Za pomocą jakich środków? Rousseau przez chwilę myśli pokazać Emilowi szpital »nadpsutych«... Ale najlepszą rzeczą, by zachować Emila w czystości (i to staranie jest piękne i niema się czego śmiać) jest wyminiecie zmysłowo-

ści przez uczuciowość i skierowanie tej ostatniej ku serdecznym sentymentom: wdzięczności, przyjaźni, litości, miłości ludu, miłości ludzkości. Znajdują się w tem miejscu uwagi wymowne i szlachetne:

To lud składa rodzaj ludzki; to, co nie jest ludem, jest taką drobnostką, że tego nie warto rachować.... Gdyby bogaty był bardziej nawet nieszczęśliwy niż biedny, nie zasługuje na pożałowanie, ponieważ wszystkie jego nieszczęścia są jego dziełem i ponieważ tylko od niego zależy, by był szczęśliwy. Ale męka biedaka przychodzi nań od rzeczy, od surowości losu, który go przygniata. Niema przyzwyczajenia, które mogłoby odebrać mu fizyczne uczucie zmęczenia, wyczerpania, głodu; rozsadek ani mądrość na nic się nie przydadzą, aby uwolnić go od nieszczęść jego położenia... Szanujcie swój rodzaj; rozważcie, że się składa istotnie ze zbioru ludów; że gdyby zabrano wszystkich królów i wszystkich filozofów, nie możnaby tego zauważyć i że rzeczy nie szłyby wcale gorzej. Słowem uczcie swego ucznia kochać wszystkich ludzi a nawet tych, którzy wartość ludzi obniżają; działajcie tak, aby się nie zaliczał do żadnej klasy, ale aby się odnajdywał w każdej; mówcie mu o rodzaju ludzkim z czułością, z litością, nawet, ale nigdy z pogardą. Człowieku, nie zniesławiaj człowieka nigdy.

Tymczasem przyszła chwila, aby dać poznać Emilowi ludzi: najpierw przez historję, a przedewszystkiem przez Plutarcha.

A przyszła też chwila, aby mu dać poznać Boga. Tu właśnie guwerner cytuje mu »Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego«.

Tutaj guwerner wkońcu uczy, nie można temu zaprzeczyć... Nigdy Emil, pozostawiony samej naturze, nie znalazłby tak pięknego wywodu o Bogu osobistym, o nieśmiertelności duszy i życiu przyszlętn. Więc czemu się go tego nie uczyło wcześniej? tego i trochę innych rzeczy, które poznać warto? Wieleżby získano na czasie!

Rousseau odpowiada:

W piętnastym roku życia Emil nie wiedział zgoła, czy ma duszę, i być może ośmnasty rok nie jest jeszcze czasem, aby się o tem

dowiedział. W każdym razie, gdyby mu te rzeczy powiedzieć wcześniej, toby ich nie zrozumiał.

Kto wie? Byłby zrozumiał to, coby mógł. Ten sam Rousseau pisze w II księdze »Wyznań«:

Kiedy mówiłem, że nie trzeba mówić dzieciom o religii, jeśli się chce, aby one ją posiadały kiedyś, i że są niezdolne poznać Boga, nawet w nasz sposób, wyciągałem to przekonanie ze swych obserwacji, nie z doświadczenia na sobie; wiedziałem, że ono nic nie orzeka o innych. Znajdźcie Janów Jakóbów w szóstym roku życia i mówcie im o Bogu w siódmym; zapewniam was, że nie zaryzykujecie niczego.

Tak, wiemy, że Jan Jakób był genialnem dzieckiem. Lecz Emil, ten kochany Emil, czyż jest więc półgłówkiem?

Ale pozostawmy na boku »Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego«, którem się zajmę osobno, i w dalszym ciągu idźmy za rozwojem Emila.

Emila coraz bardziej niepokoi przełom ośmnastego roku życia. Jak »rociągnąć u niego aż po dwudziesty rok nieświadomość pożądań i czystość zmysłów?«

»Sypiajcie w jego pokoju; niech się kładzie do łóżka dopiero zmożony przez sen i niech je opuszcza w chwili, kiedy się budzi«. Następnie trzeba go uprowadzić zdala od miast, zaprawiać do mozolnych prac, posyłać na polowanie i mówić doń wymownie.

»Mówić doń wymownie?« To przypomina Bouvard'a i Pécuchet'a wysilających się nad umoralnieniem Wiktora: »Fénelon poleca co jakiś czas »niewinną rozmowę«. Niepodobienstwem wyobrazić sobie taką jedną... Bouvard i Pécuchet dawali czytać swoim uczniom historyjki, mające na celu inspirować miłość cnoty. One zanudzały Wiktora....« i t. d. — Bardzo być może, że w tych materyach i we większości wypadków nic nie zastąpi i nic nie warte tyle, co kategoryczny nakaz wiary religijnej. Ale tego »natura« nie dostarcza: przeciwnie.

Nawróćmy. Jeśli Emil w dalszym ciągu uczuwa niepokój, jest już tylko jeden ratunek: guwerner wyjedzie

z nim na poszukiwanie towarzyszek i będzie poszukiwanie przedłużało.

Jak przedtem układano zgóry małe dramaty, aby nauczyć Emila - dziecko, czym jest własność, albo aby mu odjąć chętkę wycieczek bez guwenera, albo aby go uczyć równocześnie fizyki i skromności, — podobnie małżeństwo szczęśliwego młodzieńca będzie wynikiem intrygi długo przez metra przygotowywanej.

Mianowicie: Guwerner zna od dawna młodą dziewczynę, która odpowiada jego wychowankowi i którą mu przeznacza; zna jej rodziców, wie, gdzie ona mieszka. Ale opisuje ją zrazu Emilowi jako wytwór wyobraźni, o którym myśl będzie zwalczała wrażenia rzeczywistości. Mówi on od niechcienia: »Aby dać jej jakieś imię, przypuśćmy, że ma na imię Zofia«. I wyjeżdża ze swym wychowankiem na poszukiwanie młodej osoby, któraby najbardziej była podobna do tej Zofii z jego marzeń.

Emil i jego nauczyciel udają się zatem do Paryża. Emil bywa w wielkim świecie, w towarzystwach. Dla wychowanego tak, jak był, towarzystwo i świat nie przedstawiają już niebezpieczeństwa. Widzi je, jakimi są, godne pogardy i śmieszne. Coraz bardziej rozmiłowuje się w życiu prostem i wiejskiem. I spotykamy tutaj »wierszyk« o »białym domku z zielonemi okiennicami« i apostrofę do Paryża:

Żegnaj więc Paryżu, miasto sławne, miasto hałasu, dymu i błota, gdzie kobiety nie wierzą już w cześć, ani mężczyźni w cnotę. Żegnaj Paryżu. My szukamy miłości, szczęścia, niewinności; nigdy nie będziemy od ciebie dość daleko.

I nie znalazłszy w Paryżu nawet najsłabszego odbicia Zofii idealnej, udają się szukać jej na wsi.

A teraz czekając, aż Emil ją odnajdzie, przenieśmy się do prawdziwej Zofii, do jej zacnych rodziców, do jej pięknego, wiejskiego domku.

Rousseau mówi nam, jakie było wychowanie tej młodej osóbk i jakie powinno być wychowanie dziewcząt. Jest

to wychowanie jak najściślej tradycyjne, możliwe, jak najbardziej różne od wychowania Emila.

»Natura« dość nam daje poznać, że nie jest »feministką«. Rousseau nie jest nim również; nie jest nim zgoła, nie jest nawet trochę. — I można się dziwić, że jego bzik równości nie natchnął go ideą zrównania obu płci. Wydawałoby się, że ani jednej chimery nie powinno brakować w jego kolekcji. A jednak co do tej »spalił na panewce«. Rousseau nie jest feministą. Jest nawet antifeministą. To bez wątpienia dlatego, że wiele kochał kobiety. Myśli czy czuje w tym względzie jak Michelet, jak Sainte-Beuve, jak wszyscy ci, którzy, bardzo wrażliwi na kobiecość, chcieliby nie zmniejszyć, ale przeciwnie utrzymać a nawet zaznaczyć silniej różnicę między dwiema płciami.

Rousseau tak daleko posuwa to uczucie (już wyrażone w »Liście o widowiskach« i gdzieindziej), że dla dziewcząt nie zachowuje bezwzględnie żadnego ze środków, które zastosowuje w wychowaniu chłopców; jak gdyby obie płci nie miały pod względem intelektualnym nic wspólnego, i jak gdyby nic z tego, co odpowiada jednej, nie mogło odpowiadać drugiej.

Podczas kiedy guwerner dawał Emilowi możliwie jak największą wolność i chciał, aby był zawsze karany tylko przez rzeczy same, i podczas kiedy pobudzał swego ucznia do samostannego myślenia i do wzniesienia się ponad sąd ludzki, — dwie surowe Muzy, Przymus i Poszanowanie Opinii przewodniczą w wychowaniu dziewcząt:

Dziewczęta powinny być krępowane od wczesnej pory.... Zależność jest stanem naturalnym dla kobiet, dziewczęta czują się stworzone na to, aby słuchać... (Można je karać, dziewczęta). — ...Wynika z tego zwyczajnego przymusu pewna uległość, której kobiety potrzebują przez całe życie, ponieważ nigdy nie przestają podlegać albo mężczyźnie, albo sądowi mężczyzn i ponieważ nigdy im nie wolno wnieść się ponad te sądy. Nie chodzi tylko o to, aby kobieta była wierna, ale aby była za taką uważana przez męża, przez swych bliskich, przez wszystkich... Pozór nawet należy do liczby obowiązków

kobiecych... Kobieta, czyniąc dobrze, wykonywa ledwie połowę swej pracy i to, co się o niej myśli, nie znaczy dla niej mniej, niż to, czym jest w istocie... Całe wychowanie kobiet ma mężczyzn na uwadze.

Co więcej, kobieta winna się podobać. Powinna dbać o toaletę, uprawiać sztukę podobania się... — Co do religii: — »Każda córka powinna wyznawać religię swej matki, każda żona religię swego męża«. — »Ponieważ autorytet powinien regulować religię kobiet, nie tyle chodzi o to, aby im tłumaczyć powody, dla których należy wierzyć, ile wyłożyć im jasno to, w co się wierzy«. — Co do uprawy ich umysłu: — Nic książek abstrakcyjnych, nic nauk.... »Ich studia powinny się odnosić zawsze do praktyki... Wszystkie ich refleksje, o ile nie odnoszą się bezpośrednio do ich obowiązków, powinny dążyć do studium mężczyzn albo do przedmiotów przyjemnych, które wymagają tylko gustu dla przedmiotu« itd.

Rousseau w V księdze mówi często jak Chrysale*) wyższego stopnia. Tu znowu budzi się jego dusza tradycyjna i odziedziczona, jak w trzeciej części »Julii«. Ale myślę też, że trochę robi to umyślnie, aby zgniewać swe piękne przyjaciółki. Och! jak te piękne przyjaciółki drażnią go we wspomnieniach! Och! jakżeż ma dosyć tych kobiet emancypowanych, tych kobiet filozofek i ateuszek, które sądzą, że mają umysł niezależny! Naśmiewa się, w ustępie bardzo ładnym, z tego typu kobiety o pretensjach do wyróżniania się i respektu, której brak skromności i poczucia kobiecego obowiązku, ale która ma, jak się mówi, cnoty uczciwego mężczyzny. On nie wierzy w te cnoty: »Gdy się odejmie największe wędzidło ich płci, mówi Rousseau, cóż zostaje, aby je powstrzymać? i jakąż cześć wielce mogą cenić, gdy wzgardziły tą, która im jest właściwa?« Tem gorzej dla pani d'Épinay i dla pani d'Houdetot i nawet dla pani de Luxembourg!

*) Postać z »Femmes savantes« Molière'a.

Ale zwróćmy się do Zofii samej.

...Zofia nie jest piękna, ale w jej obecności mężczyźni zapominają o pięknych kobietach a piękne kobiety są same z siebie niezadowolone. Na pierwszy rzut oka jest ona ledwie ładna; ale czem dłużej się na nią patrzy, tem ona pięknieje; ona zyskuje na tem, na czem inne traci; a to, co zyskuje, tego już nie traci... Nie oslepiając, ona zajmuje, czaruje, i nie można powiedzieć czemu... Zofia lubi stroje i rozumie się na nich... ale nienawidzi kosztownych sukien... Zofia ma talenty naturalne... Zofia jest nad wyraz czysta. Ta czystość jednak nie wyradza się w próżną przesadę lub zniewieściałość... Nigdy do jej pokoju nie dostanie się nic prócz zwykłej wody; ona nie zna innych perfum prócz zapachu kwiatów; i nigdy jej mąż nie będzie oddychał słodsza wonią nad woń jej oddechu. Wkońcu uwaga, jaką zwraca na swój wygląd zewnętrzny, nie pozwala jej zapomnieć, że swe życie i swój czas winna jest szlachetniejszym zajęciom; ona nie zna czy pogardza tą przesadną czystością ciała, która brudzi duszę; Zofia jest wiele więcej niż czysta: ona jest nieskalana.

Wyborny wogólności, wraz ze swą rozwlekłością, cały ten portret liryczny i moralny Zofii. Streszczam go tak: zbiór przymiotów przeciętnych, z czego wydobywa się urok wyższego stopnia... Widzę Zofię tylko w sukniach w różowe prążki, w świeżej zawsze bieliźnie i z oczyma, które wilgotnieją łatwo.

Jej matka była biedna, ale »z towarzystwa«. Jej ojciec był bogaty; jest zrujnowany na pół. Oboje są dobrzy i godni szacunku. Zofię wychowano według zasad wyłożonych powyżej. Łaje się ją i karze naturalnie, skoro jest tylko dziewczyną. Ojciec ma dla niej wykłady najczulsze i najrozsądniejsze na świecie. Roztacza się tu cały obraz miłego i serdecznego domowego życia, ładny zakątek mieszczańskiego romansu, — który był nowy podówczas.

Pewne niedelikatności pendzla trochę go psują. Zofia opada na siłach. Jest chora z tego, że jest dziewczyną. Autor mówi nam zbyt wiele o »zmysłach« i o »pożądaniach« Zofii a nawet o jej »temperamencie palnym«. My zaś wiemy dobrze, że młode dziewczęta muszą posiadać zmysły i pożądania, ale lubimy przypuszczać, że one są jakby odre-

twiałe, i nie jest nam zbyt przyjemnie, kiedy nam się o nich mówi bez ogródek.

Zaniepokojenie; pytają Zofię, i — wygadała się z sekretu. Dano jej czytać powieść Fénelon'a i kocha się w Telemaku! I to właśnie ją trawi.

Owóz Telemak i Mentor, to jest Emil i jego guwerner, zaskoczeni i zmoczeni przez burzę, przybywają prosić o gościnę u rodziców Zofii. To wszystko zostało ułożone między guwernerem a ojcem. Kiedy podróżni się osuszyli, siadają do stołu. Rozmowa; ojciec Zofii jest zniewolony do opowiedzenia swych nieszczęść i pociechy, jaką znalazł w żonie.

Emil wzruszony, rozczulony, przestaje jeść, by słuchać. Wkońcu, w chwili, kiedy najzaciejszy z mężczyzn rozwodzi się z rozkoszą nad przywiązaniem najgodniejszej z kobiet, młody podróżny, nie pając nad sobą, ściska rękę męża, którą ujął, a drugą bierze też rękę żony, nad którą pochyla się z zapalem, zraszając ją łzami...

(Obraz w rodzaju Diderot'a i Greuze'a. Znacie już a ja zdefiniowałem, mówiąc o »Nowej Heloizie«, ten rodzaj czułości).

...Zofia, widząc, jak płacze, gotowa jest przymieszać do jego łez swoje... Matka widzi jej przymus i wybawia ją, posyłając z jakimś poleceniem.

Tu słuchajcie dobrze, zbliżamy się do sceny teatralnej:

W minutę później dziewczyna wraca, ale tak mało uspokojona, że jej zmieszanie wszyscy spostrzedz mogą. Matka mówi jej ze słodyczą: — Zofio, uspokój się... Na to imię Zofii (przypominacie sobie, że tak nazywał swoją chimere), na to imię Zofii, widzielibyście, jak Emil zadrżał. Uderzony imieniem tak drogiem, trzeźwieje w okamgnieniu i rzuca chciwy wzrok na tę, która je nosi, itd.

Myślicie może, że tu przybywszy, guwerner młodego człowieka zostawi go wkońcu w spokoju. Och! gdzie tam! Guwerner uważa za stosowne, zważywszy »zapalność« ich temperamentu, aby Emil zamieszkał o dwie mile od Zofii i aby się widywali tylko dwa lub trzy razy na tydzień. — Potem, pewnego dnia, ma dla Emila wykład, w istocie bar-

dzo piękny, nawet podziwu godny i pełny najczystszej stociejzmu, w którym napomina go, aby opuścił Zofię na dwa lata celem upewnienia przyszłego ich szczęścia przez próbę. I przekonywa Emila, a Emil przekonywa Zofię wśród potoków łez.

Emil więc podróżuje, »aby studyować rzady i obyczaje«. Przywozi ze swych podróży streszczenie »Umowy społecznej« — i tę myśl, między innemi, która może jest prawdziwa, ale która się wydaje trudną do dowiedzenia: »Francya byłaby o wiele potężniejsza, gdyby zniweczono Paryż«.

Wkońcu łączy się Emila z Zofią. I wy sędzicie, że tym razem rola nauczyciela skończyła się i że to do młodej pary samej należy kierować swem małżeńskim szczęściem? Nie; i oko niestrudzonego nauczyciela jest jeszcze w ich alkowie. Naturalny bezwstyd Jana Jakóba obfituje tem bardziej w rady dla młodych małżeństw, że on sam nie był żonaty; że jego zapoczątkowanie przez panią de Warens było bierne i cyniczne, i że nie miał zapoczątkować Teresy, i że, ze względu na jego życie prywatne, nie wydaje się zupełnie lepiej kwalifikowanym do wychowywania małżonków, niż do wychowywania dzieci. Ale pomińmy to! lub raczej powiedzmy, że, tu znowu, snuje marzenie swego życia, że daje sobie widowisko tego, czego zrobić nie mógł, i że rozwodzi się może nad młodą miłością Emila i Zofii z powodu gorzkiego uczucia żalu i odwetu.

Więc bierze ich na stronę, aby im polecić zawsze kochankami pozostać, nawet w małżeństwie. »Otrzymuj wszystko z miłości, mówi Emilowi, nie wymagając niczego z obowiązku i niech najmniejsze względy nigdy nie będą dla was prawem, ale łaską«. I wyszczególnia i nastaje; a Emil wykrzykuje a Zofia zawstydzona trzyma wachlarz przed oczyma. W kilka zaś dni później, rozumiejąc z twarzy Emila, że jego rady zbyt dosłownie wzięła Zofia, i rozumiejąc też, że delikatna Zofia chce oszczędzać swego małżonka, daje jej

do zrozumienia, że czysty Emil posiada rezerwy, oraz dwadzieścia innych nieprzyzwoitości w szlachetnym stylu... Tak, że nieszczęśliwy chłopiec, — którego Rousseau chciał mieć tak wolnym, tak niezależnym od ludzi, nigdy nie karanym, nigdy nie napominanym, — ma wkońcu swego guwernera za teściową; i jaką teściową! — i że nie wiadomo, kiedy zdoła się z tego wypłatać i że będzie z pewnością uczniem całe swoje życie.

(Ale z tem wszystkiem nie powinienem pominąć, że dyskurs guwernera zawiera doskonałe rady na te czasy, kiedy małżonkowie ochłodną, i że to jest podobne do pewnych rozdziałów z Michelet'a i że Michelet, w »Miłości«, bardzo wiele pożyczył z V księgi »Emila«. Michelet wydaje mi się zresztą, mimo różnicy umysłów, najwierniejszym kontynuatorem Rousseau'a w XIX wieku).

Oto ta sławna książka... Och! zawiera ona myśli doskonałe. Karmienie przez matki, zimna woda, świeże powietrze — to dobre bardzo. Bardzo też dobrze kochać dzieciństwo i chcieć je widzieć szczęśliwem i wesołem. Jest również dobrze wierzyć, że urobić człowieka, to nie sfabrykować maszynę, ale rozwinąć istotę żyjącą. Studya progressywne, zastosowane do rozwoju fizycznego i moralnego dziecka; nauczanie doświadczalne, przez widok i zetknięcie się z rzeczami; pierwszeństwo dane wychowaniu nad instrukcją; reakcja przeciw wychowaniu światowemu a także przeciw wychowaniu przez książki a przede wszystkim przez podręczniki (którego łupem jest obecnie nasze społeczeństwo funkcyjaryuszy), zamiar urobienia człowieka pełnego i uzbrojonego do życia... wszystko to jest pochwały godne i słuszne.

Tylko, karmienie macierzyńskie, zimna woda, powietrze i ćwiczenia były już przepisane przez Tronchin'a; a co do reszty, to było już trochę wszędzie, a było mianowicie, i więcej niż w zaczątku, u Rabelais'a, u Montaigne'a i u Locke'go. I prawdą jest, że Rousseau wybił swe wymowne piętno na tych przepisach znanych: ale zostaje faktem tu

znowu, że to, co jest dobre, należy doń mało, i że to, co doń należy, wydaje się zuchwałą niedorzecznością.

To, co do niego należy, to antynaturalna myśl wychowania, mającego pretensje stosowania się do natury, wymagającego wywłaszczenia dzieci i poświęcenia całkowitego życia metra jednemu uczniowi; i to jest myśl wychowania, które, gdyby się dało urzeczywistnić, przeszkodziłoby każdemu pokoleniu korzystać z trudu i myśli umarłych.

Korzyścią wychowania, jeśli nie sam jego przedmiot, jest właśnie uwolnienie dziecka od przerobienia jeszcze raz pracy przodków: i oto Rousseau żąda, aby je zmusić do przerobienia tej pracy na nowo. Ale równocześnie, kiedy czuje, że to trwałoby nieco za długo, szachruje. Żaden system nauczania nie zawiera tyle sztuczności, co to nauczanie, które sądzi, że szanuje naturę. Rola guwernera redukuje się do mistyfikowania rzeczy i życia wokół ucznia. On go nie uczy, nie; on go nie karze: ale w rzeczywistości on go mistyfikuje i ujarzmia, jak Fénelon księcia de Bourgogne. Owóż, jeśli uczeń wkońcu dojść powinien do tego, aby myślał jak guwerner, to może nie warto było szukać takich ogródek. Całe to wychowanie jest kłamstwem. Kłamstwo jest duszą trzech czwartych dzieł Jana Jakóba.

Albo też, jeśli to wychowanie nie jest pełnem ujarzmieniem ucznia na rzecz metra, dąży ono do zerwania z całą tradycją. Owóż tradycja oszczędza na czasie, przelewając od rodziców na dzieci sądy już gotowe. Ona łączy w ten sposób i godzi wysiłek pokoleń następujących po sobie. Uczcie dzieci wierzeń ojców; pozbędą się ich później, jeśli będą chciały; ale jeśli większość przy nich zostaje, jakichż sił ludzkość, do której oni należą, nie wyciąga z tej ciągłości! Czemyby się stał jakiś lud, gdyby każde dziecko miało być pozostawione sobie samemu w wolności sądzenia życia i tworzenia sobie jakiejś religii i moralności? Emil jest dobry, bardzo dobry: ale cóżby powiedział jego metra, gdyby Emil w ósmnastym roku życia posłał go do kaduka

razem z jego deizmem i wyznaniem wiary wikarego sabaudzkiego? Jakim nicponiem mógłby stać się Emil, gdyby się nie był tak szczęśliwie urodził, lub gdyby nie miał najbardziej wszechwładnego, w rzeczywistości, z nauczycieli? — Albo anarchista, albo sobowtór metra: oto przeznaczenie dziecka, wychowanego ściśle według Rousseau'a.

Nie więc nie można było zastosować z »Emila«, prócz tego, co było wskazane już u Locke'go, Montaigne'a, Rabelais'a. Ale z części oryginalnej, z części własnej Rousseau'a, powtarzam, nie można było zatrzymać nic.

Nic? Mylę się. Zatrzymano najgorsze. Pozostała z niej ta niedorzeczność: poszanowanie wolności dziecka, obawa targnięcia się na jego sumienie; skutkiem tego żadnej nauki religijnej, — i dlaczegoż nie dorzuca się: żadnej nauki moralnej? — aż do tego stopnia, aby było zdolne wybrać samo swą religię czy filozofię, albo powstrzymać się dobrowolnie od wszelkiego wyboru. To, co nazywa się dziś neutralnością, a co jest w istocie bezreligijnością szkoły, jest naprawdę w zawiązkach w Emilu« i z pewnością objęte systemem wychowania Rousseau'a; — i zaczynamy, sądzę, widzieć tego rezultaty, — rezultaty, jakich się wystrzega zmniejszyć recytując młodzieńcom, — jak Rousseau czyni względem Emila, — bodaj »Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego«, które stało się »klerykalne«.

»Emil« miał wielkie powodzenie, mniejsze jednak od powodzenia »Nowej Heloizy«. — Ale »Emil«, bardziej poważny, uchodził za arcydzieło autora. Kobiety widziały w nim tylko romans Zofii i karmienie przez matki; i w ope-rze, piękne damy w tych latach kazały sobie przynosić swe małe dzieci wgląd łóż i dawały im ssać w czasie przerw. — Co do mężczyzn, widzieli oni w »Emilu« to, co chcieli, bo jest z wszystkiego po trosze.

Chcę przynajmniej dać wam poznać interpretację »Emila« przez tego poczciwego Musset-Pathay'a (ojca Alfreda de Musset), który ogłosił w r. 1825 historię apologe-

tyczną o Rousseau'ie. To bardzo proste. Rousseau ma rzut oka genialny; przewidując całą rewolucję francuską, chciał wychować Emila, młodego szlachcica, tak, aby ten mógł wybrnąć z wypadków, jakiegokolwiekby były. I dlatego mianowicie nauczył go rzemiosła stolarskiego. »Emil« byłby więc traktatem o wychowaniu dla młodej szlachty ze względu na katastrofę rewolucyjną. Widocznie Musset-Pathay myślał o księciu Orleańskim (Ludwiku Filipie), kształconym niegdyś przez panią de Genlis według niektórych przepisów Jana Jakóba. To dosyć ciekawe.

Ale idea zasadnicza, oryginalna i niedorzeczna »Emila« tak się źle stosuje do praktyki, że Jan Jakób, zapytywany o poradę przez matki, przez księży uczących, nawet przez ksiąząt, robi to, co zrobił był już względem »Rozprawy o naukach« i »Rozprawy o nierówności«: wyznaje własną przesadę, albo też ją zmniejsza, albo nawet sprzeciwia się sobie. — Pani de T... (6 kwietnia 1771) radzi bez ogródek oddalić i umieścić na pensji dziecko niekarne i wcale nie troszczy się o to, aby pozwolić działać naturze u tego młodego nieponia. — Do księdza M.... (28 lutego 1770) pisze (i nie wiem, czy tu nie wkłada ironii ukrytej, milczkiem kłusującej, chociaż to uczucie jest mu wogóle bardzo obce):

Jeżeli to prawda, że pan zastosował plan, który starałem się nakreślić w »Emilu«, podziwiam pańską odwagę; ponieważ jest pan zbyt rozumny, aby nie wiedzieć, że w podobnym systemie trzeba zrobić wszystko lub nic i że stokroć więcej wartałoby podjąć bieg zwykłego wychowania i zrobić małego dworaka, niż iść przez pół za tem wychowaniem, aby urobić człowieka tylko chybionego... Nie może pan zapoznawać ogromnego trudu, jaki pan sobie zadaje: oto pan będzie w ciągu dziesięciu lat, co najmniej, niczem dla siebie, cały oddany z wszystkimi zdolnościami swemu uczniowi; czujność, cierpliwość, stałość, oto przedewszystkiem trzy przymioty, od których pan nie może wyzwolić się ani na moment, nie narażając się na stratę wszystkiego; tak, stratę wszystkiego, wszystkiego zupełnie: jedna chwila niecierpliwości, niedbałości lub zapomnienia może panu odebrać owoc dziesięciu lat pracy, nie zostawiając panu nic, nawet możliwości odrobienia tego przez pracę dziesięciu la

innych. Z pewnością, jeśli coś zasługuje na nazwę heroizmu i wielkości wśród ludzi, to sukces przedsięwzięcia podobnego pańskiemu. Itd.

To jest szalone. Z czego żartuje Rousseau? Jeśli wychowanie jednego pocziwca wymaga tego zupełnego wyrzeczenia się i tej pracy Herkulesa dziesięciu lat, ksiądz M... może tylko się cofnąć. Czyż można wyznać wyraźniej, że »Emil« jest tylko romansem o wychowaniu?

Wkońcu, w dzienniku o pobycie Jana Jakóba w Strasburgu w 1765, czytać można, co następuje:

Pan Anga złożył mu wizytę i rzekł: — Widzi pan człowieka, który wychował syna według zasad, jakie miał zaszczyt zaczerpnąć z pańskiego »Emila«. — Tem gorzej, panie, odpowiedział Jan Jakób; tem gorzej dla pana i dla pańskiego syna.

Ale Rousseau psuje jeszcze bardziej »Emila« przez inny romans, z którego napisał tylko dwa rozdziały i który jest zatytułowany: »Emil i Zofia albo Samotnicy«.

Emil i Zofia się pobrali. Mają syna. Myslicie, że, ulepiani przez Jana Jakóba, są na zawsze roztropni i szczęśliwi. Przybywają jednak do Paryża. Bywają w świecie. Rozpraszają się. Pewnego dnia Zofia odmawia sobie mężowi. Trwa to kilka miesięcy. Zniewolona pytaniami, mówi wkońcu: »stój, Emilu, i wiedz, że nie jestem ci już niczem: inny splamił twoje łożo, jestem ciężarna, nie tkniesz się mnie już nigdy w życiu«.

Jakto! ta Zofia tak miła i tak dobrze wychowana?... Tak, to mania u Rousseau'a. Trzeba aby Zofia zbrukała się jak Julia, aby mogła powrócić do cnoty, jak Julia — i jak sam Jan Jakób, którego życie, co już mówiłem, jest moralną ewolucją, oczyszczeniem zakończonem przez szaleństwo.

Emil ucieka zrozpaczony. Potem rozmyśla, przypomina sobie lekcje stoicyzmu swego metra; znajduje usprawiedliwienia dla Zofii; podziwia nawet tę szczerość i cnotę, jaką zachowała w upadku. Przebacza jej, ale oddali się precz ze swym synem.

Tymczasem pracuje kilka mil od Paryża u pewnego stolarza, aby zmęczyć ciało i wyczerpać ból. Zofia go odnajduje, nie ma odwagi wejść do pracowni, ale wykrzyka półgłosem, patrząc na dziecko, które jej towarzyszy: »Nie, nigdy on nie zechce pozbawić cię twojej matki; chodź, nie mamy tu co robić«.

I w istocie Emil porzuca myśl uprowadzenia dziecka i oddala się pieszo. Potem najmuje się jako majtek, wzięty jest do niewoli przez korsarza. Jeńcem w Algierze odznacza się cierpliwością, słodyczą, odwagą i zostaje niewolnikiem beja, który ma dla niego względy.

Tu się powieść urywa i mówimy sobie: Na cóż przydało się tak szczególne wychowanie Emila, skoro, przybywszy do Paryża, zaczyna tu żyć jak wszyscy? — Przydało mu się, powie Rousseau, aby się opanował, aby się okazał sprawiedliwym i dobrym względem Zofii, aby się dzielnie sprawował w Algierze. — Ale człowiek dobry z natury czyż nie mógłby zrobić tego samego, gdyby nawet był wychowany w kolegium w Nawarze i według dawnych metod? Zatem?...

Ale prawdziwe piękności są w tym fragmencie romansu; ale zdrada małżeńska wzięta tu jest bardzo na seryo w czasie, kiedy wzniecała zwykle tylko żarty (przynajmniej w wyższych klasach); ale Emil oszukany przebacza swej żonie prawie w słowach i w wywodach męża z Dumas'a syna; ale już w »Nowej Heloizie« Jan Jakób przedstawił nam kurtyzanę jeszcze bardziej heroiczną niż Dama kameliowa; ale parę lat przedtem, w nocy do »Odpowiedzi Bordes'wi«, oświadczył, że zdrada ze strony męża jest również karygodna, jak zdrada żony, i że żona i mąż winni są sobie równą wierność.... Bo ten człowiek, który sam napisał więcej głupstw, o wiele więcej, niż wszyscy inni wielcy klasycy razem, jest tym także, który otworzył literaturze i uczuciowi drogi nowe.... To także.

ÓSMA POGADANKA.

»UMOWA SPOŁECZNA«. — »WYZNANIE WIARY WIKAREGO SABAUDZKIEGO«.

Zdaniem mojem »Umowa społeczna« jest wraz z pierwszą »Rozprawą« najbardziej mierną książką Rousseau'a. Jest pod sentencyonalną formą najbardziej ciemną i najbardziej chaotyczną. I była wskutek tego najbardziej nieszczęsną.

To dzieło też najmniej łatwo wtłoczyć w jego biografie i co do niego najlepiej się widzi, że mógł być go nie napisać. »Umowa społeczna« nie tłumaczy się, jak obie »Rozprawy«, jak »Julia«, jak »Emil«, jak kilka innych dzieł, które następują, przez jakieś okoliczności nieodzowne lub wyjaśniające z życia Jana Jakóba.

Ostateczny tekst »Umowy społecznej« miał być zreagowany bezpośrednio przed lub po »Emilu«. Ale »Umowa« jest fragmentem wielkiego dzieła wcześniejszego p. t. »Instytucje publiczne«, zaczętego przez Rousseau'a w Wenecji (1744). »Umowa« jest więc jedynem dziełem Rousseau'a (wraz z »Marzeniami«), które nie zostało poczęte i napisane z rzutu namiętności.

Myślę poprostu, że Rousseau w Montmorency wziął na nowo do ręki i przejrzał, około 1760—1761, swoje stare zeszyty weneckie, ponieważ bardzo go poruszyła sława Monteskiusza (z którego żartuje, nie wymieniając po nazwisku, w drugiej księdze »Umowy«). Następnie, był jeszcze w okre-

sie podziwu dla Genewy. To, co buduje w »Umowie społecznej«, to jest rząd genewski, wyidealizowany.

Wyidealizowany? Jak? — Genewa miała rządy demokratyczne, ale okrojone. — Prócz »mieszkańców«, to znaczy obcokrajowców zamieszkałych w republice, i »urodzonych«, czyli synów »mieszkańców« (dwóch klas nielicznych), byli »obywatele«, synowie mieszczan, urodzeni w mieście, i »mieszczanie«, synowie mieszczan lub obywateli, ale urodzeni za granicą, albo obcokrajowcy, którzy otrzymali prawo mieszczaństwa. Te dwie klasy: »obywateli« i »mieszczan« tworzyły razem ciało wyborcze: około tysiąca pięciuset głosujących (wyborcą było się dopiero od 25 roku życia). Ale tylko »obywatele« mogli być członkami rządu (zwanego »Małą Radą«).

Owóż, kiedy Rousseau ogłaszał »Rozprawę o nierówności«, zadedykował ją Genewskiej Republice a w szczególności członkom Małej Rady. Ale — jak się zdaje — przyjęli oni zimno tę dedykację; i kiedy wszystek lud genewski zapalał się dla Jana Jakóba, oni sami okazali pewną oziębłość. Jan Jakób, jak wiemy, zachował do nich rankor; to też jest bardzo możliwe, że posuwając aż do najczystszej demokracji swój wyidealizowany obraz małej republiki, chciał trochę podrażnić tych uprzywilejowanych członków Małej Rady, których napróżno darzył w swej dedykacji mianem »dostojnych i władnych panów«.

Tylko w ten sposób, sędzę, można »wtłoczyć«, jak powiedziałem, »Umowę społeczną« w życie osobiste i duchowe Jana Jakóba: Jan Jakób chce zdemokratyzować Genewę przez niechęć do zbyt letnich uczuć genewskiego rządu względem swej osoby. — To nie jest niemożliwe.

Z drugiej strony nie było to konieczne bez wątpienia, ale było dość naturalne, że Rousseau, cenzor obyczajów w swych pierwszych książkach, nauczyciel miłości w »Julii«, wyrocznia wychowawcza w »Emilu«, uczuł potrzebę zostać w końcu prawodawcą, aby zakończyć swą misję dobroczyńcy

ludzkości. Bo wszystkie te zawody wiążą się ze sobą. — On sam powiedział w »Emilu« (i można w tem widzieć przynętę dla »Umowy społecznej«):

Jak zrobić, aby człowiek w stanie społecznym pozostał możliwie najbardziej wolnym, nie podlegał zachciankom egoistycznym i samowolnym, podlegał tylko woli ogólnej? Trzeba przeciwstawić prawo człowiekowi; uzbroić powszechną wolę siłą rzeczywistą, wyższą nad działanie wszelkiej woli częściowej.

Krótko mówiąc, to człowiek pewnej roli napisał »Umowę społeczną« a także człowiek urażony przez »dostojnych panów« z Genewy; i to Genewczyk, syn bardzo małej republiki; i to, co więcej, protestant. »Władczość ludu« jest protestanckim dogmatem, przeciwstawionym przez pastorów XVII w. despotyzmowi Ludwika XIV. Pastor Jurieu powiedział dosłownie: »Lud jest jedynym autorytetem, który nie potrzebuje racji, aby nadać ważność swym czynom«.

A jeśli to protestant napisał »Umowę społeczną«, to wcale nie apostoł natury; i w istocie wydaje się niepodobieństwem wciągnąć tę książkę w teorie wyłożone dwiema »Rozprawami«. Rządem bowiem »według natury«, rządem »naturalnym« — jakkolwiekby się go rozumiało — nie może być oczywiście demokracja absolutna, późny i sztuczny wytwór politycznej metafizyki (który też nigdy nie został urzeczywistniony, nawet w małych republikach starożytności, gdzie istnieli »niewolnicy«): rząd według »natury« to byłby rząd najbardziej podobny do istniejącej od niepamiętnych czasów i naturalnej instytucji rodziny; to byłby rząd jednego człowieka, to byłaby monarchia, — i to według wyznania nawet Rousseau'a, który w »Rozprawie o nierówności« uważa za najlepszy i najszcześniejszy zarząd patryarchalny gminy.

A teraz oto zarys »Umowy społecznej«, uwolniony od wszystkich dygresji, które ją zaciemniają. Chcę najprzód wyliczyć część zasad postawionych przez autora, z których reszta się dedukuje:

Człowiek urodził się wolny, a wszędzie jest w kajdanach (»urodzony wolno« nie przedstawia dla mnie zgoła znaczenia; ale przejdźmy nad tem). Jak dokonała się ta zmiana? Nie wiem... Co może ją uczynić prawomocną (»ją« to znaczy zmianę człowieka wolno urodzonego w człowieka, który już wolnym nie jest, to znaczy, w rezultacie, rząd, instytucję społeczną)? Sądzę, że mogę rozwiązać tę kwestię.

Istnieje na początku społeczeństw umowa, znana lub domyślna. Jak winna się ta umowa sformułować? Jakie powinny być jej warunki, — a potem funkcjonowanie?

....Trudność można wyrazić w tych słowach:

Znaleźć formę zrzeszenia, któraby broniła i wspierała, całą siłą wspólną, osobę i dobra każdego zrzeszonego i przez którą każdy, łącząc się z wszystkimi, słuchałby jednak tylko siebie samego i został tak wolny, jak przedtem. Taki jest problem zasadniczy, którego rozwiązanie daje umowa społeczna.

....Warunki tej umowy, dobrze zrozumiane, ściągają się wszystkie do jednego, to jest do całkowitego oddania się każdego zrzeszonego z wszystkimi prawami całej gminie; albowiem po pierwsze, gdy każdy oddaje się cały, warunek jest równy dla wszystkich; i gdy warunek jest równy dla wszystkich, nikt nie ma korzyści, by go uczynić uciążliwym dla innych. (Rousseau jest tego pewny...). Co więcej, każdy oddając się wszystkim, nie oddaje się nikomu; i skoro niema ani jednego zrzeszonego, nad którymby się nie zyskiwało tego samego prawa, jakiego mu się nad sobą pozwala, zyskuje się równowagę tego, co się traci, i więcej siły dla zachowania tego, co się ma.

(Och! to logika wyborna i to bardzo pięknie wygląda na papierze).

....Natychmiast w miejsce poszczególniej osobistości każdego zrzeszającego się, ten akt assocjacji wytwarza jedno ciało moralne i zbiorowe, złożone z tylu członków, ile zebranie ma głosów; które też otrzymuje od tego samego aktu swą jedność, swoje ja wspólne, swoje życie, swą wolę...

Ta zbiorowa istota nazywa się państwem, kiedy jest bierna, władcą, kiedy jest czynna... Co się tyczy zrzeszonych, przyjmują oni zbiorowo nazwę ludu a osobno nazywają się obywatelami, jako mający udział we władzy, i poddany mi, jako podlegli prawom państwa.

A oto jak system winien funkcjonować, aby ludzie byli możliwie najszczęśliwsi, i, jak się zdaje, możliwie najwolniej.

Lud wydaje prawa jako władca. — Lud słucha praw jako poddany. — Lud zastosowuje prawa jako księżę lub urzędnik, mianując do zastosowywania praw nie »reprezentantów« ale »komisarzy«.

Jest to rząd bezpośredni i nieprzerwany ludu przez lud.

A oto co zawiera w sobie ten system:

1. Zupełną równość obywateli. — Aby ta równość trwała nadal, nie trzeba, by obywatel stanowił część innej grupy prócz państwa, by podlegał jakiejś hierarchii prywatnej. Zatem żadnych społeczeństw osobnych, żadnych stowarzyszeń, żadnych korporacji. »Inaczej możnaby powiedzieć, że niema już tylu głosujących, ilu jest ludzi, lecz, że tylko tylu ile jest stowarzyszeń«.

Co do nierówności majątków... Komunizm jest objęty przez Rousseau'a. Mówi on w »Umowie« (ks. 9):

Państwo w stosunku do swych członków jest panem ich dóbr przez umowę społeczną... Uważa się właścicieli za depozytaryusza publicznego dobra.

A powiedział w »Emilu« (V):

Władca (jest nim lud tutaj) może prawomocnie zagarnąć dobra wszystkich, jak to się stało w Sparcie za czasów Lykurga.

(A jednak w »Nowej Heloizie« tworzył on równocześnie poemat i traktat o rządzie domowym; ten zaś zawierał w sobie równocześnie dość znaczną nierówność dóbr i surową hierarchię, z czego wynikała naturalna grupa ekonomiczna i moralna, tworząca oczywiście »społeczeństwo osobne« w pośrodku między jednostką a państwem. I ta grupa wydawała się Rousseau'owi rzeczą pożyteczną i miłą).

2. System zawiera w sobie władztwo ludu. To władztwo idzie daleko.

Trzeba się zgodzić, mówi Rousseau, że wszystko to, czego każdy dla społecznego układu zrzeka się ze swej potęgi, ze swych dóbr, ze

swej wolności, jest tylko częścią tego wszystkiego, czego użytek ma wartość dla gminy; ale trzeba się zgodzić także, że władca (to znaczy lud jako władca) jest sędzią tej wartości.

Słowem lud będzie stanowił, co wypada zostawić z wolności i dóbr każdemu obywatelowi; to zaś wywołuje dreszcz trwogi.

(A jednak, w tej samej »Umowie społecznej«, Rousseau odmawia ludowi zdolności przewidywania i jasnego widzenia i nazywa go »ślepy m tłumem, który często nie wie, czego chce, ponieważ wie rzadko, co dlań jest dobre«).

3. Po trzecie i na dodatek system zawiera w sobie nieograniczone prawo władczego ludu nawet nad sumieniem. Lud narzuca swe prawa nawet w kwestiach filozoficznych i teologicznych. Jan Jakób sięga wstecz aż do Kalwina. Ustanawia na nowo połączenie władzy świeckiej i duchownej, której rozdział był według Augusta Comte'a arcydziełem średniowiecza.

Istnieje — mówi on — wyznanie wiary czysto cywilnej, której prawa stanowią przynależą władcy (ludowi-władcy), nie akurat jako dogmaty religijne, ale jako uczucia społeczne, bez których niepodobniestwem być dobrym obywatelem ni wiernym poddanym.

Wskazuje dogmaty tej religii cywilnej: »istnienie bóstwa potężnego, rozumnego, dobroczynnego, przewidującego i opiekuńczego, życie przyszłe, szczęście sprawiedliwych, kara dla złych, świętość umowy społecznej i praw«. I tak zamyka wywód:

....Nie mogąc nikogo zmusić do wiary w te dogmaty, może lud wypędzić z państwa każdego, kto w nie nie wierzy; może go wypędzić nie jako istotę niepobożną, ale jako istotę niespołeczną, niezdolną kochać szczerze prawa, sprawiedliwość i poświęcić w razie potrzeby życie dla obowiązku. Gdyby ktoś, uznawszy publicznie te same dogmaty, **tak się sprawował, jakby w nie nie wierzył** (formuła strasznie dwuznaczna i inkwizycyjna), niechaj będzie karany śmiercią; popełnił on największą ze zbrodni, skłamał wobec prawa.

Kiedy stanie w myśli, że »dogmaty«, o które chodzi, prócz istnienia Boga i przyszłego życia, zawierają świętość

umowy społecznej i praw, to wydaje się, że tu słyhać motywy wyroków, które za trzydzieści lat wysłały tylu ludzi — między nimi Malesherbes'a, Andrzeja Chénier'a i Lavoisier'a — na gilotynę za nieobywatelskość; co dodaje smaku frazesowi Rousseau'a, w którym on — zaraz potem — potępia nietolerancję.

Zauważmy mimochodem, że to nie ateuszów proskrybowaliby dziś synowie polityczni Rousseau'a: przeciwnie. Tak zmienia się ludzkie szaleństwo.

Rousseau więc wskazuje karę śmierci na ateusza-recydywistę.

(A jednak w »Nowej Heloizie« cnotliwy Wolmar jest ateuszem, byłby zatem proskrybowany z idealnej Genewy i skazany na śmierć, gdyby do niej powrócił. Jan Jakób zaś podziwia Wolmara. Wszędzie indziej, prócz »Umowy«, Jan Jakób nie jest nietolerantem. Zaleca nawet tolerancję ze szczerością w »Wyznaniu wiary wikarego sabaudzkiego«. I właśnie on, co potępia w »Umowie« tych, których wiara nie zgadza się z jego prawowiernością, zostanie skazany i z powodu »Umowy« i z powodu »Wyznania wiary« przez dwie inne prawowierności: paryskiego parlamentu i Małej Rady genewskiej. Tak że będzie mógł sobie powiedzieć: »Patere quam fecisti legem«. Ale tego sobie nie powie z pewnością).

W ten sposób lud władca, mający odebrać każdemu obywatelowi tylko część jego wolności, »której użytek ma znaczenie dla gminy«, zabiera mu wkońcu wszystko. — I ponieważ Rousseau bez wątpienia przeczuwa, że znajdą się zli ludzie, którzy będą próbowali oprzeć się lub wykręcić, wymyśla na przyczynę stos urzędów, naśladowanych ze starożytnych republik, celem zachowania porządku: — dyktaturę, rozumie się w chwilach wielkich przełomów; ale także cenzurę, aby nadzorować obyczaje, denuncjować złych i regulować to, co z rozrywek zostałoby nieszczęśliwym obywatelom, — i trybunał, »konserwatora praw

i władzy prawodawczej*, który »służyłby czasem opieką władcy przeciw rządowi« (to znaczy ludowi przeciw jego komisarzom), jak to czynili w Rzymie trybunowie ludu, czasem, aby poprzeć rząd przeciw ludowi, jak w Wenecji Rada Dziesięciu, a czasem, aby utrzymać równowagę między jednym a drugim, jak czynili eforowie w Sparcie. (Czy czujecie, jak tu już powstaje aparat rządów Terroru?) — Tyle dorzuconych tyranii i szybko zastępujących tyranie państwa, a sroższych jeszcze od niej!

Jest rzeczą jasną, że po tem nie może zostać ani częstecka wolności obywatelom, chyba tym, którzy należą do klienteli rządzących urzędników.

Co się tyczy równości, to już od dawna nie zostało z niej ani śladu w czystej demokracji, wynalezionej przez Jana Jakóba. — A przecież tu, jak w obu »Rozprawach«, równość wydaje się jego najwyższym ideałem. Dlaczego? Nie wiem. Zamiłowanie do abstrakcyjnych symetrii?... Chyba przypuścić, że w jego sercu było więcej zawiści, więcej niechęci do upodleń z młodości, niż dał wyraz w swych książkach: ponieważ, trzeba to uznać, nigdy nie wyznał tego uczucia zawiści. Pocóż więc ten przesąd równości?

Równość nie jest prawem (jakkolwiek Rewolucya zrobiła z niej pierwsze »prawo człowieka*); i nie jest ona faktem natury, o Janie Jakóbie, apostołe natury! (Wszystko co można powiedzieć, to że pragnienie równości zbiega się w pewnych wypadkach z pragnieniem sprawiedliwości).

Nie jest ona prawem. — »Wyobrażacie sobie, że człowiek, przychodząc na świat, może powiedzieć: Mam prawo do tego, aby żaden człowiek nademną nie górował, nie miał więcej nademnie potęgi!« (Faguet). To nie ma sensu. Oto co jest prawdą: Ludzie mają obowiązek nie zaostreżać nierówności naturalnych i fatalnych między ludźmi. Słowo prawo ma sens tylko we współzależności ze słowem obowiązek.

Równość nie jest także faktem natury. Rousseau nie znalazł jej nawet u ludzi pierwotnych, to zbyt widoczne. Chyba że się chce powiedzieć poprostu: »Wszyscy ludzie rodzą się wśród płaczu, wszyscy umierają w trwodze i bólu; wszyscy podlegają tym samym koniecznościom naturalnym i t.d....« Ale z tego, jeżeli nawet wniosek jakiś wyciągnąć może moralista i chrześcijanin, niczego wyciągnąć nie można dla państwa.

Powiem całą swą myśl: — Czemu żałować, że tak jest? Albo czemu gniewać się na to, co bezwarunkowo inaczej być nie może? I wkońcu czemu równość wydaje się Rousseau'owi rzeczą wyborną i godną pożądaną, a nierówność godną nienawiści? — Równość rzeczywista między ludźmi mogłaby istnieć tylko przez zupełne między nimi podobieństwo. A tego nawet pojąć nie można. Nierówności z urodzenia, prócz wypadków krańcowych, nie są konieczne nie do zniesienia. Ludzie są nierówni, ale żyją mimo wszystkiego i żyją nie cierpiąc z tego powodu. Ludzie są nierówni, ale przedewszystkiem są różni. — Ustęp z La Bruyère'a (O człowieku § 131): »Wogóle tworzą się we wszystkich ludziach nieskończone kombinacye potęgi, względów, geniuszu, bogactw, zaszczytów, szlachectwa, siły, przemysłu, zdolności, cnoty, błędów, słabości, głupoty, biedy, niemocy, nieszlachectwa i podłości. Te rzeczy, zmieszane razem w tysiąc różnych sposobów i jedne drugimi wygradzane w różnych osobnikach, tworzą w ten sposób różne stany i różne zajęcia itd.« nie przestał być prawdziwy od Rewolucyi. — Ludwik Veuillot napisał: »Gdybym mógł na nowo ustanowić szlachtę, uczyniłbym to natychmiast i nie zaliczyłbym się do niej«. Ja również nie.

Wszystko, co jest obowiązkiem społeczeństwa, to, powiedziałem, o ile możliwe, — zrozumcie: o ile pozwala interes ogólny, — strzedz się dorzucenia do nierówności, płynących z natury, przyczynku nierówności, któryby płynął

z praw; to, o ile możliwe, stosowanie względem swych członków równego obchodzenia się.

Otóż to jest możliwe w życiu cywilnem. Równość wobec kodeksu, chociażby była często sztuczością, wydaje się nam rzeczą powiną. Voltaire żądał tylko takiej równości. Mamy ją. — Poza tem, to chimera. Równość polityczna (głosowanie powszechne) tworzy nierówności gorsze. Równość ekonomiczna, czyli kolektywizm, byłaby funkcyjnym, a zatem hierarchią, i prowadziłaby do nierówności.

»Umowa społeczna« wykazuje świetnie punkt pierwszy (że równość polityczna wytwarza nierówności gorsze).

Przed czasem pierwszych społeczeństw, w czasach szeroko rozrzuconych ludzi dzikich, nierówność istnieje z chwilą spotkania i (cokolwiekby mówił Rousseau) najbrutalniejsza z nierówności, nierówność siły lub zręczności fizycznej.

Można bez wątpienia przypuścić na początku społeczeństw rodzaj cichej umowy, która jednak, skoro to, co się wnosi, jest nierówne, pozostawia w nierówności umawiających się; gdzie silni i zręczni mają rząd i potęgę, a inni tylko trochę bezpieczeństwa. (Zresztą co do tych początków, nie dających się poznać, nie widzę nic bardziej rozumnego nad hipotezy Buffon'a w siódmej »Epoce natury«).

Ale Rousseau chce, aby umowa, w którejby silni dobrowolnie zgodzili się uważać siebie za równych ze słabymi i nie zażądali żadnych przywilejów, mogła być zawarta, albo rozumieć się sama przez się, — albo (ujmijmy to najlepiej), żeby społeczeństwo mogło być zorganizowane, jak gdyby taka umowa była zawarta. Niechaj będzie.

Wszyscy obywatele, równi między sobą, wotują prawa (i wybierają nadto tych, którzy mają je obowiązek stosować). Jest to forma rządu bezpośredniego przez głosowanie powszechne (co dość dziwne, to że Rousseau nie nazywa go czy to tem, czy to innem równoznacznem imieniem). Ale jest rzeczą widoczną, że głosowania nie będą jednomysłne.

Głosowanie powszechne jestto wszechwładza połowy obywateli plus jeden, a druga połowa mniej jeden podlega prawom, których nie chciała. I w ten sposób (mówię wam rzeczy dobrze znane, ale trzeba je tu powtórzyć) głosowanie powszechne — już w rządzie parlamentarnym, ale jeszcze oczywiście w rządzie bezpośrednim przez lud, — kończy się koniecznie tyranią jednej partii. — (Nie licząc, że kończy się, w ogólności, ujarzmieniem lub raczej poddaniem ludzi inteligentnych nieinteligentnym, którzy są liczniejsi). — I chcielibyśmy wiedzieć, jak odtąd głosujący mniejszości mogliby pozostać równymi głosującym większości, którzy mogą literalnie wszystko przeciw zwyciężonym głosowaniem.

Rousseau zna ten zarzut. Formuluje go tak:

Oprócz pierwotnej umowy (gdzie potrzebna jest jednomysłność) głos większości obowiązuje wszystkich innych; jest to wynik umowy samej. Ale pytanie, w jaki sposób człowiek może być wolny i zmuszony do stosowania się do woli niewłasnej. W jaki sposób oponenci podlegają prawom, na które się nie zgodzili?

A oto jego odpowiedź:

Odpowiadam, że kwestyę źle ujęto. Obywatel zgadza się na wszystkie prawa, nawet na te, które się przeprowadza wbrew jego woli, a nawet na te, które go karzą, kiedy się odważy jedno z praw pogwałcić. Wola stała wszystkich członków państwa jest wolą ogólną; to przez nią są oni obywatelami i wolnymi. Kiedy się proponuje jakieś prawo w zgromadzeniu ludu, pyta się ich właściwie nie o to, czy przyjmują propozycję; ale czy się ono zgadza z wolą ogólną, która jest ich wolą: każdy oddając swój głos wypowiada swe zapatrywanie w tym względzie a z obrachunku głosów wyciąga się oświadczenie woli ogólnej. Kiedy zatem zapatrywanie przeciwne mojemu przeważa, to dowodzi tylko, że się omyliłem, i że to, co uważałem za wolę ogólną, nią nie jest. Gdyby moje osobiste zapatrywanie przeważało, uczyniłbym nie to, czegobym chciał; a zatem nie byłbym wolny (IV 2). (To jest »boskie prawo« większości).

Otwarcie mówiąc, ten ustęp nie ma sensu. Co to jest ta »wola ogólna«? Rozumiemy, dzięki poprzedzającemu rozdziałowi, że to jest wola zgodna z interesem ogólnym i że każdy obywatel zawsze i koniecznie tę wolę posiada. Nie-

chaj będzie. Ale kto zadecyduje, co jest zgodne w tym w zględzie z wolą ogólną tak zrozumianą? Będzie to koniecznie większość; skoro zaś ta nie jest nieomylna, oznaczy więc tylko to, co jest zgodne w tym zględzie nie z wolą ogólną, ale z wolą większości, nic więcej; a mniejszość niemniej będzie pokrzywdzona.

Zresztą Rousseau po tem enigmatycznym rozumowaniu dorzuca:

To przypuszcza zgóry, co prawda, że wszystkie przymioty woli ogólnej (czyli, według niego samego, jasnowidzenie, sprawiedliwość i bezinteresowność) istnieją jeszcze w większości. Kiedy w niej istnieć przestają, jakkolwiek stronebysię wzięto, nie ma już więcej wolności.

Ale jak utrzymać w większości »wszystkie przymioty woli ogólnej«? Inaczej mówiąc, jak zrobić, by większość była zawsze »jasnowidząca, sprawiedliwa i bezinteresowna«? Rousseau nie odpowiada, ponieważ nie ma nic do odpowiedzenia.

W rezultacie, rząd wymarzony przez Rousseau'a jest tak straszny, że on sam, ze swem usposobieniem i swą dumą, nie mógłby pod nim wyżyć dnia jednego. — Dłaczegoż więc go z marzeń wysnuwał? W jaki sposób ten samotnik, ten człowiek o temperamencie anarchisty, zdolen jest proponować nam tę państwowość wybujałą?

Powiedziałem wam: aby zaoponować Monteskiuszowi, aby podrażnić Małą Radę; a także z tych samych przyczyn, które za naszych dni sprawiają, że wygląda, jakby anarchiści godzili się z kolektywistami. Mają oni bez wątpienia tę myśl tajemną, że mogą tylko zyskać w społeczeństwie zupełnie zrównanem, gdzie żadna siła, żadna sfera tradycyjna nie sprzeciwi się wzrostowi ich indywidualizmu.*) W ten

*) Zauważmy jednak, że ruch syndykatów, tak jeszcze ciemny, wydaje się dążyć przeciw absolutnej demokracji. Niektórzy syndykaliści uważają Rousseau'a za »teoretyka niewoli demokratycznej«.

sposób »socjalizm Rousseau'a jest może tylko środkiem jego indywidualizmu« (Brunetière). Zresztą Rousseau nie ustanawia praw dla siebie, ale dla innych, co mu rzecz ułatwia.

»Umowa społeczna« zwraca uwagę brakiem związku i niejasnością. — Jużto Rousseau przypuszcza istnienie »Umowy«, jużto wydaje się wierzyć w jej historyczną rzeczywistość. — Nigdy się nie wie napewno, czy on stwierdza, czy wydaje ustawę, czy jest Arystotelesem czy Lykurgiem. — Jest to zagmatwana mieszanina teorii i mniemanej obserwacji. — Radzi on obywatelom, jak tylko zawrze się układ społeczny, wybrać prawodawcę w rodzaju Lykurga lub Solona; sam jest tym prawodawcą: ale jeśli lud jest niezdolny do stworzenia swej konstytucji, w jaki sposób potem staje się tak cudownie zdolnym do stanowienia swych praw? — Naśmiewszy się z podziału władzy (prawodawczej, wykonawczej, sądowej) u Monteskiusza, wraca do niego sam, dzieląc władzę wyznaczoną między komisarzy narodu i t. d. i t. d.

Wyznaję, że wietrzę w »Umowie społecznej« pewne ślady rozprężenia umysłu. Są tam rzeczy, które Rousseau pomieścił ot tak sobie — chociaż sprzeciwiają się sensem największej części jego dzieł — ponieważ mu przemknęły przez głowę, — lub też ponieważ podniosły się w nim ze starego podłoża atawistycznego. Zapiisałem już kalwińskie pomieszanie polityki i moralności. Trzeba do tego dołączyć ustęp nawskróś niecny, — którego pochodzenie może dałoby się odnaleźć u jakiego pisarza protestanckiego, — ustęp, gdzie całkowity antypapizm pierwszych lat jego wychowania powraca (z pragnieniem może, aby pochrębić swoim współwyznawcom z Genewy); gdzie odmawia »chrześcijanom rzymskim« możności, by byli dobrymi obywatelami, ponieważ szef ich religii nie rezyduje w ich ojczyźnie; gdzie w końcu wypędziwszy wyraźnie ateuszów ze swej republiki, wypędza

z niej domyślnie katolików. Ustęp zbrodniczy, płodzący i doradzający prześladowania; ustęp pisany jednak przez człowieka później prześladowanego; a przez kogo? Przez protestantów.

Taka jest »Umowa społeczna«. Podjęta, »aby ludzi wolnymi i szczęśliwymi uczynić«, okazuje się jednym z najzupełniejszych narzędzi ucisku, jaki jeden maniak ukuł kiedykolwiek.

A teraz zobaczycie, jak Rousseau rujnuje sam swą utopię i w chwili, kiedy ją tworzył, i skoro ją zbudował.

W samej książce wyznaje nam, że w chwili obecnej ludzie wogóle zbyt są zepsuci przez społeczeństwo, aby im odpowiadała »Umowa społeczna«. Odpowiadałaby co najwyżej bardzo małym miastom: Genewie, Bernu. W rzeczywistości odpowiada ona w zupełności tylko ludom równocześnie bardzo małym i jeszcze młodym, które jeszcze mogłyby znieść prawodawcę w stylu starożytnym: Korsyce na przykład. Rousseau tak o tem mówi:

Jest jeszcze w Europie lud zdolny do prawodawstwa, to wyspa Korsyka. Męstwo i stałość, z jaką ten dzielny lud umiał odzyskać i obronić swą wolność (z Paoli'm) zasługiwałyby na to, aby jakiś człowiek rozumny nauczył go tę wolność zachować. Mam jakieś przecucie, że pewnego dnia ta mała wysepka zadziwi Europę.

(Zadziwiła ją, ale zupełnie nie w ten sposób, w jaki przeczuwał Jan Jakób).

Zatem, rozumie się, rząd z »Umowy społecznej« jest stworzony tylko dla państw bardzo małych. A jeszcze czy ta małość jest wystarczającym warunkiem? Rousseau nie sądzi.

Pisze on:

Ta forma rządu wielu rzeczy trudnych do zgromadzenia wymaga! Po pierwsze państwa bardzo małego, gdzie lud można łatwo zebrać i gdzie każdy obywatel może bez trudu znać wszystkich innych; po wtóre wielkiej prostoty obyczajów, co zapobiega mnogości spraw

i drażliwym rozprawom; następnie wiele równości w godnościach i w majątkach, bez czego równość nie zdołałaby ostać się długo w prawach i autorytecie; wkońcu mało lub nic zbytku, bo zbytek jest wynikiem bogactw lub też czyni je niezbędnymi; psuje on równocześnie bogatego i biednego, jednego przez posiadanie, drugiego przez chciwość...; odbiera on państwu wszystkich obywateli, aby jednych zrobić niewolnikami drugich, a wszystkich opinii...

....Dodajmy, że niema rządu tak podległego wojnom domowym i zaburzeniom wewnętrznym, jak rząd demokratyczny czy ludowy...

....Gdyby istniał lud bogów, rządziłby się demokratycznie. Rząd tak doskonały nie odpowiada ludziom...

Zatem nie odpowiada nawet Korsykanom. Komu więc odpowiada? I dlaczegoż pisać »Umowę społeczną«? — Tu, jak co do »Julii«, jak co do »Emila«, przyjaciele Rousseau'a mówią (w najwłaściwszych słowach): »Tak, to wydaje się głupie, ale to bardzo szlachetne: to ideał, który Rousseau proponuje i do którego dobrzeby było się zbliżyć«. — Dlaczego? Są »ideały«, które nie są pożądane zgoła. Taki ideał zawiera w sobie takie zapoznanie rzeczywistości, albo uczucie tak podejrzane u tych, którzy go poczęli czy wychwalili, że może być rzeczą bardzo niebezpieczną wdychać nawet do ideału tak podejrzanego rodzaju. »Ideał, ideał«, to mówi się łatwo i nie jest to wcale równoznacznik tego, co dobre, szlachetne czy pożyteczne.

Wkońcu, oto fakt, Rousseau nawet w »Umowie« przyznaje, że forma rządu z »Umowy« jest bezwarunkowo nie do zastosowania. A wyzna to jeszcze lepiej, trochę później, w listach swoich.

Jesteśmy przyzwyczajeni do tych palinodyi (odwołań). Zawsze widzieliśmy, jak zmniejsza lub nawet znosi w korespondencji paradoksy zbyt agresywne lub zbyt nierozsądne, które umieścił był w swych książkach. — Zresztą powinien był być tem bardziej skłonny do zaprzeczenia »Umowy«, że — mimo wszystkiego i cokolwiekby się zrobiło, by ją pogodzić, — »Umowa« pozostaje w dość żywej niezgodzie

z innemi jego dziełami.*) (W tych ma on zwyczaj godzenia rzeczy najmniej możliwych z instytucjami społecznymi; w tamtej wydaje na łup instytucjom społecznym człowieka w całości). — Wreszcie, kilka lat minęło. Ci Genewczycy, dla których przede wszystkim napisał swą książkę, niechętnie go prześladowali. To chwila, kiedy pisze do Korsykanina Butta-Foco:

Lubię oczywiście tyle wasze duchowieństwo (duchowieństwo katolickie), ile nienawidzę naszego. Mam wielu przyjaciół wśród francuskiego duchowieństwa i zawsze z nimi żyłem dobrze.

Pisze on do d'Ivernois (13 stycznia 1767):

Mógł pan zauważyć w naszych stosunkach, że nie jestem wizerunkiem i że w »Umowie społecznej« nigdy nie pochwaliłem demokratycznej formy rządu.

(I może to zdanie podtrzymać i nawet w to wierzyć, skoro książka pełna jest sprzeczności).

Pisze do markiza de Mirabeau (26 lipca 1767):

Oto w mych starych ideach wielki problem w polityce, który porównywan z problemem kwadratury koła w geometrii: znaleźć formę rządu, któraby prawo ponad człowiekiem postawiła.

(I to jest naprawdę kwadratura koła, ponieważ prawa zawsze będą stanowili ludzie i zastosowywali ludzie).

Jeżeli taka forma da się znaleźć, ciągnie dalej, szukajmy jej... Jeżeli nieszczęściem nie da się znaleźć, a wyznaję szczerze, że za taką ją uważam, należy, mojem zdaniem, posunąć się do drugiej ostateczności i postawić jednym zamachem człowieka ponad prawem ile tylko można wysoko; skutkiem tego ustanowić despotyzm samowolny i możliwie najbardziej samowolny.

(To może też dlatego, że w tej chwili Rousseau odczuł co dopiero dobrodziejstwa króla Prus).

*) Nie trzeba zapominać, że pierwotna redakcja »Umowy społecznej« jest wcześniejsza od pierwszej »Rozprawy« Rousseau'a i od jego teorii dobroci natury.

Chciałbym, ciągnie dalej, aby despotą mógł być Bóg. Słowem, nie widzę znośnego środka między najsurowszą demokracją i hobbizmem najdoskonalszym; gdyż konflikt ludzi i praw, który wpędza państwo w ustawiczną wojnę domową, jest najgorszym stanem politycznym ze wszystkich.

Potem, jakby przerażony, że mógł to napisać:

Ale Kaligule, Nerony, Tyberyusze!... Mój Boże, tarzam się po ziemi i biadam, że jestem człowiekiem.

Tarza się po ziemi, myśląc o zamierzczłym Neronie, to bardzo dobrze. Ale w końcu już nie trzyma się zupełnie »Umowy«.

Trzyma się jej tak mało, że w sześć miesięcy później (styczeń — luty 1768), w długich listach do swego współpatryoty d'Ivernois, zajmując się zaburzeniami w Genewie i reformą jej konstytucji, szuka — jakby to zrobił sam Montesquieu, — kombinacji i równowagi atrybucji między różnemi władzami politycznemi (Małą Radą, Wielką Radą i Radą ogólną czyli ciałem wyborców); i że w końcu zwątpiwszy, czy zobaczy ukojenie się niezgód cywilnych, rzuca swym przyjaciołom z Genewy to napomnienie w starożytnym stylu, które wydaje się wyciągiem z jednej z »Conciones« szalonej:

....Tak, panowie, zostaje wam ostatni środek i jedyny, śmiem powiedzieć, który jest was godny. To jest, zamiast brudzić wasze ręce w krwi współziomków, oddać im te mury, które miały być schronieniem dla wolności a które staną się już tylko jaskinią tyranów; to jest wyjść wam wszystkim, wszystkim razem, w biały dzień, waszym kobietom i waszym dzieciom wśród was, i, skoro trzeba nosić kajdany, pójść ponieść kajdany przynajmniej jakiegoś wielkiego księcia, a nie niezdolne i wstrętne jarzmo wam równych.

Te ostatnie słowa są piękne bardzo. Zbierają one naprawdę całą nedorzeczność »Umowy społecznej« i samej demokracji.

Tak więc trzy etapy: 1) Jan Jakób, w swej książce samej, oświadcza, że »Umowa« da się zastosować tylko

w małych miastach; 2) oświadczą, że nie da się zastosować względem zwykłych śmiertelników; 3) pięć czy sześć lat potem zupełnie od niej odstępuje.

Otóż, tą formą rządu, którą autor opisał na użytek jednego miasta o dwudziestu tysiącach dusz i tysiącu pięciuset wyborców, — którą potem za niemożliwą uznał nawet w tem małym mieście, — i od której odstąpił wkońcu z pewną pasją, — Rewolucya w trzydzieści lat później zajmie się jak ewangeliją i będzie chciała narzucić ją ludowi o dziesięciu wiekach istnienia i dwudziestu pięciu milionach ludzi. A ta próba będzie się nazywała terrorem.

— To nie jest winą Rousseau'a, powiecie.

Porozumiejmy się dobrze. Nie mówię, że pisma Rousseau'a sprowadziły Rewolucję (która miała głębokie przyczyny ekonomiczne): przede wszystkim nie mówię, że ją sprowadziły same. Ale zdarzyło się, że, więcej niż jakikolwiek inny pisarz, Rousseau dostarczył, przekazał najbardziej systematycznym i najbardziej gwałtownym ludziom, którzy stworzyli terror, a nawet najbardziej nieoczytanym z kanalii rewolucyjnej sentymentalny stan, pewną frazeologię, — i formuły.

Tem bardziej, że prócz zasadniczego błędu, który tworzy okucie, »Umowa społeczna« roi się od rzeczy wręcz przeciwnych prawdzie w szczegółach. — Czyta się tam, że »głos powszechny wynosi prawie zawsze na pierwsze miejsce tylko ludzi rozumnych i zdolnych, którzy zaszczytnie je zajmują«. — Czyta się tam, że »lud myli się daleko mniej w wyborze, niż książkę«; — »że człowiek prawdziwej zasługi znajduje się prawie tak samo rzadko w ministerium (króla), jak głupiec na czele republikańskiego rządu«. — Czyta się tam, gdy mowa o królach, »że wszystko zbiega się, aby pozbawić poczucia sprawiedliwości i rozumu człowieka, wychowanego na to, by innymi rządził«. — Czyta się tam, »że republiki idą do swych celów przez drogi bardziej stałe i nieprzerwane, niż monarchia«. — Rząd feudalny jest tam na-

zwany »ten niegodziwy i niedorzeczny rząd, w którym rodzaj ludzki jest zdegradowany i gdzie imię człowieka jest hańbą«. Itd. itd.... Wszystkie przesady najbardziej niedorzeczne i najbardziej mordercze Rewolucyi są oddziedziczone po »Umowie społecznej«.

Słyszałem, pisze Mallet de Pan, słyszałem w 1788, jak Marat czytał i objaśniał »Umowę społeczną« w miejscach publicznych przechadzek wśród oklasków rozentuzymowanego audytorium.

I w pięć lat później Francya poznała dobrodziejstwa doktryn z »Umowy społecznej« i powszechnej równości i wszechwładzy ludu i absolutnego prawa państwa i urzędów wyjątkowych jak Komitet zbawienia publicznego i trybunał rewolucyjny. Z rozdziału 8 księgi IV poszedł przesąd antykatolicki i konstytucya cywilna duchowieństwa i prześladowanie religijne. A »Umowa społeczna« została skodyfikowana w niedającej się zastosować konstytucyi z 1793.

Wszystko to, ponieważ podobało się przez pół szaleńcowi, trzydzieści lat przedtem, marzyć dla miasta o dwudziestu tysiącach mieszkańców o formie rządu, która »odpowiadałaby tylko bogom«, — i nad którą, pięć lat później oświadczył, że przenosi »despotyzm najbardziej samowolny«.

Nigdy, sędzę, dzięki łatwowierności i głupocie ludzkiej, nie zrobił więcej zła ludziom jeden pisarz, który, zdaje się, nie wiedział dobrze, co pisze, i który uciekłby był ze swego miasta, gdyby swoje myśli widział urzeczywistnione. Zaprawdę, są wypadki, w których czuje się chęć powiedzenia, że ten nieszczęśliwiec był niegodziwcem.

A ponieważ myśl ta jest mi przykra, chciałem zebrać najpierw to, co mi jest najbardziej wstrętne w jego dziełach, i dopiero potem dojść do »Wyznania wiary wikarego sabaudzkiego«. Odtąd, w istocie, możemy tylko żałować Jana Jakóba, czasami go podziwiać; gdyż, powiedziałem to bardzo seryo, jego dusza się oczyszcza w miarę, jak jego choroby i jego szaleństwa się zwiększają.

Zatem nawróćmy nieco. Kiedy guwerner Emila sądzi, że on sam, już całkiem bliski niegdyś utraty duszy swej, szczęściem spotkał dobrego kapłana, księdza wiejskiego, »sabaudzkiego wikarego«, którego rozprawy naprowadziły go na prostą drogę. Rousseau uważa za rzecz niezbędną, aby ten dobry kapłan popełnił ongi grzech przeciw obyczajności; gdyż Rousseau nie może wyobrazić sobie osoby sympatycznej, któraby nie miała, jak on, jakieś plamy. Ale w końcu ten wikary, pełny jest cnoty i miłości i powiedziałbym dość bliski Jocelyn'a, gdyby Jocelyn nie pozostał czystym i gdyby Jocelyn nie strzegł bardziej, względem dogmatów katolickich, pewnego rodzaju słownej prawowierności.

Owóż ten kapłan prowadzi pewnego ranka swego młodego przyjaciela w pole i w obliczu natury, której widok wzmacnia i wspiera jego wywody wspaniałem świadectwem, wyklada swemu uczniowi doktrynę najczystszej i najbardziej wzruszającego spirytualizmu.

Uważam za rzecz pożyteczną streścić jego bardzo proste dowodzenie.

Widocznie wola jakaś porusza wszechświat. I jeśli materya w ruchu wykazuje nam jakąś wolę, materya będąca w ruchu według pewnych praw wykazuje nam jakąś inteligencję. Owo co się tyczy wszechświata.

A oto co się tyczy człowieka: — człowiek jest wolny w swych czynach i, jako taki, ożywiony substancją niematerjalną.

Zatem, jeśli dusza jest niematerjalna, może przeżyć ciało i jeśli je przeżywa, Opatrzność jest usprawiedliwiona z istnienia zła na ziemi (nie licząc, że zło moralne jest dziełem człowieka i że zło fizyczne redukuje się prawie do zera dla człowieka natury). Dowodem nieśmiertelności duszy i życia i nagrody i kary przyszej jest ziemski tryumf ludzi złych.

A stworzenie? czy trzeba w nie wierzyć? — Wikary wierzy przynajmniej w uformowanie i uporządkowanie świata przez Boga. A Bóg? Co wiemy o nim? — Mogę przynajmniej domyślać się jego przymiotów: rozumu, potęgi, sprawiedliwości, dobroci.

Pozostaje wyszukać, jakie prawidła winienem sobie przepisać, aby wypełnić swoje przeznaczenie na ziemi według zamiarów Tego, który tu mnie umieścił. Światłem mojem w tym względzie jest sumienie.

Tu znajduje się inwokacya:

Sumienie! sumienie! instynktie boski, nieśmiertelny i niebiański głosie, przewodniku pewny istoty niewiedzącej i ograniczonej, ale rozumnej i wolnej, sędzio nieomylny dobra i zła, który człowieka czynisz Bogu podobnym! To ty sprawiasz wspaniałość jego natury i moralność jego czynów; bez ciebie nie czuję nic w sobie, coby mnie nad zwierzęta wynosiło, prócz smutnego przywileju błakania się z błędów w błędy pod przewodnictwem pojmowania bez reguł i rozumu bez zasady.

Sumienie »przewodnik pewny«? Sumienie »sędzia nieomylny«? Nieomylny nigdy? i nigdy nie nadużyty przez »pojmowanie bez reguł«? — Niestety, jakimże przewodnikiem i jakimże sędzią było ono dla Rousseau'a, kiedy, wyrzekłszy się trzeciego dziecka i to, jak nam opowiada, »po poważnym egzaminie sumienia« (»Wyznania« VIII), pisał:

Jeżeli się myliłem w wynikach, nic niema bardziej dziwnego, jak spokojność duszy, z jaką się im oddawałem.

A trochę dalej:

To urządzenie (oddanie do Domu Podrzutków) wydało mi się tak dobre, tak rozumne, tak sprawiedliwe!...

Och! z jakąż słuszością Julia, odrodzona i pobożna, pisała: »Nie chcę być już sędzią we własnej sprawie!« Sumienie nie wsparte na stałej zasadzie, tradycji, religii dogmatycznej, czy poprostu na dziesięciorgu przykazań, tak bardzo naraża się, w pewnych wypadkach, na pomieszanie z dumą lub interesem ukrytym! Wiara Rousseau'a w su-

mienie, — to jest w swoje sumienie, to nic innego jak »indywidualizm w moralności«, co jest wyrażeniem sprzecznym. Nie istnieje sumienie wogółności: istnieje moje sumienie, wasze sumienie, sumienie Rousseau'a, które było często bardzo niepewne i bardzo mętne....

Ale wyrzucam sobie, że przerwałem Janowi Jakóbowi w jednej z najlepszych chwil. Wikary ciągnie dalej; ma piękne ustępy stoickie mówiąc o tej myśli, że zwalczając namiętności przez zamyślanie porządku to być posłusznym naturze. Potem rozprawia »o modlitwie«; chce ją ograniczyć:

Jedyną rzeczą, o którą Boga proszę, jest, aby mnie podniósł z błędu, jeśli się zabłąkam.

I przychodzi do objawienia i cudów.

Ta część ostatnia zawiera ustępy, które wywołały pojęcie »Emila« (powiedziałem, że ze względu na pewne szczególne okoliczności). Rousseau okazuje tu jednak dość dużą roztropność. W dwóch słowach: on lekceważy nadnaturalność, cuda, objawienie, nie przecząc im wyraźnie, przede wszystkim ponieważ stwierdzenie ich jest niemożliwe. Mówi on o objawieniu:

»Nie przyjmuję go ani nie odrzucam: odrzucam jedynie obowiązek, aby je znać«.

Mówi o cudach, że — pomijając ich niesprawdzalność, — nie służą one do niczego z chwilą, gdy po kolei prawdę doktryny dowodzi się cudami a prawdę cudów doktryną. Mówi o ewangelii:

Świętość ewangelii jest argumentem, przemawiającym do mojego serca;

a znacie sławny ustęp, co się kończy temi słowami, które — nie wiem, czy wyrażają wiarę poważną, czy też są tylko sposobem wyrażania się i wpływem retoryki:

Tak, jeśli życie i śmierć Sokratesa jest życiem i śmiercią mędrca, życie i śmierć Jezusa jest życiem i śmiercią Boga.

Zresztą stara się powiedzieć w każdym miejscu drażliwym:

Decyduję się ledwie wśród drzeń i mówię wam raczej o swoich wątpleniach niż o swoich przekonaniach.

Wyznaje, że we wszystkich religiach jest to samo silne jądro: wiara w osobistego Boga, w duszę, w życie przyszłe, i że co do reszty każdy powinien iść za religią swego kraju. Zatem bądźmy tolerantami. — I chcę wam przytoczyć prawdziwą konkluzję wikarego:

....Oto sceptycyzm mimo woli, w którym zostałem; ale ten sceptycyzm zupełnie przykry nie jest, ponieważ nie rozciąga się na istotne kwestye praktyki i ponieważ mam pewne zdanie o zasadach wszystkich moich obowiązków. Służę Bogu w prostocie serca. Staram się wiedzieć to, od czego zależy moje postępowanie. Co do dogmatów, które nie mają wpływu ani na czyny, ani na moralność (ale czy są takie?...) i nad którymi tylu ludzi się biedzi, nie troszczę się o nie zupełnie... Uważam wszystkie religie za dobre, skoro się Bogu służą, jak należy. Kult istotny, to kult serca.

To wyznanie wiary sabaudzkiego wikarego zostaje, jak sądzę, najpiękniejszym *credo* spirytualizmu, jakie kiedykolwiek napisano. — Boję się, że ta doktryna wyda się trochę powierzchowna i przestarzała nowym, myślącym pokoleniom. Od tego czasu ukazały się inne metafizyczne teorie bardziej uczone i bardziej silne i w większym były wzięciu. Jakiż młody profesor filozofii raczyłby nazwać się poprostu spirytualistą i deistą?... — Oto myśli się zawsze o spirytualizmie oficjalnym, nieszczerym, skrzepłym, umarłym Wiktora Cousin'a i starych podręczników filozofii. — A jednak... Argumenty spirytualizmu warte są pewnie tyle, co argumenty teorii metafizycznych, uchodzących za bardziej dystygnowane; gdyż w tych materyach nie chodzi o dowód w ścisłym słowa znaczeniu. »Dowody metafizyczne o istnieniu Boga, mówi Pascal, są tak dalekie od ludzkiego rozumowania i tak powikłane, że uderzają mało; i gdyby to służyło dla niektórych, to służyłoby tylko podczas tej chwili, w której ten wywód widzą; w godzinę później boją się, że

ulegli pomyłce. — Ale »dowody o Bogu«, zatrzymane przez Rousseau'a, jeśli nie są pewne bez repliki, są najprostsze, najprzystępniejsze dla średniej inteligencji i — że tak powiem — najłatwiej »nosić je ze sobą«; są to najzgodniejsze wśród dowodów tradycyjnych Platona, Kartezjusza, Malebranche'a, Bossuet'a, Fénelon'a... Pomyślcie, że zanim stał się filozofią bakalaureatu (rozumiem bakalaureat mej młodości), spirytualizm był filozofią »Fedona«, »Biesiady« i »Snu Scypiona«. Pomyślcie wkońcu, że jeśli spirytualizm nie jest najsubtelniejszym wytłómaczeniem wszechświata jest jego wytłómaczeniem najszlachetniejszym, daje światu znaczenie najpiękniejsze, zawiera najwięcej miłości i ma względem Pierwszej Przyczyny najbardziej wielkoduszne zaufanie.

I tak właśnie rozumie go Rousseau. Jego deizm nie jest zgola, jak deizm Voltaire'a, deizmem politycznym, deizmem żandarma. Deizm Voltaire'a nie obowiązuje Voltaire'a do niczego. Deizm Rousseau'a obowiązuje go. To dla niego zaprawdę religia wzruszająca i skuteczna, która wpływa na jego życie i na jego czyny. Deizm Jana Jakóba jest do tego stopnia dlań religią, że ją wyraźnie przeciwstawia bezreligijności, to jest ateizmowi i materyalizmowi »filozofów« (czego oni mu nigdy nie darują). — I religijne uczucia Rousseau'a i przekonanie o bezwarunkowej konieczności wiary w Boga i miłości Boga są tak w nim głębokie, że nie obawia się w jednej »Nocie« przenieść fanatyzm nad bezreligijność. Trzeba zawsze czytać »Noty« Rousseau'a, gdyż one często są bardziej znaczące i bardziej śmiałe niż jego tekst. W tej nocy, która jest wspaniała, zrywa stanowczo i energicznie z partią filozofów, i ma odwagę powiedzieć rzeczy, jak te, co następują, a miałyby one dziś jeszcze tak dobre zastosowanie:

Jednym z sofizmatów najzwyczajszych w partyi filozoficznej jest przeciwstawianie idealnego ludu prawdziwych filozofów ludowi złych chrześcijan: jak gdyby lud prawdziwych filozofów łatwiej było stworzyć, niż lud prawdziwych chrześcijan...

Fanatyzm (religijny), choć gwałtowny i okrutny, jest jednak namiętnością wielką i silną, która podnosi serce człowieka, która wywołuje w nim pogardę dla śmierci, która mu daje cudowną podniętę, a którą trzeba tylko lepiej skierować, aby z niej wydobyć najwspanialsze cnoty: tymczasem bezcelowość i wogóle umysł rezonerski i filozoficzny przywiązuje do życia, niewieści, upadła dusze, skupia wszystkie namiętności w nikczemności osobistego interesu, w upodleniu ja ludzkiego i podkopuje krok za krokiem podwaliny wszelkiej społeczności...

Fanatyzm, jakkolwiek bardziej nieszczęsny w skutkach natychmiastowych niż to, co się dziś nazywa umysłem filozoficznym, jest o wiele mniej nieszczęsnym w konsekwencyach. Zresztą jest taki umysł wygodny do wystawiania pięknych maksym w książkach: ale chodzi o to, by wiedzieć, czy one dobrze stosują się do doktryny... Pozostaje jeszcze pytaniem, czy filozofia, wygodnie ustalona i rozsiadła na tronie, rzadziaby dobrze nad żądzą sławy, interesem, ambicją, małemi ludzkiemi namiętnościami, i czy wprowadzałyaby w życie tę humanitarną tak słodką, którą nam chwali z piórem w ręce.

Przez zasady filozofia nie może uczynić nic dobrego, czegoby religia nie zrobiła lepiej jeszcze, religia zaś czyni wiele dobrego, czegoby filozofia nie umiała uczynić...

Nasze rządy nowożytnie zawdzięczają niezaprzeczenie chrześcijaństwu swój silniejszy autorytet i większą rzadkość rewolucji; te zaś mniej krwawymi uczyniła; dowodzą tego fakty w porównaniu z rządami starożytności.

To naprawdę Rousseau, to nie Józef de Maistre pisał te słowa. Wszystkie te zdania musiały wywołać wycie encyklopedystów. Rousseau odtąd w ich oczach był tylko niebezpiecznym fanatykiem.

Rousseau tymczasem w tym względzie się nie zmienił. Już, koło 1755, jak sądzę, u panny Quinault na wieczery, opowiedzianej przez panią d'Épinay, która w niej brała udział, Jan Jakób, oburzony bezbożnością rozmowy, zawołał:

Jeżeli to jest podłością cierpieć, by mówiono źle o nieobecnym przyjacielu, to jest zbrodnią cierpieć, by mówiono źle o Bogu, który jest obecny; a ja, panowie, ja wierzę w Boga... Wyjdę, jeśli jeszcze jedno słowo powiecie. I dodał: Nie mogę ścierpieć tego szalu burzenia bez budowania.... Zresztą idea Boga potrzebna jest do szczęścia, a ja chcę, byście byli szczęśliwi.

Trzeba zauważyć, że w tej »Nocie« do »Wyznania wiary« Rousseau nie mówi »deizm«; nie mówi już nawet »religia naturalna«; mówi »religia« albo »chrześcijaństwo«. W »Wyznaniu wiary« jest może równie bliski katolicyzmowi jak protestantyzmowi: bierze bowiem prawie wszystko, co jest wspólnego obu religiom; a jego ton byłby raczej katolicki, niż protestancki. Zresztą jest rzeczą godną uwagi, że aby nauczyć Emila prawdziwej religii, wybrał nie pastora (coby było naturalne po jego powrocie do religii swych ojców), ale księdza rzymskiego, utworzonego ze wspomnień dwóch księży rzymskich: księdza Gaime i księdza Gatier.

Trzeba jednak powiedzieć, że chrześcijaństwo Rousseau'a jest chrześcijaństwem dość rozwodnionym. To chrześcijaństwo pozbawiony tego, co tworzy jego silne okucie: dogmatu o grzechu pierworodnym i wszystkich jego konsekwencyj teologicznych.

Jan Jakób w dwudziestym drugim roku życia, karmiony książkami z Port-Royal'u, był quasi jansenistą. Musiało go uwodzić to, że jansenista jest człowiekiem, który utrzymuje z »Nieznaniem« stosunki najtragiczniejsze i najnamiętniejsze. Jan Jakób w tym czasie miał wielką trwogę przed piekłem. Pewnego dnia rzucił kamień w pień drzewa, mówiąc sobie: »Jeśli trafię, to znak zbawienia; jeśli chybię, to znak potępienia«. Ale jego obawy ukoili się pod wpływem dwóch dobrych ojców jezuitów i pani de Warens. Ta miała religię jak najbardziej ufającą. Była »kwietystką« (kochajcie Boga i róbcie, co chcecie). Pani Guyon zachowała w Szwajcaryi stronników, z którymi pani de Warens miała stosunki. I może dlatego jest pewien rodzaj kwietyzmu w rozluźnionym i sentymentalnym chrześcijaństwie Jana Jakóba, — i cokolwiek także (co do tonu) czułości Fénelon'a i dawnego biskupa genewskiego i proboszcza kościoła z Annecy, Franciszka de Sales.

Ten spirytualizm czuły i religijny, ten półchrześcijaństwo Rousseau'a będzie religią Bernardyna de Saint-Pierre; bę-

dzie często, ze zmianami, religią Chateaubriand'a; religią Lamartine'a, którego »Jocelyn« wiele będzie winien wikaremu sabaudzkiemu; będzie często religią Jerzego Sand'a, nawet młodego Michelet'a i Wiktora Hugo.

Spirytualizm, w ten sposób pojęty, jest do tego stopnia religią zdolną wpływać na życie, że aż do połowy XIX w. i aż do pierwszej połowy drugiego cesarstwa mieliśmy w mieszczaństwie francuskim i nawet wśród chłopów (znałem takich) dziadów i ojców — w bardzo wielkiej liczbie — których dusze żyły z tej religii, trochę na marginesie, ale nie zupełnie poza katolicyzmem swych żon i swych córek. Szkoda, że ona zniknęła (błąd, może, stałości dogmatycznej): gdyż nie wystarczając na wszystko, służyła ona jeszcze na coś i to było jeszcze pewne odbicie chrześcijaństwa.

I bez wątpienia to był spirytualizm Robespierre'a, Saint-Just'a i teofilantropów: ale mimo wszystkiego, przez wspomnienie tylu dziadów, stryjecznych dziadów czy pradziadów, którzy za pierwszego cesarstwa, za restauracji, za Ludwika Filipa, nieco więcej byli warci przez ten spirytualizm, niżliby byli bez niego, — w tem wszystkim, co mi pozostaje do powiedzenia o biednym życiu Jana Jakóba, będę już tylko słuchał litości.

DZIEWIĄTA POGADANKA.

LIST DO ARCYBISKUPA PARYSKIEGO. — LISTY Z GÓR.
OSTATNIE LATA ROUSSEAU'A. — DYALOGI.

Nie kryłem zgoła swego podziwu dla »Wyznania wiary wikarego sabaudzkiego«. A jednak te tak szlachetne kartki właśnie sprowadziły ostateczne nieszczęście na Jana Jakóba. Tak dziwnie idą sprawy ludzkie.

Przypominacie sobie w jakich okolicznościach, pomimo protekcyi pani de Luxembourg i księcia de Conti, pomimo patronatu p. de Malesherbes'a, parlament potępił »Emila« a Rousseau'a skazał na uwięzienie.

Zresztą nie chodziło wcale o to, aby się nim kłopotać. Zostawiono mu czas na odjazd; on zaś spotkał w drodze ludzi wysłanych, by go aresztować, którzy mu się uklonili.

Rousseau poddał się konieczności z tą biernością, albo raczej, powiedzieć trzeba, z tą rezygnacją, która mu była zwyczajna i której tak wymownie uczył swego Emila. Natychmiast powziął myśl osiedlenia się w Szwajcaryi. W pocztowym dylizansie czyta biblię i szkicuje ołówkiem poemat prozą o »Lewicie Efraimie«. Nie niepokoi się zanadto. Kocha swą ojczyznę i wierzy, że ona mu miłość odwzajemnia. Jego geniusz przynosi Genewie zaszczyt. Genewę miał przed oczyma, kiedy pisał »Umowę społeczną«. I jakżeż genewscy pasterze mogliby nieprzychylnie sądzić »Emila«, oni, których d'Alem-

bert (w artykule encyklopedyi p. t. »Genewa«) podejrzewał o »socynianizm«, to znaczy ostatecznie o racjonalizm?

Tak, tam, w Szwajcaryi, będzie mu dobrze.

Wstępując, mówi, na terytoryum berneńskie, kazałem się zatrzymać; zsiadłem, rzuciłem się na ziemię, objąłem, ucałowałem ją i zawołałem w zachwycie: O niebo! protektorze cnoty, sławię ciebie, dotykam ziemi wolności!

Daleki był od prawdy. Zaczynały się dla nieszczęśliwca rzeczywiste prześladowania, trzy lata tułaczego i opłakanego życia, osaczanego obławą ze schronienia w schronienie; jego zaś własny kościół miał dlań okrutniejszym być niż kościół Francyi.

Dlaczego? Znajdziecie powody bardzo jasno wyłuszczone w doskonałej książce p. Edwarda Rod'a: »Sprawa Jana Jakóba Rousseau'a«.

Przybywa tedy do Iverdun (terytoryum berneńskie), do swego starego przyjaciela Roguin'a. Zaledwie przybył, dostaje wieść, że »Emila« potępiono i spalono w Genewie (z powodu ustępów o cudach i objawieniu) a jego samego skazali na uwięzienie drodzy mu Genewczycy (18 - 19 czerwca 1762). Tymczasem synowiec Roguin'a ofiarowuje mu mały pawilon, gdzie się osiedla. Sądzi, że jest bezpieczny: ale w trzy tygodnie potem senat berneński wypędza go z Iverdun.

Więc przechodzi przez góry i udaje się do Motiers-Travers w hrabstwie Neuchâtel. Siostrzenica Roguin'a, pani Boy de la Tour, ofiarowuje mu dom, który posiada w Motiers. (Bo trzeba, by Rousseau był zawsze czyimś gościem).

Ponieważ hrabstwo Neuchâtel należało do króla pruskiego (Fryderyka II), Rousseau oddaje się w jego opiekę w listach, gdzie z zadowoleniem (czuć to) pokazuje światu, jak człowiek wolny umie mówić do monarchy z dumą nawskróś obywatelską i spartańską. Ale już zadał kłam »Umowie społecznej« w swem sercu.

Teresa przybywa z nim się połączyć. On poznaje mylorda Keit'a, marszałka Szkocyi (mylorda marszałka), guber-

natora Neuchâtel'u z ramienia króla pruskiego, — człowieka bardzo dobrego, jednego z tych, co najlepszymi byli dla Rousseau'a i których Rousseau najczulej kochał. — Jan Jakób oddycha. Znowu sądzi, że jest bezpieczny. Przechadza się; zajmuje botaniką; bawi się robieniem sznurówek, które ofiarowuje córeczkom swoich znajomych pod warunkiem, że skoro wyjdą za mąż i matkami zostaną, będą karmiły same swoje dzieci.

W tym to czasie przywdziewa ubranie armeńskie.

Nie była to, mówi nam, myśl nowa... Często mi wracała w Montmorency, gdzie częste używanie sond, skazując mnie na częste zostawanie w moim pokoju, lepiej dawało mi odczuwać korzyści długiego ubioru. Sposobność, bo pewien krawiec armeński często odwiedzał swego krewnego w Montmorency, skłoniła mnie, by z niej skorzystać celem przybrania tego nowego stroju, a choć narażałem się na obmowy, trochęylem się o to bardzo mało... Sporządziłem więc sobie małą garderobę armeńską; ale burza, przeciw mnie wzniecona, zmusiła mnie, abym jej używanie odłożył na czasy spokojniejsze, i dopiero po kilku miesiącach, zmuszony przez nowe ataki do szukania pomocy w sondach, osądziłem, że mogę włożyć to nowe ubranie w Motiers, przedewszystkiem po radzie z miejscowym pastorem, który mi powiedział, iż mogę je nosić nawet w świątyni bez skandalu. Ubrałem się więc w kamizelkę, kaftan, futrzaną czapkę, pas; a skoro w tym stroju brałem udział w służbie bożej, nie widziałem nic niestosownego, by go nosić u mylorda marszałka. Jego ekscelecya, widząc mnie w takim ubiorze, powiedział mi na powitanie: Salamaleki; poczem wszystko było skończone i nie nosiłem już innego ubrania.

W rzeczywistości jego słabość, ani nawet sondy, nie wymagały tego ekscentrycznego kostumu. Trochę szersze spodnie, albo płaszcz jakiś, trochę dłuższy, byłyby wystarczyły. — Widocznie rysa się powiększa. — Goethe, — który nigdy nie był zagrożony obłąkaniem, — pisze w »Wilhelmie majstrze« (księga V, rozdz. XVI) z powodu starego harfiarza: »Gdybym mógł, mówi Wilhelm, nakłonić go do pozbycia się brody i długiej sukni, zyskałbym wiele; bo nic nas bardziej do szaleństwa podatnymi nie czyni, jak odróżnianie się od innych, i nic bardziej nie podtrzymuje zdrowego roz-

sądku, jak życie wraz z wielu ludźmi według powszechnego obyczaju«.

Koło tego samego czasu, jak sądzę, Rousseau nabiera nawyczki zastępowania często zaimka »ja« lub »mnie« przez swoje nazwisko a przedewszystkiem imię, mówienia o sobie samym w trzeciej osobie: »Jan Jakób Rousseau nie może..«; »Janowi Jakóbowi nie wypada...«, »coby powiedziano o Janie Jakóbie...«. Niech was to nie łudzi; to także rysy znak.

Nawróćmy. — Pastor z Motiers, Montmollin, był zrazu gorącym zwolennikiem Jana Jakóba i na jego żądanie dopuścił go do komunii. Jan Jakób mówi nam z tego powodu:

...Żyć zawsze odosobnionym na ziemi wydawało mi się przeznaczeniem bardzo smutnem, przedewszystkiem w niepowodzeniu. Wśród tylu wygnań i prześladowań, uważałem za ogromną osłodę, że mogę sobie powiedzieć: Przynajmniej jestem pomiędzy braćmi; i poszedłem do komunii ze wzruszeniem serca i łzami rozczulenia, które może były Bogu najmiłszem przygotowaniem, jakie mu zanieść można.

(Koło tego samego czasu Voltaire w Ferney święcił wielkanoc i kazał to stwierdzić aktem notaryalnym. Można by porównać szczerą i pobożną komunię biednego wygnańca Rousseau'a i świętokradczą i śmieszną komunię — roztropną równocześnie i zachowawczą, — bogatego pana na Ferney... Co prawda, nie dałoby się wiele wysnuć z tego zestawienia, gdyby nie fakt, że to znowu ten, który był bardziej z tych dwu ludzi religijny, był dla nas bardziej zgubny).

Prawie w tym samym dniu, kiedy Jan Jakób przyjmował komunię tak pobożnie, arcybiskup paryski, Krzysztof de Beaumont, podpisywał »List pasterski potępiający »Emila« (20 sierpnia 1762). Arcybiskup spełniał swój obowiązek. Podnosił w tej książce dwadzieścia zdań przeciwnych ortodoksji katolickiej. List pasterski zaczynał się niemal portretem Rousseau'a naprawdę dość świetnym — i nawet dość słusznym, przedewszystkiem jeśli się zważy, że krytykiem był arcybiskup. Trzeba ten ustęp przytoczyć.

Z łona błędu podniósł się człowiek, pełny języka filozoficznego a nie będący naprawdę filozofem; umysł uposażony mnóstwem wiadomości, które go nie oświeciły i które rozsznuły ciemności w innych umysłach; charakter wydany na łup sprzeczności opinii i życia; łączący prostotę obyczajów z przepychem myśli; żarliwość starożytnych maksym z namiętnością zaprowadzenia nowości; ciemność ustronia z pragnieniem, by go cały świat znał: widziano, jak się młócił przeciw naukom, które uprawiał, jak głosił doskonałość ewangelii, której dogmaty burzył, jak malował piękność cnót, które gasił w duszy swych czytelników.... W jednym dziele, o nierówności pochodzenia, zniżył człowieka aż do rzędu zwierząt; w innym utworze, świeższym, podawał truczną rozkosz, udając, jakoby ją potępiał; w tym tu zajmuje się pierwszymi chwilami człowieka, aby zaprowadzić panowanie bezreligijności.

Reszta listu pasterskiego była tem, czem być mogła i powinna, — z kilku być może niepotrzebnymi oskarżeniami o złą wiarę.

Jan Jakób odpowiedział listem, zatytułowanym teatralnie: »Jan Jakób Rousseau, obywatel Genewy, do Krzysztofa de Beaumont, arcybiskupa paryskiego, księcia Saint-Cloud, para Francji, kommandora orderu świętego Ducha, zawiadowcy Sorbony« i t. d.... Ten list nie jest najoryginalniejszym z jego dzieł, ale najdoskonalszem może. Naturalnie arcybiskup i liberalny protestant nie mogli się porozumieć, skoro Rousseau zaprzecza temu, co prałat za pewne uważa: objawieniu i cudom. Można powiedzieć, że dwaj przeciwnicy walczą bronią, która się nie spotyka. — Z drugiej strony list do Krzysztofa de Beaumont nie przynosi nic nowego w gruncie rzeczy; powtarza tylko w formie złagodzonej i perswadującej niektóre teorie »Emila« i »Umowy«. Ale list, w całości wzięty, jest arcydziełem polemiki, cudownością dyskusji zręcznej, jędrnej, podnieconej, wymownej. »Obywatel Genewy« udaje zrazu największy respekt dla prałata; podoba się sobie w postawie człowieka nieznanego, człowieka bez znaczenia, skromnego obywatela, — który jednak nosi w sobie prawdę, — wobec ziemskiego potentata. Potem podnosi się powoli skarga uciśnionego; potem wybucha

gniew. To naprawdę zrobione bardzo dobrze. A oto nieco końcowych wierszy:

Rozprawiajcie, jak się wam podoba, wy, ludzie posadzeni w gościach!... Przytłaczacie dumnie słabego, nie odpowiadając przed nikim za swoje nieprawości... Jeśli to w najmniejszej mierze potrzebne jest waszemu interesowi lub stanowi, zamiatacie nas przed sobą jak proch. Jedni dekretują i palą, inni zniesławiają i bezczeszczą, bez prawa, bez powodu, bez pogardy, nawet bez gniewu, jedynie bo tak im się składa a jakiś nieszczęśliwiec znajduje się na ich drodze.

Wasza Arcybiskupia Mości, znieważyłeś mnie publicznie (nieprawdaz, że to ma ton i obrót jakiego wierszyka z dramatu Wiktora Hugo, kiedy plebejusz zamyka gębę księciu?). Wasza Arcybiskupia Mości, znieważyłeś mnie publicznie; udowodniłem, żeś mnie kalumnią obrzucił. Gdybyś był człowiekiem prywatnym, jak ja, gdybym Cię mógł wezwać przed sprawiedliwy trybunał i gdybyśmy przed nim obaj stanęli, ja ze swoją książką, Ty ze swoim listem pasterskim, byłbyś z pewnością uznany winnym i skazany na zadośćuczynienie tak publiczne, jak publiczną była obraza. Ale masz stopień, na którym zwolnionym się jest z obowiązku sprawiedliwości, a ja jestem niczem. Ty jednak, co ewangelię głosisz, prałatem mianowany, byś innych obowiązku uczył, znasz swój obowiązek w podobnym wypadku. Co do mnie, swój spełniam, nie mam nic więcej do powiedzenia i milknę. Raczej, Wasza Miłość, przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

(W Motiers, 18 listopada 1762).

Powiedziałem już, że w gruncie rzeczy »List do Krzysztofa de Beaumont« nie przedstawiał nic, czegobyśmy nie znali. Wyłączam jedną stronę zajmującą. W tej samej chwili, kiedy broni przeciw prałatowi religii naturalnej, Rousseau w dalszym ciągu oddziela się od »filozofów«. Jedną z ich manii było traktowanie wszystkich założycieli religii jako oszustów, szalbierzy, szarlatanów, poświęconych kuglarzy. Jan Jakób, który posiada zrozumienie spraw religijnych, sądzi inaczej:

Szanujcie wogóle, mówi, wszystkich założycieli poszczególnych kultów... Mieli oni wielkie genjusze i wielkie cnoty; to zawsze godne szacunku. Nazywali się wysłańcami Boga; to być może i może nie być; o tem większość nie mogłaby sądzić w równy sposób, skoro wody nierównie stoją na usługę. Ale gdyby tak nie było, nie należy

ich tak pochopnie uważać za szalbierzy. Kto wie, do jakiego stopnia ciągle medytacje nad boskością, do jakiego stopnia entuzjazm cnoty mogły w ich duszach wzniosłych zburzyć porządek naukowy i przyziemny pospolitych myśli? W zbyt wielkiem wzniesieniu głowa się zawraca i nie widzi się już rzeczy tak, jak one są...

Tu Rousseau inaczej pojmuje niż Voltaire.

Wyobrażam sobie, że po wspaniałej replice arcybiskupowi paryskiemu Rousseau sądził, iż powróci do łask krnąbrnej partii swych kompatriotów z Genewy. Była (co do tego odsyłam was do pięknej książki Rod'a) w dekreście Małej Rady przeciw Rousseau'owi nieprawidłowość formalna. Jan Jakób liczył na to, że całe mieszczaństwo zaprotestuje przeciw temu naruszeniu prawa. I w istocie miał on w Genewie przyjaciół, przewodców tego, co by nazwać można partią demokratyczną, — którzy nawet bardzo go nudzili i którzy go zarzucali listami i wizytami (dwóch pozwoliło sobie na tę niedelikatność, że zachorowało u niego i kazało się pielęgnować). Ale wszystko skończyło się na słowach. Poczekawszy rok przeszło, »aby ktoś zaprotestował przeciw nielegalnemu postąpieniu«, Rousseau zdecydował się w końcu, wyrzekł się »niewdzięcznej ojczyzny«, zrzekł się listem do pierwszego syndyka praw obywatelstwa.

Musiał być bardzo nieszczęśliwy w tej chwili. Widzimy to w jego korespondencji (do której trzeba zawsze zaglądać równocześnie z »Wyznaniami«). Sam, wygnany, wierzący, że go opuścili wszyscy, kiedy jego fizyczne cierpienia gwałtownie się podwoiły, pisze do Duclos'a (jedyne »filozofa«, z którym nie poróżnił się nigdy), że zdecydował się na samobójstwo.

....Mój stan fizyczny pogorszył się do tego stopnia, że moje boleści, bez przerwy i bez środka ratunku, stawiają mnie bezwarunkowo w położeniu wyjątkowym, wymienionem przez mylorda Edwarda w odpowiedzi Saint-Preux'owi.

(Jest to dwudziesty drugi list trzeciej części »Nowej Heloizy«).

I Rousseau pisze równocześnie do p. Martinet'a, »kasztelana« w Motiers, aby mu przekazać testament i polecić mu Teresę, jak to zrobił z Duclos'em.

Do widzenia, panie, odchodzę do ojczyzny sprawiedliwych duchów, mam nadzieję, że tam znajdę mało biskupów i ludzi kościoła, ale wielu ludzi, jak pan i ja.

Notuję ten projekt samobójstwa. Później, w Dauphiné, w liście, w którym proponuje Teresie rozłączenie się, przyrzeka jej nie odbierać sobie życia. Wszystko to dowodzi przynajmniej, że o tem czasami myślał.

Ale się nie zabija. Przychodzi do siebie na nowe bóle. Zima w Motiers jest sroga. W ciągu sześciu miesięcy krokiem nie może ruszyć z domu. Całkiem zajęty wyrobem sznurówek lub rąbaniem drzewa, aby wypędzić urynek, która mu ciało trawi, rozmyśla nad powszechną niesprawiedliwością, której jest ofiarą, nad swoim nieszczęściem, które za jedyne w świecie uważa. Teresa staje się mniej słodką, bo jej się nie podoba w kraju obcym — i protestanckim, jej, kumoszce katolickiej.

W Genewie agitacja trwa dalej. Stronnicy Rousseau'a czynią w Radzie przedstawienia, z czego ona sobie nic nie robi. Na obronę Rady prokurator generalny Tronchin pisze w sprawie Rousseau'a i przeciw niemu »Listy ze wsi«. Rousseau, rozkiełznany tym razem, odpowiada »Listami z gór« (dziewięć listów w dwóch częściach; około 300 str.)

W drugiej części rozwija konstytucję genewską i mechanizm »prawa przedstawień« i wykazuje nieprawność postępowania, jakie względem niego zastosowano.

Pierwsza część zajmującą pozostała. Jest miejscami bardzo ładna. Bez wątpienia na większości tych stron podtrzymuje on tylko myśli z »Wikarego sabaudzkiego« i swoje prawo wolnego ich głoszenia, nawet w Genewie. Ale znajdują się tam i rzeczy, których Rousseau jeszcze nie powiedział.

Najpierw ustęp, gdzie sprowadza reformację do jej prawdziwego pierwiastka, którym jest wolność indywidualnej

krytyki, i wyciąga zeń, na długo zgóry, wnioski »liberalnego protestantyzmu« (który naprawdę nie jest już żadnym wyznaniem). Rousseau zatrzymuje jednak dwa punkty:

Byłe się tylko, mówi on, zachowało cześć dla całej biblii i zgadzało na punkta zasadnicze, żyje się już według reformacji ewangelicznej.

Co prawda nie widać, czemu by wolna krytyka miała się zatrzymać wobec świętości biblii i wobec niektórych punktów tłumaczenia jej. Wydaje się, że religia, założona na wolności krytyki, musi wkońcu sama siebie zniszczyć; i to przydarzyłoby się bez wątpienia reformie, gdyby ostatecznie ogół protestantów nie składał się z ludzi, jak inni, nagiętych, przez zmysł praktyczny, do zwyczajów i tradycji, mało do krytyki zdolnych, u których wolność krytyki jest o wiele więcej zasadą i żądaniem, niż rzeczywistością. Ale poza tem zastrzeżeniem, wywody Rousseau'a są bez zarzutu:

Każdy, wnioskując on, pozostaje jedynym sędzią w sobie samym (sędzią doktryny i tłumaczeń) i nie uznaje poza własnym innego autorytetu. Dobre instrukcje powinny nie tyle ustalić wybór, jakiego mamy dokonać, ile wprowadzić nas w stan dobrego wyboru. Taki jest prawdziwy duch reformacji, taki jej prawdziwy fundament. Rozum indywidualny w niej się wypowiada... i do tego stopnia wolność leży w istocie rozumu, że, gdyby on chciał się poddać autorytetowi, to toby nie od niego zależało. Uczynicie najmniejszy zamach na tę zasadę, a cały ewangelizm runie w oka mgnieniu. Niech mi udowodnią dziś, że w sprawach wiary winienem czyimś postanowieniom poddać, a od jutra zostanę katolikiem i każdy człowiek konsekwentny i prawy zrobi jak ja.

A dalej przeciw tym pastorom, którzy przed sprawą Rousseau'a okazywali kranicową wolność umysłu i uchodzili nawet za »socynianów«:

W rzeczywistości to dziwni ludzie ci wasi panowie ministrowie: nie wiadomo ani w co wierzą, ani w co nie wierzą; nie wiadomo nawet w co udają, że wierzą; jedynym ich sposobem wyrażania swej wiary, to napaść na wiarę cudzą.

I idzie dalej. Dostarcza katolikom tego, co mogliby byli odpowiedzieć pierwszym reformatorom, i tych ostatnich w kłopot wprawia w ich własnych sprzecznościach rozumowaniem, do którego by Bossuet się przyznał, i o tonie, w którym by Bossuet tylko więcej miłości i słodyczy wyraził. Rousseau wytacza tu poprostu proces reformie samej i jej zasadzie. Dziwny człowiek! Cały ten drugi »List z gór« wy-daje mi się arcydziełem i to arcydziełem naprawdę nieoczekiwanem. Tak to przeznaczeniem Jana Jakóba było burzyć protestantyzm nawet, a to stosując się do tego, co jest samą esencją reformy, i okazując się tem, czem protestantyzm, na spodzie rzeczy, być radzi: zapamiętałym indywidualistą.

To zderzenie się Rousseau'a z własną religią, wyznając, podoba mi się nadzwyczaj. Ta sprawa miała dla duszy Rousseau'a, jak sądzę, skutki, które zobaczymy zaraz.

Ale nie mogę porzucić tej pierwszej części »Listów z gór«, nie przeczytawszy wam jednej stronicy o Jezusie, która dowodzi, że nie tylko Chateaubriand, Senancour, Jerzy Sand, Michelet i Dumas syn czytali wiele Rousseau'a, ale także Ernest Renan.

Nie mogę powstrzymać się od powiedzenia, — pisze Rousseau w trzecim liście, — że jedną z rzeczy, która mnie zachwyciła w charakterze Jezusa, to nie tylko słodycz obyczajów, prostota, ale łatwość, wdzięk a nawet elegancja. Nie unikał on ani zabaw, ani uroczystości, chodził na wesela, obcował z kobietami, bawił się z dziećmi, lubił perfumy, jadał u bogaczy. Jego uczniowie wcale nie pościli, jego surowość zgoła nie była gniewliwa. Był on równocześnie wyrozumiały i sprawiedliwy, słodki dla słabych i straszny dla złych. Jego moralność miała coś pociągającego, pieszczotliwego, czułego; miał on serce czułe, był człowiekiem z dobrego towarzystwa. Jeżeli nie był najmądrszym z śmiertelnych, był z nich najmilszym.

To jakby »Życie Jezusa!«

Naturalnie »Listy z gór« podwoiły wściekłość nieprzyjaciół Rousseau'a. Spalono je w Neuchâtel, w Bernie, w La Haye, w Paryżu. — Ci, co umierają, przyczyniają się do

tego, by go pograć w melancholii. Traci marszałka de Luxembourg, »tego dobrego dostojnika«, »jedyne prawdziwego przyjaciela we Francji«, który pisywał do niego z uczuciem od czasu wygnania i któremu Jan Jakób posyłał długie listy o obyczajach w neuchâtelskim kraju i o krajobrazie w Val-Travers. — Koło tego samego czasu umiera pani de Warens, »już obarczona latami i nad miarę obarczona chorobami i biedą«. Rousseau, który mimo wszystkiego mówił o niej zawsze tylko z tklivością i szacunkiem, umieszcza ją w niebie, — co dobrze, — ale obok Fénelona, — co się wydaje za wiele:

Idź, mówi on, duszo słodka i dobroczynna, i stań obok Fénelonów, Bernex'ów (dawny biskup z Annecy), Catinatów i tych, którzy w niższym stanie otwarli, jak tamci, swoje serce prawdziwemu miłosierdziu; idź zakosztować owocu własnego miłosierdzia i przygotować miejsce swemu uczniowi, mającemu nadzieję, że je obok ciebie zajmie.

To nie wszystko. Najlepszy przyjaciel (obok marszałka de Luxembourg) i najmożliwszy protektor Rousseau'a, mylord marszałek, odwołany do Anglii, opuszcza Neuchâtel. Przeciw biednemu Janowi Jakóbowi, choremu, smutnemu, wygnańcowi, prześladowanie przewleka się i rozszerza, podniecone w pewnej chwili przez okrutny pamflet Voltaire'a (»Uczucie obywateli«...). Pastor Montmollin porzuca Rousseau'a, potem podburza lud przeciw niemu. Lżą na ulicach nieszczęśliwego, którego ulicznicy po karnawałowym kostymie poznają. W nocy z 6 na 7 września 1765 tłuką kamieniami kilka szyb w jego domu. Udaje się do Neuchâtel a stąd na wyspę świętego Piotra na jeziorze Bienne. Wyspa, bardzo miła, obwodu jednej mili, należała do przytułku berneńskiego i za mieszkańców miała tylko »poborcę« przytułku i jego rodzinę — ludzi dzielnych.

Rousseau przepędza na tej wyspie sześć rozkosznych tygodni; zbiera rośliny, robi przejażdżki wodą, a przede wszystkim marzy... Naprawdę należało go tam zostawić, by żył według woli; bo komuż przeszkadzał? Ale dekret

berneńskiego senatu wypędza go stamtąd 17 października. Straciwszy głowę, pisze do senatu, że się gotów wydać, aby go zamknięto w jakim dobrym więzieniu na resztę życia... Potem udaje się do Bienne, gdzie zapewniają go wierni, że będzie bezpieczny.

Z Bienne wypędzają go znowu. Ach! pastorowie go nie szczędzą, oni, którzy go rewindykują dzisiaj i sławią.

Biedny człowiek nie wie już, co robić. Kolejno myśli się schronić do Szkocji do mylorda marszałka, do Wene-cyi, do Zurychu, na Śląsk, do Berlina, do Sabaudyi, do Jersey, do Włoch, do Austrii, do Amsterdamu, na Korsykę. Ostatecznie i zanim poweźmie decyzję, udaje się do Strsburga, gdzie bardzo gorące przyjęcie, które mu sprawia całe »towarzystwo«, trochę go pociesza.

Tyle nieszczęść ostatecznie go sławnym czyni, — równocześnie wprawiając w szaleństwo, — i oczyszcza go.

Wiem dobrze, że Choiseul nie mylił się, uważając go za niebezpiecznego pisarza. Ale gdyby Choiseul zamiast prześladować, ofiarował mu był w stosownym czasie (przed »Emilem«) zaszczyty i jakąś synekurę,... kto wie, mój Boże, kto wie?... Ambicyą Jana Jakóba było długo zostać figurą »oficyalną«, zostać człowiekiem na stanowisku. Chociaż mówi często o swej »niezdolności do znoszenia jakiegokolwiek jarzma«, ma często, z drugiej strony, ochotę wejść zaszczytnie w porządek rzeczy dobrze ułożonych, — (jak kiedy powraca na łono genewskiego mieszczaństwa). Następnie, niezdolny do obrony swych interesów materialnych, potrzebował trochę protekcji, uczucia zabezpieczonej spokojności, uwolnienia od troski o jutro... Tak, Choiseul miał inne środki, aby go zniweczyć, nie skazując na uwięzienie.

Zresztą nie niweczy go wcale tym środkiem; przeciwnie. Odkąd Rousseau jest prześladowany przez rząd francuski i srożej przez szwajcarskie kościoły, jego sława staje się wyjątkową a jego rozgłos europejskim. I to coś innego niż sława Voltaire'a: to sława dobroczynicy ludzkości, mędrca,

starożytnego prawodawcy. To przyjmowało już formę kultu. Eremitę z Motiers stale zakłócają spokój znakomite odwiedziny. Nie może on nastarczyć korespondencji. Korsyka żąda od niego konstytucji. Książęta, wielkie damy, wielcy panowie, urzędnicy, księża, młodzi ludzie radzą się go w sprawach wychowania, religii, sumienia. A on im daje bardzo dobre rady, nie tylko wymowne — czy subtelne — ale pełne zdrowego rozsądku i prawie wszystkie nacechowane zmysłem porządku i konserwatyzmu. Bo prawie zawsze był rozumny dla innych.

Ale także to stanowisko europejskiej wyroczni coraz bardziej podbudza jego dumę, — równocześnie kiedy jego nieszczęścia zbyt realne i ciągły niepokój, w jakim żyje, rozwijają w nim manię prześladowczą. Ale nawet temi nieszczęściami rozkoszuje się w pewnym względzie, tak je za niezmiernie i wyjątkowe uważa. — Jak Chateaubriand (a to nie pierwszy raz mam sposobność zbliżenia tych dwu ludzi) Rousseau znajduje, że wszystko, co go spotyka, jest niezwykle, przepędza czas na podziwianiu swego przeznaczenia i pociesza się w przykrościach tem, co w nich jest wyjątkowego. — Dam wam na to tylko jeden mały przykład. W czasie, kiedy go szczuto w Motiers, Rousseau otrzymał przez mylorda marszałka miejsce radcy stanu w Neuchâtel dla pułkownika Pury'ego, zięcia Dupeyrou:

Tak to los, mówi, który zawsze mnie zbyt wysoko lub zbyt nisko umieszczał, w dalszym ciągu mną miotał z jednej ostateczności w drugą: i kiedy pospólstwo obrzucało mnie błotem, ja zrobiłem jednego człowieka radcą stanu.

(Przypomnijcie sobie wiele jest zdań tego rodzaju w »Pamiętnikach z za grobu«).

A jednak wśród tej dumy i wśród tych początków obłąkania, Rousseau niewątpliwie staje się lepszym. Jego nieszczęścia nie odrywają go zgoła od niego samego, ale odrywają go od wielu rzeczy przypadkowych i przemijających. Wyrabia się w tej rezygnacji, którą tak dobrze okre-

ślił w »Emilu«. Pomiedzy wybuchami dumy lub szaleństwa jest on cierpliwy i słodki. Trzeba zauważyć, że wszystkim przyjaźniom, które w tym czasie zawarł lub umocnił (z mylordem marszałkiem, Dupeyrou, Moulton, nawet z nudnym d'Ivernois), pozostał wierny aż do śmierci i na tych ludzi prawie nie rozciągał swej manii podejrzliwości.

Wkońcu religijność Jana Jakóba staje się czystiej religijną. Gdyby genewscy pasterze byli dla niego wyrozumiali, jego spirytualizm byłby dość łatwo przyjął formę wyznania genewskiego kościoła. Ale oświecony i równocześnie rozniewany nietolerancją protestancką, uwalnia się od ostatnich resztek protestantyzmu i nie powiem, że skłania się ku katolicyzmowi (w którym bądź co bądź spędził 26 lat życia i który praktykował szczerze dziesięć lat); ale powiedziałbym, że skłania się ku pewnego rodzaju katolickości. Rozumiem przez to, że jego Bóg jest Bogiem wspólnym wszystkim religiom, a także, że jego Bóg nie jest zgoła Bogiem żandarmem Voltaire'a, ani Bogiem geometrą tych encyklopedystów, którzy nie są zupełnymi ateuszami, ale że to jest »Bóg o czułym sercu« a także Bóg-Opatrzność (Bóg, o którym mówi prawie tak często, jak Bossuet); cokolwiek więcej, w istocie, niż Bóg deistów-racyonalistów.

A zresztą niewątpliwie trochęby to było za wiele powiedzieć, że sercem ku katolicyzmowi się skłania; a jednak, uważając za okrutnych i głupich ministrów religii wolnej krytyki, którzy go prześladowali równocześnie przez złość i nieznajomość prawdziwej zasady reformacji; rozważając nadto i odkrywając może słabość umysłu większości ludzi, i nawet czasami czując, że jego własna głowa słabnie, nie jest wolny od odczuwania pewnej sympatii dla ducha poddania się i niekrytycyzmu katolików, którzy, co więcej, nie robili nań obłąwy.

Bardzo liczne ustępy jego listów z lat następnych wykazują uczucia, które wskazałem co dopiero.

Przytoczę niektóre, nie troszcząc się o porządek:

— Do pani de B..., (grudzień 1763):

Ma pani religię, która uwalnia od wszelkiej krytyki; niech pani idzie za nią w prostocie serca.

— Do M..., proboszcza Ambérrier w Bugey, któremu poleca Teresę:

....Dzień dobry, panie, serce mam pełne pana i pańskich dobroci i chciałbym móżdż kiedy zobaczyć i uściskać tak zacnego oficera moralności. Pan wie, że tak ksiądz Saint-Pierre nazywał swych kolegów duchownych.

— Do p. Marcel'a, metra tańca na dworze księcia sasko-gothajskiego:

....Nigdy nie chciałem zostać filozofem, nigdy za takiego się nie podawałem, nigdy takim nie byłem, ani nie jestem, ani być nie chcę.

— Do pewnego księdza, który ma wątpliwości co do różnych punktów dogmatu katolickiego i który myśli o opuszczeniu swego stanu:

Co, mój panie..., w kwestyi czystej spekulacji, w której nikt nie widzi, co prawdą jest czy fałszem, i na której nic nie zależy ani Bogu ani ludziom, my mielibyśmy uleść przesądom naszych braci i powiedzieć »tak«, gdzie nikt nie ma prawa powiedzieć »nie«?

— Do p. Séguier de Saint-Brisson, w rozterce duchowej zostającego młodzieńca, poróżnionego ze swą matką w kwestjach religijnych (22 lipca 1764):

....Chce pan strząsnąć dumnie jarzmo religii, w której pan się urodził? Oświadczam panu, że gdybym się był urodził katolikiem, pozostałbym katolikiem, wiedząc dobrze, że wasz kościół nakłada bardzo zbawienne wędzidło wybrykom ludzkiego rozumu, który nie znajduje ni dna, ni brzegu, gdy chce zmierzyć przepaść rzeczy...

— Podobnie do księdza X..., innego księdza w rozterce duchowej (11 listopada 1764):

....O cóż chodzi w gruncie tej rzeczy? O szczerą chęć wierzenia, o poddanie się sercu bardziej niż rozumowi; bo wkońcu rozum od nas nie zależy, ale wola zależy i tylko wolą można być poddanym lub buntownikiem względem kościoła... Zacząłbym więc od wyboru na spowiednika dobrego księdza, człowieka rozumnego i rozsądnego, ta-

kiego, jakiego wszędzie znaleźć można, gdy się szuka... Powiedziałbym mu: Czuję, że uległość, jakiej kościół wymaga, jest stanem pożądanym, aby być w pokoju z sobą samym; kocham ten stan, w nim chcę żyć... Nie wierzę, ale chcę wierzyć, a chcę z całego serca. Poddany wierze mimo mej nauki, jakiegoż argumentu mógłbym się bać? Jestem bardziej wierny, niż gdybym był przekonany.

Nie będąc teologiem, nie wiem dobrze, czy to wszystko zgadza się z nienaganną prawowiernością; nie mówię wam również, że księży w rozterce, którzy radzili się Rousseau'a, zostali jeszcze bardzo dobrymi księżmi... Ale zawsze radzi on im wysilek dla wiary i poddanie się: oto fakt. W najgorszym razie katolicyzm ostatnich lat Rousseau'a z pewnością wart katolicyzmu Lamartine'a na przykład.

— Do kawalera d'Eon (Wooton, 31 marca 1766):

....Jeśli moja zasada (wolność krytyki) wydaje mi się najprawdziwszą, wasza (autorytet) wydaje mi się najwygodniejszą; a macie tę wielką wyższość, że wasz kler trzyma się tego dobrze, podczas kiedy nasz (kler protestancki), złożony z partaczy, którym arogancja zawróciła głowy, nie wie, ani czego chce, ani co mówi, i znosi nieomylnie kościoła tylko po to, aby każdy z nich mógł ją sobie przywłaszczyć.

— Do p. Roustan'a (Wooton, 7 września 1766):

....Kler katolicki, który jedynie mógł się na mnie skarżyć, nigdy mi nie uczynił ani nie chciał uczynić nic złego; a kler protestancki, który mógł się mną tylko szczyścić, wyrządzał mi i chciał wyrządzić zło tylko dlatego, że jest równie głupi jak grzeszny.

— Do Moulton'a, który, choć pastor, był także w rozterce, bardzo ładny list z pociechą i napomnieniem, by wierzył przynajmniej w Boga (Monquin, 14 lutego 1769). — I przede wszystkim zwracam waszą uwagę na list do p. de M..., innego umysłu w rozterce i trawionego zwątpieniami, list, który jest wzruszającym komentarzem »Wyznania wiary wikarego sabaudzkiego«. (Bourgoin, 15 stycznia 1769). Wyjmuję z niego te słowa:

....Wierzyłem w dzieciństwie przez autorytet, w młodości przez uczucie; teraz wierzę, bo wierzyłem zawsze. Podczas kiedy

moja przygasła pamięć nie wprowadza mnie już na nowo na ślad mych rozumowań, podczas kiedy mój osłabiony rozsądek nie pozwala mi już odnowić ich, sądy, które były ich wynikiem, pozostały mi w całej sile... i trzymam się ich w zaufaniu i w świadomości.

A dalej o tem, że jest punkt w poszukiwaniach, gdzie rozum powinien czuć swoje granice:

Więc, ogarniony szacunkiem, zatrzymuje się człowiek i nie dotyka się zasłony, zadowolony przeświadczeniem, że poza nią jest Byt niezmierny.

I o słodczy Jezusa:

...Słodycz, która jest więcej anielska i boska, niż ludzka, która go nie opuściła ani na chwilę, nawet na krzyżu, i która wyciska potoki łez temu, co umie czytać jego życie, jak należy.

Nie trzeba nic przesadzać. Jest rzeczą pewną, że od pobytu w Charmettes Rousseau przestał być katolikiem w pełnem znaczeniu słowa, to znaczy wierzyć w dogmaty i hierarchię katolicką. Jest rzeczą pewną, że od roku 1754 powrócił mu antypapizm młodości, mianowicie w »Umowie społecznej«. Ale jest rzeczą pewną także, że od dnia, kiedy go protestanci zaczęli prześladować, przestał być antykatolikiem. Jedna część francuskiego kleru miała dlań tajemną życzliwość, najpierw z nienawiści do encyklopedystów, potem, ponieważ Rousseau nie był nigdy bezbożny.

Co do boskości Chrystusa, niema u niego formalnej negacyi. W jednym fragmencie (»Ustęp alegoryczny o objawieniu«), który prawdopodobnie należy do ostatnich lat jego życia i który pisany jest w guście i tonie »Słów jednego z wiernych«, pokazuje nam Sokratesa wchodzącego do świątyni bóstw, — potem Jezusa. W chwili wejścia Jezusa:

Daje się słyszeć w powietrzu głos, mówiący wyraźnie te słowa: Oto syn człowieka; niebiosy milkną wobec niego; ziemio, słuchaj jego głosu. Jezus wstępuje na ołtarz głównego bóstwa i bez wysiłku wywraca je a wstępując na piedestał z równie małym wzburzeniem, wydawał się raczej zajmować swoje miejsce, niż uzurpować sobie miejsce cudze.

Potem mówi on... i:

Czuć było, że język prawdy nie go nie kosztował trudu, ponieważ miał w sobie samym źródło prawdy.

Co do mszy nawet »wikary sabaudzki«, który jej nie przestaje odprawiać, tak się wyraża w »Wyznaniu wiary«:

...Kiedy zbliżam się do chwili poświęcenia, zbieram się w sobie, aby go dokonać w tem usposobieniu, którego wymaga kościół i wielkość sakramentu; staram się unicestwić swój rozum wobec najwyższego rozumu; mówię sobie: czemuż jesteś, aby mierzyć potęgę nieskończoną? Wygłaszam z szacunkiem słowa sakramentalne i z całą wiarą, która odemnie zależy, odnoszę się do ich skutku. Jakkolwiekby się rzecz miała z tą tajemnicą nie do pojęcia, nie lękam się, abym w dniu sądu został ukarany za to, że ją kiedykolwiek sprofanowałem w swem sercu.

To wszystko to nie całkowita wiara i nie wiara nawet. Ale to również nie jest negacyą. To pochodzi od człowieka, który sobie przypomina, że wierzył. Wielu księży we Francyi potrafiło dzięki Rousseau'owi przynajmniej nigdy nie napisać bluźnierczego słowa.

Powróćmy do Rousseau'a z lat 1762—1766.

Nigdy bardziej wymownym i bardziej nie był wzruszającym, niż w wyznaniach religijnej wiary z tego czasu; nigdy nie był rozsądniejszym, niż w radach, które dawał za niepokojonym duszom; nigdy nie był większym pisarzem... A jednak już jest szalony.

Szalony w jednym względzie. Podejrzywa wszystkich, nawet i przede wszystkim dawnych przyjaciół, że go nienawidzą, szpiegują, zdradzają, prześladowają, tworzą ogromny spisek, aby ku niemu wstręt wzbudzić i zniesławić go. — Od pobytu w Ermitażu okazywał przejawy tej choroby umysłowej. Ale teraz ona nim włada i to prawie bez przerwy; i dwanaście ostatnich lat jego życia są już tylko historią biednego zwierzęcia, ściganego i szczonego przez psiarnię, którą nosi w swej imaginacyi, czyli przez samego siebie.

Zostawiliśmy go w Strasburgu, szukającego jeszcze, gdzieby osiąść. Zdaje się decydować na Berlin. Potem, ra-

ptownie, naglony przez hrabinę de Boufflers, udaje się do Paryża z listem żelaznym. Mieszka u księcia de Conti, w Temple, które jest prawdziwym azylum i dokąd cały Paryż przybywa go odwiedzać i zamęcza go. I 4 stycznia 1766 pozwala się zawieźć do Anglii przez Dawida Hume'a.

Hume miał opinię bardzo zacnego człowieka i z pewnością miał on sympatyę dla Rousseau'a i chciał mu się przysłużyć. — Po przyjeździe do Londynu, Hume pisał do hrabiny de Boufflers:

Mój pupil przybył w dobrym zdrowiu; bardzo jest miły, zawsze greczny, czasem wesoły, zwykle towarzyski.

I do markizy de Barbentane:

...Jest słodki, skromny, kochający, bezinteresowny, obdarzony doskonałą wrażliwością... W objęciu ma prostotę godną uwagi i w życiu codziennym to prawdziwe dziecko. Ta właściwość dołączona do wielkiej wrażliwości sprawia, że ci, co z nim żyją, mogą nim kierować z największą łatwością.

Te słowa pisze z pewnością przyjaciel. Ale one zawierają same przez się, że w oczach Hume'a Rousseau był istotą dziwaczną i słabą. Sądzą go z życzliwością, ale i z uśmiechem. Hume należał do towarzystwa pani du Defand i Horacego Walpole, d'Alembert'a i pani Geoffrin. Lubił on Jana Jakóba bardzo, — tak; ale to nie przeszkodziło mu pewnego dnia, u pani Geoffrin, pomagać Walpole'owi w figlu urządzonym Rousseau'owi: był to zmyślony list króla pruskiego, w którym żartowano z jego manii podejrzewania i z »potrzeby« wiary w prześladowanie. Skoro ostatecznie on ją w istocie miał, żart stał się okrutnym, czego Dawid Hume nie przewidział. — Słowem lubił on Rousseau'a, tak; ale z odrobiną litości czy protekcyi w przyjaźni, a czasem z odrobiną ironii. Owóż, jak tylko Rousseau odgadywał u jakiego przyjaciela te uczucia, wpadał poprostu w szal.

I dlatego, przewieziony przez Hume'a do Londynu, potem wysłany przez niego do posiadłości jego przyjaciela

Davenport'a (do Wooton, 60 mil ang. od Londynu), gdzie Rousseau płacił tylko bardzo umiarkowany czynsz, — i dlatego, mówię, w kilka miesięcy później Rousseau raptownie zrywa z Hume'm, oskarża, że spiskował na jego zniesławienie z d'Alembertem i lekarzem Tronchin'em i oświadcza, że Hume jest najpodstępniejszym i najgorszym człowiekiem na świecie.

Jego skargi? Smutnie nas one objaśniają o jego chorobie. Rousseau wyklada je w długim liście, adresowanym do samego Hume'a, 10 lipca 1766. Cóż mu wyrzuca? Oto: — Hume nie dopuścił Teresy do stołu. Zaledwie przybyli do Londynu, dzienniki, dotąd życzliwe dla Rousseau'a, stały się dlań wrogie; to widocznie za podbudzeniem Hume'a. Hume starał się usilnie oszczędzać pieniądze Rousseau'a, traktować go jak biedaka. Hume, zamówiwszy portret Rousseau'a, polecił malarzowi dać mu wyraz ponury i zły. Jednego dnia, kiedy byli sam na sam, Hume świdrował go spojrzeniem suchem i szydlercem; Rousseau'owi błysnęła myśl, że to spojrzenie zbrodniarza; ale nagle wyrzutami opanowany, Rousseau rzuca mu się na szyję, wołając głosem przerywanym: »Nie, nie, Dawid Hume nie jest zdrajcą; gdyby nie był najlepszym z ludzi, musiałby z nich być najczarniejszym«. Na co Hume, zmieszany, oddaje grzecznie uścisk Rousseau'owi, i klepiąc go zlekka po plecach, powtarza kilkakrotnie głosem spokojnym (och! mój Boże, jakbyśmy sami na jego miejscu zrobili): »Co? mój drogi panie?... Ech! mój drogi panie.... Co znowu, mój drogi panie?...« — I inne skargi Jana Jakóba są w tym rodzaju.

Zatem, sądząc, Hume'owi brakło z początku trochę delikatności, — a potem brakło mu pobłażania. Ale naprawdę trzeba go było dużo z człowiekiem tak dziwnie chorym.

Rousseau opuszcza Wooton w maju 1767. Przez trzy lata jeszcze — niespokojny, pomieszany, chory, — posuwający manię podejrzliwości aż do przypuszczenia, że w niego

mierzą dwa niewinne wiersze jednej tragedyi Du Belloy; — opuszczający gwałtownie Grenoble, ponieważ poczwiwna prezydent, zarzuciwszy go grzecznościami, wyznaje mu w naiwności, że nie zna jego dzieł; — wypisujący na drzwiach oberży myśli swej dumy; — domysławający się czasem swego obłędu, jak kiedy pisze do p. de Saint-Germain: »Gdybym był raczej znalazł serce, któremoby moje śmiało się otworzyć..., mój rozum czułby się lepiej«, albo do d'Ivernois: »Zaczynam się obawiać, że po tylu rzeczywistych nieszczęściach widzę czasem urojone, które mogą na mój mózg działać (28 marca 1768)«; potem na nowo ogarnięty przez zwykłe wizye; — mający za wszystkie książki już tylko Plutarcha, »Astreę« i Tassa; — niezdolny myśleć, jak mówi; — niezdolny pozostać długo na tem samem miejscu, — podejmuje, stary już, życie tułaczę swoich lat chłopięcych i młodzieńczych; każe się nazywać »Renou« (nazwisko panieńskie matki Levasseur); udaje się do Fleury pod Meudon, do markiza de Mirabeau; potem do Trye, do księcia de Conti, skąd go rugują właśnie domownikowie, którzy mu wzbraniają, jak mówi, owoców i jarzyn z ogrodu; potem do Lyonu, potem do Grenobli, potem do Bourgoin, gdzie pojmuje Teresę za żonę wobec Boga, natury i dwóch cnotliwych obywateli; potem do Monquin, skąd go wypędza kłótnia Teresy ze służącą; potem (na nowo) do Lyonu, — i wkońcu do Paryża, gdzie się osiedla na ulicy Plâtrière w swem dawnem mieszkaniu i wraca do francuskiego ubioru.

To tu, w ciągu ośmiu lat, żyje — wkońcu — jak mędrzec. Nie jest już — wkońcu — niczym dłużnikiem. Płaci — wkońcu — czynsz jak wszyscy. Wyrzekł się — wkońcu — wielkich panów i wielkich dam. Nie czyta nic i nie pisze prawie nic. Ale szuka rozrywki w botanice, robi wycieczki, zbiera rośliny. Ma mniej więcej 1200 liwrow dożywocia; do czego dorzuca około 500 liwrow przeciętnie, kopiując nuty, co mu sprawia przyjemność. (W ciągu sześciu lat 6000 stron nut po 10 susów).

Mamy o Rousseau'ie z tych lat ostatnich wiele świadectw, wśród których »Studjum (nieskończone) o Janie Jakóbie Rousseau'ie« Bernardyna de Saint-Pierre; sześć »Listów« Corancez'a w »Dzienniku paryskim«, rok VI; i »Moje wizyty u J. J. Rousseau'a« przez p. Eymar'a, syna kupca z Marsylii, który przybył do Paryża, aby zobaczyć swoje bożyszcze.

Dla tego nowego pokolenia Rousseau jest jakby świecącym świętym. Saint-Pierre, Corancez, Eymar widzą tylko jego cnoty, które rzeczywiście istniały i które w czasie, kiedy oni poznali Rousseau'a, prawie się oswobodziły od wszelkiej złej przymieszki.

Oskarżano wiele Rousseau'a, że był niewdzięcznikiem. Nie jestem tego zdania, — pominawszy dwa czy trzy odruchy młodości. Tylko broni on się źle przeciw dobrodziejom, którzy narzucają mu się przez próżność, i wydaje się niewdzięcznikiem, kiedy wkońcu po przebraniu miary gwałtownie się uwalnia. Ale nie był niewdzięczny ani względem pani de Warens, ani względem Teresy, ani względem marszałkostwa de Luxembourg'ów, ani względem Malesherbes'a, ani względem mylorda marszałka, ani względem Rouguin'ów, Dupeyrou, Moulou, Corancez'ów itd...

W ciągu ostatnich lat ukazuje się w całej swej piękności. Rousseau, trzeba przyznać, jest najzupełniej bezinteresowny. Każdy inny byłby na jego książkach (nawet w tej epoce) zrobił mały majątek. Widzimy, jak on, biedny, wyrzeka się spokojnie pensyi od angielskiego króla, ponieważ ją dostał za pośrednictwem Hume'a. — Jest bardzo miłosierny, bardzo dobroczynny, jak się wtedy mówiło. Jest wstrzemięźliwy. Okazuje czarującą prostotę obyczajów. Jest słodki, grzeczny, miły. Jest pobożny. Jest pobłażliwy. Nie mówi nigdy o nikim nic złego, — (wyjawszy pod koniec o tych, o których sądzi, że go prześladują, i tylko to, że go prześladują; i należy zauważyć, że w »Wyznaniach« nie jest zły, wyjawszy względem Grimma i trochę względem

pani d'Épinay). Czasem, co prawda, ma napady nieufności, lękliwej podejrzliwości; ale przyjaciele jego z ostatnich chwil wiedzą o tem i przebaczą mu to; i zawsze on do nich wraca. Zwykle to człowiek prosty, słodki i zrezygnowany, prawdziwy mędrzec, o mądrości biernej, trochę w rodzaju bramina. Teresa, opowiadając jego śmierć, powie naiwnie: »Jeśli mój mąż nie jest świętym, kto nim będzie?«

A jednak ten mędrzec jest szaleńcem. Między 1772 a 1776 ten mędrzec używa co jakiś czas kilku godzin na składanie w zeszyty swych szaleństw, swych wizyi monomana, który się uważa za ofiarę powszechnego spisku; pisze »Dyalogi«, gdzie jeden Francuz rozmawia o Janie Jakóbie z Rousseau'em, nie wiedząc, że to jest sam Jan Jakób; i tworzy to trzy dyalogi; i to się rozciąga na pięćset czterdzieści stron, i to jest pełne powtórzeń i nieszczęśliwej gadaniny; ale to jest często wspańiałe i tragiczne i nigdy Rousseau nie był większym pisarzem, niż w niektórych ustępach tych ciemnych zboczeń.

Nie dziwią one zbytnio, skoro się śledziło jego korespondencję, przedewszystkiem od 1762 r. Pisze on, 28 września 1762 r., do pani de Latour-Franqueville (najzagorzalszej ze swych wiernych):

Ktokolwiek nie zapala się dla mnie, jest mnie niegodny... Ktokolwiek nie kocha mnie z powodu mych książek, jest hultajem.

Prolog XII księgi »Wyznań«, wspańiały list o 45 stro-nach do p. Saint-Germain (Monquin, 25 lutego 1770), który jest równocześnie jego apologią i rachunkiem sumienia, już w pełni są echem szaleństwa. Od 9 lutego 1770 r. przy-muje, niewiadomo czemu, zwyczaj niepotrzebnie dziwnego datowania i umieszcza na wszystkich listach, jako epigraf, te cztery wiersze (nie wiem, skąd je wziął; może są jego pióra):

Biednymi jesteśmy ślepcami!
Niebo! bądź larw z oszustów zdzierca
I zmusz ich barbarzyńskie serca,
Aby otwarły się przed nami.

W »Dyalogach« to obłąd stanowczy. Chciałem wyszu-kać dla was w pewnych rozumowaniach tej książki znaki obłąkania najbardziej godne uwagi. Ale już nie mam na to czasu. Powiem wam tylko, co widzieć mniema Rousseau. Mianowicie:

....Urządza się wokół niego mury, powały, zamki, tak aby móż go śledzić... Otacza się go szpiegami, dziewczę-tami, żebrakami wyuczonymi... Otwiera się wszystkie jego listy... Jeśli wchodzi w jakie miejsce publiczne, wszyscy go okalają i śledzą wzrokiem, ale zdaleka i nie do niego nie mówiąc... Na parterze teatru starają się umieścić koło niego strażnika lub sierżanta... Zwracają uwagę na niego wszędzie listonoszom, kupcykom, strażnikom, szpiclom, kominiarzom, roznosicielom, księgarzom... Jeśli szuka jakiej książki, almanachu, niema ich już więcej w Paryżu... Czyściciele butów nie chcą mu czyścić butów... Jeśli chce przeprawić się przez rzekę naprzeciw Quatre-Nations, nie chcą się dlań prze-prawiać, choćby zapłacił za bat cały...Przysyłają mu co-dziennie szpiegów, niby chodzących po prośbie... Namawia się żebraków, aby mu w twarz rzucali jego jałmużnę.... Plują na niego na ulicy, za każdym razem, kiedy to uczy-nić mogą nie spostrzeżeni przez niego... Okazują mu niena-wiść, obsypując najnudniejszymi pochlebstwami... W Dau-phiné schowano przed nim wszystek atrament piszący czy-telnie, a ten, który mu zostawiono, zbielał na papierze... Mówi się mu tylko fałszywe wiadomości... Podczas ośmiu lat bawiono się, zmuszając go do bardzo kosztownej podróży, jego i jego towarzyszkę... Urządza się tak, że u kupców płaci za artykuły żywności mniej, niż inni kupujący, aby mu publicznie dać jałmużnę wbrew jego woli i aby go po-niżyć... Starają się doprowadzić go do samobójstwa... Oskarża się go o zbrodnie, z których się oczyścić nie może, bo niema oskarżycieli. Jakie zbrodnie? Nie wie również, chyba, że opowiadają, iż jest rozpustny i dotknięty haniebną chorobą, oraz iż oszukuje na cenie kopii nut. — Zresztą nie wie,

ale wie, że się go oskarża, itd. itd. (I to wszystko powtarza się ze dwadzieścia razy w »Dyalogach«, bo je pisał, nie odczytując).

Kto jest tych nieszczęść sprawcą? »Oni«. Co za oni? Wszyscy, magnaci, lekarze, autorowie, ludzie na stanowiskach, zalotne kobiety, — Europa, świat cały, — a w szczególności Grimm, pani d'Épinay, Diderot, Hume, d'Alembert i wszyscy filozofowie — z Choiseul'em na czele.

(W rzeczywistości filozofowie zaczęli go traktować dość dobrze i nawet z troskliwością, jako »oryginała« i chorego; potem zaczęli spostrzegać, że jest nieznosny, a kiedy publicznie oświadczył się ich nieprzyjacielem, ostatecznie wzgardzili nim i mieli go za szkodliwego szaleńca: oto wszystko; i to naprawdę coś jest, ale nie nieprzewidzianego, niezwykłego, ani tajemniczego.

Co do mniemanych prześladowań, które wylicza, dramatyzując, możecie spostrzedz, że prawie wszystkie tłómaczą się ciekawością publiczności z jednej strony i staraniem policyi, aby go przed tą ciekawością ochronić. — Towary, które mu taniej sprzedają niż innym, to zdeformowane wspomnienie delikatnej grzeczności pani de Luxembourg, która znając rozrzutność Teresy, poleciła kupcowi w Montmorency, aby jej rachunki zmniejszał, zobowiązując się wyrównać różnicę... I tak, jak sądzę, ma się rzecz z resztą spraw).

»Oni« spiskują przeciw niemu. Kto znówu ci »oni«? »Ci panowie«, to znaczy filozofowie, »sektą filozoficzną«. — »Ci panowie«! Jan Jakób traktuje filozofów właśnie tak, jak »liberali« później będą traktowali Jezuitów. Píše w drugim »Dyalogu«:

Wielcy naśladowcy postępowania Jezuitów, byli (filozofowie) ich najzgorzalszymi nieprzyjaciółmi, bez wątpienia przez zazdrość zawodową, a teraz, rządząc umysłami z tą samą władzą, z tą samą zrzęcością, co tamci rządzą sumieniami, i zastępując krok za krokiem nietolerancją filozoficzną nietolerancję tamtych, stają się, choć nikt tego nie spostrzega, również niebezpieczni, jak ich poprzednicy.

I niestrudzenie wraca do tego w trzecim »Dyalogu«, mówi o »inkwizycyi filozoficznej« »misyjonarzy materjalizmu i ateizmu« i o spisku filozoficznej sekty przeciw wszelkiej religii i wszelkiej moralności. I należy to porównać z bardzo ciekawym ustępem IX księgi »Wyznań«:

....Przypominałem sobie summaryusz moralności Grimm'a, który pani d'Épinay przyjęła, jak mi mówiła. Ten summaryusz polegał na jednym artykule, mianowicie, że jedynym obowiązkiem człowieka jest iść we wszystkim za skłonnościami serca. Ta moralność, kiedy się o niej dowiedziałem, dała mi niesłychanie wiele do myślenia, chociaż wziąłem ją wtedy tylko za grę dowcipu. Ale wkrótce spostrzegłem, że ta zasada kierowała rzeczywiście jej postępowaniem i aż za wiele miałem tego dowodów w dalszym ciągu na własnej skórze. To jest doktryna wewnętrzna, o której Diderot tyle mi mówił, ale której nigdy mi nie wytłómaczył.

I oto Jan Jakób dostarcza argumentów jakiegoś historykowi katolickiemu masoneryi.

Te sądy Rousseau'a o encyklopedystach nie są może sądami szalonego. Majaczy on natomiast w sprawie zorganizowanego spisku i specjalnego prześladowania, za którego ofiarę się uważa. Tak, na tym punkcie naprawdę jest szalony.

Ale w istocie czy tylko na tym punkcie był szalony?

DZIESIĄTA POGADANKA.

MARZENIA. — SYNTEZA I WNIOSKI.

Rousseau skoro skończył bezładną i bolesną redakcyę pięciuset czterdziestu stron swych »Dyalogów«, zapytał sam siebie, w jaki sposób podać tę apologię do wiadomości ludzkiej.

Najprościej było zanieść rękopis do księgarza Duchesne lub księgarza Pissot'a, którzy byliby przyjęli chciwie tę gratkę. Ale Jan Jakób nie ufał światu całemu. — Fatalne omyłki druku, które trafiały się w jego książkach, przypisywał złośliwości nieprzyjaciół; i krzyczał, że »oni« defigurują jego dzieła, by je zgubić.

Był w stanie duszy mistycznym właściwie. Jak święty Job widział się na swem gnojowisku, opuszczonym przez wszystkich, z jedyną ucieczką w Bogu. Ale wśród cierpień jego optymizm przechodzący wiarę, — dziecko marzenia, — nie czynił nawet wyrzutów Bogu jak Job. Zdaje się, że w tym czasie cnoty, które w nim kiełkowały, dojrzały i że inne doń przyszły: słodycz, miłosierność, rezygnacya, prostota, bezinteresowność, zamiłowanie świętego ubóstwa; wszystkie, rzekłbym, prócz pokory. Ale jego poddanie się Bogu i oderwanie od świata przynajmniej były zupełne.

Wątpię, pisze, aby kiedykolwiek jakiś śmiertelnik lepiej i szczerzej powiedział Bogu: bądź wola twoja; i nie jest to bez wątpienia rezygnacya bardzo chwalebna, która nic nie widzi już na świecie, coby mogło pochlebić sercu.

I dlatego powziął myśl polecić Bogu los rękopisu. Skopiował go na nowo najpiękniejszym piórem kaligrafa i pomocnika rytownika i postanowił — on, kalwin, który jednak obcował z Bogiem ponad religiami, — pójść złożyć paczkę na wielkim ołtarzu kościoła Notre-Dame, »spodziewając się, że rozgłos tego postępu stawia rękopis przed oczyma króla«.

W sobotę, dnia 24 lutego 1776, zawinawszy rękopis »Dyalogów« i umieściwszy na górze ten napis: »Depozyt powierzony Opatrzności«, udał się o drugiej godzinie do Notre-Dame i skierował ku wielkiemu ołtarzowi.

Ale wszystkie kraty chóru były zamknięte. Rousseau'em wstrząsnęła odmowa Boża tego rodzaju. Szybko wyszedł z kościoła, »zdecydowany, jak mówi, nie wrócić za dni swoich«.

Kopiuje 540 stron po raz trzeci, szuka rąk pewnych, którymby je mógł powierzyć, i nie znajduje. Dochodzi więc do doskonałej rezygnacyi:

Zdecydowałem się wkońcu zupełnie; oderwany od wszystkiego, co do ziemi przywiązuję, i od nierozumnych sądów ludzkich, postanawiam na zawsze wśród nich być nieszczęśliwym... Szczęście moje innego winno być rodzaju; to już nie wśród nich mam go szukać... Uwolniony nawet od niepokojów nadziei ziemskiej, nie widzę już sposobu, którymby mogli znowu zaburzyć spoczynek mego serca.

Żyje tak jeszcze dwa lata, marząc, zbierając rośliny, kopiując nuty, — pocieszany trochę przez kilku cierpliwych wielbicieli. Ale jego cierpienia fizyczne zdawają się. Teresa także zapada w chorobę. Rousseau nie jest dość bogaty, żeby opłacić służącą. 1200 czy 1400 franków dożywocia (bo co do cyfry różną podaje), i to, co mu przynosiło kopiowanie, pozwalałoby mu umieścić się na pensyi z Teresą w jakim przyzwoitym zakładzie. Ale to byłoby za proste. — Nieco przedtem, zwyczajem monomanów tego rodzaju, napisał i kazał rozdać dwa cyrkularze »do ludu francuskiego«,

jeden, aby zaprotestować przeciw fałszowaniu swoich książek przez księgarzy, drugi, aby ogłosić swą niewinność i niegodziwość swych nieprzyjaciół. Układa trzeci, w którym opowiada o swej nędzy od czasu choroby Teresy i żąda dla siebie i dla niej mieszkania i utrzymania od tego, kto zechce, ofiarując w zamian »co ma gotówki, majątku i rent«.

Wtedy to przyjmuje mieszkanie w Ermenonville u markiza de Girardin, — wyśmienitego człowieka, który zmuszał swoje dzieci do drapania się na szczyt masztu po śniadanie i który skończył w mesmeryzmie. Tu też, w Ermenonville, Jan Jakób umiera w czterdzieści dwa dni potem. I nigdy nie będzie się wiedziało na pewne, czy odebrał sobie życie, czy umarł naturalną śmiercią; bo świadectwa lekarzy w tych sprawach nie dowodzą wiele; jeden zaś z jego najlepszych przyjaciół, Corancez, wierzy w samobójstwo; a p. Berthelot, który miał w rękach czaszkę Jana Jakóba (18 grudnia 1897), odrzuca z wszelką pewnością samobójstwo przez strzał z pistoletu w głowę, ale nie przez truciznę lub strzał z pistoletu w serce. Pobożność Rousseau'a skłaniałaby mnie do wiary w śmierć naturalną; ale w tej epoce nie był on już zawsze panem swych czynów... Więc nie wiem.

Otóż w ciągu ostatnich dwóch lat życia, to znaczy w czasie, kiedy najwidoczniej okazywało się jego szaleństwo, napisał dziesięć rozdziałów »Marzeń samotnika na przechadzkach«, to znaczy najpiękniejszą (obok »Wyznań«), najoryginalniejszą, najbardziej nieśmiertelnie młodą ze swych książek.

Są to wrażenia, wspomnienia, opowiadania z przechadzek, opisy, rachunki sumienia, często rodzaj monologów o tonie religijnym:

Oddajmy się całkowicie, mówi, słodczy rozmawiania ze swą duszą, skoro ona jest jedyną rzeczą (ta słodczy), której ludzie nie mogą mi zabrać.

Czerpałem już w ciągu tych wykładów wielokrotnie z »Marzeń«. Znajduje się tu, jeszcze bardziej niż w »Dyalogach«, doskonałe oderwanie się, zupełna rezygnacja w Bogu:

Wszystko skończyło się dla mnie na ziemi. Nie można mi już nic dobrego ani złego wyrządzić... i oto spokojny jestem na dnie przepaści, biedny nieszczęśnik, ale obojętny, jak Bóg sam.

»Jak Bóg sam«? Obudzenie się dumy. Kiedyż będzie pokorny? Czyż nigdy nie będzie wiedział, że pokora jest nie tylko najbardziej religijną, ale także najbardziej filozoficzną z cnót? Z rezygnacją uznać, że się jest tylko prochem, i bać się, by nie cenić zbyt tego prochu, czyż nie jest koroną mądrości?

Jest jednak na drodze... Jest mniej dla siebie samego pobłażliwy. — Blizki śmierci, — z błędów, które przychodzą mu na myśl z dna przeszłości, zatrzymuje dwa tylko: i poznajemy z tego, że to w jego oczach jego największe dwa grzechy, dwa wyrzuty sumienia. To najpierw porzucenie dzieci — a także — po pięćdziesięciu latach — kłamstwo, którem oskarżył biedną Marion o kradzież wstążki....

I z tego powodu przychodzi przenikliwy i surowy wywód o kłamstwie, jakby pokutnika, który często w swem życiu kłamał i który z tego powodu cierpi. I to — po raz pierwszy i jedyny — doprowadza go do uczucia, które w końcu jest pokorą lub które do pokory bardzo jest zbliżone:

Co mnie bardziej niegodnym uniewinnienia czyni, to dewiza, którą obrałem (»Vitam impendere vero«). Ta dewiza zobowiązywała mnie bardziej, niż każdego innego człowieka do ścisłego wyznawania prawdy.... Oto com był powinien powiedzieć sobie, obierając tę dumną dewizę i powtarzać sobie bez ustanku, skoro śmiał ją nosić. Nigdy obłuda nie dyktowała mi kłamstw, wszystkie one pochodziły ze słabości, ale to mnie nie usprawiedliwia. Mając duszę słabą, można co najwyżej zabezpieczyć się od występku; ale to arogancja i zuchwałość mieć odwagę głoszenia wielkich cnót.

Tu naprawdę zaczyna się znać. A jednak widzi on i potępia jeszcze tylko kłamstwa swego życia — nie kłam-

stwa, bardziej nieszczęsne, swoich książek. Tych — umrze — nie znając, bo one stanowią całą jego duszę, w której ślepa czułość jest królową.

Wkońcu, to w piątej »Przechadzce« bardziej jeszcze niż w podróży Saint-Preux'a w górach Valais (»Nowa He-loiza« I, list 23), bardziej jeszcze niż w pielgrzymce Saint-Preux'a i Julii do Meilleraye (IV, list 17), Rousseau wnosi, w całej prawdzie, nowy sposób, — nowy przez stopień, nowy przez stałość, — widzenia, czucia, kochania i opisywania natury.

Stąd powstaje pytanie: — Jak mógł być szalonym i równocześnie pisać rzeczy tak doskonałe, tak wzruszające i tak piękne? Odpowiadam: — Może dlatego, że w gruncie był nim zawsze, — z przerwami, ale zawsze w ten sam sposób i we wszystkich okresach swego życia.

Na czym polega, w istocie, stwierdzone szaleństwo jego lat schyłkowych? — Jest wrażliwy, czuły, łatwowierny. Rzuca się na szyję człowieka, którego ubiera we wszystkie cnoty i w którego uwielbienie dla swojej osoby wierzy. Potem spostrzega się, że nowy przyjaciel gorszy jest od obrazu, jaki sobie o nim wytworzył, a także że ten przyjaciel mniej kocha, niż jest kochany. Boleśnie zawiedziony, za zdradzonego się uważa; i z tej zdrady mniemanej kilku osób wyciąga wniosek o zdradzie powszechnej, ogromnym spisku przeciw sobie utworzonym. Deformowanie rzeczy przez wrażliwość i pochopne uogólnianie, oto obłęd Rousseau'a, występujący szczególnie w »Dyalogach«.

Czyż jednak nie deformuje on rzeczywistości w ten sam sposób w innych pismach?

Wierzyć, że natura jest dobra, ponieważ czuje się dobrym, idąc za głosem natury, to znaczy, robiąc wszystko, co mu się podoba; wierzyć, że społeczeństwo jest złe, ponieważ za jego sprawą cierpiał, i z tego wszystkiego wyciąga wniosek, iż to społeczeństwo zepsuło naturę; — albo też, ponieważ kocha cnotę przedewszystkiem w gestach wy-

jątkowych i ponieważ nie ma zmysłu zazdrości i ponieważ z namietności znał tylko pewną tęsknotę równocześnie płomienną i nieczynną, wierzyć, że mąż, żona, jej dawny kochanek i czuła tego kochanka przyjaciółka mogliby żyć spokojnie razem, nie przed sobą do ukrycia nie mając, podczas kiedy troje z tych osób nie ma zresztą innego zajęcia, prócz podziwiania, ochraniania i pielęgnowania kochanka, którym jest sam Rousseau pod imieniem Saint-Preux'a; — albo też, ponieważ sobie żywo przypomina serdeczność jakiejś miejskiej uroczystości w swej małej republice i ponieważ pewnego dnia płakał z rozczulenia, czując się w obywatelskiej komunii z tymi drogimi, odnalezionymi Genewczykami, wierzyć, że zapewnić szczęście i wolność człowieka znaczy wydać go całkowicie na łup państwa; — albo też, w jego życiu samem, ponieważ kocha cnotę, wierzyć, że jest cnotliwy, i ponieważ jest czuły, wierzyć, że jest najlepszym z ludzi, i wierzyć do tego stopnia, do jakiego on wierzy; — albo też wkońcu, jak w »Dyalogach«, wierzyć, że świat cały go prześladuje, ponieważ napotkał kilku niewiernych przyjaciół: wszystko to czyż nie jest, w ogólności, to samo działanie umysłu, ten sam nadmierny tryumf wyobraźni i czułości nad rozumem? I jeśli Rousseau może być skwalifikowany jako szaleniec w ostatnim z wypadków, które wyliczyłem, któż odważyłby się powiedzieć, że, pomijając stopień, nie był szaleńcem także w innych? Był nim... och! mój Boże, jak wielu ludzi byłoby w naszych oczach, gdybyśmy ich znali, gdyby pisali książki, i gdyby wśród swego obłąkania mieli trochę geniuszu.

Dodajcie do tego choroby Rousseau'a, których żałosnej listy powtarzać nie chcę. Jego choroby nie dały mu wrażliwości: ale one ją uczyniły przenikliwszą i bardziej panującą, dostarczając jej więcej sposobności do wyrabiania się. One go często skazywały na samotność. One go zmuszały, by żył zamknięty w sobie. Nigdy żaden pisarz mniej nie wyszedł z samego siebie, nie odnosił stalej wszystkiego do

siebie samego, — i nie wierzył zresztą w przewrotność większej ilości jednostek, co ten przyjaciel ludzkości i ten człowiek tak przekonany o naturalnej dobroci człowieka.

To zboczenie, to zupełne podporządkowanie sądu wrażliwości, daje mu miejsce wyjątkowe w literaturze francuskiej. Porównajcie go, nie mówię z wielkimi pisarzami XVII wieku, ale z Voltaire'm, z Monteskiuszem, z Buffon'em, nawet z awanturnicznym Diderot'em. Och! jakżeż wam się rozsądnymi wydają! Dlaczego nie powiedzieć tego? Niezliczone kartki Rousseau'a błyszczą nedorzecznnością poprostu zuchwałą. Zwróciłem waszą uwagę, że jego stronnicy najbardziej stanowczy często są sami zmuszeni interpretować go i wyznać, że go interpretują: nie trzeba, zapewniają, rozważać tego, co powiedział, ale co chciał naznaczyć a co jest głębokie lub wzniosłe. Otóż Rousseau jest jedynym z naszych klasyków (jeśli wogóle można mu jeszcze dać to imię), który potrzebuje interpretacji tak uprzejmej i tak gruntownie przekształcającej tekst. Inni mogą się mylić: oni mówią to, co mówią, a nie coś innego. Wśród ich zuchwałości i ich kaprysów, ich rozum panuje. Pozostają oni w tradycji francuskiej. Rousseau, ten gwałciciel tradycji, Rousseau, ten obcokrajowiec, wtłacza we francuską historię literatury fenomen, »monstrum« (które będzie miało za potomstwo wszystkich wytraconych z równowagi, wielkich czy małych XIX wieku).

Stąd może jego powab. Ludzkość jest tego rodzaju, że — prócz geniuszu i daru słowa w najwyższym stopniu — może ta część nedorzecznosci, jaka jest w jego dziełach, pozwoliła Rousseau'owi wywierać tak czarodziejski wpływ. Kupiono się do niego z powodu błyskotliwego i wzburzonego szaleństwa poety-dyalektyka, z powodu osobliwości a nawet sprzeczności jego osoby i jego życia, z powodu upajającej wibracji, którą jego chora dusza wlewała w jego książki. Tak, powabem Rousseau'a jest nieraz tajemniczy »powab nedorzecznosci«. Bo nedorzecznosc posiada powab

o tyle, że dostarcza wrażliwości obrazu niespodzianego i uderzającego, jako łatwego odwetu przeciw temu, co bolesne jest w rzeczywistości.

Czy mam streścić teraz jego dzieła i to, co nazywa się jego systemem? Inni to zrobili i w taki sposób, że nie będę po nich próbował. Faguet najpierw i z jakąż przenikliwością! w swoim »Wiek XVIII«. Wyznaje tylko, że nie mógł, mimo starań, logicznie wcisnąć »Umowy społecznej« w całość systemu Jana Jakóba. — P. Gustaw Lanson był szczęśliwszy. Powinniście przeczytać w jego historii »Literatury francuskiej« rozdział o Rousseau'ie, jeśli kochacie Rousseau'a nieprzejeżdżając i jeśli chcecie uwierzyć w spistość i jedność jego dzieł i w nieprzebraną dobroczynność jego wpływu. To studium jest zresztą wzorem subtelnej interpretacji i zręcznej rekonstrukcji.

Nie mogę wam go przed oczy przywieść; ale podręcznik do użytku liceów tak streszcza streszczenie p. Lanson'a:

System Rousseau'a. — 1) Stan natury jest dobry, stan społeczny jest zły, — oto teza. — 2) Ale nie można powrócić do stanu natury, więc zgoda na stan społeczny, jako na zło konieczne, — oto antyteza. — 3) Zresztą można poprawić stan społeczny, zbliżając go za pomocą różnych środków do stanu natury, — oto synteza.

Stąd widać, jak rozwój pierwszego i trzeciego punktu rozdziela się na jego dzieła. — Dobroć stanu natury i błędy stanu społecznego, oto przedmiot dwóch »Rozpraw« i »Listu do d'Alembert'a. — Zaradzić złu stanu społecznego dla jednostki przez wychowanie zgodne z naturą, oto przedmiot »Emila«; — zaradzić dla człowieka w rodzinie przez praktykę cnót rodzinnych według natury, które mogą oczyścić światowe namiętności obu płci, oto przedmiot »Nowej Heloizy«; — zaradzić wkońcu dla ludzi, jakiemuś rządowi podległych, przez lojalne przestrzeganie warunków, pod jakimi kiedyś się poddali i które im podyktowała natura (jak się zdaje), oto przedmiot »Umowy społecznej«.

W ten też sposób:

Człowiek społeczny pogodzi się z człowiekiem natury jako jednostką, jako małżonkiem, jako obywatelem.

Uczniowie, którzy będą to czytali, i którzy tem się zadowolnią, będą uważali bez wątpienia Rousseau'a za umysł najbardziej równoliniowy i najbardziej geometryczny z pośród wielkich pisarzy. Sądzę, że ci niewinni chłopcy dalecy będą od prawdy.

Najpierw, system, który domyślnem czyni: »Moje instynkty i moja wola są święte i nazywam je naturą« i który zawiera się w tych dwu wierszach: »Natura jest dobra, społeczeństwo ją zepsuło; powróćmy więc możliwie najbardziej do natury«, jest systemem dość ubogim a polega zresztą na najbardziej arbitralnym i najmniej określonym z postulatów. To nie jest system, to stan uczuciowy. Ciągłe powtarzanie jedyne pierwiastka i to pierwiastka tak wątpliwego, nie wystarcza na stworzenie systemu ani filozofii społecznej. Jeden jedyny pierwiastek, tak, ale z niego Rousseau wyciąga, według upodobania konsekwencye, z których wiele wzajem się sobie sprzeciwia, — nie licząc formalnych odwołań, jakie jego korespondencya wymierza wszystkim jego dziełom, — (i nie licząc również sprzeczności, może wytłómaczalnych, ale tak częstych, między jego czynami a pismami).

Ale na ten pierwiastek nawet (natura dobra, społeczeństwo złe), — który w gruncie jest tylko wygodną formułą buntu, — czyżby był natrafił, gdyby mu pytanie akademii w Dijon nie było go podsunęło w czasie, kiedy już miał 38 lat i całkowicie był pochłonięty muzyką i zalotnym teatrem? A największa część jego dzieł czyż nie jest jakby zawieszona na tym przypadku? Czyżby był doszedł do owego przesądu o równości, bez nowego pytania tej nieszczęsnej akademii? Czyżby był napisał »Nową Heloizę«, gdyby był nie znał panny de Breil, potem pani d'Houdetot i Saint-Lambert'a? Itd. itd.... — Można, powiecie, zadawać pytanie tego rodzaju odnośnie do wszystkich pisarzy i do wszystkich książek. — Nie, ale tylko odnośnie do »dzieł wyobraźni«, do dzieł poetów i powieściopisarzy: i Jan Jakób

jest zawsze poetą i powieściopisarzem. — I wykazałem wam, jak sądę, w istocie, że wszystkie jego dzieła natchnęły mu okoliczności prywatne i że te dzieła tem się tłómaczą przede wszystkim, — potem jego temperamentem, stanem fizycznym, taką a taką częścią jego przeszłości i, śmiałym powiedzieć, tą z jego dusz, która w danej chwili w nim działała: duszą Genewczyka, duszą protestanta, duszą katolika; duszą włóczęgi i buntownika; duszą bezsilnego kochanka, duszą symulatora przez pragnienie wzruszeń, duszą marzyciela i prawie fakira, duszą chorego człowieka. Nie jest rzeczą zbyt dziwną, że dzieła pisane przez tak różne dusze, nie przedstawiają prawdziwie surowej jedności; i nie ma się czemu dziwić ani wewnętrznym sprzecznościom »Julii«, »Emila« i »Umowy społecznej«, ani sprzecznościom między »Umową społeczną« a »Julią« lub »Emilem«, ani sprzecznościom między wszystkimi jego książkami a jego listami. — Gdzież więc jest jedność? Według mego zdania nie w systemie, ale w tym fakcie, że wszystkie niespokojne dusze, z których się osobistość Jana Jakóba składa, mają wspólnie chorobliwą wrażliwość, wykluczającą najczęściej sąd i zmysł krytyczny. — Albo raczej uprośmy to jeszcze. Zbierzmy z jednej strony włóczęgę, człowieka wykołowanego, omdlewającego marzyciela, plebejusza, chorego, a także protestanta, to znaczy należącego do wyznania opartego na wolnej krytyce (a wszystko to razem wzięwszy daje może anarchistę) — z drugiej zaś strony... cóż? człowieka, któremu mimo wszystkiego pozostało coś z ojczyzny i tradycji, i protestanta nacechowanego czułością katolicką; i wyciągnijmy wniosek: — indywidualizm posunięty do ostateczności, połączony tu i ówdzie z pewnym śladem tradycjonalizmu przez cnotę religijnego uczucia: oto gdzie może jest jedność, mglista i tajemna, dzieł Rousseau'a, jeśli jest gdziekolwiek. A jeszcze ta jedność pozostaje dwoistością.

Pozostaje mi wskazać nowości Rousseau'a i jego podwójny wpływ, polityczny i literacki.

Wśród jego nowości widzę najpierw styl. Wydaje mi się to nowością rzeczy dawnej, odnalezionej i wzbogaconej. Powiedziałem już odnośnie do pierwszej »Rozprawy«, że Rousseau prozaik nawiązuje do tradycji. Karmiony, zdala od Paryża i mody, wielkimi pisarzami XVII wieku, kiedy się zabiera do pisania, bierze po nich okres harmonijny, złożony, peryodyczny. Powiedziano o nim, że odnalazł styl Bossueta: odnajduje z niego przynajmniej rozciągłość i ruch. Ma mniej obrazów niż Bossuet, i ma mniej wyszukane; ale ma obrazy bardzo ładne i czasem wzięte z rzeczy nowych. Jego konstrukcja jest zwężlejsza, w składni mniej wolna, o poprawności skrupulatniejszej, niż konstrukcja wielkiego oratora. Wyszukuje bardziej niż tamten antytezy i falowanie słów. W całości zwyczajnie zachowując szerokość rytmu, bardziej stara się o zwężłość: ale ponieważ lubi powtarzać wielokrotnie tę samą myśl różnemi słowami, zdarza się, że niejedna z jego kart wydaje się zwężłą w szczegółach a rozwlekłą w całości. — Niezmiernie troszczy się o ucho. Jedną z osobliwości jego stylu jest trud, z jakim unika w tem samym zdaniu powtórzenia słów, — zastępując rzeczownik, o ile może, przez zaimek osobisty, wskazujący lub dzierżawczy, stosownie do okoliczności, — i to często, aż zdanie czyni do zrozumienia trudnem. Przekłada niejasność nad pozór nawet niedbałości. Dam wam, abym sam nie wydał się niejasnym, jeden przykład, którego nie potrzebowałem długo szukać. Jest to w »Nowej Heloizie« (druga część, list 25) odnośnie do portretu Julii, który Saint-Preux za zbyt dekoltowany uważa:

Tak, twoja twarz jest zbyt czysta, aby znieść odsłonięcie twych piersi; widać, że jedna z tych dwóch rzeczy powinna drugiej w ukazaniu się przeszkodzić; tylko szal miłości może je pogodzić; i kiedy jej ręka płonąca odważy się odkryć te, które wstyd kryje,

upojenie i zmieszanie twych oczu mówi wtedy, że o nich zapominasz, nie że je na pokaz wystawiasz.

(Trzeba nieco na boku zostawić »Wyznania«, w których styl jest prostszy, nie tak stale naprężony, bardziej różnolity, wolniejszy, bliższy rzeczy, bardziej soczysty, bardziej »zmysłowy«, gdzie też słownik jest bogatszy w wyrazy z potocznego życia, gwarowe nawet).

Ostatecznie ten styl Rousseau'a jest stylem bardzo pięknym. Zawiera w sobie styl Bernardyna de Saint-Pierre, styl George Sand'a, Lamennais'a i pisarzy »cenionych« XIX w. — i bardziej niż w zarodku styl Chateaubriand'a. — Zawiera na nieszczęście także styl wielu publicystów i mówców publicznych nudnego pokroju. — Nic to. Można z pewnością powiedzieć, że styl Rousseau'a podniósł ton prozy francuskiej. Ale inni lepiej to odemnie powiedzieli.

Jakież jeszcze nowości przyniósł Rousseau? Będę mówił najpierw o tych, które działały bezpośrednio na jego współczesnych.

Mówi się, że był on wielkim reformatorem obyczajów, że odnowił moralność osobistą, opierając ją o sumienie (*sumienie... instynkt boski... przewodnik pewny...*) i moralność domową przez potępienie niewierności i przez głoszenie szacunku dla małżeństwa i obowiązków ojcowskich i macierzyńskich.

Jest w tem dużo prawdy, tak: ale mimo wszystkiego trochę się przesadza. Moznaby doprawdy mniemać, że moralność przestała istnieć we Francji, że nie było już nauki religii, że większość mieszczanek z Paryża i z prowincji składała się z rozpustnych żon i złych matek... W rzeczywistości Rousseau (i to po Marivaux'ie, Destouches'u, La Chaussée'm, którzy są pisarzami bardzo moralności wiernymi) wpływał trochę tylko na mały światek bardzo zepsuty, ale bardzo ograniczony. Ponieważ Rousseau nakłonił kilka młodych kobiet światowych do karmienia swych dzieci i do przepędzania nieco czasu na wsi, nie trzeba sądzić, że

przekształcił i odrodził społeczeństwo francuskie. Wolność obyczajów w bogatych sferach przeciągnęła się, jeśli się nie myłę, aż do rewolucyi; a także literatura libertyńska. Rozczulano się tylko łatwiej i więcej wygłaszano frazesów o cnocie. Co Rousseau przede wszystkim rozwinał wśród swych współczesnych, to okropną czułościowość, najzupełniej różną od dobroci. Wydaje mi się rzeczą przesadną twierdzić, jak to robiono, że »zmienił atmosferę moralną Francyi«.

Mówi się, że nauczył na nowo kobiety »namiętności«, wielkiej, prawdziwej, zapomnianej całkiem. Och! Zda mi się, że kobiety jak Lespinasse i Aïssé — i inne bez wątpienia, które nam nie zostawiły zwierzeń, — nie potrzebowały takich lekcji!

Słuszniej można powiedzieć, że wpływał, nawet na współczesnych, przez żarliwość swego deizmu. Był człowiekiem prawdziwie religijnym, wykazałem to w obfitości. Stał jako zdeklarowany przeciwnik encyklopedystów ateuszów i przez to przede wszystkim ściągnął na siebie ich nienawiść. Jego protestantyzm liberalny i złagodzony przez dwadzieścia sześć lat katolicyzmu nie tak bardzo daleki jest od sentymentalnego katolicyzmu Chateaubriand'a. I w pewnej chwili, w pierwszych latach XIX wieku, można powiedzieć, że »jeżeli działalność Rousseau'a prowadziła do republiki jakobińskiej, przyczyniła się, niedługo potem, do restauracyi katolickiej« (Lanson).

Nowością również, w stosunku do doktryny encyklopedystów, jest sposób, w jaki Rousseau pojmuję postęp. Nie ma on ich świętej wiary w to bóstwo. Nie wierzył, jak oni, że postęp materyalny i intelektualny zawiera postęp moralny, ani że zawiera szczęście ludzi. Nie ma zgoła przesady wiedzy. — Rousseau zresztą jest prawie zawsze doskonały w miejscach, w których jest wprost wrogiem encyklopedystów. Byłoby rzeczą możliwą — a ciekawą — złożyć cały tom maksym i myśli konserwatywnych i tradycyjnych,

wyjętych z »libertyna« Rousseau'a, i dlatego to trzeba wyrzec się możliwości znalezienia formuł, któreby go naprawdę w całości ujmowały. Wszystko, co można zrobić, to szukać idei czy instynktów w nim panujących.

Ale gdzie Jan Jakób jest najbardziej niezaprzeczenie nowym, gdzie nim jest zupełnie, świetnie i, jak sądzę, dobroczynnie, to w uczuciu, jakie ma dla natury (i co za tem idzie, dla życia prostego i wiejskiego) i dla opisów natury. Och! nie zapominam poetów starożytnych ani francuskiego odrodzenia, ani Teofila czy Tristana, ani pani de Sévigné czy La Fontaine'a. Nie mówię, jakoby przed Rousseau'em nasi ojcowie byli niezdolni żywe czuć wzruszenie pod wpływem miłych krajobrazów. Ale oni nie starali się wiele rozkoszować nimi i swoje wzruszenia tego rodzaju, nawet najżywsze, notowali bądź z krańcową sztucznością (jak Teofil, jeśli chcecie), bądź z krańcową wstrzemięźliwością (jak La Fontaine); — aż do chwili, kiedy pola, lasy, góry i jeziora odbiły się w oczach samotnika Jana Jakóba.

Dopiero od Rousseau'a i za jego przykładem nauczyliśmy się widzieć rozmaite obrazy ziemi uprawnej i dzikiej, w nich smakować, nimi się poić, i zapragnęliśmy rozkoszować się nimi głębiej. Ogólny wygląd powieści i poezyi lirycznej całkiem się przez to zmienił. Śmiałym niemal powiedzieć, że człowieka cywilizowanego od czasów Rousseau'a bardziej wzrusza ziemia, niż w ciągu tysięcy lat poprzednich.

A Rousseau od pierwszego rzutu poszedł niezmiernie daleko w tej sztuce patrzenia na naturę, wzuszania się nią i malowania jej. Od tego czasu rafinowano w tym względzie; starano się o malowidła bardziej drobiazgowo rzadszych widoków natury; wykręcano słowa, czasem szczęśliwie, nie zawsze... Wyznaję, że, co do mnie, sztuka Rousseau'a, jego sposób malowania pewnych całości, równocześnie rozlewny i dokładny, wystarcza mi jeszcze dzisiaj. Dorzucicie, że jego krajobrazy są zawsze pełne duszy, że

dają zawsze uczucie równocześnie z wizją. W »Piętej przechadzce« zaś umiał on wyrazić, i to w zupełności, rzecz jeszcze bardziej nową w tym czasie, niż same krajobrazy: marzenie *w* naturze.

To jest jego wielką oryginalnością. Przez to bierze nas jeszcze. Zdziwiłem się ogromnie, odkrywając na kartce, którą zapisałem dawno (więcej na pewno niż dwadzieścia lat temu), pewne wspomnienia, ale prawdopodobnie nieświadome i będące jakby starem piętnem w mej wrażliwości tego Rousseau'a, którego wtedy nie czytywałem wcale:

Miłość natury, pisałem, wzbudza pewien rodzaj marzycielstwa, które nas uspokaja i łagodniejszymi czyni, ile że jest utworzona z nieokreślonej i płynnej sympatii dla wszystkich niewinnych form powszechnego życia... Ona nam stwierdzić każe, że jesteśmy otoczeni nieznanem, i budzi w nas uczucie tajemniczości, które mogłoby zagnąć pod wpływem nadużycia wiedzy i głupiej pewności siebie, jaką wiedza natchnąć zdolna. Ona nam dostarcza słodczy powrotu, dobrowolnie i świadomie, w królestwo życia bez myśli, w kraj, z którego pochodzimy. Ona wprowadza w nas fatalistyczną pogodę, która jest wielkim dobrem; ona uśmierza wszystko, co w nas samych jest bolesne... Byłoby piękną rzeczą ujrzeć pewnego dnia ludzkość zestarzałą, zniechęconą do bezpłodnego borykania się, odstępującą od własnej cywilizacji, jakby opuszczała miasta, wracała do życia naturalnego i jakby używała, chcąc się niem rozkoszować prawdziwie, wszystkich środków umysłu, całej subtelności i wrażliwości, nabytych przez nieprzeliczone wieki kultury. Ludzkość kończyłaby w ten sposób mniej więcej, jak zaczęła. Ostatni ludzie byłiby jak pierwsi, ludźmi leśnymi, ale bardziej uczonymi i subtelniejszymi, niż członkowie instytutu a także większymi filozofami... W istocie, szczęście ostateczne, do którego ludzki rodzaj wzdycha i ku któremu iść myśli, o wiele bardziej w tej formie da się pojąć, niż w formie cywilizacji przemysłowej i naukowej.

To, co mi na myśl przychodziło w nieładzie za owych dni, czyż nie jest marzeniem, tkwiącem na dnie niedorzecznej »Rozprawy o sztukach i naukach« i ciemnej »Rozprawy o nierówności«! Istnieje zatem taki ruch naszej uczuciowości, przez który jesteśmy jeszcze uczniami Rousseau'a, nie wiedząc o tem.

Prócz miłości dla widoków przyrody, prócz marzycielstwa, przynosi on (przedewszystkiem w »Wyznaniach«) pewien rodzaj serdecznego i uśmiechniętego realizmu. Jan Jakób nie jest, jak inni pisarze jego czasu, szlachcicem czy mieszczaninem w kolegiach wykształconym. Powiew świeży i wolny wchodzi wraz z nim do naszej literatury. Jego wdzięk jest wielki. Trwa on i w przerwach jego retoryki daje się jeszcze odczuwać.

Wymieniłem szczęśliwe jego nowości. Mam już tylko wspomnieć o jego wpływie pośmiertnym.

W polityce najpierw. Ani Voltaire, ani Montesquieu i ich uczniowie nie dali swej formy rewolucji, dał ją Rousseau. Teoria absolutnej demokracji i boskiego prawa większości liczebnej datuje się od niego. Terror to (wykazałem wam) zastosowanie do wielkiego i starego królestwa teorii rządu, wymarzonej przez sofistę dla jakiejś wielkiej wioski... A brewiarzem jakobinizmu jest zawsze »Umowa społeczna«.

Rousseau był bogiem rewolucji. Ona go do Panteonu zanos i wotuje mu pomnik; ona wyznacza pensję Teresie, która wyszła powtórnie zamaż, po pięćdziesiątce, za pewnego masztalerza. — Przypominacie sobie, że od r. 1788 Marat komentował »Umowę społeczną« w ulicach i na placach. Żargon rewolucyjny, to zepsuty język Rousseau'a. Rousseau zachwyca lud swem twierdzeniem o dobroci biednych a złości bogatych i wielkich. Otacza się go kultem. Posiadam zbiór dziełek o Rousseau'ie napisanych od 1787 do 1793, który wykazuje do jakiego stopnia człowiek jest zwierzęciem religijnem. Jest tam sprawozdanie wiejskiej uroczystości, święconej w Montmorency na cześć Jana Jakóba. Siedm mów — i jakich mów! — i pieśni i godła i allegorie. Jedno z tych świąt, o których marzył w »Liście o widowiskach«. — Jest tam także »Pochwała Rousseau'a, która ubiegała się o nagrodę Akademii francuskiej (1790)«;

i »Pochwała Rousseau'a, obywatela Genewy, przez Michała Edmunda Petit'a, obywatela francuskiego« (1793). Widać tu, czem mogą stać się idee Rousseau'a w mózgowicy głupiego człowieka. Jest to płód głupoty niezwyklej i głupoty całkiem gotowej przejść w okrucieństwo. I są wkońcu (bo nie mogę wszystkiego wspomnieć) »Rozmyślania filozoficzne i bezstronne nad Rousseau'em i panią de Warens«, gdzie Rousseau nie tylko jest uniewinniony, ale apoteozowany za opuszczenie dzieci i porównany z Brutusem i Manliusem, poświęcającymi swych synów dla ojczyzny! Rousseau jest po prostu dla głupców i łajdaków tego czasu zbawicielem, odkupicielem ludzkości. Bez niego, bez kilku zdań tego cudzoziemca z »Rozprawy o nierówności«, przedewszystkiem z »Umowy społecznej« (do której tak małą przywiązywał wagę), być może nie myślanoby w 1792 roku utworzyć republiki.

W literaturze Rousseau zapisał w spadku pokoleniom, które po nim przyszły, romantyzm, to znaczy (w gruncie rzeczy i w rezultacie, jakkolwiek wiele poematów i książek romantycznych zdaje się wymykać z pod tej definicji) indywidualizm znowu, indywidualizm literacki, wystawienie na widok swego »ja«, — i marzycielstwo bezużyteczne i samotnicze, i pragnienie, i duma, i duch buntu: wszystko to wyrażone bądź wprost, bądź przez przejryste maski, którym poeta swej używa duszy. (Ale zresztą najlepiej zrobię odsyłając was do pięknej książki p. Piotra Lasserre: »Romantyzm francuski«).

W mierze, do jakiej Rousseau go wzniosł (przedewszystkiem w »Wyznaniach« i »Marzeniach«), ten indywidualizm literacki był rzeczą niezwykle, nieznaną przedtem, a można w tem widzieć użycie nieprzystojne i anormalne literatury. Bo oczywiście ona nie na to została stworzona. — Na początku, poeta śpiewa lub opowiada zebranim ludziom historie, lub pieśni lub pochwały bohaterów, lub przepisy moralności. Jest rzeczą jasną, że się od niego nie żąda zwie-

rzeń poufnych. Taką jest literatura prymitywna i »naturalna«, jedyną, jaką powinien być uznać Jan Jakób, kapłan natury. — Później, po wynalezieniu pisma, druku, instynktownie odczuwano, że wypada wystawiać na widok publiczny, — rozmnożone odpisem czy drukiem, — tylko myśli, opowiadania, obrazy zdolne zająć wszystkich; że było mało prawdopodobną rzeczą, iż życie prywatne i poufne pisarza dla innych ludzi przedstawi wartość jaką, i że byłoby zresztą bezwstydem opisywać je publicznie. — Starożytność w literaturze nie zna indywidualizmu (prócz kilku strof czy dystychów elegistów). Średniowiecze, wiek XVI, XVII i XVIII, aż do Rousseau'a, prawie go nie znały. Montaigne sam jest niedyskretny tylko na sposób Horacego na przykład. Nie spowiada on się w całości, ani zawsze (wiele do tego brakuje); i wszystkie jego wyznania odnoszą się do ogólnych obserwacji o naturze ludzkiej.

Rousseau przez swe »Wyznania« zainaugurował naprawdę ten rodzaj i od pierwszego rzutu całkowicie go zrealizował. Nikt już nie będzie się spowiadał, jak się spowiadał Jan Jakób.

Mówiłem wam w pierwszym wykładzie o tej wyjątkowej książce. Dorzucam jedną refleksję. Rousseau zaczął »Wyznania« w Motiers w 1762 na wezwanie jednego księgarza i najpierw w zamiarze apologii. Gdyby nie był prześladowany, byłby ich może nie napisał. Gdyby ich nie był napisał, najpierw byłby mniej sławny; potem, znalazłbyśmy go mniej; nie wiedzielibyśmy o jego haniebnych postępках, ani o opuszczeniu dzieci; albo przynajmniej nie byłibyśmy tego nigdy pewni; i wkońcu, skoroby jego arcydzieła nam brakło i skoroby wskutek tego dziwny powab jego sławy był mniejszy, wpływ innych jego pism nie byłby może tak silny. — Oto, powiecie, hipotezy bardzo czece. — Poczekajcie. Skoro wiele jest nieprzewidzianego i trafu w życiu Rousseau'a i skoro jego dzieła są z jego życiem związane, jest tego samego wiele także w przyczynach, które go skło-

niły do napisania takiej a takiej z jego książek (ze dwadzieścia razy zwróciłem na to waszą uwagę). Zależało tylko od widocznych przypadków, by Rousseau nie napisał jakiejś rzeczy opłakanej i strasznej, — o której sam nie był bardzo przekonany. Jest przedewszystkiem sławny i potężny przez dwie książki, co do których najwięcej było prawdopodobieństwa, że ich nie napisze: »Umowę społeczną« i »Wyznania«. Józef de Maistre powiedziałby z tego powodu (przypuszczam), że to, co nazywamy udziałem przypadku w życiu ludzkim, jest udziałem woli boskiej i że w ten sposób przeznaczenie Rousseau'a, bardziej niż jakiegokolwiek innego sławnego pisarza, było kierowane, było zamierzone przez Opatrzność rozgniewaną, której był ślepem narzędziem. — Ja powiedziałbym poprostu, że skoro to, co napisał, tak silnie działało na pokolenia ludzi i skoro jednak nie jest pewną rzeczą, iż tak wszystko myślał, jak napisał, ani iżby był napisał, gdyby było zabrakło takiej a takiej przypadkowej okoliczności w jego życiu, — Rousseau wydaje mi się z tego powodu w szeregu naszych wielkich pisarzy (między których zapisać się przychodzi nagle z zewnątrz dziwnym, tajemniczym, tragicznie przeznaczonym i to bardziej niż ten, do którego Renan zastosował tę formułę: »stworzony przez dekret szczególny i imienny Wieczności«.

Zamykam mą parantezę. Otóż potomstwo literackie Jana Jakóba to Chateaubriand, to pani de Staël, to Senancour, to Lamartine, Hugo, Musset, Sand, Michelet.... Bez Rousseau'a nie byliby oni całkiem tem, czem są.

Czyż mogę, wymieniając tak wielkich pisarzy, żałować indywidualizmu romantycznego? Och! nie, bo mnie oni zbyt często czarowali i zbyt głęboko. A potem, czyż można powiedzieć, że u poetów i pisarzy romantycznych były tylko zwierzenia osobiste? Czyż oni są romantykami w zupełności? Czyście napotkali u Chateaubriand'a, Lamartine'a, Wiktora Hugo czy Vigny'ego wiele uczuć osobistych, któreby nie były równocześnie powszechnymi pod pewnym wzglę-

dem? — Co może jest rzeczą pewną, to, że najlepsza i najtęższa część literatury XIX wieku pozostałaby po usunięciu romantyzmu i że w istocie literatura najstarszytniejsza, najpotrzebniejsza i najpotężniejsza to literatura przedmiotowa, nieosobista (filozofia, historia, powieść o obyczajach i charakterach, teatr nawet).

Ale druga część jakżeż często jest czarująca! i jakżeż cierpienia, błędy i uczucia najwewnętrzniejsze człowieka, który posiada geniusz słowa, działają rozkosznie na naszą wrażliwość! Jednostka tego rodzaju, kiedy się bada i opisuje, zstępuje niejednokrotnie głębiej w swą duszę, niżby umiała zstąpić w dusze innych... I wiem, że literatura osobista jest z konieczności apoteozą pewnej liczby grzechów głównych: ale bez niej wiele rzeczy nie byłoby wypowiedzianych, których byłoby szkoda, gdyby wypowiedziane nie były. Wyznajmy, jeśli chcecie, że ta literatura jest czemś wykojejonem, czemś, co nie jest zupełnie w porządku... Ale mimo wszystkiego smutną byłoby rzeczą, gdyby romantyzm, — który od pięćdziesięciu lat chyli się ku upadkowi, — nie był się narodził...

Czy mam śledzić wpływ Rousseau'a u obcych? Zbyt mi tu brak kompetencji i wiedzy; mogę tylko, — odesławszy was do doskonałej książki Józefa Texte,*) — powtórzyć to, co się zwyczajnie mówi: że wpływ Rousseau'a działał na Goethe'go, Schiller'a, Byron'a; na Kanta, Fichte'go, Jacobi'ego, Schleiermacher'a; i z uderającą oczywistością na Tolstoję.

Przeczytałem Rousseau'a całego, powiedział Tolstoj do jednego z naszych ziomków; przeczytałem jego dwadzieścia tomów włącznie z muzycznym dykejonarzem. Podziwiałem go więcej niż entuzjastycznie; miałem dla niego kult. W piętnastym roku życia nosiłem na szyi, w miejsce zwykłego krzyża, medalion z jego portretem. Są u niego kartki tak mi znane, że mi się wydaje, jakbym je sam napisał.

*) Jan Jakób Rousseau i początki literackiego kosmopolityzmu.

I wkońcu (a czułem to często w tej długiej wędrówce poprzez jego dzieła) bądź sam z siebie, bądź przez pisarzy, którzy ulegli jego wpływowi, działa on jeszcze dzisiaj na wielu z nas nawet mimo naszej wiedzy. Działa jeszcze na najbardziej ślepą część z nas samych, na naszą uczuciowość: bo on sam jest istotą uczuciową niesłuchanie, o uczuciowości bez zasad, to znaczy bardzo różnej od dobroci, często nieprzyjaciółki rozumu i często nauczycielki błędu i buntu instygatorki.

Zanim go opuszczę, wezmę pod uwagę najbardziej podatni portret z licznych portretów, które o sobie samym zostawił: jego cztery »Listy do p. de Malesherbes«. (A ta mania »wiecznego tłumaczenia swego charakteru« jest naprawdę czemś mało męzkim i jest już oznaką umysłowej słabości). — Kiedy pisze te cztery »Listy«, jest w swym najlepszym okresie; co dopiero napisał »Julie«, »Umowę«, »Emila«; i jego obłęd dopiero się zaczyna. Owóż jak on siebie widzi? i jak się definiuje?

W tym portrecie, — który chce mieć jednak możliwie najbardziej korzystnym, — zapomina, czy lekceważy, czy gardzi najzdrowszymi stronami własnymi, tymi, w których niewątpliwie byliby się rozpoznali jego przodkowie paryscy i katoliccy; zapomina o Janie Jakóbie, który napisał tak rozumne rzeczy o patriotyzmie, (na przykład w artykule o »Ekonomii politycznej«), albo o naiwnym »Projekcie wiecznego pokoju« księdza de Saint-Pierre; o tym, który napisał godną podziwu trzecią część »Nowej Heloizy« a w »Emilu« »Wyznanie wiary wikarego« i doskonałe rozdziały o wychowaniu Zofii i niektóre stronicie »Listów z gór« i w swej korespondencji prywatnej tyle listów pełnych słuszności (boć to przedewszystkiem dla publiczności odważał się na szaleństwo).

Zapomina, mówię, o tem, co miał najlepszego; a oto jak się maluje.

Wyraziwszy swój »wstręt do ludzi«, szuka tego przyczyny. »Jest nią, mówi, tylko ten nieposkromiony zmysł wolności, którego nic nie zwyciężyło« (bo naturalnie nadaje on rzeczom nazwy korzystne). Mówi dalej, że »nikt na świecie nie znał go prócz niego samego«. Zapewnia, że zna swoje błędy i występki, ale zaraz dodaje: »Z tem wszystkim jestem zupełnie przekonany, że nikt z wszystkich ludzi, których znałem w swem życiu, nie był lepszy odemnie«.

Określił się sam, jako »dusza leniwa«, która lęka się wszelkiej troski, jako temperament gorący, żółciowy, łatwo się wzruszający i przesadnie wrażliwy na wszystko, co go wzrusza. Proklamuje swoją bezwzględną pogardę dla opinii. (Owóż »opinia«, jak on ją rozumie, może być uczuciem głupców, ale może być także najbardziej godną szacunku i najbardziej potrzebną tradycją). Pisze dumnie: »Nienawidzę magnatów«, on, co tak długo, zdawało się, nie mógł się obejść bez nich. — Jego największą przyjemnością jest marzenie. Opowiada o milczących orgiach swej czułości i wyobraźni w drodze przez lasy Montmorency.

A tymczasem, mówi on, wśród tego wszystkiego, nic coś mych chimier zasmucała mnie nagle. Gdyby wszystkie moje marzenia przybrały kształty realne, nie byłyby mi wystarczaly; snułbym fantazje, marzyłbym, pożałowałbym jeszcze. Znalazłem w sobie niewytłómaczoną próżnię, którejby nic napełnić nie mogło, pewne rwanie się serca ku innemu rodzajowi rozkoszy, o której nie miałem pojęcia, a której jednak czułem potrzebę.

To wszystko cóż jest innego, jeśli nie uderzający portret poety lirycznego — i buntownika? (I to przez ten drugi rys uwiódł on wielu ludzi, bo bunt podoba się najpierw).

Poeta, wielki poeta, dusza pełna pragnień, temperament tego samego rodzaju, co Byron'a, Leopardi'ego albo Musset'a, — ale którego poezya na wskrós indywidu- alna, wyraziła się wskutek szeregu przypadków głównie

w przedmiotach, nie znoszących zgola poezji, jej przede-wszystkiem, a wymagających obserwacji i rozumu. A co najstraszniejsze, że w te teorie, które budowała jego wyobraźnia i wrażliwość, posługujące się świetną i złudną dyalektyką, w te teorie, które miały tyle złego sprowadzić po jego śmierci — według własnego wyznania nie wierzył w ścisłym znaczeniu słowa; on je marzył; i przez te »chimery«, których »nicość« wyznał, miał szerzyć spustoszenie w przyszłości.

Bo to nie tylko poety lirycznego kreśli on portret w »Listach do p. de Malesherbes«: to jeszcze, — prócz upajającego się marzyciela i odrętwiałego w snach, — portret dumnego samotnika, zarozumiałego samouka, niesfor-nego rewolucjonisty z instynktu, człowieka niespołeczne-go, który codziennie reformuje społeczeństwo, człowieka, który wszystko liczy od siebie, który sprowadza wszystko do siebie i wszystko poddaje swemu marzeniu, lub swemu kaprysowi; który co chwila równa z ziemią całą pracę ludzkości i któremu się zdaje, że posuwa ludzi naprzód, zrywając ciągłość między pokoleniami; człowieka, który może doprawdy łączy się w swych marzeniach z antropo-idami albo Spartanami, ale który w rzeczywistości nie liczy się zupełnie z umarłymi swej rasy »liczniejszymi niż ży-wi«; — krótko mówiąc, właśnie przeciwieństwo takiego Bossuet'a lub Augusta Comte'a.

Ubóstwiałem romantyzm i wierzyłem w rewolucję. — A teraz myślę z niepokojem, że człowiek, który nie cał-kiem sam z pewnością, ale więcej niż ktokolwiek, jak sądzę, stworzył u nas czy przygotował rewolucję i ro-mantyzm, był cudzoziemcem, wieczyście chorym i wkońcu szaleńcem.

Ale kochano go. I wielu kocha go jeszcze; jedni, po-nieważ jest mistrzem złudzeń i apostołem absurdu; inni, ponieważ był wśród znakomitych pisarzy istotą, złożoną z nerwów, słabości, namiętności, grzechu, bólu i marzenia.

I ja sam, po tem długim z nim obcowaniu, z którego wy-ciągnąłem niejedną przyjemność, chcę go opuścić bez nie-nawiści dla jego osoby, z jak najwyższym protestem prze-ciw niektórym z jego najznamienitszych idei, z najpraw-dziwszym podziwem dla jego sztuki, która była tak dziwnie nowa, z najszczerzą litością dla jego biednego życia i »świętą trwogą« (w rzymskim słowa znaczeniu) wobec wielkości i tajemniczości wpływu jego na ludzi.

K O N I E C.



~~65426~~
71777

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Pierwsza pogadanka: Sześć pierwszych ksiąg »Wyznań«	1
Druga pogadanka: Rousseau w Paryżu. — Teresa	25
Trzecia pogadanka: »Rozprawa o naukach i sztukach«. — Reforma moralna Rousseau'a	51
Czwarta pogadanka: »Rozprawa o nierówności«. — Rousseau w Ermitażu	75
Piąta pogadanka: »List o widowiskach«. — Rousseau w Montmorency	100
Szósta pogadanka: »Nowa Heloiza«	125
Siódma pogadanka: »Emil«	151
Ósma pogadanka: »Umowa społeczna«. — »Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego«	177
Dziewiąta pogadanka: »List do Arcybiskupa paryskiego«. — »Listy z gór«. — Ostatnie lata Rousseau'a. — »Dyalogi«	204
Dziesiąta pogadanka: »Marzenia«. — Synteza i wnioski	230
